3 1761 03612 5631

Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXXII.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

TOM DZIEWIĄTY.

DZIWNE ŻYCIA POLAKÓW I POLEK.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1865.

DZIWNE ŻYCIA

POLAKÓW I POLEK

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

DZIEŁO PO PIERWSZY RAZ WYDANE.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

1865.

PG
7158
C75
1872
t.9

LIBRARY
NOV 25 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

LUDWICE ZE ŚNIADECKICH

JENERAŁOWEJ SADYKOWEJ.

Te próbki dziwnego życia Polaków i Polek, miłością dla Polski wyrzuconych z polskiego świata — Tobie poświęcam, moja Jedyna — Tyś mnie zrozumiała i sercem i duszą — Tyś mi jedna była towarzyszką, radą i pociechą, w tem mojem dziwnem życiu. — I twoje życie dziwne.

Dwie dusze zrodzone, by siebie zrozumiały — dwa serca, by biły obok siebie — dla Polski — z nad Wilejki i z nad Kodeńki brzegów, Bóg złączył nad brzegami Bosforu. — Śmierć nas rozłączy z tem dziwnem życiem, ale i po śmierci się złączymy, by patrzeć na naszą tyloletnią pracę i modlić się. Boże, Tyś nas złączył — Tyś nas natchnął wielką myślą, błogosławił naszym usiłowaniom — uwieńcz je zwycięztwem.

Niech kiedyś późny potomek mówiąc o naszych dziwnych życiach, powie: oboje kochali, wierzyli i służyli Polsce.

AUTOR.

W dzień św. Ludwika
25 sierpnia 1862 roku
w Stambule.

	Strona
Aleksander Pausza	1
Julia Wąsowiczówna	45
Julian Duszyński	87
Iskinder Pasza-Antoni Iliński	135
Henryk Służalski	173
Adam Baranowski, Sandżaktor pułku kozaków Ottomańskich	221

ALEKSANDER PAUSZA.

ALEKSANDER PAUSZA.

Rodzina Pauszów jest znamienitą na Wołyniu, nie tytułami kupionemi, nie majątkiem źle nabytym, ale uczciwością i świętą miłością Ojczyzny. — Pan Marszałek Zawisza nie czarny, ale z Czernichowa, który doszedł do tej doskonałości w rachunkach, że żaden żyd z nim rachować się nie chciał — a w robieniu majątku taką miał tajemnicę, że wioski, intraty i inwentarze tak mu przyrastały, jak grzyby w dębowym lesie, po deszczu. i trzymał się tego prawidła, żeby jak najwięcej zbierać, a najmniej wydawać — był pokrewnym Pauszów, i zawsze mawiał: Z tych Pauszów to nigdy nic nie będzie; ledwie to na świat wylizie, to zaraz mu matka z gramatyki Kopczyńskiego przyśpiewuje — święta miłości Ojczyzny — i dla tego też giną jak rude myszy gdzieś tam pod Racławicami, pod Smoleńskiem, albo ich wywożą na Sybir, na Kaukaz, na azyackie podróże żeby tam patryi szukali. Mnie nie tak matka uczyła. — Kto płaci temu służ, a jak złapiesz grosz, to w kaletę włóż, a w kalecie niech grosz nie pleśnieje, niech się rusza, na zarobki a zawsze na zastawę. To też z rządcy pana Małachowskiego posiadłem i cały majątek i wdowę po nim. I teraz Bogu chwała jestem Pan całą gębą, nie poluję, nie bankietuję; Pan Pausza Chorąży powiatowy za mnie i obiady daje i polowania sprawia — a ja lustruję poczty, kabaki i majątki wdów i sierot, bo to najświętsza powinność Marszałka, czuwać nad dworzańską opieką, żeby lud miał dobry i sprawiedliwej miary trunk

a panowie obywatele dobre konie do jeżdżenia — nie tak jak Pauszowie — i cóż im z tego, że Jaxa Marcinkowski napisał:

A kiedy się nakoguci pan Pausza
Moskal strusi, ogon pod siebie i sza —

Kiedy ja workiem podzwonię, i Moskale i żydzi i panowie szlachta biegną do mnie jak koty do sadła —

Tak mawiał pan Zawisza, i taka była istotnie z Czernobelskiej dzielnicy rodzina Pauszów. —

W roku 1826 jeszcze, Pan Antoni Pausza, deputat sądu głównego drugiego departamentu, Gubernii Wołyńskiej, za to, że więcej się zajmował Ojczyzną, jak sprawami cywilnemi panów obywateli — za to, że został Narodowcem i Templarjuszem, żeby Ojczyznę postawić na nogi — wskazanym został na wieczne wygnanie do Tobolska, żeby tam cywilizował plemiona sybirskie, i utworzył, na pociechę Cara i Moskwy i Niemców, podporę starej Moskwy, nową narodowość Sybiraków.

A Pan Aleksander Pausza, narodzony w wiosce Miłosłowce — wyszedłszy z gimnazyum Międzychodzkiego księży Pijarów, z pod kuratorstwa naukowego Jaśnie Wielmożnego Józefa Steckiego — douczał się światowości w Humiennikach przy Jaśnie Wielmożnej Marszałkowej Nowowiejskiej, ostatniej Matronie Polce z Wołynia — muzyki przy pannie Popielównie, pannie respektowej Jaśnie Wielmożnej Marszałkowej; z tego rodu króla Popiela, co go myszy zjadły na Gople jeziorze; — praprawnuka jak zagrała i zaśpiewała, to nie tak jak Orfeusz wabiła do siebie boże zwierzęta, ona szczury odstraszała. I pan Jaxa w swojej Popieladzie powiedział:

Jak Popielówna w klawisze ruszy,
Szczur choćby jaki, zaraz popruszy —
Jak wytnie Solo, to wszystkie szczury,
Ogony pod się, i hajda w dziury —
Wtenczas miławo z trela na trela,
Gnębi morderców króla Popiela.

Pan Aleksander Pausza, widać że w przemianach żywota swego nigdy nie był szczurem, jak Pułkownik Mikołaj Kamieński krową, albo Seweryn Pilchowski marchiewką, bo wtenczas się najwięcej przysiadał do panny Popielównej — i pani Marszałkowa Nowowiejska miała zwyczaj opowiadać.

— O szarej godzinie, kiedy się zacznie muzyka, a Oleś, tak bowiem zwała Pauszę, siądzie przy mojej Popielce, to wtenczas ona także trele wycina, tak miławo, tak miławo, że aż mi się moja młodość przypomina. —

Kursa muzyki w wieczór, o szarym mroku się odbywały — a Pani Marszałkowa im asystowała i nikt więcej.

Pani Marszałkowa na całym Wołyniu, gdzie już wszystko na kopyt francuzki przerobiono, pozostała jak Fenix polski, by kiedyś, przez przypomnienie odrodzić obyczaje i zwyczaje polskie. — Zawsze w robronie na rogówkach, suto obrzuconej falbanami, tak szeroko, że i przy krynolinie Cesarzowej Eugenii, Cesarzowej Francuzów by się nie powstydziła. W trzewikach na wysokich korkach, a tak skrzypiących, jak wozy tatarskie żeby przez rozglos uniknąć od podejrzenia nawet kryjomych schadzek złodziejskich, niewolnych sprawek. — W koczkodanie na głowie, na którym można stawiać było wazony z kwiatów, a nawet posadzić kurę na jajach, jak to dzisiaj w modzie z wymysłu pewnego Marszałka Francyi, nie powiatowego, nie gubernskiego, ale wojska francuzkiego, tego dzielnego rycerstwa, przed którym dziś nic nie ustąpi — Moskale, Niemcy, Meksykanie, Chińczycy nawet, wszystko na łój, na masło — jak gdyby było w Kozaczyznie, za czasów królów polskich i za starych Atamanów Kozaczych.

Mówią, że pewny Marszałek Francyi, książe i wielki czyli sławny wojownik, już dobrze przyszedłszy za pięćdziesiąty krzyżyk, ożenił się z młodą i piękną panną — był bardzo kontent z krynolin, nakształt wieży Małakowa i kazał dać jak najwyborniejszą stal do zakirysowania swej żony w krynolinę. — Zapomniał ów bohater, że Małaków był wzięty, że kule koniczne i cylindrowe ze sztućców gwintowanych i stal kirysów przebijają. —. Jednego dnia zastał stal krynoliny swojej ukochanej w drobne kawałki połamaną, westchnął — ale pocieszył się, że już i kirysyerów w wojsku kasują, bo to na nic przy dzisiejszych wynalazkach wojennych. — Marszałek, człowiek wojny i postępu, wziął się do kapelusza, i w miejscu kwiatów, wsadził na wierzch głowy żony jaja i kokoszkę najpiękniejszą między najpiękniejszemi w Algierze. Cieszył się, jakby Archimedes był cieszył odkryciem kwadratury koła, słysząc jak kokoszka kwo-

ktała, widząc jak dzióbała na wszystkie strony. Ale niestety, jednego dnia zastał kokoszkę przestraszoną w kącie pokoju, jaja pobite na posadzce — westchnął znowu i powiedział: jak Archimedes nie odkrył kwadratury koła, tak i ja nie odkryję obrony niedostępnej do tej twierdzy. Jednak że nie upadł na duchu, napisał do Cesarzowej Eugenii memoar, dowodzący z własnego przykładu nieużyteczność stali w krynolinach i kokoszek na kapeluszach a proszący o nowy jaki wynalazek. MożeCesarzowa Eugenia wyciągnie z grobu trzewiki na wysokich korkach i skrzypiące i rzuci w świat mody jako nowy wynalazek, na poprawę obyczajów.

Świat przyjmie z oklaskami, i niewdzięczny nie powie, że to nie nowe rzeczy, ale stare przenicowane, że od dawnych wieków w takie blokhausy, w takie reduty zbrojono płeć piękną i przekonano się, że to na nic się nie zdało. Papież swoje, a król Włoski swoje — czyli Pan Bóg swoje, a djabeł swoje. — Kto Pan Bóg, kto djabeł, trudno odgadnąć. Pani Nowowiejska wierną była zwyczajom praprababek, tych matron, które Polsce dały i wychowały — Żółkiewskich, Chodkiewiczów.

Wierną była i we wszystkiem i jeszcze u niej w zupie pływały stada kaczek, gęsi i łabędzi, popstrzonych w złote i srebrne folgi a we środku przedziwne nadziania pasztetowe. — Jeszcze pieczyste było przywdziane w mundury, pawie, kapłonie, cietrzewie i trzeba było te klejonki mundurowane zgrabnie odwalić, nim się dobrać do smacznego mięsiwa. — Szparagi, jak las złoto-głowy, sterczały na śrebrzystem wzgórzu świeżego masła. — Rzeżucha do sałaty, na drzewach obciągniętych płótnem, wyglądała jak cyprysy stambulskich smentarzy. — Ciasta jak pałace z oknami i drzwiami, śklnące złotem i śrebrem, marmurem i drogiemi kamieniami. — Galarety jak ptaszęta rozmaitych kolorów i rodzajów, a lody jak owoce krajowe i zagraniczne. — A serwisy takie, jakie opisał Wielki Poeta w swoim Tadeuszu.

Goście i to najdostojniejsi zjeżdżali się do Humiennik jak na odpust, aby oglądać te relikwie zwyczajów i obyczajów starej Polski. — Po każdej biesiadzie, jak Amen jest nieodbitem do zakończenia modlitwy, tak dla pani Marszałkowej było

nieodbitem wyprowadzić gości do ogrodu, gdzie się miał odbijać jakiś cudowny rozgłos.

Jak tylko pani Marszałkowa stawała przy wchodzie ogrodu, z największą powagę i propozycyą do odegrania swej roli, Pan Aleksander Pausza, jak mówią Ukraincy, myszkiem przesuwał się miedzy drzewami w głąb ogrodu.

Jak pani Marszałkowa zawołała,

— Echo. —

Pan Pausza odpowiadał.

— Słucham Jaśnie Wielmożny Marszałkowej. —

Uradowana obracała się do przytomnych.

— A widzicie Panowie, ale jeszcze spróbuję — i znowu wołała — Echo. —

A pan Pan Pausza wnet dał odpowiedź:

— Co Jaśnie Wielmożna Marszałkowa rozkaże. —

Uśmiech radości jeszcze bardziej się rozwijał na licu starem Marszałkowej.

Niechże mi Panowie powiedzą, słuchajcie jeszcze raz — i znowu zawołała — Echo. —

Pausza w mig zagrzmiał z krzaku.

— Zaraz, zaraz Jaśnie Wielmożna Marszałkowa. —

Do łez rozczulona Marszałkowa wracała do zamku, aby kończyć rozprawy o tem dziwnym zjawisku i do nowych prób się przygotowywać.

W takim towarzystwie, jak mówią, ocierał się Aleksander Pausza, między ludźmi, aby wyjść kiedyś na człowieka.

Był on bardzo roztargnionym. Jednego dnia zapomniawszy o wielkim balu wydawanym przez panią Nowowiejską, poszedł z rana na bekasy, na rudę, i polowanie udało się doskonale; miał przy torbie z kopę dubeltów, krzyków i ficklaczów, szedł prosto do Humienickiego zamku, by złożyć swoją zwierzynę u stóp pani Marszalkowskiej.

Tańce już były rozpoczęte, muzyka grzmiała, ale pani Marszalkowej, jakby czegoś brakowało, bo nie było jej Olesia, zdało się, że zabawa nie idzie raźno, ochoczo, jakby ona chciała. — Pausza właśnie wtenczas podchodził pod okna sali tanów — zapomniał o swoim ubiorze, o zabłoceniu, nie szukał nawet drzwi, tylko przez okno wskoczył do sali. Piorunem złożył torbę ze

zwierzyną i strzelbę u stóp Marszałkowej, chwycił pierwszą lepszą pannę, jaka mu się nawinęła, i zaczął z nią wycinać mazurka, w hopaka, w hołubce.

Marszałkowa z radości o mało co nie zemdlała.

— Otóż to prawdziwy Kolcander, złożył u mych stóp rynsztunek Marsa i jak Kupidon poleciał łowić Nimfy mój Oleś, a jakże on pięknie ubrany — w koturnach jak dawni Rzymianie i w tunice jak grecki Alcybiades. —

Marszałkowa wzięła postoły rzemienne za kotury a koszulę na wierzch wyrzuconą za tunikę i chciała koniecznie, aby jej synowiec, Janusz i Mikołaj Nowowiejscy w taki sam strój przybrali się na przyszły bal.

Innego razu gubernator Giżycki, z kilku Jenerałami Kosińskiemi przybyli do Humiennik, i było tam wielkie przyjęcie obywateli Rowieńskiego powiatu, którego Marszałkiem był syn pani Nowowiejskiej, Janusz — wszyscy obywatele byli w mundurach. I pan Pausza się wystroił, ale nim poszli na pokoje, fechtował się szpadą, nie spotkawszy pochwy, włożył gołą szpadę w portepej obywatelski, takoż nie wziął pod mundur kamizelki ze złotej lamy dar pani Marszałkowej. Któryś z przytomnych powiedział: zapomniałeś kamizelki — i podał mu ją — bez namysłu pan Aleksander włożył ją na mundur, zapiął — i tak się prezentował.

I Gubernator i Jenerałowie dziwili się temu strojowi, pani Marszałkowej bardzo się podobał. — I dowodziła, że to jest strój Aleksandra Wielkiego Macedońskiego, który nigdy nie nosił miecza w pochwie, żeby być gotowym natychmiast do cięcia, a na kamizelkę, że to jest pancerz bohaterów Homera i z tego wywnioskowała, że Aleksander Pausza nie tylko może, ale musi być Aleksandrem Wielkim, że on zbawi Polskę.

Gubernator Giżycki przerwał.

— Pod Miłostowem. —

I żeby więcej z czem Marszałkowa nie wygadała się przed Moskalami, zaprowadził ją do ogrodu na reprezentacyą echa.

Pausza nie stracił miny, śmiał się ze swego roztrzepaństwa — ale mu w myśl zagwoździły się słowa:

— On zbawi Polskę pod Miłostowem. —

Pauszowie to jak psy gończe dobrego miotu; bez układa-

nia, z natury gonią, tak i Pauszów jak tylko wzmiankę o Patryi zrobią, zaraz śpiewka matczyna — święta miłości Ojczyzny — do duszy się ciśnie i całym żywotem owłada.

Pan Aleksander nie tylko że wszedł do towarzystwa patryotycznego, odnowionego z ruin Templaryuszów przez Jana Omiecimskiego i jego przyjaciół z Berdyczowskiej ziemi, ale zaczął rysować kartę Miłostowa, i na niej układać plan wielkiej bitwy. — Rzeczka wychodząca z Humiennik dzieliła się na dwie gałęzie, okalała pola i wieś Miłostów, i za Miłostowem łączyła się znowu w jedno koryto, na którym była długa grobla gacona faszynami i most z dębowych krąglaków — brzegami rozgałęzionej rzeki ciągnęły się bagna trzęsawiste, niepodobne do przebycia dla bydlęcia, a bardzo trudne dla człowieka. — W jednem miejscu tylko z lewej strony Miłostowa, biorąc go czołem do szlaku z powiatowego miasta Rojona, było przejście przez bagno i bród przez rzekę, ale okryte gęstą Olszyną. Aleksander Pausza w swoim planie, swojem stutysięcznem wojskiem na papierze, osadzał Miłostów, malował na lewem skrzydle dwie części kawaleryi, a artyleryą konną ukrywał w Olszynie, nad przejściem i brodem — trzecią część kawaleryi i jedną dywizyę piechoty wyprawiał przez most i groble na szlak kowiński przeciwko moskiewskiej dwunastotysięcznej armii także na papierze.

Wyslane wojsko przed groble miało się cofać i wciągać za sobą nieprzyjaciela do wioski, z nad drogi, w które wojsko Pauszy miało ustępować po krótkiej obronie, na lewą stronę wioski, do zmasowanej piechoty. Po wejściu tylnej straży nieprzyjacielskiej na groble jazda Pauszy ukryta w Olszynie z artyleryą miała przejść rzekę w bród i rzucić się na tył nieprzyjaciela, piechota zmasowana uderzyć z całą gwałtownością na bagnety, na jego flank prawy i silnie osadzić Miłostów — wtenczas jazda cofająca się miała pozrywać mostki wiodące do Humiennik, pozrywać upusty, porozkopywać groble i zalać tym sposobem pole z Moskalami, żeby to, co nie było pobitem przez wojsko Pauszy, było utopionem przez wody, tak żeby ani jeden Moskal z żywą duszą nie uszedł, żeby Moskale nie mieli z Miłostowa tej pociechy, jaką mieli dawni Grecy z Termopylów, wiedzy o pobiciu swoich. — Zażarty był pan Ale-

ksander w swoim planie i mówił — Kiedy pan Wyhowski sprawił taką kurtę Moskalom pod Konotopami, dla czegóż Aleksander Pausza nie może ją im powtórzyć pod Miłostowem. Wszak Wyhowscy i Pauszowie z jednej dzielnicy, z Czernobylskiej.

Plan bitwy pod Miłostowem był zrobionym, opisanym w roku 1828 i czekał tylko na okazyą.

A wódz tymczasem jeździł po Wołyniu, Ukrainie i Podolu i upatrywał pułkowodzców, mołodców na pułki — i krasiwe zuzułki czyli kukułki, w przenośnem znaczeniu ukraińskiem, panienki — a posażne — żeby do prowadzenia wojny mieć jak najwięcej pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

O pułkowodców nie było trudno; każdy gotów stanąć przed pułkiem, byle był pułk — Polak, mianowicie szlachcic, nie wątpi nigdy o swojej zdolności choć zrodzony wśród polskich piasków; gotów do marynarki, byle na Admirała, choć nie trzymał w ręku tylko batóg, gotów do wojska, byle na Jenerała.

I o Zuzule nie trudno; każda rada, by jej kto rękę uścisnął — otarł buziaka wąsikiem, ale o posag co innego.

Przyjechał do pana Prezesa Iwanowskiego, tam ładna wnuczka, i młoda i hoża — i dobrego rodu, urodzona z Zaleskiej, córki Zaleskiego z Piatki — co takoż kochał Patryą i nie do Zawiszy ale do Pauszów był podobnym. — Pan Prezes Dorobkiewicz, ale bogaty — w zasiekach jak żyto i pszenicę, trzymał pieniądze miedziane, śrebrne i złote. Co dzień z rana po pacierzach i po pod Twoją obronę uciekamy się, bo był Sodalisem Marianusem nakładał na goloną głowę konfederatkę rogatą i szedł do swojego skarbcu.

Wszedłszy stawał przed zasiekiem miedzi, piętaków, kopijek i gruzów, zdejmował czapkę, i kłaniał nizko aż do ziemi — mówiąc:

— Sława Bogu, kłaniam wam poczciwe chłopki, z was rośnie szlachta, z was rosną Pany. —

Stawał przed zasiek śrebrny z rublów i półrublów, czapki nie zdejmował tylko trochę uchylił. — Na zdrowie wam bracia szlachto, obdzieracie chłopów, a panom oddajecie na pożyczkę, na przepadło. —

Potem stawał przed zasiekiem złota, konfederatkę wtłoczył

na głowę, na bakier i plunął w złoto. — Wy szelmy panowie, obdzieracie chłopów, oszukujecie szlachtę, żeby potem trwonić to paskudne złoto na rozpustę, tfu — djabeł was niech trzyma. —

I wychodził ze skarbca i to co dzień powtarzał, ale na Patryę i tego paskudnego złota nawet nie dawał, ale za to, kiedy wydał raz obiad na sto osób, wszystkie dania na srebrnych półmiskach, i wszystkie talerze były srebrne — a do bakalii słodkich i deseru szczero-złote — żadnego talerza nie wynoszono wymywać i wycierać, tylko rzucano do skrzyń stojących w jadalnej izbie, a świeżemi branemi z pułek mieniano a było przeszło sześćdziesiąt dań i ze dwadzieścia słodkich deserów. — Z tego serwisu ileby to było służby dla Ojczyzny, ale pan Prezes na to niepokojny; nie był on złym Polakiem, broń Boże, ale choć wierzył, jak Sodalis Marianus w zmartwychwstanie trupów, nie wierzył w zmartwychwstanie Ojczyzny. Jak się czubili Aleksander pierwszy z Wielkim Napoleonem i gadano o Polsce, on powtarzał — «Niech temu Pan Bóg daje, kto nam dobrze życzy.» — I gdyby były polskie wojska przyszły, byłby im dostarczył koni ze swoich najpiękniejszych i najliczniejszych stad — ma się rozumieć za brzęczącą monetę do zasiek, jak dostarczał gwardyom moskiewskim. Ale i to już była wielka zasługa polska, że chował konie, nie owce ani świnie — bo gdzie są konie, tam będzie jazda, w potrzebie — gdzie są owce i świnie, tam nie uciułasz jazdy. Za to jedno warto, aby imię pana Prezesa Iwanowskiego było zapisanem między obywatelami dobrze się zasługującymi Polsce — przecie na coś użytecznemi dla Ojczyzny.

Miał Prezes i drugą wielką zaletę: nie zapierał się swojego początku, swojego dorobku — i jak relikwijną cześć chował dla rodziny Dorożyńskich, rodziny swojego dawnego Pana i Dobrodzieja. — Z żadnym Dorożyńskim, choćby z młokosem, na targu jarmarkowym w Berdyczowie, albo w sali kontraktowej w Kijowie nie rozmawiał, nie zdjąwszy czapki. Najdzielniejsze konie swojego stada, i huncwotów panów ze złotego zasieka, bo Dorożyńscy podupadli, co rok im w darze na urodziny i na imieniny posyłał. I to piękne cnoty były, prawda i wdzięczność — oznaki serca i sumienia.

Pan Prezes zwąchnął pismo nosem, do jakich to progów chcą się wdrapać nogi pana Pauszy, i jednego dnia ni ztąd ni z owąd zaczął dowodzić, że Pauszowie, to wielka i starodawna rodzina polska, że nie są zwyczajnej szlachty, ale Panowie lepsi jak Braniccy, Jaroszyńscy, Sobańscy, co się podarabiali w ostatnich czasach majątków — że Pauszowie za Jagiełły byli Panami a zapewne i za Piastów. — Pan Aleksander rósł w dumę i już myślal, będą pieniądze na Miłostowską bitwę. — Nazajutrz dzień rano pan Prezes do skarbca zaprowadził pana Aleksandra i przy nim w zwyczajny sposób oddał dobry dzień swoim zasiekom. — Pausza spuścił nosa, bo był dowcipny. — A tu jak gradem sypnęły inne przygody, przy stole dano czarną polewkę z gęsi, pan Aleksander nadrabiał miną, ledwie przełknął polewkę, a tu panna daje mu ananasa, co w modnym ukraińskim świecie znaczy to samo co harbuz — zjadł Pausza ananasa, bo był łakomy, a kolce skorupy ze słości połknął. — Kazał zaprząść konie, pożegnał, i kiedy siadał do powozu, znalazł tam dwa wielkie harbuzy nie było co już o drogę powrotu pytać.

Jak pojechał, tak pojechał i nie wrócił, a pannę wydano za Poniatowskiego z Tahańczy — nie dla tego, że nosił królewskiej rodziny nazwisko, ale że był synem dziedzica Tahańczy posiadającego fabrykę sukna, fabrykę skór i arędującego u rządu kabak czyli odkup w Kijowie i w całej Ukrainie. — Nie uważano na to, że Jaxa Marcinkowski napisał:

> O Poniatowscy, jakie wasze losy głupie —
> Jeden siedział na tronie, drugi na odkupie.

Nie zważano, że wszyscy Poniatowscy Tahanieccy służyli i służą Moskalom — wydano pannę — bo pan Prezes miał w swoich zasiekach chłopów, szlachtę i panów a tej nie miał, do jakiej należą Poniatowscy. Pausza nie dostał nerwu wojennego, i bitwa pod Miłostowem zostawała w planie.

Nie z jednego komina dym się kurzy, nie jedna Waćpanna na świecie — nie tyle świata co w oknie świeci. Zwiedzał Pausza magnateryę podolską, i tam były panny i poraźne — już na to nie zważał, że w dewizach herbowych u jednych były: hop hoc po naszemu — u drugich: hif huf po waszemu. — Ślepe, kulawe, garbate, byle miały dukaty a przynajmniej karbo-

wance. — Jak Tukaj ballady Mickiewicza byłby diabłu zapisał duszę, byle mieć złoto, na wydanie bitwy pod Miłostowem.

Pausza był urodziwym młodzieńcem w całem znaczeniu tego wyrazu, nie tylko w oczach pani Marszałkowej Nowowiejskiej, ale w oczach i sercach nie jednej Popielki. Miał imię Aleksander, jak bohater Macedoński, jak król polski Jagiełło, i jak Cesarz Zbawca Wszech-Rosyi — piękne imię, ale Miłostow, nieintratny, zaledwie zdolny na plac bitwy, do zbawienia Polski.

Cezary, Augusty, Dariusze — z Tahańczy podostawali żony i ładne i posażne, choć w moskiewskich mundurach i z moskiewskiemi sercami pod niemi, bo mieli Tahańczą z fabrykami i odkupem. — Aleksander z Miłostowa, oprócz polskiego serca i planu na wielką bitwę, nic nie miał — i żony posażnej nie dostał.

Jeśli Iwanicki był Lozanem polskim w Dubieńskim, Aleksander Pausza był nim bezzawodnie w Równieńskim: dziwne o nim przygody w tym względzie znano — i na byczej skórze rozciągniętej sposobem Dydony nie możnaby je spisać: dość jednę wzmiankować na próbkę o reszcie.

Urzędnik wyborowy, dostojnego stopnia, należący do jednej z pierwszych rodzin Wołynia, podstarzały, mający dwie córki zamężne; dostał bzika i ożenił się z panną młodszą o więcej jak połowę lat od siebie, młodszą od swoich córek, i bardzo ładną: obrzydliwa to rozpusta ślubna, nikczemniąca pannę, a bardziej jeszcze nikczemniąca starca, ale uprawniona religijnemi prawami i dziejąca się na tym Bożym świecie.

Dziwna to natura ludzka. — Zalotnica choćby jaka, której cnota upadła przed urokiem miłości, młodości albo sławy — i choćby te upadki ciągle się powtarzały jak paroksyzmy, ciągnie wszystkich oczy i serca ku sobie — duch miłości ją owiewa, ku niej nęci — pobłaża i ją wielbi nad dziewicę suchej cnoty, niemilującego serca choćby najkrasiwszą. — Ale ku dziewicy, która się za pieniądz, albo za dobry byt przedała, i służy lichemu starcowi za rozpustę, jest wstręt, jest ckliwość — choćby było najpiękniejsza; bezecna wonia starca owiewa ją do koła — schydzona, odpycha od siebie nieprze-

zwyciężoną odrazą, spodleniem najszlachetniejszego uczucia — uczucia miłości.

Aleksander Pausza, choć szlachetny i dzielny młodzieniec — nabrał trochę zwyczaju moskiewskich sołdatów nie przebierać — co na placu, to nieprzyjaciel. Urzędniczka została jego kochanką, a urzędnik najserdeczniejszym przyjacielem — gotowym nawet wziąść udział w bitwie pod Miłostowem, ale tylko pieniężnie, czego było potrzeba naszemu bohaterowi, ale co wcale się nie podobało zięciom urzędnika. — Nastąpiły przymówki, wpółdonosy, w końcu jeden z zięciów powiedział starcowi małżonkowi, że jego młoda żona miewa co noc schadzki z Pauszą w jejże sypialnym pokoju. Piekło zazdrości rzucił w serce obmierzłego starca; myślał, bolał, przeżuwał sposoby zemsty — a była to zasłużona kara przez tego starca, za liche zhydzenie piękności i młodości, to jego cierpienie było dobrze zasłużone — przemrukiwał: zabiję — zabiję.

Pausza uważał, że coś się knuje przeciw niemu, ale przez swoje plany bitwy pod Miłostowem mającej się wydać, wyćwiczony do stawiania czoła nieprzyjacielowi na każdy wypadek — wstępnemu bojowi odpowiadać bojem wstępnym — wybiegom, wybiegami. — Ubrał w szlafrok na maniaka podobno miotłę z babińca, na głowę wyrobiony z gałganów nałożył czapeczkę greczynkę, a na czoło błyszczące okulary, które nosił dla mody, nie dla potrzeby — i tego maniaka postawił przy łożu urzędniczki, tak żeby za otworzeniem drzwi błysk szkieł od okularów uderzył w oczy wchodzącego — otworzył okno do ogrodu, bo to było w maju czy w czerwcu, a sam skrył się pod kotarę uspakajać strach urzędniczki.

Tymczasem urzędnik pożerany płomieniem zazdrości i dyszącą zemstą, cichaczem wydobył z pokrowca strzelbę Sagalas London, z którą niegdyś chodził na polowanie na kuropatwy i na bekasy, bo był dobrym strzelcem, choć mu się ręce jak galareta trzęsły od rozpusty i starości; wypróbował zamek i skałkę, wsypał proch, przetknął zapał, wpakował w lufę sztof i sześć grankuleg — i na chwilę jak szatan się uradował. Zawołał starego sługę, towarzysza z młodości, i świadka tej niecnej młodości, dał mu kindżał w rękę i powiedział; staniesz pod oknem sypialnego pokoju mojej żony, od ogrodu — a kto-

by on nie był, ktoby z tamtąd wyskakiwał — kot — szczur, ja sam, rozpłatasz kindżałem — bo jak nie, to ja ciebie stara bestyo rozpłatam — i czekał nocy. — Nadeszła — idzie starzec, serce mu bije złością i zazdrością — ręce się trzęsą. Drzwi odemknął, patrzy, okulary mu zabłysły jak gwiazdy śmierci, przyłożył sie do strzelby, trzęsie się lufa — wycelił — wypalił — maniak się zwalił — dym prochu w oczy starcowi lunął — i tylko słyszał jakiś ruch, za oknem krzyk — skoczył na trupa — chwycił rękoma okulary i w ręku trzyma i mnie. — Przeciera oczy i widzi przed sobą żonę — z rozpuszczonym włosem — z okiem błyszczącem gniewem, piękną ubiorem nieładu. — Wstydź się starcze, po co było się żenić, żeby potem żonę posądzać — zaprzepaściłeś moje młode lata, obiecywałeś złote góry, a teraz cóż mi dajesz, wstyd i hańbę. Wiedziałam o doniesieniach, o twoim bezecnem niedowiarstwie i żeby ciebie starca rozumu nauczyć, ubrałam maniaka — masz, mścij się, idź na pośmiewisko ludzi, jakeś na to zasłużył — pfe, wstydź się starcze. I zaczęła płakać. — W tej samej chwili wpadł Aleksander Pausza, przybrany w jakiś tułub barankowy — pyta co to jest — urzędnika biorze za rękę — a za nim zięciowie, córki, służba. — Już nie zemsta, nie zazdrość, nie złość — ale śmieszność, wstyd padły na starca — jak grom Boży — oniemiał, stoi w miejscu, i mnie w ręku okulary — plon swojego czynu.

Jedrzej, stary sługa, wziął pana za rękę. — Chodź Pan, po co tu stać będziemy, po co tu stać będziemy między tą młodzieżą. —

Zaprowadził. jak dziecko niańka wiedzie, do pańskiego pokoju. — Po co było się żenić, a ja mówiłem, ręce trzęsą się jak drahle, piękny mi mąż, dobrze to mówią chłopi — nie żeń się, nie żeń Bandura — teraz jeśli Pani syna narodzi, to będzie w okularach — piękny mi dziedzic — pańskiego imienia, pańskiego majątku. —

Starzec milczał i gorzko płakał — choć mu Jędrzej nie mówił, co mu z okna spadło na plecy, i że tego kindżałem nie przepłatał — pan go także nim nie przepłatał — o nic nie pytał. — Tylko zięciów córki z domu powypędzał, a pana Aleksandra zostawił przyjacielem domu. Na dobitek pan Aleksander zięcia donosiciela na pojedynek wyzwał, żeby ukarać go za długi język, lewe ucho mu oberznął, ucho od serca. — Ta przygoda

rozgłosiła się nie tylko po całym powiecie, ale i po trzech guberniach. — A kobiety lubią takich bohaterów, choćby dla samej ciekawości.

Małżeństwo nie dopisało panu Aleksandrowi, choć Kupidon z Cyterą byli mu przyjaźnemi; puścił się na jarmark do Berdyczowa i na kontrakty do Kijowa — czy tam nie znajdzie złota. W tym względzie był on Alchemikiem dawnych wieków, tylko że jego Alembik był nie ze szkła, nie z gliny, ale w głowie, w myśli — na gwałt mu trzeba złota — bo już gadano o mającem nastąpić powstaniu w Królestwie Polskiem, u odrodzonych Templaryuszó w skupowano konie, sposobiono rynsztunki, broń, sposobiono Kozaków do służby. — Puszczono rozgłos o pojawieniu się mnogich stad wilków na stepach. — Koło Berdyczowa, na szlaku pocztowym, między słupami werstwowemi, malowanemi w barwy cesarskie, moskiewskie, wilcy zjadły pięciu huzarów kresowych, tylko buty zostawiły i broń i podkowy końskie. — Koło Murowanej Machnówki jechał sankami pop z żoną, z dzieckiem i małym chłopakiem za powoziciela — napadnięty przez wilków, rzucił im woźnicę, wilcy go powąchali i biegli, dalej rzucił dziecko, to samo, rzucił żonę i na tę się nie pooskomili. ale i konie zatrzymały, i popa z końmi poszarpały i zjadły. — We wsi Agatówce, przez dach, który rozebrali jakby najwprawniejsi porywacze, wleźli do chaty stojącej przy kołowrocie i zjedli dziada, babę i czworo prosiąt chowanych na Wielkanoc: to wszystko przez kursorie, okólnikami kapitana Isprawnika, głoszono po powiecie — i na tej zasadzie dozwolono obywatelom gotować się nie tylko do odparcia, ale nawet do wytępienia wilków. — Obywatele korzystali z dozwolenia rączo, ochoczo. A kapitan Isprawnik, choć Moskal, kupił sobie intratną wieś i powiedział: tak polubiłem tych Panów Polaków, że już i sam zostanę Polakiem. —

Żydzi Berdyczowscy mówili: wszystko można, byle ostrożnie — szlachta ma rozum, wie, że kto smaruje, ten jedzie — i Isprawnik ma rozum, bo wie, że lepszy wróbel w kieszeni, jak indyk w powietrzu — wie, że Pan Bóg wysoko, Car daleko, a Panowie obywatele tu blisko. — I wszystko dobrze szło przy końcu tego 1830 roku, tylko pan Aleksander jak nie miał, tak

nie miał pieniędzy i mozolił się powtarzając — kto nie ma pobrzękaczy, ten nie może mieć posługaczy. —

W Berdyczowie na jarmarku, Kuźmy i Damiana, wprawdzie znalazł jednego ochotnika na półkowódcę, i to nie gołego ale obrośniętego — pana Leona Zakrzewskiego — synowiec jenerała Konfederackich i Kościuszkowskich czasów — i księżnej Radziwiłowej z Sieniawy, mającego tedy prawo na półkownika. — Przezorny to był chłopiec; żeby uniknąć strachu i wypadków, gradu, powodzi i posuchy przedał wieś ojczystą, zagospodarowaną, zabudowaną i intratną za dwadzieścia pięć tysięcy czerwonych złotych — i porękawiczne, dwóch karych koni, dychawicznych i jasnokościstych — bryczki bez rysorów i odkrytej z fabryki z Połonnego, starego kilimka mogącego służyć za derkę, z wyrobu na Sławuty — i w skrzynkę żelazną opatrzoną w zamek na podwójny rygiel z kluczem sercowym i dwie kłódki. — W skrzynkę cały kapitał wzięty za wioskę złożył w workach opieczętowanych. Remanenta i sprzęty domowe osobno przedał za dwa tysiące pięćset dukatów i piętnaście rubli śrebrnych zdawkową monetą — złoto w trzos włożył i opasał pod koszulę na gołym ciele, zdawkową monetę miał w kieszeni i nią przebrząkiwał. — Zostawił sobie pałasz stryjowski, Augustówkę z napisem — kto chce, to i może — parę pistoletów hiszpańskich — i starego sługę, poddanego, głuchego zupełnie, ślepego na pół i zająkę, tak iż nie można było się dopytać od niego żadnej rzeczy.

Tak uekwipowany, puścił się jak Bernadyn kwestarz z domu do domu, do krewnych, do znajomych i do nieznajomych — ale do domów uczciwych, niepodejrzanych. Do pokoleń tatarskich, żydowskich, choćby nawet wyneofitowanych chrztem, bynajmniej nie zajeżdżał — omijał je, jak szczwany wędrownik wschodu, omija zadżumione miasta.

Do każdego miejsca, gdzie przyjeżdżał, zaraz znosił swoją skrzynię — i stawiał w najpewniejszym miejscu, nie żeby ją wiatr nie zawiał, ale żeby po nią nie ciągła pożądliwość jaka.— Jeśli był w karczmie na popasie, kamieniem siedział na skrzyni — noclegów w karczmie nie odbywał, nawet w miastach — ale zajeżdżał, albo do klasztoru albo do plebana, albo do jakiego mieszczanina zacnego chrześcijanina — do popa nawet,

jeśli nie było dworu — a do karczmy nigdy — rankami i wieczorami nie miał zwyczaju jeździć; nie dla tego aby nie dostał kataru, ale żeby się nie zdybać z niepotrzebną chołotą.

Wszędzie go doskonale przyjmowano i goszczono. — Matki w nadziei złapania zięcia, panny dostania męża — doktorzy, że zachoruje — karciarze, że go zaoskomi stosik albo faraonik — klasztory, że zapisze na kościół. Ale on nie chorował, nie grał w karty — mówił, że żona nie potrzebny ambaras, dość już ma ze swoim głuchym — pcheł znosić nie mógł, a kobiety zawsze pchlarki — Pan Bóg ma swój kościół, pieniędzy nie potrzebował, dość mu było modłów — i czasami się modlił, żeby na skrzynce nie zasnąć i lepiej pilnować.

Błogo mu płynęło życie. — Razu jednego w Korowińczykach Małych, u Jana Omiecińskiego, było mnogie zgromadzenie, w niem pan Leon Zakrzewski i Ignacy Strumiło. — Grano w karty, w djabełka — pełno było na stole złota, śrebra i bomaszek czyli assygnat — Leonkowi ślinka płynęła, patrząc na nie, ale nie grał. Strumiło go zachęcał, uczył, dawał teoryę, jak stawiać, jak kombinować, jak zagartywać pieniądze wygrane. — To ostatnie bardzo się podobało Zakrzewskiemu, ale nie grał, i jak komandor z Don Żuana na teatrze, siedział wyprostowany na krześle. — Zauważano jednak, że ukradkiem wziął ze stołu dwie talie już zgranych kart, i pomalutku wsadził w kieszeń, potem wstał i wyszedł.

Po chwili Strumiło, który najlepiej to zauważał, wstał także.

— Chodźcie a zobaczycie, co robi Pan Leon. —

Poszli do oficyn, gdzie było mieszkanie Zakrzewskiego, okiennice pozamykane, choć słońca nie było, było chmurno — południe — drzwi ze środka zamknięte na zasuwkę i na klucz— przez szpary jednak dopatrzono, jak Pan Leon klęczał przy swojej skrzyni. ciągnął djabełka na dwie talie kart — i po skrzyni pisał jakieś liczby. — Poszli do okiennic, podpiłowali śruby — tak był zajęty, że tego nie słyszał — raptem okiennice się otworzyły — i wrzaśnięto ze wszech stron — banko wygraliśmy. —

Jak piorunem rażony zastygł pan Leon, drzwi wyłamano a on klęczał przy skrzynce obejmując ją oburącz. — Strumiło złapał za kredkę i zaczął sumować liczby — tysiąc pięćdziesiąt

i sześć dukatów; zapłać zaraz, bo w karty nie masz — poczekaj — ryba fisz — gield auf den tisz — czyli pieniądze na stół, tak mówią Niemcy, a oni wymyślili Landsknechta; przezwaliśmy go djabełkiem, bo Niemcy djabli — pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy płać. — Pan Leon przyszedł do siebie — klął się w ojca, w matkę, na wszystkich świętych, na Boga — że on nie na dukaty ale na złotówki grał.

— To płać złotówkami. —

Zapłacił nieborak z trzosa, płacząc jak dziecko, kiedy mu łakocie starsi wydrą.

Nazajutrz dzień w Berdyczowie u Rauszera wszystkie te pieniądze przehulano — ale odtąd pan Leon, kiedy przypadkiem znalazł się przy grających w karty, to ręce trzymał w kieszeniach, jakby mu je tam krawiec wszył. — I ciągle powtarzał — Ja nie gram, ani zamyślam nawet, bynajmniej — niech Panowie o tem nie sądzą. —

Słyszał pan Leon, że pólkowódcy, jak nic, mogą mieć z pułku rocznego dochodu sto tysięcy rubli assygnacyjnych, krągło — i wtenczas są uczciwymi ludźmi — że w wojnie można mieć więcej, bo są rabunki, kontrybucye — na te obrachunki rycerska dusza stryjaszka w nim się odezwała i na gwałt chciał być pułkownikiem.

Pausza go przyjmował, ale chciał więźniów skrzynki na formacyą, wymieniając mu przykłady Dominika Radziwiła — Marcina Tarnowskiego — Ryszczewskiego. — Ale on na to odpowiadał:

— Ja nie Radziwił, nie Tarnowski, ani nawet Ryszczewski, — formować nie chcę, ale chcę dowodzić, a szczególniej administrować. —

I na tem rzecz została w zawieszeniu. — Jarmark Berdyczowski nie wiele przyniósł korzyści — ale przynajmniej upatrzył pułkowódcę i skrzynię, i to już było coś. —

W Kijowie na kontraktach był szczęśliwszym; znalazł drugiego pułkowódcę — Józefa Ezechiela Głębockiego — ten nie dusiciel pieniędzy jak Zakrzewski, ale trwoniciel — Pan i Polak aż do szpiku swoich kości — i życie i worek i to co w worku dla Ojczyzny. — Matka go przysłała z Tarnowskiego, choć nie zupełnie letniego, do urządzenia majątku w Kijowskim, i dała

mu pełnomocnictwo prawne i na doradcę pana Olearskiego, Krakowiaka. W macierzyńskiej miłości chciała i myślała, że sokoła utrzyma na wodzy Kostogryz — Głębocki Ukrainiec sokolego rodu, znanego dobrze na Rusi — zaraz się zrozumiał z Pauszą. Trzeba pieniędzy i będziemy je mieli, trzeba grać w karty.

Głębocki natychmiast zastawił Widyborszczyznę za sto tysięcy rubli. żeby mieć forszus na grę.

Pausza nie miał pieniędzy, ale miał w procesie jakąś sukcesyą nieprawnie posiadaną przez Charlińskich. Codzień lepił kartki w kontraktowej sali, puszczając na sprzedarz ten spadek pod procesem, ale miłośnik na kupno się nie znachodził i kartki codzień zdzierano ze ścian — zapewnie to była sprawka jakiegoś wysłańca Charlińskich.

Była wówczas w Kijowie jakaś panna Pauszanka, siostra czy ciotka marszałka Kijowskiego, takoż Pauszy; ta Olesiowi codzień dawała na przysmaki pół-rubelka. Oleś z tym pół-rubelkim i z kluczykiem od pustej szkatułki co dzień chodził na jakieś gry, nie wiadomo dokąd i wracając wieczorem, z dobrą miną mówił Głębockiemu: Zgrałem się do kluczyka, ale zobaczemy jutro. — Tymczasem Głębocki na prawdę grał w wista, w faraona, w sztosa i w djabełka z Lipkowskiemi, z wujaszkiem Borzęckim, z Wąsowiczem, z Gałeckim, z Kazimierzem Sadowskim, z Ignacym Strumiło i z innymi — najdzielniejszymi Polakami — najświetniejszymi wówczas i sercem polskiem, i miłości dla Polski i całe sto tysięcy i więcej poszło w świat.

I obydwa, jeden z kłuczykiem, drugi z Olewskim, przyjechali do Brusiłowa — i nie mieliśmy za co ratafii kupić, na pociechę, żeby nie przyjechał Omieciński z Pilchowskim.

Jak z kamienia szło — Pausza wrócił do Miłostowa — bez grosza a Olearski zawiózł Ezechiela do Żelechowa, bez grosza takoż.

A tu już się zaczęło na dobre w Warszawie. Szkoła Podchorążych Wielkiego Księcia wystraszyła — wojsko wypędziło Moskali. Naród cały stanął gotów do broni. — O dalibóg, gdyby tam był Aleksander Pausza albo Ezechiel Głębocki, z polskiem sercem, na miejscu Chłopickiego z sołdacką głową, byłoby lepiej. — Paskudził Chłopicki swoją głową słupajki, to

co zrobiły polskie dzielne serca. — A Niemcy, Austryacy przez Jezuitów fraszkowych, i wolnodumców kostytucyjnych, przeszkadzali mężowi cnoty i poświęcenia się, księciu Adamowi Czartoryskiemu zasieść na tronie Jagiellonów, który mu się należał i z prawa i z potrzeby narodu.

Pausza zabrał swoje plany i z jenerałem Błędowskim pojechał do Warszawy i Głębocki także tam ruszył — zginęli obydwa w tym tłoku orężnych i nieorężnych Polaków. — O Głębockim zasłyszano, że wszedł do trzeciego ułanów, ranny dwoma kulami pod Grochowem, został złożonym w lazarecie. — Pausza doczekał się w zdrowiu ogłoszenia na Naczelnego Wodza, Jana Skrzyneckiego, męża serca i bohaterskiej woli — i pewnie by on był Janem czwartym, gdyby go nie byli obsiedli Jezuici i schyrłeni panowie. — Zanadto nudził Pana Boga modłami, zanadto wysypiał się, aby dogadzać nałogowi pańskiemu — ażeby mógł zostać Wielkim Wodzem i Królem Polski.

Pausza trafił do Jenerała Skrzyneckiego i tak mu umiał przedstawić i wykomentować swój plan bitwy pod Miłostowem — że ten, było to po nieudaniu się wyprawy Dwernickiego, i wejściu tego sprytnego szlachcica do Galicyi — po staneciu Jenerała Chrzanowskiego w Zamojściu, który nigdy i przez wiek metuzalowy, nie zdecydował się, by nie tylko przejść Bug, ale nawet dojść do Bugu — dał rozkaz Jenerałowi Chrzanowskiemu, aby Pauszy dał tyle piechoty, jazdy i artyleryi, ile zażąda — z którą ten oficer ma się udać na Wołyń — Pausza już był porucznikiem w legii konnej wołyńsko-ruskiej.

Nasz bohater, jak ów pieszak francuzki niosący w swoim tornistrze laskę marszałkowską — niósł w swojej kieszeni rozkaz na Zbawcę Polski.

W Zamościu, Pausza zastał oprócz Jenerała Chrzanowskiego, swoich dawnych znajomych i przyjaciół — powstańców dowodzonych przez Karóla Różyckiego, których niesłusznie zwano powstaniem wołyńskiem, a które powinno się zwać powstaniem berdyczowskiem, bo tam wzięło swoje początkowanie — swój rdzeń.

Powstanie to, które później zostało pierwszym pułkiem Kozaczym odradzającej się Polski; Ludwika Steckiego pułk był drugim — okryło się szeroką sławą na Wołyniu, Podolu i Ukra-

inie — przebiegając te kraje polskie błyskawicą i tłukąc Moskali — pod nosem Jenerała Chrzanowskiego, jeszcze bardziej pod nosem moskiewskiego Jenerała Rudigera obozującego w Wojesławicach, pod Uchaniami zabrało cały pułk konnych strzelców moskiewskich, Siwierski, tak że tylko jeden Augustulus Poniatowski z Tahańczy z czterema żołnierzami uciekł na pieszo przez żyta, żeby Carowi dochować próbkę z jego pułku — bo car Mikołaj sam kiedyś w tym Pulku służył — a dowodził nim w ostatniej przygodzie jego syn miłości, pułkownik Bogdanów. — Naprowadzono do Zamościa jeńców, koni, broni, kasy, cerkiewne sprzęty, sztandary — zdawało się, że to powinno było ucieszyć Jenerała Chrzanowskiego, i Pausza z tym rachunkiem wszedł ze swoim rozkazem.

Chrzanowski był gorzko-kwaśnej twarzy, jak to mu najczęściej się trafiło, podobnej do tej, jaką mają stare panny ulegające konstypacyi — przeczytał rozkaz, zmierzył Pauszę od stóp do głowy.

— Jakiego Wacpan stopnia jesteś? —

— Porucznikiem zostałem mianowany w Legii konnej litewsko-wołyńskiej. —

— Czy byłeś w jakich szkołach wojennych. —

— U księży Pijarów w Międzyrzeczu, gdzie ksiądz Zarzycki uczył zastosowywać trygonometryą do użytku artyleryi. —

— A wieszże, co to podstawa, co to linia operacyjna? —

— Podstawa, to wieś Miłostów, linia operacyjna, to grobla, proszę Pana Jenerała przypatrzyć się — i położył mu przed oczy kartę swojego planu.

Chrzanowski popatrzył, skoczył z miejsca.

— A to Jenerał Skrzynecki zwaryjował, idź Wacpan precz, ani jednej podkowy nie dam. —

Zwiesil Pausza nos na kwintę i szedł między powstańców opowiadać przygodę. — Tłum był wielki, bo oprócz powstańców Karóla Różyckiego, przybyli pojedyńczo Józef i Herman Potoccy, Lipkowscy, Podhorscy, Sobańscy — i całe to dzielne obywatelstwo z powstania dowodzonego przez Jenerała Kołyskę, których prywata wprowadziła do Galicyi — serce bolało patrzeć na ten prawdziwy kwiat Polski, bo ludzi takiego serca, takiego hartu, takiego poświęcenia się, i na dwóch półkulach

ziemi znaleść nie można. — Byli tam i Krakusi z pierwszego pułku, te kostogryzy, jak ich zwali Ukraińce, którzy chrupali Moskali w każdej bitwie jak kostki z wiszeń. — Pausza im jął opowiadać swoje żale — i kończył:

— Co to z nami będzie — Jenerał Chłopicki deputacyi ziem litewskich i ruskich odpowiedział, ani jednej skałki nie dam prowincyom zabranym. — Chłopicki chciał pleśnieć pod Warszawą — Chrzanowski to samo chce po Zamościem — a widzicie jakie to zdobycze — jakie to laury dostarczył wam Karól Różycki z ludźmi prowincyi zabranych. —

Brawo, hura zewsząd wrzeszczano, szampan się lał, i o mało co nie ogłoszono Aleksandra Pauszę na miejsce Chrzanowskiego.

Chrzanowskiego ubodła ta manifestacya waryacka jego Krakusów, poszedł sam na wyprawę z kilku tysiącami w okolice Hrubieszowa. — Na wyprawie stracił oficera i kilkunastu jeźdźców z Krakusów, ale złapali jednego Dońca — i tego wprowadzili do Zamościa, tuż za Jenerałem Chrzanowskim, pierwszego na smyczy jak psa. Śmiech, żarty jeszcze dotkliwsze, rozsierdzony Jenerałik kazał Pauszy wracać do Warszawy ciupasem— a powstańców Karóla Różyckiego z końmi wskazał na post czterdziesto dniowy, odmawiając im żywności i furażu — jako niewciągniętym w kontrolę wojskową, chociaż pełnili i dobrze i długo obowiązki żołnierza. — A kiedy Karól Różycki szablą i spisą po kozaczemu dostał żywności i furażu, i resztkami udarował wojsko będące pod rozkazami Jenerała Chrzanowskiego — ten posłał Karóla Różyckiego z jego hufcem do Tomaszowa, nad granicę austryacką, żeby tam się mundurowali i organizowali — nie mogąc ich posłać do djabła, posłać ich chciał do Niemca. — Kiedy później, później, wszystkim a wszystkim, Turkom, Włochom, Portugalczykom, Czerkiesom, Hotentotom nawet ofiarowano Jenerała Chrzanowskiego na Naczelnego Wodza, na poparcie chciano dowieść, że miał geniusz porządku i władzy — i geniusz wojny dawnych Tatarów Tamerlana i Dżengiskana — upatrywano w nim fizyonomią tatarską nawet — chociaż kronika wyraźnie mówi, że pani Chrzanowska bohaterka Trębowli i jej dzielny mąż, byli neofici, a neofitami nie zwano nawróceńców Tatarów. Nie lubił Ukraińców, tak jak nie lubią Frankiści i Jezuici — a krew się zmieszała zemstą za

dawne psoty. — Ale Bóg nie dopuścił swoim Ukraińcom szukać gościny u Niemca — obronną ręką wrócił ich Polsce, na pole nowych zasług nowej sławy.

Wrócił Aleksander Pausza ze swoim planem do Warszawy, jak wracają francuzcy piechury z tornistrami i z laskami marszałkowskiemi — klął Neofitów i powtarzał — Bogdaj to mieć do czynienia z prawdziwym szlachcicem jak Jenerał Skrzynecki. — I przez tego posłanym został na adjutanta do Jenerała Szeptyckiego, żeby go wyciągnął do Świętokrzyskich gór na równiny Sandomierskie — lepiej nawet pod Miłostów, jak zostawić go w tych Świętokrzyskich górach — gdzie nawet nie robił i tego, co robił Szreter księdza kanonika Praniewicza, bo ten przynajmniej wchodził i wychodził z Białowiejskiej puszczy, a Jenerał nie wychodził, ale siedział na najwyższej górze — koło klasztoru — jak gdyby chiał swoje dzielne jazdy, Litewsko-Ruską i Nadwiślańską na Mnichów przerobić — przeczuwał wiek Jezuityzmu i manifestacyi, a na starość miał wstręt od szablistości — jednego rzemiosła nakazanego przez Boga i Świętych pańskich Polakom.

Doprowadził Pausza nowego Jenerała aż pod Janów, ale nieszczęśliwie, bo jazda pierzchnęła przez Chodczę w las — a Jenerał na kałamaszkę i dalej przez Lipsk, ale nie nad Elstrą, ale Sandomierski, przez nową Słupią, do klasztoru w Świętokrzyskie góry — zostawił wiadomość jeździe, żeby tam się zbierała. — Ale tak się nie stało. — Pausza w Chodczańskim lesie zdybał się ze swoim dawnym znajomym Wołynianiniem, kapitanem Łagowskim, zwanym w narzeczu młodzieży — Kapciem — Kapcio tylko co został wyzwolonym z rąk Dońców przez Kozaków Karóla Różyckiego — wyzwolony z lipską bryką naładowaną, ale nietkniętą. — Zagiął on parol na braci ziem ruskich, nie było jego interesem jechać na modły do klasztoru, i Pauszy droga do Miłostowa nie szła przez Świętokrzyskie góry, choć mówią, że wszystkie drogi wiodą do Rzymu. — Do Rzymu może, ale nie do Miłostowa. — Po naradzie postanowili przeistoczyć rozkazy Jenerała Szeptyckiego i zostawić dzielne jazdy przy korpusie Jenerała Samuela Różyckiego. — Rzecz łatwa, Szeptycki, z kałamaszki nie z konia, jak powinien Jenerał, dawał rozkazy, i to Bóg nie komu, ciurom, którzy pierwsi zmykali.

Pausza był adjutantem Jenerała, zameldował, że Jenerał dla przyprowadzenia spiesznie sukursów udał się do Nowej Słupi, a jazdę zostawił i prosił o rozkazy. — Jazda została i odtąd była dzielna, gotowa powtórzyć Samo-Sierę, gdyby ta się znalazła na drodze.

Kilka słów o Kapciu koniecznie są potrzebnemi do tego wspomnienia. — Łagowskich rodzina pochodzi z połonnego, Piotr Ludomir Łagowski, pułkownik wojsk polskich, towarzysz i współwięzień pułkownika Krzyżanowskiego i kapitana Majewskiego, jeden z tych rycerzy Kościuszkowsko-Napoleońskich, który pierwszy szedł po Jenerale Kwaśniewskim, i dzielnością i patryotyzmem i niehramotnością — zaszczytnie położył imię Łagowskich w kronice życia politycznego Polski. I brat jego Kapcio był także w wojsku, ale gdzie i kiedy, niewiadomo; kiedy wyszedł takoż, nie wiadomo, nie poszedł w ślady brata — bohaterka go znudziła, a do handelku miał chętkę. — Pieniędzy wówczas nie było, akcyi jeszcze nie znano na Wołyniu. Jak mógł sprawił sobie bryczkę z płócienną budą, ale ogromną, cztery konie w chomentach lipskich, furmana i lokaja najął. — A w brykę wpakował następny towar: siostrzenicę ładną, składną i nie przechodzącą wiekiem dwudziestu lat — małpę w czerwonej kacawajce i na łańcuszku — charta lotnego i pełno słoików z musztardą aromatyczną i sympatyczną. — Piękna panna dla paniczów i dla ćwików nadszarzałych z dodatkiem musztardy — małpa dla wielkich pań — a chart dla dzielnych myśliwców ruskich ziem — i tak jeździł z domu do domu rzemiennym dyszlem, od pana Ignacego Stempkowskiego sławnego posiadacza zbioru czapek, od niedźwiedziego kołpaka Władysława Łokietka aż do konfederatki Kazimierza Puławskiego — od berdyczowskiej jarmarkówki aż do Szłyka Kochinchińskiego, przeszło trzy tysiące, a każda odmienna — z napisami i datami jak przystało na muzeum Żołudek — do pana Edwarda Petrykowskiego, do Laliniec, gdzie był zbiór kańczugów, batogów a nawet i dyscyplin — od kańczuga księcia Witolda wziętego na Hanie Nogaiskiej hordy, aż do dyscypliny, którą ćwiczyli w Romanowie ojcowie Jezuici pana Janusza Woronicza, żeby się zaparł pochodzenia kozaczego. — Do panów Krajewskich, Domaradzkich, Szaszkiewiczów, Borowickich i t. d.; — wszędzie przeda-

wał swój towar hurtem albo na rozrób — i tem był sławny Kapcio.

Kiedy Polska dźwigała się na nogi i już bój wrogowi wydała, Kapcio nie chciał siedzieć jak u baby za piecem, albo jak Bernadyn kwestarz po jednem kółku się kręcić. — Ruszył po rozum do głowy, a że nie był w ciemię bity — siadł na brykę i popędził do Lwowa; podówczas tam przesiadywał książę Michał Radziwiłł, jak berdyczowscy żydzi mówią, jeden z Radziwiłłów z główką i kredką — ale przytem dobry Polak, dał dowody brzęczące, co u Polaka więcej znaczy, jak ofiara życia, swojego współczucia powstania Karóla Różyckiego. — Kapcio o tem wiedział, bo wiedział o wszystkiem, co się działo na Wołyniu, Podolu i Ukrainie. — Do niego tedy jak w dym prosto wpadł.

— Jaśnie Oświecony Mości Książę, słyszałeś już, co to twoje powstanie, bo to twoje, pod Karólem Różyckiem dokazuje — pod Mołaczkami, pod Tyszycą, pod Uchaniami — pod Iłżą — i wszędzie — dzielni, waleczni, godni twej opieki — ale wyglądają oni teraz jak te pułki, które Jan trzeci pod Wiedeń prowadził, na obronę temu przeklętemu Niemcowi; Jan trzeci mówił: — Zobaczycie jak będą strojni wróciwszy z wyprawy — i tak się stało, bo u Turczyna wszystkiego złota i dyftyków i dżumetów i szerbetów, a u Moskali dziegieć, słonina i baranki egipskie — otóż twoje wojsko obdarte i Bóg wie, co dalej będzie. —

Ta mowa przemówiła do serca Radziwiłła, natychmiast nakupiono sukna, płótna, skór — za Radziwiłłowską sumę i w kilkunastu furgonach pod strażą Kapcia wyprawiono do Krakowa.

W Krakowie Kapcio zmienił plan, za gotowy i dobry pieniądz zaliwerował płótno, sukno i skóry dla rezerw polskich sztyftujących się w Kieleckim, żeby je prędzej wyprowadzić na linię bojową — i to był czyn czysto patryotyczny — nowi żołnierze zdadzą się Polsce, a pieniądze Kapciowi. — Poczworzył swój dawny towar w niektórych artykułach, a niektóre zmienił i tak zabrał cztery siostrzenice — w miejscu małpy wina węgierskiego, w miejscu chartu tytoniu tureckiego — musztarda została, jako podstawa handlu i dodatku do siostrzenic — i tak się puścił — a w drodze, jako będący na stopie wojennej, łapał

kury, gęsi, kaczki po wsiach i kładł do bryki, tak że kiedy go Dońcy w Chodczeńskim lesie złapali, wzięli go za kokosznika, nie mieli czasu dobrać się do innych towarów, ale skórę tęgo wyłoili kańczugami, nim przyskoczył obrońca Jan Omieciński z Kozakami Różyckiego. — Ten poznał Kapcia i wiedział, co się święci.

Kapcio udał się pod opiekę Pauszy, jako Jeneralskiego Adjutanta — po bitwie pod Lipskiem koło bryki Kapcia był większy tłum jak w Poczajowie na odpuście, albo w Felsztynie na jarmarku — każdy przychodził pytać o rodzinę, przynosili listy do rodziny, bo Kapcio obiecywał je porozwozić za mały koszt na wydatek, po sto złotych od listu, towar to zakazany, musi być przemycany. — Kupowali na łeb na szyję, gęś po 25 zł. pol. kure za tyleż — kaczkę 5 zł. mniej — wina butelkę 50 zł. — oko tytoniu 100 zł. — i inne towary po polubowej cenie. — Jednem słowem, że kiedy dzień Boży zajaśniał i zatrąbiono na koń, u żadnego Kozaka Różyckiego, u żadnego powstańca ziem ruskich, ani jednego papierka rządowego, asygnacyi — z odebranego żołdu za sześć miesięcy, nie zostało w kieszeni. — Kapcio zabrał wszystko do przemiany, nieludzki, nieczuły wujaszek zostawił siostrzenice, a sam dernął po nowy towar. — Ale tylko tyle go widziano — wiedział, że u braci Rusinów nie ma nic w kieszeni — zkapitalizował co zarobił, we Lwowie podziękował słownie księciu Radziwiłłowi, opowiadając, że adres do niego napisany, bardzo czuły, musiał połknąć, przytrzymany przez zbirów austryackich, żeby się nie dostał Moskwie, któraby mogła za ten akt żądać kompensaty na Berdyczowie i na Podlużnem. — Książę Radziwił mu dziękował za roztropność i miał go niejako za swego dobrodzieja. Rusini po nieszczęsnem przejściu do Galicyi zastali u panów Skrzyńskich torbę skórzaną zaszytą, depozyt Kapcia, a w niej listy do rodzin, ale i w całej torbie nie było nie tylko stu, ale ani jednego złotego polskiego. — Kapcio wróciwszy na Wołyń, wziął dzierżawę — został potem possesionatem, dziedzicem i był okrzyczany za wielkiego patryotę — ale jeśli czasem kto przebąknął o prawdzie, zaraz mu zamknął gębę — cicho, bo wszystko powiem, a zobaczymy, komu źle będzie — i było cicho.

Industrya ta sromotna trwa i do dziś dnia, a że oświecenie,

przemysł poszły w górę, więc i ona w górę poszła. — Firmy uszlachcają ten handel — składki — na nawrócenie Hotentotów na religią wyznawaną przez Polaków — składki na szkołę areostatyki, żeby Polacy mogli balonami latać, kiedy granice ziemne dla nich zamknięte — składki do zakładania przedsiębiorstw rolniczych w Polinezyi, żeby przez reskusyą wzbudzić tenże sam polot w Polsce — składki na to, żeby Polacy za granicą nie starzeli się i nie umierali. Kapcie powiązali się w towarzystwa i eksploatują miny patryotyzmu polskiego bogatsze jak miny Kalifornii. — A biedna Polska stawia ołtarze Kapciom, i czci ich jak św. Stanisława Kostkę, albo jak św. Jana z Dukli. — Trzebaby wyrzec z Cyceronem: — I dopókiż Kapciowie nadużywać będziecie dobrą wiarę narodu polskiego? — A z Puszkinem: — I dopókiż Polacy dacie się strzydz i ze skóry obdzierać, jak owce? —

Po skończonej wojnie, o której już tyle napisano, że trudno wierzyć o prawdzie, dla tych nawet, co w niej brali udział a chcąc się tej prawdy domacywać, można pogadać nowe łgarstwa, lepiej już zostawić tak jak jest i powiedzieć sobie, w skrytości ducha, dla siebie — i świat cały i Polska obelgana. — Nie anarchią, ale brakiem polityki wewnętrznej i zewnętrznej ta dzielna Polska, za Piastów, za Jagiellonów i za wyborowych królów, malała, malała i w końcu upadla. — Tak w latach — 1830 i 1831, nie brakiem siły i zasobów, ale niesfornościa najpiękniejsze swoje bogactwo zmarnowała na nic — zmarnowali Polacy — bankietami, manifestacyami, prywatą. I, trzeba wielkiej łaski Bożej, nie przez Jezuitów wymodlonej ale przez swoją własną poprawę ubłaganej, żeby do czegoś podobnego doszli. — Zgrać się łatwo, ale odegrać trudno.

Po skończonej wojnie Pausza, jak prawdziwy Kupidon pani Marszałkowej Nowowiejskiej, napadł na Nimfy Lwowskie. — Wszyscy konsyliarze auliczni i nieauliczni, gutbezycery i szlechtbezycery pisali suplikę do Cesarza Franca, żeby wejrzał łaskawie na to, co się dzieje z cnotami ich żon i córek i pokrewnych — i tego Don-Żuana, nie austryackiego ale polskiego, do Szpilberga a przynajmniej do Kufszteina zamknął — do karcero duro, dla moralności, dla religii. — W tymże samym czasie echo psot pana Aleksandra, zaleciało do Humiennik, a z tam-

tąd do opuszczonej urzędniczki. — Ta natychmiast przybyła do Galicyi, i mówiąc uczuciem i językiem kobiety — jeśli nie dla mnie, niech będzie dla innych — przyszła w pomoc Cesarzowi Francowi, kiedy on przysłał paszport, ona dała fundusze i wyprawiono Pauszę ciupasem do Brynu.

I tam mu niedano zagrzać miejsca; na drugi dzień po przybyciu miał proces o szewcównę, którą odwrócił od hauptmana austryackiego, regimentu maryaszów, który chciał ją prowadzić do ółtarza dla maryaszu. — Na trzeci dzień o rękawiczniczkę, z której sklepu wypchnął obersta Huzarów i to Kaiser-Huzarów. — Na czwarty dwom córkom Jenerała, komenderującego wojskiem i miastem, wychodzącym z teatru, wypalił strzelistą deklaracyą. — Nazajutrz dzień zaproszony na śniadanie do Jenerała, który mu zaprezentował swoje córki — i po doskonałem śniadaniu zostawił z niemi. — Jesteś Pan szlachcicem polskim, i widzę dobrze wychowanym, oświadczenia na ulicy to do niczego nie prowadzą — oświadczenie tu, co innego, zostawiam Pana. — Pausza widząc, że nieprzelipki, że chcą go gwałtem Niemką obdarzyć — tejże samej nocy cichaczem wykradł się z miasta, i przez Drezno i całe Niemcy, jak czmychał tak czmychał, aż się oparł w Francyi, w Bourges. — Tak mu się nie chciało Niemki, jak Mefistofelesowi pani Twardowskiej. — Nic dziwnego; djabeł Niemiec, nie chciał Polki — Pausza Polak, nie chciał Niemki.

W Bourges Aleksander Pausza znalazł się ze swoim pokrewnym Adamem Pauszą — Bourges podówczas miał przeszło dwóch tysięcy wychodźców Polaków, podzielonych na rozmaite partye i na rozmaite towarzystwa, Pausza do wszystkich należał i ze wszystkich żartował.

Wykrał na jaw, że większa część emigrantów przy zrazach, bigosie hultajskim i pierogach z serem, u pułkownika Peszyńskiego, podpisawszy adres do księcia Adama Czartoryskiego, dziękujący mu za jego naczelnictwo nad sprawą polską i błagający, by nadal to naczelnictwo zachował — tegoż samego wieczora u Belwederczyka Trzaskowskiego, przy ponczyku i grzanem winie z korzeniami, podpisywała manifest wyklinający go od czci i wiary, a co najwięcej, od polskości.

W czasie przygody pamiętnej jakiegoś Dambrowskiego,

który znaleziony przez woźnego w apartamencie jego żony, jako sprzęt wcale niepotrzebny, w imie prawa nie dał się aresztować — a przeciwko żandarmom chcącym użyć siły prawnej, zawołał na ratunek Polaków i ci się zbiegli — zaczęło się szamotanie uliczne, uderzano w bębny na wojsko — zewsząd wołano, on bat la Génerale. — Pauszowie byli wówczas w koszarach — gdzie było przeszło tysiąca żołnierzy i podoficerów Polaków — ci pytali się co to znaczy, Pan Aleksander z dykcyonarzem w ręku wytłómaczył, że battre znaczy bić, a on bat biją Generała. — Komendantem załogi polskiej był Generał Woroniecki — człowiek popędliwy, i ogólnie nie lubiony przez żołnierzy. — Ci usłyszawszy te słowa, wszyscy krzyknęli — Generał nic nie wart, to prawda, ale nasz, chodźmy, hura, za nim! —

Wnet się poformowali w kompanie, z kijami poszli na rynek — wołając: — Oddajcie nam naszego Generała. — A kiedy Generał cię pokazał, i wytłumaczył rzecz — krzyczeli:

— Oddajcie Dambrowskiego i to Polak. —

Generał Petit, ten sam, którego Wielki Napoleon po abdykacyi w Fontainebleau, ściskał i całował za całą gwardyą — jako dowódzcę tej starej gwardyi, która nie na jednem polu bitwy bratała się z Polakami, kazał karabiny nabijać, harmaty wyprowadzać — i byłby rozlew krwi — bo już Polacy zaczęli wyrywać karabiny piechocie francuzkiej i łamać je — ale pułkownik Saint Juste, komendant placu nie dopuścił bójki — na swoją odpowiedzialność wziął z więzienia Dambrowskiego i oddał go Polakom. — Natenczas Polacy zaczęli wołać: — powiesić łajdaka, który nie umie szanować danej nam gościnności — i nie chce być posłusznym prawu — powiesić. —

Już szubienicę postawiono i przyniesiono powróz. — Zaledwie Pausza mógł im wytłómaczyć, że lepiej go oddać do więzienia, aby go tam namęczono, a potem rozćwiartowano. Natem się skończyło, i rozeszli się. — Francuzi krzyczeli: — Niech żyją Polacy! — Polacy krzyczeli: — Niech żyją Francuzi! — I w mieście i w koszarach tego dnia była wielka pijatyka — a Dambrowski został w więzieniu.

Pausza uczył po francuzku Polaków, i dziwił się domyślności Francuzek, że tak dobrze rozumieją język przez niego uczony.

I tak jeden podporucznik drugiego pułku Ułanów, zakochany w córce kawiarza Fix-pułkownika gwardyi narodowej, gdzie była schadzka główna Polaków — wyprosił u jednego ze swoich kolegów powóz do spaceru i chciał, aby panna tej przyjemności użyła. — Przyszedł do kawiarni, stanął na środku.

— Mademoiselle — moi cheval — vous voiture — moi et vous promenade. —

Panna wstała od komptoara, ubrała się i z matką i z siostrą i z panem podporucznikiem pojechały na przejażdżkę.

Drugi najął sobie mieszkanie, zapłacił z góry, ale wymówił, aby nie robiono hałasu, bo on się chce uczyć na seryo — więc chce spokojności. — Tymczasem gospodyni hałasowała. — Uczeń Polak wyszedł na schody z dykcyonarzem i wyrecytował jej następne acerbum dictum:

— Madame, moi vous payé de la montagne, Vous tranquille non, moi Vous mettre dans la chévr. —

Francuzica dygnęła i doskonale zrozumiała, o co chodziło jej lokatorowi.

Zatrudnienia było nie mało — co dzień innych wychodźców przytomnych w Bourges, w ich wizerunkach wieszano albo rozstrzeliwano — co dzień innych wskazywano na ostracyzm, na infamię, ale który wydał bankiet, i demokraci i karbonarzy szli do niego pić za zdrowie wisielca, infamy — niestety — jak się to często dzieje między Polakami, co nie jest bynajmniej ani zachętą ani rękojmią dla uczciwych, dla ludzi poświęcenia, ale co jest bardzo wygodnem dla istotnych infamisów, bo bankietem swoją niewolę godzi z ludźmi. Rząd francuzki na to nic nie mówił.

Doniesiono królowi Ludwikowi Filipowi, że major Ubysz co dzień strzela do jego wizerunku gipsowego i rozbijał go na drobiazgi — pytano, czy zaaresztować tego przestępcę przeciwko godności tronu. — Król nakazał kupić dziesięc furgonów swoich wizerunków gipsowych — bardzo piękną parę pistoletów Lepaża, w pudełko ze wszelkiemi przyborami — i tyle ładunków, ile było wizerunków i to wszystko posłał w podarku majorowi Ubyszowi, niech się bawi. — Wychodźce się bawili, ale sprawa polska w swojem uosobieniu musiała rzewnie płakać nad tym stanem rzeczy.

Tak to wszystko szło, póki nie przybył do Bourges Jenerał Bem, w celu wyrwania wychodźców z tego życia nędzoty umysłowej i zaprowadzenia ich na jakiekolwiekby to nie były boje — byle rzucili manifestacye, protestacye i dyskusye, i cały ten arsenał demokracyi — a wzięli się do szablistości, jedynie rzemiosła Polaków, naznaczonego im przez Boga.

Napadnięto na Bema całą bronią demokratyczną, a jeden z demokratów dodał kulę zdradziecko wystrzeloną na tego Wielkiego Polaka — trafiła na pięciofrankówkę i nie doszła do serca, które jeszcze potrzebne było dla Polski, by jej oddać jeszcze nowe a nowe posługi. — Zbrodniarz, przez wychodźców, do których należeli oba Pauszowie, przez ludzkość, nie przez potakiwanie jego czynności, i przez jedną piękną Francuzkę, arystokratkę, wydartym został prawu i sprawiedliwości, i uciekł do Anglii, — Generał Bem był tem uradowany, bo odmówił wręcz stawać jako strona oskarżająca. — Ale rząd francuzki rozbił zakład w Bourges i powysyłał wychodźców na rozmaite strony i obaj Pauszowie dostali się do Wir w Normandyi.

Tu się Aleksander Pausza ożenił z baronówną starego normandskiego rodu, mającą starożytny zamek, a na nim pełno długów pohipotekowanych, matkę dożywotniczkę, i brata Emila Karabena, czyli ucznia medycyny, ale istotnie zdolnego tylko do karabina.

Aleksander Pausza, szlachcic Polski, pan Miłostowa, i milionowego spadku dzierżonego nieprawnie przez Charlińskich, nie mógł znieść tego sztucznego francuzkiego położenia, exploatowania dobrej wiary wierzycieli dożywociem — ogłosił, mimo rady adwokatów, likwidacyą — i tak doskonale go obrachowano, że mu zostało zero, z dodatkiem familii żony. — Wierzyciele, boć to i francuzi nie chcieli w tyle zostać ze swoją szlachetnością — dali mu w darze stary pałasz, rodzaj kabrioletu wiejskiego, bez rysorów, daleko niższej hierarchii, w rodzie powozów od najtyczanki, a wyższej od biedy — starą klacz zwaną Kokota, niegdyś gniadą, teraz poddereszowaciałą od lat, na której niegdyś pani Baronowa za młodych lat, w miesiącu miodowym swojego zamęścia, z czułem Baronem robiła podróż do Honfleur, do rodziców, acalifourchon, po polsku okracz na męzkiem

siodle. — Włożono do powozu dobrą prowizyą, des andouilles, rodzaj kiszek wątrobianych, które doskonale sporządzają w Normandyi — serca świniego, fromage de cochon, siekanina świniego mięsa z sadłem, ale siekanina na miazgę, której w Polsce nie znają, ale którą Polacy we Francyi jeść bardzo lubią — i kilkadziesiąt butelek jabłeczniku, tego sławnego normandzkiego cidre. Matka z córką wsiadły w patasz, i pan Aleksander z niemi, jako spadkobierca Barona, głowa rodziny. — Emil za woźnicę, a pan Adam Pausza obok niego, jako majordome, mający nadzór nad Kakotą i nad Emilem. — Tak wjeżdżało rodzina Polsko-Normandzka do Paryża. Zaledwie Pausza ujrzał kopułę Inwalidów, gdzie spoczywają zwłoki Wielkiego Napołeona i bramę tryumfalną jego sławy, zagrała w nim żądza, nie tylko stoczenia bitwy pod Miłostowem, ale nawet wyrwania księciu Światopełkowi Mirskiemu jego praw Rurykowych. — Cydr normandzki Mirskich bardzo się rozrobił siwuchą polską i kwasem moskiewskim. Tak jak kwas Romanowych niemieckiem piwem, a on wiezie świeży cydr normandzki — pobije wrogów pod Miłostowem i pójdzie do Wielkiego Nowogrodu po własność normandzką. — Tak marzył, kiedy Kokota zatrzymała się przed zastawą.

Właśnie w tej chwili wracano z lasu Bulońskiego; piękne powozy, wysmukłe konie, udolne stroje, wszystko to naraz wtłoczyło się w oczy naszemu marzycielowi, trochę się zasromał teraźniejszością, a żal mu za przeszłością — bo i on tak kiedyś jeździł po Berdyczowie, po Kijowie — w Dubnie a nawet w samej Warszawie — zaraz jeszcze u zastawy sprzedał patasz na zapałki do drzewa. — Kokotę na Andulie Monfokońskie dla Paryżanów. Jak można przyczypuszył się, podał rękę żonie, tak zgrabnie, jak nigdy jej w Normandyi nie podawano. Pan Adam matce, z wielkiemi jeszcze normandzkiemi deszczochronami, wchodzili na pola Elizejskie, jak król Ludwik Filip, kiedy udawał mieszczanina, żeby deszczochron mitry wyfacyendować na koronę, przez akcye mieszczan — za dwoma parami szedł Emil z batogiem w ręku, jak Antomedon gotujący się na dziarskie biegusy — a w dali komisioner w taczce ciągnął kuferki i pudełka — bogactwo Pauszów — Rousselów.

Kiedy stanął w jakimeś miernym hotelu — obliczył się —

nie wiele grosza, pomyślał; jak bieda, to do żyda — myśl szlachecka była za tem — ale myśl katolicka, bo pan Aleksander był katolik, wzdrygnęła się na to i wołała do księdza — a więc do księdza. Jest ksiądz Aleksander, dawny znajomy, przyjaciel, współimiennik — prałat zawołany — z pobożności znany. — Powitania były czułe, serdeczne, bo Pausza był porządnie przybrany, jak Pan, i pańską miał minę, jak zawsze — opowiada o swojem małżeństwie. — Prałat wyciął szumną ancyklikę na pochwałę stanu małżeńskiego, winszował przyjacielowi, że porzucił dawne życie, nierządne, prowadzące wprost do piekła — na smołę rozpaloną, na kleszcze, na dziurkę od igły, przez którą trzeba się wciskać, kiedy djabły z tyłu doszkulą — uśmiechał się nawet — porzuciliśmy Fruzię, Rózię, zborukaliśmy nasze namiętności jak niedźwiedzie, bo ksiądz prałat lubił wspominać o dobrych czasach, i był niegdyś autorem świeckim, szczęśliwym w porównaniach. — Ale kiedy Pausza wziął go na stronę i opowiedział szczerze, otwarcie swoje położenie, przeciągnęła się twarz prałatowi, już się nie rozśmiechał tym uśmiechem księdza dobrze pasionego na czekoladzie — ale jakimś cierpkim rubarbarycznym, chciał zacząć kazanie: Dałem ci rozum i wolę człowiecze, pracuj a ja ci dopomogę, ale pomyślał — wyszedł do gabinetu, niebawem wrócił — i dał Pauszy jakiś pakiecik ładnie zwinięty w lśkniącym papierze. —

— Kiedy twoje kobiety trochę zmęczone, trochę zfrasowane, daj im to, a zobaczysz jak pomoże — to doświadczone przez mojego ojca, a jak ci trzeba wiecej, to nie odmówię, nie fatyguj się sam, tylko przyślij. —

Pausza dobrze schował dar przyjaciela i wyszedł — myśli sobie — nie zawiodłem się, a jaka delikatność w uczuciach, widać, że jej z Teologii nabrał, będzie on Tajlerandem polskim, i ucieszy starca sprawdzeniem jego mniemania, że tylko na Teologii wyćwiczeni ludzie stanu mogą być doskonałymi dyplomatami i z uczuć i z pozoru. — Wpadł ucieszony do hotelu i tam dopiero rozwinął pakiet —, otoż macie. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy przeczytał napis wielkiemi literami: — Elixir Le Roy — i przepis jak go trzeba używać.

Nie był pan Aleksander mimo znajomości uniwersalnych farmaceptą czyli aptekarzem, lekarstwa nie używał tylko te, ja-

kie mu dawała pani Marszałkowa Nowowiejska, rumianek, hobel bobel i czasem senes z cytwarowem nasieniem na robaki— więc powiedział — trzeba spróbować. Ksiądz prałat więcej do tajemnic zbliżony jak my grzesznicy — według przepisu porozdawał elixir całej rodzinie — zamknął pokój na klucz i wyszedł do żyda, bo trzymał się przysłowia, pana Boga chwal, a djabła niezdrażaj.

Żyd Aksenfeld z Chwastowa z Ukrainy był także między wychodźcami — za fałszowanie monety, ale moskiewskiej, carskiej, został wskazany na knut i Sybir — doczekiwał się kary, kiedy powstanie Marszałka Krasickiego go uwolniło i zabrało z sobą; został patryotą, bo on zawsze działał na szkodę Cara, na szkodę Moskwy — był w Warszawie, przyjechał do Paryża — miał pieniądze, miał kredyt z łaski Rodszylda i handlował.

Jak tylko się pokazał Pausza, nie wiedział jak go przyjąć, sadzał, karmił, poił — rozpłakał się, że widzi Jaśnie Wielmożnego Pauszę, że on handlował z Jaśnie Wielmożnym Marszałkiem Kijowskim Pauszą, że obierał dobrodziejstwa od JW. Deputata Antoniego Pauszy, że słyszał o ojcu pana Aleksandra — że wie o jego procesie z Chewlińskim. Po kilku słowach zrozumiał, jakie położenie Pauszy, zaraz się oświadczył, że mu najmie apartament, umebluje i da pieniądze na pierwsze gospodarstwo — a kiedy Pausza chciał pisać skrypt —

— Na co to, Jaśnie Wielmożny Pan to oddać nie możesz, Pan mi taki pan żeby pracował i zarabiał — i jabym na to nie pozwolił — a jak wrócimy do Polski, to Jasny Pan mi odda z procentem — pszenicą czy wódką, jak zechce. —

Jeszcze tego samego dnia apartament był wynaleziony, ze smakiem umeblowany, tak że nic a nic nie brakowało — nawet w kuchni, w piwnicy i śpiżarni — lepiej nie było w Miłostowie — tak że Pausza mógł przenieść z hotelu rodzinę oczyszczoną księżym Elixirem — i była tego gwałtowna potrzeba.

Lepsza prawda szlachecka, jak katolicka. Baronowa rodzina opływała jak pączki w maśle — Emil od elixiru księżowskiego nabrał wstrętu do medycyny i został majordomem. — A pan Aleksander po swojemu, po dawnemu, trzepał się po świecie — na pokojach u króla Jegomości przyszłej Polski — u damy honorowej cesarzowej Józefiny, księżnej i doskonałej

Polski — u pięknej Angielko-Polki, pani Rejeenhain — i wszędzie był pożądanym — kto wie, czyby był w kąt nie zapędził pana Alberta czyli Wojciecha Grzymałę, gdyby pan Franciszek Grzymała nie był go rozpoił ulubionym elixirem sławy ze swojej Sybilli. — Zaczął Pausza sam sobie rozumować. Nie mówię już o Mickiewiczu, o Słowackim, o Witwickim a nawet o Zaleskim — ale Gosławski pisze, Olizarowski, Orpiszewski, Czajkowski piszą — i pisma ich drukują, i pieniądze im dają, a ksiądz Jelowicki z Eustachym Januszkiewiczem, jak mówią, grubo zarabiają. Wezmę się i ja do pióra, a co lepiej założę drukarnię, żeby tego klechę nauczyć rozumu — dam ja mu — będziemy pisali z Adamem, a jak potrzeba, to i Emila zasadzę do pisania — będziemy pisali i drukowali, a zobaczymy księżyniu, jak będzie cienko śpiewał ze swoją drukarnią; po raz pierwszy w życiu serce Pauszy gorzało zemstą — bo był najlepszym człowiekiem w świecie, tak, że go wszyscy ludzie jeszcze w Miłostowie zwali gołąbkiem bez żółci.

Pauszy szwagier z Wołynia przysłał dość grube pieniądze na rachunek spadku dzierżonego przez Charlińskich, był kredyt, bo Alksenfedowi zapłacił wszystko, co do grosza, żyd nie chciał przyjąć procentu, bo wypłata miała miejsce nie w Polsce. Jakiś pan Gałężewski właśnie wtenczas zamyślał o założenin drukarni polskiej w Bruxelii, ale nie miał pieniędzy. Pausza je miał — zobowiązał się tedy być dostarczycielem i funduszów i pism do druku.

Janusz Woronicz, wydawca Trzeciego Maja w bił go w pychę autorską. — Na jednym z wieczorów u senatora Narcyza Olizara, który na emigracyi tak dobrze jak w kraju był prawdziwym, że tak powiem serdecznym mecenasem literatury i patryotyzmu polskiego, który się różnił tem od innych dygnitarzy naszych, że ci poświęcali się sprawie ojczystej, piórem, słowem do worka — a on wszystko a wszystko i to w worku, dla ojczyzny. — Pausza Aleksander czytał rozprawę o bitwie pod Miłostowem — mającej nastąpić. Woronicz podziwiał lokucyą, argumenta, matematyczne prawdy, rzut oka, szybkość woli — zapał w wykonaniu, a przezorność w całym planie — okrzyknął Pauszę Klaczowiczem, Jominiem, dobrze, że nie Napoleonem polskim — i zaraz go zaprosił do redakcyi Trzeciego

Maja, do wydziału wojskowego. O mało panu Aleksandrowi nie powróciło się w głowie, pisał ale komitet redakcyjny egzaminował, a nie drukowano. Od Ananasza do Kaifasza, od Chrzanowskiego do Bystrzanowskiego noszono jego pismo, i Woronicz nie uzyskiwał cenzury i pozwolenia druku. Tymczasem Gałężewski drukarnię zakładał, foliały przysłane przez Pauszę przezierał — pieniądze stracił i pojechał do Ameryki, kraju rachunków i spekulacyi, aby się obrachować ze swojej.

Pan Aleksander osiadł znowu na koszu. Ale Bóg poczciwym ludziom zawsze przychodzi w pomoc. — Książe Adam Czartoryski, ten wielki mąż Polski, a niepojęty przez Polaków w swojej troskliwości o sprawę ojczystą, zawarł pakt z XX. Lazarytami na Wschodzie i z Braciszkami nauki chrześcijańskiej, żeby wychowaniem młodzieży bulgarskiej odwrócić ten naród Hunów zesławiańczczony od wpływu Rosyi, a przywiązać go silniej do tronu Sułtanów Ottomańskich, jedynych i najwierniejszych sprzymierzeńców cierpiącej Polski. Ludwik Filip i pan Guizot zrozumieli myśl wielką, praktyczną i dali fundusze na założenie szkoły nauczycielów dla Bulgaryi, przy szkole Braciszków Nauki Chrześcijańskiej. — Polaków jako Słowian miano sposobić na nauczycieli dla Bulgarów. — Moskwa tym zakładem gorzej się zalękła, jak manifestem sławnego Duchyńskiego, przeczącym im narodowości sławiańskiej — i już gotowała się do przeszkód, kiedy przyszła jej w pomoc siła nigdy niespodziewana — kobiety Polki.

Kobiety wszystkie jednogłośnie prosiły księcia Adama o Aleksandra Pauszę na Dyrektora szkoły — on tak przyjemny, taki zgrabny, tak pięknie tańczy, śpiewa, gra na fortepianie — maluje karykatury — a jaka mina pańska, jaki dobry gust w ubiorze — on nie tylko Bulgarów odciągnie od wpływu Moskali, ale prawdziwie oświeci, potworzy na ludzi salonu — tak, że za kilka lat w Tyrnowie albo w Gubrowie będą tańcowali nie tylko kontradanse, ale Polki i Szotisze — może miały prawdę — rozumowały jak ów Pasza turecki, który powiadał, że gdyby nam Francya przysłała z tysiąc swoich gryzetek i loretek, a jeszcze wybranych przez Generała Dembińskiego, prędzejby nas wciągnęła do oświaty i życia europejskiego, jak z tymi profesorami i publicystami, których nam ciągle nasyła, aby nasze pieniądze wy-

łudzali i nas kłócili z cywilizacyą, z Europą i z uczciwością ludzką — gryzetki i loretki zrobiłyby z nas tolerantów, z naszą dobrą wolą — profesory i publicyści robią z nas fanatyków mimo naszej woli.

Książę Adam przychylił się snadnie do żądania kobiet, bo i sam lubił Pauszę — dobrem wychowaniem, pięknem uczuciem sercu i miłością Polski ciągnął on wszystkich ku sobie. — Polecano mu wybrać uczniów. — Uczniom miano płacić pięćdziesiąt franków miesięcznie, zostawiając im ich żołd — mieszkanie, stół i opranie bielizny. — Pausza wybrał trzydziestu wiarusów, ale takich, żeby Napoleon postawił ich na prawem skrzydle swojej starej gwardyi — a Wielki Książe Konstanty wybrałby za pluton grenadyerów do defilady przed samym Najjaśniejszym Panem. Wąsy jak u sumów, lica w szramy od pałaszów i od kul — jak karty geograficzne poznaczone bitwami, w których się znajdowali, ci to rysownicy, którzy nie ołówków, nie farb, ale krwi używają na znaki i cienie — i w kilogramy się nie bawią, ryczałtem krew lali, byle dla Ojczyzny. — A chłopy jak dęby, a ręce jak ze stali, a nogi jak na sprężynach. — Kiedy książe przeglądał tych przyszłych kaligrafów dla Bulgaryi, serce mu o ledwie nie wyskoczyło, by każdego uściskać — a kiedy zapytał o zdrowie, a ten hufiec dźwiękiem spiżu harmat wydeklinował:

— Milion paręset djabłów, zdrowi jesteśmy na rozkaz Waszej Książęcej Mości, do służby Ojczyzny —

Księciu Adamowi majorowskie czasy się przypomniały.

— O żebym był miał takich dżusów, nie byłbym zamienił szabli na pióro, i jedno i drugiebym trzymał — jak przystoi na Jagiellona.

Pauszę uściskał za wybór. W pasażu panorama nakarmił, u Feliksa pasztecikami z ostrzygami, dymiącemi jeszcze — napoił maderą — wsiadł na swojego huntera, starogniadego, i jak ośmnastoletni młodzieniec, jak major wojsk królewskich — w podskokach i w szczupakach, pojechał na Faubourg du Roule, opowiadać księżnie Wirtemberskiej, jaką to on ma szkołę.

Brat z siostrą, te dwa serca polskie i polskie tylko — płakali i radowali się na przemiany przyszłością Polski. — Już

zamki hiszpańskie potworzyli ci poeci miłości ojczystej, kiedy weszła księżna Sapieżyna, i to była wielka Polka. — Matrona wielkiego rozumu prozy, prawdy — nie poezyi, nieułudy. — Popatrzyła na brata i siostrę, i jej się serce rozrzewniło, bo miała serce, ale mową go nie odkrywała.

— Nie cieszcie się przed czasem, koniec dzieło chwali. —

Aleksander Pausza został Dyrektorem, Adam Pausza Ekonomem, jadło było dobre, polskiej okrasy nie żałowano, półmiski z czubem, wino takie, że aż język klaskał o podniebienie, wiarusom nauczycielom jak trochę się zakurzyło w czuprynach, zachciało się muzyczki i muzykę sprowadzono. Pan Aleksander wychowany w babińcu u pani Nowowiejskiej, powiada, że towarzystwo bez płci pięknej, to nic nie warto — że Pan Bóg wydarł biodro Adamowi, żeby mu stworzyć Ewę na towarzyszkę. Wiara krzyknęła, jak z gramatyki — Ewusi — Ewuni — Ewulki. I sprowadzono Ewulek, ile było wiarusów i była rajska wieczerza — ale gramatyczna — z akcentami — z wykrzyknikami.

Rada i wrzawa między Lazarystami, Braciszkami Nauki Chrześciańskiej, Zmartwychwstańcami. Ksiądz Aleksander głosem opasłego Mnicha, Monomachii księdza Biskupa Krasickiego — krzyczy — Skandal — ksiądz Nawrócony na wtór woła — perdycya — ksiądz Konstypat w kanonach kościelnych szpera i o przywrócenie inkwizycyi woła, ksiądz Kresowaty psalm piorunujący rymuje — a ksiądz Kirbeci z miotłą, którą zamiatał korytarz, dla pokory, jak z wiszorem do harmaty, do boju staje przeciwko Antychrystowi i jego dziełom.

Szkoła została rozwiązana, ksiądz Aleksander zakomunikował księciu Adamowi nową Ancyklikę, w której argumentował, że działanie na Bulgarią powinno być przez religią, prez nawrócenie ich do kościoła rzymskiego katolickiego — przez powołanie Polski, a nawet innych krajów katolickich a nawet i niekatolickich politycznie przeciwnych Moskwie — do krucyaty składek pieniężnych, na ten cel wielki wyrwania narodu całego ze szponów szatana — że przyjmowanie pieniędzy od Muzułmanów, żydów a nawet pogan jest dozwolonem przez kanony kościelne, byle były w dobrej niefałszowanej ani obrzezanej monecie, wzywał księcia Adama do współdziałania. — Ale

książe Adam, ten strażnik sławy narodowej i dobra narodowego — ten mąż Boży dla Polski, odmówił, powiadając: to exploatacya, to spekulacya. — Ale ancyklika została w archiwach, do późniejszego użytku, jak nie stanie księcia Adama ani księżnej Maryi Wirtemberskiej z Czartoryskich ani księżnej Anny Sapieżyny z Zamojskich, jak nie stanie księcia Adama.

Aleksander Pausza nie bał się ani Moskali, ani Niemców — ale na dobre się bał Zmartwychwstańców, tego na nowo przemundurowanego pułku Lojoli, na nowe szarmyste — bał się świętej Inkwizycyi, bo o niej wiele czytał, i co prędzej z rodziną wyniósł się nie tylko z Paryża, ale i z Francyi.

Na wielkie wypadki zanosiło się na świecie. Anglia rozgniewana na Cesarza Mikołaja za to, że wierny wykonawca testamentu Piotra Wielkiego, posłał swoich prawornych oficerów na zwiady do Horatu i we wszystkie posiadłości angielskie w Indyach Azyjskich. — Anglia chciała skarcić tego dumnego Cara, a że nie chciała użyć swojej współbiegaczki rodzinnej, Francyi — a może Ludwik Filip, król pokoju, nie słuchałby podszczucia wojennego Anglii, stawiła naprzód Belgią; Belgowie z arcyszanownym Koburgiem podówczas jeszcze nie Nestorem królów, ale już ich Ulisesem do porady, mieli zbawić Polskę. Generał Skrzynecki został wykradzionym Austryi, jak Achiles powierzony straży przez matkę; Austrya troskliwa jak Tetys, nie chciała puszczać naszego dzielnego wodza do Olszyny, żeby się nie odnowiły Grochów, Wielkie Dęby, Iganie, Ostrołęka. — Ale Wódz nasz, mimo straże Austryi znalazł się w Brukselli dzięki przezorności i odwadze Generała Ludwika Bystrzanowskiego. I gotowano się do nowej epoki — Lepoldiady czy Janiady. .

W całej emigracyi, po wszystkich zakładach odbywały się mityngi przeciw Moskwie, za Anglią, z dotykaniem gniewliwem Francyi, a raczej jej króla. — Na mityngu paryzkim w Batiniolach kapitan Trzeciak opowiadał, jak Ludwik Filip bierze na ręce dzieci swoich synów i trzymając jedno na jednem ramieniu, a drugie na drugiem, uczy je, żeby kiwały głowami do, siebie i podśpiewywały — la paix — la paix — la paix — a król kiwał głową także, powtarzając w takt — pokój — pokój. —

Trzeciak był we wściekłym zapale — a wychodźce po irlandzku kwiknęli trzykroć razy przeciwko Ludwikowi Filipowi.

Kamerdyner Ludwika Filipa, Stolcemberg, rodem Polak z Podola, oddany w rekruty, wzięty w niewolę i wykierowany na kamerdynera królewskiego, dla tego', że nie umiał czytać i pisać i był bardzo nierozgarniony, doniósł swojemu dawnemu dziedzicowi Marszałkowi Leonowi Stempowskiemu i jego nieodstępnemu towarzyszowi Bernardynowi Pałce — że Ludwik Filip wieczorami jakieś pieniądze liczył, karteczki pisał i pieczętował. — Wywnioskowano, że musi posłać Carowi Mikołajowi pieniądze zwędzone z listy cywilnej, na zastaw, na kalkutę — a zatem porozumiewa się z Moskwą przeciw Anglii. Nowe kwiknięcie.

Pan Henryk Hrabia Krasiński, autor romansu historycznego pod tytułem — «Bitwa pod Kircholmem» — w języku francuzkim napisał, z Anglii czy ze Szkocyi, gdzie spoczywał na laurach dramatu Wernyhora — że on jeszcze w romansie przepowiedział, że Anglia zbawi Polskę, że ta przepowiednia obsłonięta była metaforę i tajemniczością, i dla większej tajemniczości zatopiona w Baltyckim morzu, z czarnym psem i z czarnym niedźwiedziem — dwóch głównych bohaterów jego romansu historycznego, ale że teraz się sprawdza i że Koburg wywdzięczy się ze strony Niemców za ocalenie Wiednia i pod Wiedniem chrześcijaństwa niemieckiego. — Bo przodek Koburga był i pod Wiedniem i pod Parkanami.

A więc hura na cześć Anglii, na cześć Koburga. I sypnęła emigracya zaciągać się w szeregi belgijskie. Aleksander Pausza, z planem bitwy pod Miłostowem, zaraz się tam zjawił. — Przekonawszy się, że na swoją rękę trudno działać bez sposobów i zasobów, a szczególniej bez tego nerwu wojennego, pieniędzy, który nie dawał się a nie dawał złowić Pauszy, poskromniał i gotów był odstąpić imię Zbawcy Polski i Generałowi Skrzyneckiemu a nawet Koburgowi, byle zbawić Polskę.

Skrzynecki przyjął go jak własne dziecię i umieszczonym został porucznikiem w belgijskiej piechocie. — I znowu był w nadziei, już przebijającej się na pewność, maszerowania do Polski — i na nutę Dąbrowskiego, której go nauczyła Popielka, przy-

śpiewywał: — Marsz, marsz, z ziemi belgijskiej do ziemi wołyńskiej. —

Ale Car Mikołaj się nie zaląkł, bo nie było Francyi w koalicyi a Holendry były za nim; z Holendrami Moskwa silna, bo ma nerw wojenny — holenderskie dukaty. — Bez Francuzów trudno ją zastraszyć, bo poszle Dońców i Baszkirów i Kałmuków i wszystkich Niesławian, żeby rozpędzić tłumy — a zuchwalców popakować w turmy i zasłać na Sybir. Anglia widzi, że nie ustępuje Car, mimo że i jemu nakwiczano na mityngach, w Anglii, w Szkocyi, a nawet w Irlandyi, bo to kraj katolicki, za okrucieństwa wyrządzone na Polsce i na Polakach, za pożeranie dzieci polskich w kotletach i to w papilotach — za siekaninę płci pięknej, za wędzonkę starców, za nawóz polską ziemią Sybiru — o rzucenie na polską kacapskiej ziemi — zgoła za wszystkie sprawki tego Pawlowicza — widząc, że tak mu nakazywano, nagrożono, a on nie ustępuje, ona postanowiła ustąpić i wstrzymać Koburga od ostatecznych kroków, które Bóg wie gdzie go mogły zaprowadzić, może do petersburskich kazamatów.

Mądrej głowie dość na słowie, Koburg uchamował się w zapale — stopę wojenną wojska zmienił na stopę pokojową, a na przebłaganie Cara Mikołaja wszystkich Polaków swojego wojska zadekretował do nieczynnej służby, nawet samego naczelnego Wodza Generała Skrzyneckiego.

Tak się skończył połóg tej wielkiej góry — nawet ruda mysz z niej się nie porodziła.

Wychodźcy nie powinni byli się temu dziwić. Historya ich powinna była nauczać, że takie zawsze były zamachy Anglii na Moskwę i tak się kończyły. — A trzeba jakichś dziwnych wypadków, żeby się zmienił ten tryb postępowania uświęcony historyą.

O mityngach można to powiedzieć, co mówił stary i czcigodny pułkownik Piotr Ludomir Łagowski, konspirator z natury i z nałogu a przeciwnik wszelkich wrzaskliwych i pianych przegróżek. — Ta krowa co ryczy, nie wiele mleka daje. — Pies szczeka, a wiatr wieje. —

Reforma i rozpuszczenie, to zwyczajny koniec jurgieltników, służących w obcem wojsku bez narodowej barwy, bez naro-

dowego języka i bez narodowego podania. — Legiony Dąbrowskiego poszły z ziemi włoskiej do polskiej, bo były narodowe i Dąbrowski i Kniaziewicz byli na ich czele.

Trzeciak przypisywał całe niepowodzenie małżeństwu Koburga z córką Ludwika Filipa, pieniąc się ze złości, powtarzał — la paix — la paix. —

Marszałek Stempowski, Stolcemberg i Bernardyn Pałka domyślali się, że nie na zastaw kalkuty były posełane pieniądze, ale jako tajemny haracz na zakupienie sobie pokoju.

Wychodźce nie kwiczeli, ani wrzeszczeli hura, ale w niemem rozmyślaniu snuli operacye demokratyczne.

A pan Aleksander Pausza przekonawszy się, że nie może zaprowadzić cudzoziemców pod Miłostow, podał się do odstawki, zabrał żonę, matkę i Emila, i ruszył na Wołyń, zdać się na łaskę i niełaskę Cara.

O pewnie on tam nie siedzi u bab za piecem — ani z babami zbiera grzyby w lesie, ale o nas myśli, o nas gada, dla nas składa nerw wojenny z Chewlińskiego spadku i dla nas, na harc, przygotowuje pole Miłostowskie — dla nas — dla Polski.

16 (28) października 1862.

w Larysie.

JULIA WĄSOWICZÓWNA.

JULIA WĄSOWICZÓWNA.

W Kijowie, Carskimgrodzie, Siedmiowzgórzym, jak nad Bosforski Carogród — wielki zjazd, choć to nie były ani kontrakty, ani wybory; dwa ważne wypadki zebrały szlachtę rodzimą i obcych przybyszów, gości, do sławnego miasta Bolesławów i Sahajdacznego Konaszewicza. Już złota brama w grób się wsunęła, jak królowie Sławiańscy, którzy przez nią zwycięzko wchodzili do wszechsławiańskiej stolicy, ale jeszcze dzwon święto Michalskiej Ławry brzmi żałośnie ku Białgoródce, z Polski woła Chrobrego, Śmiałego. — Już z Poczerskiego zamku Hetman Wszej Ukrainy, Hetman Kozaczy, Pan Piotr Konaszewicz Sahajdaczny — nieszle wieści między pułki Regiestrowe i na kosz sławnego Zaporoża: Na koń, taka wola Sejmu i Króla. — Ale jeszcze gwardya Kijowska w kontuszach, w żupanach, w rogatych hetmańskich kołpakach — zbrojna, strojna, pod wodzą Kisielewskich, Bałabuchów, Wojnarowskich — gotowa na koń i w pole — byle był Sejm i Król.

Cesarz Aleksander pierwszy po zwycięztwie Wielkiego Napoleona pierwszego takoż — po nakazaniu Kongresowi Wiedeńskiemu uznania Królestwa Polskiego i nadaniu temu Królestwu wojska Polskiego, ze swoim bratem Konstantym, za wodza, we wspaniałomyślnej szczodrocie swojemu przyjacielowi, ks. Adamowi Czartoryskiemu dał swobodę i władzę wrócić wychowanie narodowe, polskie, ziemiom Litwy i Rusi.— I Kijowa od tego nie wyłączył — tylko polecił porozumieć się ze starym Feldmarszałkiem Gudowiczem, kuratorem oświece-

nia. nie gazowego, ale naukowego, Ukrainy. — Ks. Czartoryski przeznaczył do tego porozumienia się Tadeusza Czackiego.

W tym samym czasie heterye greckie zyskały przyzwolenie i pomoc od Samowładnego Cara, do podniesienia rewolucyi przeciw Samowładnemu Carowi, Sąsiadowi — sprzymierzonemu rękojmiami Anglii i oddaniem Bessarabii na rzecz Moskwy. — JK. Aleksanper Ipsylanty, fligiel-adjutant Cesarza rossyjskiego przybył do Kijowa, z pieniędzmi, zbierać heterystów zaburzenia z woli ludu — w imię i za rozkazem — Samodzierżcy z łaski Bożej.

Tadeusz Czacki stawił się przed Feldmarszałkiem Gudowiczem; był to syn Ukrainy, wyniesiony tak wysoko łaską Katarzyny — dumny wzięciem Anapy, fortecy na piasku i szlachectwem polskiem, bo pochodził z tej rycerskiej szlachty, która straciwszy majątki, biegła osiadać na koszu Zaporozkim, i w starszyznie kozaczej dorabiać się nowego bytu. Czacki przedstawił się jako szlachcic polski — 'i był dobrze przyjętym — zaparł się swego kamerherstwa i urzędu rossyjskiego, bo wiedział, że byłoby źle. — Feldmarszałek urzędnikom mniejszych stopni nie pozwalal siadać przy sobie, trzymając się przepisu, że czyn czyna poczytuje — nie chciał pozwolić, aby Kamerher cesarski, jego krewny, był z nim razem u stołu — powiadając, że on, szlachcic polski, nie objaduje razem z lokajami cesarza rossyjskiego — szlachcica zaś, żeby w kubraku i w postołach, jak brata przyjmował i częstowal. W rozmowie poufałej z Czackim zapytał: — Mówią, żeś ty rozumny, umnica, powiedz, kto dziś jest najznakomitszym wojownikiem tego świata. — Czacki w mig odpowiedział: — Ludzie mówią, że Napoleon, a ja utrzymuję, że zdobywca Anapy. — Powstał stary Feldmarszałek, uściskał Czackiego. — Ty umnica, prawdziwy umnica, mój brat szlachcic. — Najlepszemu malarzowi, jakiego wówczas znaleziono w Kijowie, kazał wymalować portret Czackiego. — I dotąd jeszcze w Czeczelniku, w zamku Gudowiczów, wiszą dwa portrety: — jeden Feldmarszałka Gudowicza, z podpisem: pierwszy wojownik świata — drugi Tadeusza Czackiego, z podpisem: pierwszy umnica świata. — Ale za to Tadeusz Czacki zrobił, co chciał i wrócił polski język, polskie obyczaje, polskie uczucia do kozackiego Liceum w Kijowie. — I po-

siał te ziemie, które dziś wydają takie bujne plony dla Polski i dla Ukrainy. Obchodzono wtenczas poczęcie wielkiej pracy prawielkiego męża; brzmiał radością Kijów sławiański, bo zajaśniała nad nim gwiazda oświaty polskiej.

Hetereści zjechali się do Kijowa. Kantakuzeny, Muruzowie i inni potomkowie Wielemożów Stambulskiego Fanaru — politycznie pobierzmowani na Moskali — wiodą swojego bohatera ks. Aleksandra Ipsylantego, a Gubernator Wołyński, Komburlej, i Wice-Gubernator Kijowski, Katerinicz — obydwaj Grecy w moskiewskiej służbie z rozkazu rządu, zbierają dobrowolne składki musem ze szlachty polskiej, u mieszczan Kijowa, na wyprawy filoheleńskie. I na to i na uczczenie Ipsyłantego trzeba uczt, zgromadzeń, więc nakazane obiady, koncerta i bale.

Marszałkiem szlachty Kijowskiej podówczas był Rościszewski, Pan znamienitego rodu, choć nie wielkiego majątku — ale wielkiego znaczenia w obywatelstwie i sercem polskiem i staro-polską gościnnością. Ojciec pięknej Maryi najkrasiwszej Rusałki Ukrainy. U niego była biesiada.

Bal pana Marszałka był takim, jakie tylko mogą być u cesarzów albo u królów pierwszego rzędu. Pani Hetmanowa Branicka, która na nim była, powiadała do swojego starego przyjaciela Proskury:

— Wiesz mój kochany Prezesie, że Najjaśniejszy Pan chciał koniecznie powydawać moje córki za jakicheś tam książąt niemieckich, Koburga i Sigmaringa — odpowiedziałem, co mi po takich zięciach, których państwa mój kozak na kulawym koniu objechałby w koło, wzdłuż i w poprzek, jednego dnia — niechże ci książęta wioski posagowe panien Branickich objadą za miesiąc, choćby na najsilniejszych hunterach angielskich — uśmiechnął się Cesarz. i pozwolił, abym wzięła za zięciów Potockich. — Patrząc na ten cały dostatek i przepych Rościszewskiego, pewna jestem, że i Potoccy tak zrobili, ale te Koburgi i Sigmaringi, to alboby pieniądze przeznaczone na bal skradli i uciekli, alboby się popowieszali z rozpaczy, boby ich brano za kamerdynerów, nie za Panów biesiady. —

Prezes pocałował w rękę Hetmanową. — Dziękuję za dobrą opinią o szlachcie polskiej. —

Hetmanowa się uśmiechnęła. — Patrz mój Prezesie, czy nie rozpoznasz każdego szlachcica polskiego, od tych Greków, od tych Niemców; każdy szlachcic między niemi wygląda jak król między motłochem — pamiętasz mego Bronia, szlachcic polski, ale miał minę i hojność cesarza; on mógł być królem, i szkoda, że nim nie został — byłem ja pozwoliła, mielibyście co dzień takie bale, jak dziś u Rościszewskiego. —

Hetmanowa była rada z balu i swoichby pieniędzy na taki nie pożałowała, musiał być świetnym, i to najlepsza pochwała.

Gospodarz domu właśnie w tej chwili wprowadzał do salonu rodzinę Wąsowiczów. Pan Adam Wąsowicz, Szambelan jeszcze Jego Królewskiej Mości Stanisława Augusta, a podobno już dwóch Sasów, z panią Szambelanową zacną matroną, ale jak to mówią domatorką świadomą wszystkich gatunków kur, czubatych, gałagańskich, szurp — ogoniastych i bezogonnych, ale nieświadomej mód paryzkich warszawskich, a nawet tego, co się znajduje w sklepie Berdyczowskim Szafnagla. Pan Józef Wąsowicz młodszy syn z żoną z domu Marycką — córka Kordula, z mężem Protem Czaykowskim, imiona do sielanki jak Filemon i Baucis — dowód, że i w Polsce nie tylko bywały może pasterki, ale i imiona pasterskie — i panna Julia Wąsowiczówna, córka dalekiego krewnego, czy też imiennika nie Szambelana, ale rębacza z Konfederacyi Barskiej — nie majaca w posagu ani złamanego szeląga, ale wdzięki, ale urodę i siedmnaście lat wieku.

Kiedy stanęły obok siebie Marya i Julia, nikt na nie nie patrzył, nikt nic nie widział, tylko dwie Rusałki — ku dwom czarodziejkom zwróciły się wszystkich twarze, i wszystkich oczy — zachwytem i hołdem ku nim się rzuciły.

Marya błękitno-oka, jasno-włosa, jak anioł raju, chciałaby wszystkim uśmiechem szczęście i radość zwiastować, bo sama szczęśliwa, bogata, ma rodziców, radośna. U Julii włos ciemny, i ciemno siwe oko, ze łzą smutku, gwiazdą błyszczy, brylantem miga — nie anioł to strącony z Nieba, ale ziemianka wzdychająca za sama nie wie czem, sierota — a obydwie zgrabne, polotne, rączki małe, nóżki małe i jak pieścidełka całe. — Między Kijowiankami najpiękniejszemi kobietami świata

jeszcze one były najpiękniejsze. — I Kijów i Ukraina cała patrzą na swe Rusałki, bo to ich chluba i chwała.

Szambelan zastąpił w kącie Seweryna Zaleskiego Marszałka Żytomirskiego, tak, że mu się wymknąć nie mógł.

— Bo widzisz Waćpan, mój syn Stanisław, hrabia Wąsowicz, ten sam, którego tak kochał Cesarz Napoleon, że jednej chwili bez niego nie mógł się obejść, zawsze go z sobą woził na koźle w swoim powozie, jako oficera ordynansa do tajemnych, ważnych poruczeń — między nami mówiąc rad, bo to on poradził i marsz na Moskwę i bitwę pod Lipskiem, ożenił się teraz z panią hrabiną Potocką, żoną hrabiego Aleksandra Potockiego, Wielkiego Koniuszego, Tyszkiewiczówną z domu, siostrzenicą księcia Józefa Poniatowskiego. Tylko co od nich wracam z Warszawy — żebyś Waćpan wiedział, jaki to ich zamek na Krakowskiem Przedmieściu, a jakie towarzystwo, Niemcewicz, Kniaziewicz, Chłopicki, Mostowski, Osiński i cała esencya rozumu i zasług, nie Warszawy, ale Polski całej. — Z takiemi to ludźmi przepędzało się całe wieczory. Żebyś Waćpan miał wyobrażenie, jak to tam jest, powiem ci, że nie domagałem — podagra mi dokuczala, nie mogłem wstawać z fotelu, fatersztulu, jak Niemcy mówią, który mi synowa Jaśnie Wielmożna Hrabina sama sporządziła a mieszkałem na dole, żeby nie mieć schodów do drapania się, bo to Waćpan wiesz, że ja tego nie lubię, a salony były na pierwszem piętrze. — Otóż moja synowa z Niemcewiczem, żeby mnie nie fatygować, sprowadzili jakiegoś mechanika zagranicznego. Ja sobie siedziałem w fatersztulu, jak stary Niemiec. — Mechanik pod fatersztulem przymocował fajerkę i zapalił kadzidło — para zaczyna hu, hu, hu i mój fatersztul podnosi się, a ja siedzę za nim — i tak podniosłem się do sufita, a tam za pomocą mechaniki na drutach zrobił się otwór i wjeżdżałem do salonu. Pierwszą razą, przyznam się Waćpanu, że miałem wielki strach, ale ta para z fajerki taką piękną, ambrozyjną wonią rozlatywała się po salonie, że nikt mojego strachu nie postrzegł. —

W tym samym czasie, w drugim końcu salonu, książę Ipsylanty naradzał się z gubernatorem Kumburlejém. — Kumburlej dowodził, że Pan Marszałek Rościszewski, choć ani się równać

może majątkiem z panią Branicką ani nawet z innemi rodzinami Ukrainy, jednakże da dobry posag, ma wielkie znaczenie — rozgałęzione stósunki i familijne i obywatelskie; związek z nim może przynieść znaczne datki Heteryi i będzie odpowiadał woli Cesarza Aleksandra. — Książę Ipsylanty ledwie pół uchem słuchał gadania Kumburleja, jak w tęczę patrzał na dwie Rusałki. — Wstrząsnął ramionami: nie, innej żony mieć nie będę, tylko pannę Julię Wąsowiczównę. —

Tegoż samego wieczora książę Ipsylanty oświadczył się Szambelanowi. Szambelan oburącz przyjął oświadczenie, powiadając sam w sobie: — Wąsowicz ożenił się z Tyszkiewiczówną, siostrzenicą ks. Józefa Poniatowskiego, wnuką króla Stanisława Augusta. — Wąsowiczówna pójdzie za ks. Ipsylantego, z cesarskiego rodu, przyszłego króla Grecyi. Wąsowiczów dom dojdzie do wielkiego znaczenia, królewskiego, cesarskiego nawet. Opowiedział żonie, o co się rzecz święci, i dodał: — Tylko powiedz Waćpani Julce, żeby nie robiła żadnych zwodów, korowodów, bo to nie Podstarości ani Chorąży powiatowy, romanse zostawić na potem — a teraz broń sprezentować i powiedzieć — gotowam — jak za Sasów mówiono, fertig. —

Pani Szambelanowa lubiła pannę Julię, jak własną córkę. — Ależ Mości Dobrodzieju, trzeba się nad tem zastanowić, może to tylko kaprys. —

— Co tam Waćpani z tym kaprysem. I Jaśnie Wielmożna Hrabina, siostrzenica Naczelnego Wodza wnuka króla polskiego, miała kaprys dla naszego Stanisława, a potem klamka zapadła i kwita; tak i ta będzie. — Jak się już zupełnie spokrewniemy z królami i cesarzami, do herbu Wąsowiczów dodam dewizę, Kaprys. — A ujrzawszy Jaxę Marcinkowskiego, sławnego poetę Ukrainy, który w odpowiedzi Gustawowi Olizarowi, na jego poemat pełen dowcipu, opisujący podróż Marcinkowskiego do Parnasu, płacącego wierszami miarowemi i niemiarowemi, celników i żandarmów Parnasowych, pod tytułem Jaxiada — odpowiedział poematem rzęsistym i zawiesistym pod nazwą Olizarniada — zabrał do rozmowy — zapewne o odzie na zaręczyny.

— Pamięta Pan Szambelan, jak zgapił Pan Gustaw, kiedy wypaliłem, jak z za rękawa. —

Nie tylko Baucis i Filemon,
Piękna Iris i Anemon,
Z Cyterą na Olimpu fali
Grając w dudki się przewracali,
Ale wy Muzy ziemskiej kuli,
Piejcie o Procie i Korduli. —

Szambelan porwał za rękę: — Dla Prota i Korduli dość było sielanki, ale dla tych Mospanie trzeba Ody, Pindara, Horacyusza — coś szumnego a niezrozumiałego.

Zamyślił się Marcinkowski: — Ipsylanty, Ipsylanty, Aleksander, szkoda, że nie Jan Kanty. —

Muzyka grała; Rusałki Kijowianki narodowe tańce suwają aż lubo — dziarska młodzież mazurka zawodzi. Poeta Marcinkowski i tańców nie widzi i muzyki nie słyszy — i w myśli i na palcach skanduje: Ipsylanty, Ipsylanty, Aleksander, w głowę się dłonią bije, szkoda, że nie Jan Kanty — i ani rusz dalej. A Szambelan prawi: o nowym gatunku fasoli przysłanej mu przez JW. hrabinę synową, że taka ogromna, iż z łupin porobił bojdaki do spławiania zboża na Dnieprze. — I powiadam Waćpanom, że takie lekkie, iż dziesięć bojdaków na parą wołowym wozie ze Stawek odprawiam aż do Dniepru, a w jeden bojdak bezpiecznie naładować sto korcy, choćby jakiego zboża — z ziarnka z wydlubanej połowy robi się żur dla całej czeladzi, a czterdziestu czterech zasiada do stołu, a z powłoki czółna, na których sam z moją magnyfiką na Staweckich stawach zapędzamy kaczki, dla zabawy. — Nie prawdaż, Panie Procie? —

Prot natychmiast odpowiedział: — Przybyłem już po wieczerzy, ale wzięliśmy się natychmiast do egzaminu z doktorem Szlemerem, i pokazało się, dla podwójnej liczby ludzi ten żur byłby dostatecznym, bo ci, co jedli, wszyscy dostali niestrawności. —

— Gładko, mój Procie, warteś Korduli, rodem będę kurki czubatej jak się doczekam wnucząt. —

Po tym balu piękna Julia, której mówiono o oświadczeniach ks. Ipsylantego, o których ona wiedziała już od niego sa-

mego, była zadumana; młody książę jej się podobał, bo był piękny, bohater wolności i narodowości, to najpiękniejszy strój w oczach kobiety Polki, ponętniejszy jak adjutanckie ozdoby, mitra, wielkie imie, dostatki i łaska Wielkiego Cesarza. Pokochała go od razu — niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, cel za jakim dążył w sercu Polki i takiej, jaką była Julia Wąsowiczówna, córka bohatera wolności także, musiało obudzać uczucie zachwycenia i namiętnej miłości. I ona go namiętnie pokochała.

Julia zakochana smutnie patrzyła na pierścień, dar matki, łza stanęła w pięknym oku, uklękła i gorąco się modliła, ciągle powtarzając: — oby się tak nie stało. —

Sama jedna jeszcze w balowej szacie, na klęczkach — oh jakaż urocza była Julia, promienie księżyca pieściły się w jej licu, i choć go wyroki Boże gnały po sklepieniu Niebios, on płynął wolno, leniwo, oderwać nie mógł promieni od pięknej Rusalki, tak mu tam dobrze lśnić się na ciemnych warkoczach, na gładkiem liczku, tak mu dobrze myć się w łzawem oku. — On kochanek niebieski Kijowianek, a Dniepr szemrał na wtór jej modlitwie, smutnie, jednostajnie, aby uprosić u Boga, żeby się tak nie stało. — Tak niegdyś przed wiekami może modliła się Olga Kijowianka, kiedy wyprawiała Igora, na wyprawę — na kazarskie pułki — ale dawna Kijowianka modliła: — Niech mój Igor Dniepr hełmem wypije, niech mój Igor mogiły z kazayrskich kości posypie, niech Kazayrowie nie przychodzą więcej w zaloty do Kijowianek. Julia dzisiejsza Kijowianka na pierścień patrzy — łzę ociera i modli, aby się tak nie stało. — Tajemnica, a nie ma Bajana, coby, jak ów dawny Kijowski szarym wilkiem puścił się do ziemi — sinym orłem wzleciał pod Niebiosa, wichrem rozwiał między ludźmi skrytości dziewiczego serca, żeby wyśpiewał jak umierająca matka zawieszając na szyi malutkiej Julce, pierścień złoty, pierścień zaręczyn Kijowianek; konającym głosem szemrała — och nie tobie szczęście, nie tobie zamęście — ten pierścień mój śmierć każdemu zapowiada, oprócz ciebie — on chce, byś została dziewicą Boga oblubienicą. I umarła. Sama dziecina zapamiętała i piastunka jej ciągle powtarzała słowa konającej matki. — Słowa te tak się wraziły w myśl Julii, że ciągle chciała wstąpić

do zakonu, żeby pierścieniem zaręczyn nie przynieść złej doli kochankowi. — Przepowiednia matki dla niej święta, i dla tego modli się, aby to nie nastąpiło. Całą noc tak przemodliła i dzień biały witał ją jeszcze w szacie balowej, na klęczkach i ze łzą w oku. Szambelan i Szambelanowa cieszą dziewicę i dodają odwagi — ona na to wszystko im odpowiada: jam go pokochała i kocham. —

Z jasnem słońcem, z przyborami do zaręczyn, wrócił uśmiech, wróciło wesele — przepowiednia skryła się głęboko w serce, i czasami z tamtąd przesnuła się po obliczu, jak sie przesuwa chmurka po jasnych obłokach — i dodaje nowego wdzięku; bo to lekka zasłona, co i nęci i draźni oko.

Jednego dnia odbyły się zaręczyny Julii Wąsowiczówney z ks. Aleksandrem Ipsylantym — i Maryi Rościszewskiej z ks. Trubeckim. Były bale, tańce, uczty; stary Kijów brzmiał i hulał jak za czasów Śmiałego; cienie dawnych Kijowianek zstąpiły na ziemię przypatrywać się prawnukom. Praprawnuki takie jak i one były, składne, ladne, zwrotne, polotne — każda się poznała w swojej Rusalce, Kijowiance. Ale nie masz tej rycerskiej szlachty, tych dziarskich mieszczan, w kontuszach, w żupanach, strojnych, zbrojnych, siejących czystem złotem, srebrem i drogiemi kamieniami — pokręcających wąs i postukujących w karabele: za Króla Pana i za was czarodziejskie Kijowianki. Teraz te Lachy, ci Kijowianie — opięci, wymuskani — szychem pohaftowani, w trzewiczkach i pończoszkach. Rusi — czyste Niemcy. Odleciały dawne Kijowianki odwracając oczy od tej maskarady — oh! szkoda, szkoda, naszych piwno-okich, siwo-okich — oh! czemuż one się nie porodziły za czasów Śmiałego i jego rycerstwa. W pląsach, nie odwracając w tył oczów, sunęły w pieczary — bo tam za celami świętych i błogosławionych, mówią starzy ludzie, są groby rycerzy Lackich, pomarłych w starym Kijowie, kiedy w nim gospodarzyli dwaj Bolesławowie — i Kijowianek owych czasów. Czy Bóg miłosierny, Bóg miłości — czy szatan udobruchany, myślą występnej miłości — pozwolil, aby byli z sobą razem, po wiek wieków, i tak hulali za czasów Śmiałego, na jawie, w starym Kijowie.

Szambelan częstował hojnie a wolal — dawaj a dawaj. —

Szambelanowa wciąż do niego podchodzi i po cichu szepce: — Daj Waćpan pokój, wszystko wyjedzą, wypiją, a co będzie potem. Wiesz Waćpani jak będzie — tak jak było z panem Franciszkiem moim bratem — kiedy wielki książę Konstanty, Najjaźniejszy wódz naszego wojska, był wskazany na wygnanie na Wołyń, za jakąś tam pustą zabawkę, z Angielką, hrabiną List — z nudów przyjechał w goście do pana Franciszka, jedli pili, hulali, a kiedy już brakło i wołu i osła, i każdej rzeczy, które jego są, Pan Franciszek spędzał gromadę całej wsi, mężczyzn i kobiet — i powiedział: — Najjaśniejszy Cesarzewiczu, teraz będziemy rżnęli i pożywali to bydło skazkowe. Nie frasuj się Waćpani, kazałem przypędzić gromadę ze Stawek, a nim przybędzie, zaczniemy od furmanów, kozaków dworskich i Waćpani babińcu. —

Szambelan zalecił jak najsurowiej synowej i Korduli, panu Józefowi i Protowi, a nawet poecie Marcinkowskiemu, żeby przez cały czas kolejką się mieniali, i nie odstępowali na krok panny Julii — każdemu z osobna mówiąc: — To Grek, a Greca fides nulla fides, gotów spłatać jakiego figla, i uciec, a potem szukaj wiatru w polu. —

Festyny się skończyły. — Ks. Ipsylanty uzbierawszy znaczne składki, pojechał bohaterować na Wołosze i Multany.

A narzeczona i modli się i duma.

Szambelan pociesza: — Módl się Waćpanna, módl, to nie zaszkodzi, kto z Bogiem to i Bóg z nim — ale nie dumaj, przyjdzie — kwiatka nie dostał, dobrze pilnowałem, bo to ja szczwany lis na te figle, przyjdzie po kwiatek, przyjdzie. — I pocałował płonącą w rumieńcach dziewicę.

Biegły dnie za dniami — miesiące za miesiącami, i lata biegły. Kochanek szle ciągle listy, że kocha, że uwielbia, że o niej śni i marzy, że żyć bez niej nie może — zaprasza do siebie. — Szambelan mówi: — Nie ma po co, ani w Multanach, ani na Wołoszy miejsca zagrzać nie dają, a do Grecyi daleko — a taki książe psom ogony wiąże, co nie ma piędzi ziemi; poczekaj Waćpanna. —

Julia płacze — wieści dochodzą prędko, bo złe — o klęskach — po klęskach na Wołoszy, o ucieczce pod opiekę austryackiego Cesarza — o uwięzieniu w Ołomuńcu. Cesarz Aleksander

zagrożony przez Anglię, wyrzekł się, zaparł się, i Heteryi i Ortodoksyi i ukochanego Fligiel Adjutanta, bo wie, co spotkało Cesarza Pawła, z woli Anglii. — U niego wola Anglii groźniejsza, jak wola Boża. — Stoją mu przed oczyma i śmierć ojca, i wstąpienie jego na tron cesarski.

I cesarz Franciszek, na rozkaz Anglii, pokrewnego czy powinowatego, bo heraldycy domu Habsburgów wywodzą pokrewieństwo szwajcarskich landmanów z rodem dawnych cesarzów wschodnich, z rodem Ipsylantych, Kantagenów, i tym sposobem zaginają parol na Bug i ujście Dunaju, jeżeli Anglia pozwoli. — Jeszcze nie pozwoliła, nie przyszedł czas — więc cesarz Franc na pokrewnym próbował Carcere duro ołomunieckie — to była próbka miłości krwi, jak Włosi mówią — con amore.

Na dobrą wiadomość trzeba długo i długo czekać, ale na złą nie; ta prędko feldjegrem leci. — I przyleciał feldjeger austryacki, z woli Cesarza spełnić ostatnią wolę ks. Ipsylantego.— Łaskawy Cesarz, jaki pośpiech w wypełnieniu próby czy woli pokrewnego. Takich serc, takich uczuć mało gdzie można znaleść nawet pod cesarskiemi koronami.

Julia list otwiera — pierścień jej zaręczyn i włosy kochanka narzeczonego, i te słów kilka: Umieram i kocham, i kochać nie przestanę, bo tam wolno kochać, tam kraj miłości wiecznej. A. J. — Pobladła, zadrżała i osunęła na ziemię, jak kwiat palmy wiatrem zwiany. Wyniesiono omdlałą dziewicę, Szambelanowa trzeźwi i do łona tuli — biedną dziecię.

Feldjeger spełnił wolę cesarza; wziął pokwitowanie, i jak przyjechał, tak odjechał, a Szambelan na służbę zawołał: — Zakadzić, bo Niemcem śmierdzi. —

Julia przywdziała żałobę, pierścień zaręczyn okręciła włosem zmarłego kochanka, i tego nigdy z palca nie zdejmowała; opuściła dom Szambelana, bo tam za wesoło — i udała się do Radomyśla, do swojego krewnego, kamerhera cesarskiego Złotnickiego — tam nie wesoło. Stary Złotnicki, jak to mówi szlachta, mizantrop, z obywatelami nie żyje, i obywatele do niego w goście nie jadą. Sama Pani także od ludzi stroni, a ludzie za nią nie gonią. Czterej synowie w służbie wojskowej carskiej, nigdy w domu. A piękna Elża bogobojna, sa-

motnie wychowana, duszą i sercem do Boga i Jego świętych się garnie — a o świecie i jego marnościach ani się jej śniło, ani marzyło. W jej znalazła towarzyszkę Julia; modliły się, modliły i modliły — a choć nie zakonnice, obiedwie były jak zakonnice i za takich ich miano.

Czas najlepszym sekarzem dla tych, które cierpiały — i nauczycielem dla tych, które nic nie rozumiały. Włosy ludzkie nie wieczne, nie żelazne, pomału, pomału wykruszyły się i pierścień zajaśniał. — Czarna barwa na oczy szkodzi, obawa, żeby nie stracić wzroku do czytania książek nabożnych. I aniołowie i święci pańscy w jasne barwy się ubierali, a oni wybrani oblubieńcy Boży. — Żałoba ustąpiła miejsce jasnym strojom, ozdobie dziewic. Wciąż płakać, toby można oczy wypłakać, i religia i ksiądz spowiednik mówią, nie daj się opanować rozpaczy, zgryzocie — co winnaś Bogu, to oddaj Bogu, a co winnaś ludziom, to oddaj ludziom. I uśmiech zawitał na lice i głos zadźwięczał dawnym wdziękiem czarodziejki. — I Julia znowu wracała do dawnego — zstąpiła na świat Kijowianka. — U Elizy tak wiele miłości w sercu, że już dla niej za mało było świętych pańskich, duchownych oblubieńców, chciała dotknąć świata. Ewangielia wielkiego poety stała się jej ewangielią: — Kto nigdy za życia nie dotknął Nieba za ziemi, ten nigdy po śmierci nie będzie w Niebie. Nieraz myślą wyciągała ramiona do oblubieńców ziemi — oh porwijcie mnie. —

Obydwie były w tem usposobieniu serca, jedna przez przypomnienie, druga przez niewiedzę; chciały być porwanemi. — Julia, jak dawniej stawiała przed oczyma swej myśli bohatera wolności, swobody, narodowości, męża wojownika, opiekuna słabych, pogromcę silnych. — Julia zawsze kochała i zawsze chciała bohatera.

Eliza, wypieszczona modłami, wychowana w marzeniach o świętych pańskich, o Bogu, o raju, o niebie — chciała oblubieńca, którego miłością nawróciła do miłości Bożej i do świętego Jego wiary.

Jedna drugiej zwierzała swoje uczucia i marzenia serca; powiernictwem rozmnarzały się w prawdę; kochały się już w nieznanych — i szukały ich okiem i myślą po świecie.

Było to w chwili, kiedy cesarz Aleksander zeszedł z tego

świata w Taganroku a cesarz Mikołaj wstąpił na tron cesarski. — Wśród grzmotów harmat, tratując ciała ludzkie, brodząc koniem po krwi ludzkiej pokazał zdziwionemu światu, że On Car prawdziwy, Car z woli Bożej i z woli Swojej. — Petersburg zgnieciony upadł przed nim na kolana i błagał: Karz i panuj. Ale jeszcze w guberniach towarzystwa nie rozbite, tylko przybite strachem i podziwieniem — gotowały się do buntu.

Druga armia, podówczas dowodzona przez Feldmarszałka księcia Witgiensztein, była rozpołożoną w ziemiach ruskich. Kwatera główna armii była w mieście Tulczynie. Tam towarzystwo księgi zielonej miało najsilniejsze swoje filary: Anglika Pestela, Sergieja Murawiewa Apostoła, Rumina Bestużewa, Aleksandra i Artamona Murawiewów — braci, pułkowników huzarskich pułków, pułkownika Powałę Szweykowskiego i wielu innych. W tem towarzystwie nie było żadnej podstawy socyalnej, żadnego celu politycznego oznaczonego, tylko chęć zmiany — moda liberalizmu i wiązania się w towarzystwa, ważniejsze od frankmasoneryi, która została zużytą — dobrą do pogadanek bab i dziadów, i straszenia głupowatych nowicyuszów. Każdy z kapłanów tej księgi chciał czego innego. — Sergiej Murawiew Apostoł chciał panslawizmu, konfederacyi sławiańskiej, pod jednem berłem i jednem prawem, patryarchalnej wolności dawnych Sławian, gromady. — Pestel, konstytucyi Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, arystokracyi angielskiej, i króla czy cesarza skrępowanego w świetne szaty konstytucyjne, jak w Anglii. — Rumin Bestużew, rewolucyi francuzkiej, terroryzmu, gilotyny i podbojów rewolucyjnych. — Dwaj bracia Murawiowie, wyplenić z korzeniem Niemców w Rossyjskiem Państwie, zniszczyć Petersburg i wrócić stolicę moskiewskich Carów, z moskiewskiemi Bojarami, do białej Moskwy. — Powała Szweykowski, Ukrainiec, rozbić Cesarstwo Rossyjskie, stworzyć Carstwo Ruskie, i żeby każda narodowość tworzyła sobie osobne Carstwo. — Nie było jedności, nie było ładu. hasłem do wojny było: pozbyć się Holsztein-Gotorpów, żeby nie udawali Romanowych — odwetem — zobaczemy.

Towarzystwo księgi zielonej porozumieć się chciało z towa-

rzystwami polskiemi, narodowymi, które podówczas w ziemiach ruskich reprezentowali pułkownik Krzyżanowski, hrabia Marcin Tarnowski Marszałek Gubernator Wołyński, Piotr Moszyński — i Templaryuszów, na których czele byli kapitan pierwszego pułku ułanów polskich Majewski Prezes Wołyński, Stanisław Karwicki i Szambelan cesarski Gotard-Sobański.

Polacy chcieli Polski, ale jakiej i z kim tego sami nie wiedzieli — z resztą po co sobie było łamać głowę nad taką fraszką, kiedy to jeszcze tak daleko. Stowarzyszeni jedli, pili, hulali. w karty grali, za panienkami biegali, w Kijowie, w Berdyczowie, werbowali jak do ułanów; przy kieliszku, przy pięknym buziaku: przystań, przystań. Kupmy się — zrobiemy hura i jakoś to będzie.

Kiedy członkowie trzech towarzystw zjechali się w Kijowie dla porozumienia się, nie wiedzieli od czego rzecz zacząć, o czem ją prowadzić i na czem skończyć; zjedli kilka hucznych obiadów. wypili huk szampana i w djabełka grali na zabój — w djabełka nie w Landsknechta, bo to byli wszyscy Sławianie, zażarci wrogowie Niemców i Niemczyzny — a potem się rozjechali.

Rumin Bestużew zapytany po powrocie co uradzili, odpowiedział: — Trzydzieści pięć tysięcy rubli przegrałem w djabełka, ze sześć razy upiłem się na śmierć, nie pamiętam, ale jakoś to będzie, nasi pójdą wysoko. —

Już wtenczas demokratyzm, choć nie ogłoszony, nie przyznany, z cholerą razem zawitał na sławiański świat, małżeństwo pracowało — ona odbierała im życie — on rozum. To była najlepsza posługa, jaką mogli oddawać Niemcom.

W Petersburgu Benkendorfy, Majendorfy, Sakeny, Pahleny, Adlerbergi, Budbergi, Sztaklbergi i wszyscy Niemcy, bez stowarzyszenia się, kupili się natychmiast i stanęli przy Carze. Oni wiedzieli, czego chcieli. Utrzymać cesarstwo, zmiażdżyć wszystko, co rękę albo myśl śmiało podnosić przeciw ustalonemu porządkowi.

Kiedy kto wie, czego chce, to i może. — To najlepszy dowód wszechmocności ładu.

W Petersburgu harmaty grzmiały; krew sławiańska poto-

kami się lała — a teraz i lud sławiański woła i wojsko sławiańskie woła: — Niech żyje Car nasz Ojciec, nasz Samodzierżca, niech żyje i nam panuje. —

Nie tak chcieli Sławianie nieładu, ale tak kazali Niemcy ładu: tak się stało i tak być musi.

Na wszystkie strony posłano żandarmów i kasyerów i Feldjegrów. Stowarzyszonych Sławian zabierają, wiążą i zwożą do Petersburga, jak wilcy chwytają owce ze stada, bez żadnego oporu, choć ci Sławianie byli zbrojni, na czele pułków — gromad, bo nie wiedzieli czego chcieli, co mają robić — radzi byli, że ich brali, bo nie frasowali się co mają robić, a zawsze powtarzali w myśli: — jakoś to będzie. —

Sergiej Murawiew, jeden tylko odważył się być buntownikiem na pół-dowódzcę pułku, Niemca, kazał zgładzić, czy też podobno zgładzono go bez niego — pułkowi moskiewskiemu piechoty kazał wystąpić — przemawiał do żołnierzy długo, zapewnie wybornie, ale żołnierze nie rozumieli, tylko krzyczeli: — Niech żyje Konstanty Pawłowicz i żona jego Konstytucya Nie śmiał nawet zatrzymać kapitana Kozłowa, który z całą rotą grenadyerską odmówił mu posłuszeństwa, odprowadził rotę na stronę i kazał jej krzyczeć: — Niech żyje Mikołaj Pawłowicz — Car i Samodzierżca! — Murawiew był bardzo zadowolnionym z tej walki dwóch Carów, Konstantyna Pawłowicza z Mikołajem Pawłowiczem — tyle, ile później kilka lat Warszawa była zadowolniona z początku powstania, walką Cara Samodzierżcy Mikołaja z królem konstytucyjnem Mikołajem. — Pomysły z jednego źródła, pomysły demokratyczne: niech się Carowie biją a wszechwładztwo ludu oczyszcza.

Pomysły dwóch mężów znamienitych, cnoty, serca i woli — Murawiewa i Lelewela — dwóch naczelników istotnych demokracyi rosyjskiej i polskiej.

Nie szedł naprzód Murawiew, ale stał na miejscu: w Trilisach przez dni kilka żołnierstwo w szale wszechwładztwa, piło, hulało — i zrzucało gefreiterów i feldfeblów — a on czekał, aż propaganda rozsiana wiatrem naciągnie do niego i lud i wojsko.

Nareszcie generał dywizyi huzarów Ridigier odebrał rozkaz uśmierzyć bunt i wysłał do Trilisów generała brygady Geiss-

mara, z huzarskiemi pułkami, Achtyrskim i Aleksandrowskim, dowodzonemi przez Artamona Murawiewa i Aleksandra Murawiewa. Adjutantem Geissmara był podporucznik Orańskiego huzarskiego pułku Florian Rzewuski, syn Szefa — nie Hetmana, nie Kasztelana, ale tego samego rodu, co to na wspak rodowi Radziwiłłów wydaje ludzi i do szabli i do pióra — i do tańca i do różańca — e de hajde e de jure — choć kuda Kozak.

Kiedy do Trilisów dochodzili huzary w dwóch kolumnach, Sergiej Murawiew rozwinął swoje bataliony, na pół pijane na wzgórzach — nie kazał broni nabijać — a w lufki karabinów powkładano zielone gałązki sosny na znak wesela. Jenerał Geissmar zakomenderował, szable z pochew i kazał pułkownikom iść do ataku w kolumnach dywizyonami. Sergiej sam wybiegł naprzód przeciw huzarom już kłusującym — i Artamon i Aleksander razem zakomenderowali: szabli w pochwy — stój — był popęd — ale co dalej mieli robić, tego nie wiedzieli, bo nie ułożyli. Generał Geissmar już obrócił konia, by zmykać w stepy, jak kilka lat później zmykał z pod Stoczka przed dzielną pogonią Dwernickiego, kiedy Floryan Rzewuski sokolem okiem wszystko przejrzał, z kopyta mknął na Sergieja Murawiewa, i silnym machem ręki zmiótł go z konia. Na huzarów krzyknął: szable z pochew — marsz — marsz, hura! — i sam na ich czele poskoczył. Bataliony moskiewskiego pułku broń rzuciły i padły na kolana błagać przebaczenia. Kapitan Kozłów z grenadyerską rotą, którego zostawił spokojnie obok siebie Sergiej Murawiew, dla tego uroku wojny dwóch Carów przyszedł i zaganiał w plen kuntownicze bataliony; wszyscy trzej Murawiowie byli związani — a huzary obydwóch pułków, jak z płatka, porządnie, szparko, pełnili służbę carską.. I wszystko to się stało, nim odjechał generał Geissmar do swojego wojska. — Jeden podporucznik wszystko zrobił, bo wiedział czego chce i co chciał to zrobił.

Tak się skończył bunt na prowincyi bez rozlewu krwi — choć cała prawie druga armia była sprzysiężona — choć Pestel z Pskowskim pułkiem — Powała Szweykowski z Aleksopolskim. a inni pułkownicy z innemi pułkami czekali w pogotowiu, ale czego czekali, tego nie wiedzieli — na jaki rozkaz, sami nie wiedzieli od jakiego naczelnika — bo nie wiedzieli, kto naczel-

nikiem; wszechwładztwo ludu, zielona księga — konstytucya. — Ale te milczały. A generałowie Rott i Sabaniew, dowódzcy korpusów spisywali listy oficerów sprzysiężnych i posełali żandarmów, brać te nieszczęśliwe ofiary; sotkami ich brano. — Każdy wyprostował się, powiedział, słucham — siadł w kibitkę, przeżegnał się znakiem krzyża świętego, i wieźli go za rozkazem Cara.

Kiedy już po pocztowych szlakach trójki z trójkami szły w przegony, czwałując ku Petersburgowi, która pierwsza przywiezie swego więźnia na zabawkę Carowi — w Radomyślu u pana Szambelana Złotnickiego była wielka uroczystość — dzień zaręczyn panny Elizy Złotnickiej z księciem Galicynem — i panny Julii Wąsowiczówney z pułkownikiem Powałą Szweykowskim, dowódzcą Aleksopolskiego piechotnego pułku. Książę Galicyn, z miłości ku pięknej Elizie z błahoczesti przeszedł na katolickie wyznanie — i dziewicą drogą zbawienia wiodła nowonawróconego do raju i sama była już na pół-błogosławioną — tak mówił ksiądz kanonik, proboszcz Radomylski — a słowa jego święte.

Powała Szweykowski, po stworzeniu Wielkiego Księztwa czy Carstwa Ruskiego, miał wskrzesić Polskę, żeby z sobą zrobiła co zechce, a wszystko dla miłości pięknej Julii. Bohdanko Chmielnicki wiedziony miłością dla pani Czaplińskiej, dążył do Wielkiego Księztwa Rusi, a zabijał Polskę. Powała Szweykowski, pod urokiem czarodziejskich oczków Julii Wąsowiczówney, gonił za Rusią, by postawić na nogi Polskę. Kijowianka Rusałka uśmiechała się urodą i chlubą i tym zachwytem serca i duszy, które tylko jedne a jedne Polki mają. Być szczęśliwą, szczęściem Polski.

Obydwie dziewice jaśniały radością i szczęściem.

Książę Galicyn był zwyczajnie, jak nowo nawrócony, syn jakiegoś tam nadwornego czy rzeczywistnego sowietnika — sam z czynem i z mitrą, ale bez wielu dziesięcin ziemi i z bardzo małą ilością duszek skazkowych, poddanych — poddał się w poddaństwo pięknej Elizy i zapisał się w skazki katolickie, żeby mieć włości posagowe panny Elizy Złotnickiej i być na prawdę księciem Galicynem dworem i worem.

Powała Szweykowski, wysokiego wzrostu, smukły, szlache-

tnego lica, jeszcze krasiwej urody, choć już pięćdziesiątki dochodził, był pod Eylau, dobywał Ruszczuka, odznaczył się pod Borodinem Lipskiem i pod Paryżem. — Każdy stopień krwią opłacił — i na szyi i na piersiach jego ordery, dostojne znamione męztwa. Pan bogaty z ojca i praojca. Dzielny pólkowódzca, ulubieniec Kutuzowa i Jermołowa. Mąż nauki i cnoty, z miłości łączył się z Julią, a ona z nim dla miłościPolski. I oboje żyli szczęściem i nadzieją.

U pana Złotnickiego nie wiele gości się zjeżdżało, choć pan zamożny, na niczem w domu nie zbywało; oprócz ptasiego mleka, wszystkiego można było dostać — i pasztetów i wina, i bakalii i muzyki, czterech synów krasiwych, gościnnych, uprzejmych, dwie synowe piękne między najpiękniejszemi. — Dom obszerny, strojny, ale nie było pociągu. Choć pan Złotnicki na Marszałka nie chorował, nie udawał ani Sanguszkę, ani Radziwilla ani nawet Głembockiego — ale szlachta do niego nie szła — ani zaprosić, ani zagonić jej tam nie było można. Wszyscy szli do księcia Eustachego Sanguszki, kiedy był Marszałkiem Wołyńskim, bo to potomek księcia Romana, który wodził ich praojców na Tatara, na Moskwę, i ojców Romana, który ich synów powiedzie kiedyś. U niego jedli, pili, hulali i przyśpiewywali sobie: — o kołyb jeszcze wojna buła — pobaczyłab tebe uła. — Szli do księcia Mateusza Radziwiłła, choć to półdjable, ale potomek pana kochanka, dziedzic Berdyczowa, choć te Radziwiłły prochu nie wymyślą, ale u szlachty mieli zaletę, bo kochali Polskę i za nią i dla niej byli i na wozie i pod wozem. Szli do Głębockich, jak do swojego własnego domu, bo to synowie Zerokawskiego Zawadjaki, co to nieraz i karczmę szlachcicowi spalił, i do lamusu szlachcica zamknął, ale jak potrzeba szlachcicowi bez procentu pieniędzy dał, i choćby z jenerałem Gubernatorem szedł w targ w obronie brata szlachcica. — U pana Złotnickiego nie znachodzili żadnego takiego wspomnienia, więc nie szli. z daleka omijali, na łakocie szlachta nie łasa — u siebie ma chleb i sól — żeby ją do siebie przygarnąć, trzeba żeby sercebyło w polskim kontuszu — a ręka gotowa do polskiego animuszu. U takiego gospodarza to i drzwi w domu się nie zamykają i nie wypędzisz gości z domu, ani angielską cholerą. ani egipską dżumą.

Nie wiele było gości u cesarskiego kamerhera, ale po zaręczynach miał być wielki obiad i bal u pułkownika Powały Szweykowskiego, i obywatele Radomyślscy i z okolicznych powiatów tłumem się zwalili na miasteczko — przyjeżdżali aż z murowanej Machnówki i ze Zwichla przechrzczonego ukazem carskim na Nowogród Wołyński. — Pan Czopowski, sędzia i pierwszy prawnik ziem Ruskich, z gustu i z fantazyi opiekun żydowstwa, nakazał Kahałowi, oprócz gospodarzy, kupców, kramarzy', faktorów i nieodbicie potrzebnych sług; wszyscy a wszyscy, a mianowicie płeć żeńska, niedorostki — dorostki i nie bardzo przerostki, wynieśli się do postronnych wiosek — powiadając:

— Moja Mamo, moja luba — dla panów obywateli trzeba miejsca, a nie trzeba smrodu i pokusy — żyd żydem, kozą i capem śmierdzi — a żydóweczki hajki, to djabeł nie śpi. — Moja Mamo, moja luba, nie trzeba, żeby zabierały to, co się szlacheckim. herbowym pannom i paniom należy. Na zaręczynach tak znamienitej pary klejnota szlacheckiego trzeba, aby nikt, ani nosem, ani okiem nie krzywił. —

I tak się stało; goście pozajmowali domy i żydowskie i nie żydowskie, chłopskie chaty nawet — nie było drugiego Czopowskiego, opiekuna z gustu i z fantazyi nad chłopami — zostały Maryny i Horpyny — i Małaszki i Pałaszki — i Oxany i Tetiany i dobro szlacheckie panien i pań było w poniewierce. — Wszystkie bataliony Aleksopolskiego półku, ściągnięte z całej okolicy wyszły z kwater i biwakowały na rynku w mieście — broń w kozłach, żołnierze w lederwerkach, oficerowie w rańcach, na swoich miejscach — pułk Aleksopolski choć trzechtysięczny, to jak jeden człowiek; na jeden mig pułkownika w prawo — w lewo — w tył naprzód — bo też to i pułkownik nie lada, i ojciec i półkowódzca razem. — Groźny uszom żołnierzy, jak piorun, a drogi ich czasem jak słońce.

Szlachta mówi: — Jaki uprzejmy nasz pułkownik — a Czopowski przebąkuje: Moja luba, moja mamo, coś tam chuczy w chmurach, mogą być grzmoty, byłoby wiele strachu, a może i co więcej. —

Tak mało było gości, że pani kamerherowa chciała, aby dla większej chwały Bożej, zaręczyny odbyły się w kościele para-

fialnym. — I tam był tłum wielki obywatelstwa; ci którzy się nie pomieścili, stali ściśnięci przed kościołem.

Ksiądz kanonik Łyszakowski, ex jezuita, jeszcze z dawnych polskich czasów, z Kamieńca Podolskiego, spowiednik wszystkich matron Targowiczanek, chudy, wymokłej twarzy, żółtawej cery, jak stary pergamin, łysy — i z nim ksiądz pleban, jeszcze młody, ex-pijar — w peruczce ufryzowanej, żeby zakryć tonsurę, uperfumowany, elegancko przebrany, spowiednik ulubiony dzisiejszej płci pięknej, przybrali kościół w kwiaty, w drzewa — napuścili białe gołębice, gruchające turkawki, miłosne synogarlice, kanarki i żółte i szare, a nawet szczygły i gile. — Wszystkie dewotki oddały a raczej pożyczyły wszystkie ptaki ze swoich klatek na ten dzień uroczysty. Były nawet trzy papugi, dwa szpaki gadające, cztery kosy gwiżdżące i jeden cietrzew obłaskawiony — ze środka sztuczne fontany otryskami spadały w wanny marmurowe; małe dziewczątka i malutcy chłopcy poprzebierani za aniołów; organy zawodziły jakieś symfonie, chóry mruczały hymny. Ołtarz przybrany w jarzące świece jaśniał, jak słońce oko Boże. — I dziady poprzebierane za Apostołów — i niby święty Piotr odźwierny. Jednem słowem było to przedstawienie raju — a kiedy weszły chórem dziewice, jak święte pańskie, pan Czopowski nie mógł wytrzymać, i zawołał:

— Moja Mamo, moja luba — gdzie jedna głowa w peruce, druga łysa, tam zaręczyny z Antenora albo z Anacharzysa. —

A dewotki usłyszawszy słowa pana Sędziego — biły się w piersi:

— Święty Antenorze módl się za nami. —

— Święty Anacharsysie módl się za nami. —

Zagwizdały kosy walczyka; papugi i szpaki zagadały jak w wieży Babelu. — I weszły do kościoła obydwie pary, z małym bardzo pocztem gości pana kamerhera Złotnickiego.

W tym raju prawdziwa perła była Julia Wąsowiczówna. Oczy Sułtanek Alambry nie takim ogniem błyskały Abenseragom. władzcom Grenady, jakim błyszczy oko Kijowianki. — Świeżość dziewic Albionu przy jej licu jeszcze nadwiędła — bo jej białość jak kwiat kaliny, bo jej rumieniec jak barwa maliny — a almy i bajaderki dalekiego wschodu przy jej kibici, przy

jej ruchu, skryłyby się od ludzi, pomarły z rozpaczy — płynie po ziemi, jak kwiat tułacza po wierzchu wody, ledwie ją muska — taka składna, że każdego oko chwyta ją w kleściski. Na niej spodnica z szafirowego atłasu, okolona amarantowemi falbanami, przewijanemi srebrem. Kubraczek szafirowy, amarantem podbity, śrebrem haftowany — a na głowie wianek z bławatków osadzonych na śrebrnych kłosach — włos lśniącym jedwabiem rozpuszczony na ramiona i nóżka mała i rączka biała. — I wszyscy myśleli, że to jutrzenka Polski weszła — a to dziewica Polka przyszła zaręczać się dla Polski.

Już pierścionki były zamienione. Już ksiądz kanonik począwszy od Ewy i jabłka, przebiegłszy Sarę i Esterkę, i królowę Kunegundę, i panią de Maintenon, kończył stawiając Jaśnie Wielmożną Kamerherową Złotnicką za przykład bogobojności i przywiązania do kościoła rzymskiego katolickiego. — Już pułkownik garściami sypał złoto dla ubogich i na kościół, kiedy przed kościół zajechały dwie kibitki, i z nich wysiedli — oficer i dwóch żandarmów.

Szlachta mówi: — Generał Rott przysłał adjutanta z powinszowaniem. —

— Zapewnie prezenta przywiezione dla nowo zaręczonych. —

— Żandarmów przysłano do eskorty panu kamerherowi Zlotnickiemu — łaska Carska wielka. —

Jeden tylko Czopowski pokręcał głową: — Moja luba, moja Mamo — źle się święci, będzie wojna nie przylipki: dobrze, żem wyprawił żydostwo. —

W barabany uderzono i wszystkie bataliony za broń wzięły, i stanęły pod bronią.

W mig przyprowadzono wierzchowego konia pułkownikowi.

I szlachcie przyprowadzono konie, Symforyan Czaykowski, porucznik sławnych huzarów Umińskiego, bracia Żukowscy zawołani harciarze. — Jaroszewski Ataman Czarnobylskiego kosza, już na koniach zbierają gromadkę jazdy, z braci szlachty i z dworskich kozaków.

Oficer przysłany nie wszedł do kościoła, tylko stał przede drzwiami — w oczach jego nie ma strachu, spokojnie czekał — i żandarmi czekali, jak dwa słupy drogowe.

Wyszedł pułkownik Powała Szweykowski, oficer oddając mu

honory wojskowe, wręczył pakiet. — Pułkownik czytał, pomału, jak ślabizował, ale na twarzy nie widać zmiany. Denszczyk bliżej konia podprowadzał. Z oczów narzeczonej widać głos serca — na koń. —

Pułkownik przeczytał — oddał papier: — Niech się stanie, jak rozkaz Carski poleca; odpasał szablę i oddał oficerowi, ten wyraźnie wahał się ją brać, padła na ziemię i szczęknęła — żandarm ją podniósł.

Obrócił się Szweykowski do Julii i wtenczas pobladł i głos mu drżał: — Bądź mi zdrowa, nie zapomnij o mnie, bądź mi wierna, a niech wszystko przepada! usta przycisnął do ręki dziewicy, oderwał się i wsiadł na kibitkę. W batalionach ruch — groźno spojrzał, groźniej zawołał: — smirno na miejsca — i tysiące stanęło wryte, jak z kamienia, trącił nogą zwoszczyka: — ruszaj. Zwoszczyk targnął licami, nie zakrzyczał, ale dzwonek zabrzęczał i w czwał hajka pomknęła — a tłum ludu, jak karciane żołnierze, walił się na jedną i na drugą stronę.

Narzeczona nie zemdlała, ani łzy nie uroniła, stała w miejscu — czy rozpacz — czy jakie inne uczucie poraziło ją osłupieniem. W Kijowie Julia kochała kochanka, pasowała się czy przepowiednią nieszczęścia, nie okupić swojem szczęściem miłość zwyciężyła, bo kochała — myślała: miłość wszystko zwycięży, złowieszcze przepowiednie i złe losy, bo to najwyższa łaska, jaką Bóg dał ludziom — i była pełna nadziei — cios nieszczęścia rozpaczą uderzył i na wieczność przykrył całunem żałoby, serce i zamarło dla miłości kochanka. W Radomyślu kochała Polskę, duma Polski przywdziała szatę miłości. W czynie, kiedy narzeczony miał się stać kochankiem uwielbienia, zmalał, spadł tak nizko, że nie obudził tylko dolegliwe uczucie litości blizkie, blizkie pogardy. Julia w tej chwili może go nienawidziła — takie serce kobiety — pocałunek w rękę palił ją wstydem, i ze wstydu zawiedzionej dumki nie chciała podnieść oczów na ludzi, na świat Boży.

Złotniccy całą rodziną wynieśli się drugiemi drzwiami z kościoła, bo to nie żartować z Carem, Samodzierżcą. — Narzeczona sprzysiężonego buntownika, to gorsza od zadżumionej. — Julia siadła do pierwszego powozu, jaki zajechał, a obywatele końmi ją eskortowali, oni się nie bali ani Cara, ani nikogo, bo

to szlachta polska. — I gdyby niebo spadało na ziemię, jeszcze każdy dobyłby pałasza i chciał powstrzymać gniew Boży, nie dla czego innego, tylko, że szlachcic polski.

Julia Wasowiczówna nie wróciła do Jaśnie Wielmożnego Kamerhera cesarskiego, ale pojechała do Stawek, do Szambelana królewskiego. Żołnierze poszli na kwatery, wołając: — Niech żyje Mikołaj Pawłowicz, Car i Samodzierżca. — I lud się rozszedł i kościół został zamkniętym. Tylko przed nim stało dwóch ludzi: pan Kozieradzki, sekretarz Gubernski, wielki służbista i pan sędzia Czopowski — pierwszy dowodził:

— Widzisz Panie Sędzio, co to dobrze uorganizowana machina rządowa: w ręku pana pułkownika Szweykowskiego była siła, musiała być i wola, kiedy konspirował — przyszedł rozkaz zaaresztować i zabrać pułkownika, a w potrzebie zażądać władz wojskowych i cywilnych pomocy do wykonania rozkazu. Oficer wprost się udał do pana Szweykowskiego, jako do najwyższej władzy wojskowej. — Pułkownik Szweykowskiego oddał w ręce przysłanego — utrzymał karność i porządek. To mój Panie potęga — kto ma taką machinę, może i ludźmi i światem rządzić. Powinnibyście sobie wybić z głowy i marzenia i wybryki bo co to porywać się muchom na lwa. Car rossyjski musi rządzić wszystkiemi Sławianami, a jak tylko zechce, to i całym światem. — Jego siła, to ta organizacya, której pan przykłady widzisz przed oczyma, to nie liberum veto polskie, nie wszechwładztwo', nie możnowładztwo. On sam, jak Pan Bóg, a państwo Jego z ludźmi i ziemią, jak machina — porusza wolą, idzie jak on każe, cóż mówisz na to, Panie Sędzio? —

Sędzia milczał. Co tu odpowiadać, trudno — kręci głową — próbuje: — Moja Mamo, moja luba, jakiś tam poeta moskiewski nazwiskiem Puszkin, podobno takoż konspirator — dobrze powiedział: Paście się dobrze narody, was trzeba rżnąć albo strzydz, wam w dziedzictwie z rodu w ród, przeznaczone jarzmo z dzwonkami i bicz i niestety tak jest. —

Deklamacye to i więcej nic Poetom, a można powiedzieć, demokratom wszystko wolno, ale cóż z tego? Jarzmo, niewola, lud, bicz, tyrani, wszechwładztwo — słów, huku wiele, i z tego wszystkiego jedno wielkie nic. Tu co innego, stopień stopień uważa, służba to nie samowola, ukaz wszystkim rozkazuje

a Car ukazy daje, to mi rozum, na taki się niech zdobędą — wtenczas toby była walka. —

— Moja luba, moja Mamo, Waćpan widzę homeopatycznego systematu, złą chorobę chcesz leczyć złem lekarstwem — wybijać z państwa Samodzierżcę, jak klin klinem, ale co tam o tem gadać, jeszcze kto podsłucha i będzie licho, moja Mamo, moja luba; jak przyjdzie kreska na Matyska, to nic go nie obroni — tak i z Waćpana machiną, kiedy przyjdzie na nią czas — to lada kto, nawet Waćpan ją rozbijesz — ale jeszcze czas nie przyszedł. Ot dobrze, żem wyprawił żydowstwo, boby i panna Julia takiej eskorty nie miała, możeby nie jeden i do kościoła nie poszedł, a modlił się do Chajki albo do Ryfki, a tak przynajmniej wyszła z tego wszystkiego z czcią i z honorem, a nasza młodzież po szlachecku się znalazła. —

— U Pana Sędziego zawsze żarty, a to na płacz się zbiera, widzieć nasz nierozum a ich rozum. —

— Moja Mamo, lepiej żartować, jak prawdy szukać, bo tej nie można dopatrzyć tylko na dnie kielicha — a teraz tak te Jukiery, Bejwele pofałszowali i Węgrzyna i Pontaka, że człowiek się spije i prawdy nie dopatrzy. Niech tam sobie prawdy szukają astronowie na niebie — a my szukajmy na ziemi zabawy. Wiesz Waćpan, moja luba, siadajmy do kocza i dalej do Stawek — zobaczymy, jak to nasi panicze cholewki smalą do panny Julii, bo już niech co chcą mówią, to takiej dziewki nie znaleść ani w Krakowie, ani w Warszawie a nawet w samym Kijowie. —

— Panie Sędzio, co też Panu jest, wtenczas, kiedy panna Julia tyle cierpieć musi, Pan o takich pustotach gadasz. —

— Moja luba, na złość Moskalom gotowa pozawracać głowy całej naszej młodzieży; kiedy nie wymogła z jednego nic zrobić, może się uda z wielu — będzie wszechwładztwo. —

I poszli oba. Tak się skończyło istnienie zielonej księgi, ewangielii wszechwładztwa ludu. Ukaz carski, jak przykazanie Boże, pozostał — i w państwie tak było, jak za Pawła, jak za Aleksandra. W imię Carskie i z woli Carskiej.

Cztery lata przeszły prędko, tak jak przechodzi wszystko na tym Bożym świecie — i już w Wielkim Carstwie Rossyjskiem zapomniano o księdze zielonej, o towarzystwie narodowem pol-

-skiem i o Templaryuszach. Cesarz Mikołaj nie był okrutniejszym od Godfreda z Bulionu bohatera chrześcijaństwa, od Robespiera, bohatera wolności i w setnej, w milionowej części takim nie był. — Godfred palił miasta, wycinał ludność w pień bez różnicy płci i wieku, gnał jeńców, jak bydło, za góry i za morza, do najpodlejszych posług w imię Chrystusowej wiary — i mówił, tak moje serce, sumienie i Bóg mi każe. Papież, Namiestnik Chrystusa go błogosławił — został ukanonizowany bohaterem na ziemi a kandydatem na świętego pańskiego po śmierci. — Robespier, mając na celu wolność i cnotę, krociami nieszczęsnych ofiar napełnił więzienia, i gilotyna z jego woli odsiekiwała krocie nieszczęśliwych głów, bez innej winy, bez innej przyczyny, tylko że tak trzeba — i po zaprotestowaniu przeciw istnieniu Boga i Jego świętych i jego przykazań, został bożyszczem wolności, również i jedności Republiki i demokracyi. — Car tylko pięciu powiesić kazał, a do dwóch tysięcy nie doszła liczba wysłanych w ciężkie roboty, wywiezionych na Sybir i wskazanych do wojska na wiecznych żołnierzy — i to wszystko, żeby był ład — dla szczęścia, dla bogactwa: dla sławy narodu, bo tego wszystkiego nie masz bez ładu. I świat, który modlił się, jak do świętego, do Godfreda, okazał hymnami uwielbienia Robespiera, szemrał na Cara i złorzeczył Carowi. — Świat był jak ów niedźwiedź białowiejskiej puszczy, co to ryczy i rzuca się kiedy go gałązki drapią a milczy, kiedy go wielkie drzewo przebije. Wszystko było cicho, błogo i porządnie w państwie. Car pomścił się klęski Władysława Warneńczykr, i jechał do Warszawy włożyć koronę Jana Sobieskiego.

Panna Julia Wąsowiczówna przez ten czas bawiła to w Stawkach, w domu szambelanostwa, to w Minijkach, w domu państwa Protostwa Czaykowskich. Nie chodziła w żałobie, jak po pierwszym kochanku, popielaty i różowy kolor były jej ulubione i były jej, jak to mówią, do twarzy, bo jej wszystko było do twarzy. Przyjemna, wesoła, dowcipna, czasem zadumana, czasem niecierpliwa, niejednostajna — ożywiała życiem uroku wszystko to, co ją otaczało. Stary szambelan patrząc na nią, zapomniał o podagrze, rozdobruchał się, i prawił o księżnie Czartoryskiej i o biskupie Naruszewiczu, o pani Kosowskiej i o królu Stanisławie Auguście — o księżnie Julii Radzi-

willowej i o pułkowniku Lachmanie — i zawsze dodawał: — Żadna z nich nie była taka, jak ona. O gdyby ona tam była, toby pewnie ksiądz biskup nie pisał do piwowara ale do piwowarki — a król Jegomość w miejscu tańczyć menueta i almanda, jak to robił dla podobania się pani Kosowskiej — ale siadłby na koń, i jak Batory gromiłby Moskwę, bo takby chciała Julka, a gdzie djabeł nie może, to tam piękny buziak wszystko zrobi — z król a tancerza byłby król rycerz, szkoda, że Julka wtenczas nie żyła. — I ten pułkownik Lachman, żyd jakiś, bo tylko żydzi mają szlachectwo Lachmanów, nie byłby tak postąpił z moją Julką, jak z tamtą — nie dałaby się wyprowadzić jak tamta, bo to wyobraźcie sobie Waćpaństwo, rzecz tak się miała. — Julia księżna z domu, rozwódka po magnacie, wdowa po księciu, w części dziedziczka, a całkiem dożywotniarka wielkiego majątku, miała za narzeczonego księcia, porucznika z Lejb Gwardyi huzarów, bogatego pana, ale malutkiego jak węzełek — a aspirantów czyli hahalów co nie miara. Między nimi rej wodził pułkownik, czy też wówczas podpółkownik aleksandryjskiego pułku huzarskiego Lahman, Petersburczyk — miał sławnego arabskiego czarnego konia, i dwa dowodne z rodu Psowa. Tylko jeden skarogniady, jak go tam zwali kadet czy Mazepa, pana Michała przekłusował i przecwałował czarnego Arabczyka. — Tylko jeden płowy Dolot, chart pana Michała prześcigał charty psowa pułkownika Lahmana. Julia, ale tamta, była zawołana łowczyni, nie tylko na dwunożne ale i na czworonożne zwierzęta. — Od pana Michała trudno było dostać i konika i charta, bo choćby on nie był od tego, ale matka dobrze patrzała za chłopcem — u Lahmana łatwiej — zaczęły się zawody i korowody — ale, że na tym świecie darmo nic, więc nastąpiły układy. Arabczyk poszedł i do stajni księżnej, i pod siodło księżnej, charty psowa do jej psiarni a szczęśliwy pułkownik Lahman gościł u księżnej jak u siebie przez trzy doby omne trinum perfectum. — Po tej miodowej trójce przyjechał książę narzeczony po rękę narzeczonej — cóż robić, księżna była gotową, kiedy jednego poranku przyniesiono list pod adresem księcia Aleksandra — z podpisem Lahmana, w którym prosi, jako kolegę, aby prosił księżnej narzeczonej o odesłanie konia i chartów, które

na jakiś czas pożyczyła. Koń i charty były w stajni i w psiarni — żadnych dokumentów sprzedania lub darowania nie było na piśmie a księżna nie chciała pokazać dokumentu nabycia — więc oddano z płaczem i z gniewem, ale oddano i konia i charty, i przekonano się, że tak nie mógł postąpić szlachcic, tylko żyd albo Niemiec. Moja Julka takby z siebie zadrwić nie dała — nie prawdaż, ale już Julii w pokoju nie było, a szambelan zażywał tabakę z ukontentowania, że na starość pannę i zarumienił i wygonił.

Prot często przy Julii zapominał z gumiennym karby przeliczyć i gorzelnego pisarza rachunki sprawdzić, a nawet odebrane pieniądze z propinacyi do kassy zanieść. Trzeba było, żeby Kordula przyszła i za kołnierz: — a idźże, dość tym gawędom, końca im nigdy nie masz, a nas kradną, wsystko się marnuje i sami bez obuwia będziemy chodzili a dzieci nasze będą bez kawałka chleba i on wstawał windowany z krzesła — idę idę, i oglądał się i wstawał — i pchany przez żonę za drzwi — powtarzał: — idę, idę, póki Kordula za nim drzwi nie zamknęła.

A Symforian, ten się po prostu zakochał jak kot, według miejscowego przysłowia.

Dziwny to człowiek ten Symforian Czaykowski, w całem znaczeniu słowa, piękny człowiek i ciałem i duszą: co w sercu to i w mowie a co w worku, to w dłoni i między ludźmi. — Trzy razy stracił majątek co do grosza — i trzy bogate spadki po ciotkach, wujach, podniosły go na nogi; teraz dotraca majątek po raz czwarty. — W 1810 roku podpurucznik w kirasierach Małachowskiego, w 1811 na żądanie pani Zajączkowej adjutant jenerała Zajączka. Pani jenerałowa pomna dawnej przyjaźni, jaka ją wiązała z matką Symforiana, w macierzyńskiej czułości, żeby młodość nie zmarnował, w Krakowie, w kamienicy kwaterze jeneralskiej, postawiła go na górze nad swoją sypialnią. Podporucznik z nudów i z zamiłowania choreografii przebrał cztery zgrabne Krakowianki w ubiory Kozaków — i zaprezentował pani jenerałowej, jako młodych Kozaków przysłanych mu z Ukrainy, do służby. I wieczorami uczył je tańców, przez miłość sztuki, w nadziei, że wyrobi jaką Elsner, albo Taglioni, dla Polski. Na tym świecie gadatli-

wym i najlepszy uczynek nie może się ukryć, wszystko się wydało. Jenerałowa we wściekłość wpadła z gniewu — jenerał śmiał się do rozpuku a Symforian Czajkowski, z bratem swoim ciotecznym Ksawerym Marszyckim i z Krakowiankami — Kozakami, odesłanymi zostali do huzarów Umińskiego, na poprawę.

Jenerał Umiński baraszkował, hulał, tańcował, grał w karty z poprawczą komendą i wszystko szło dobrze. Ile razy jenerał Umiński zdybał swojego porucznika rozwalonego w koczu, w wice-mundurze, w stósowanym kapeluszu, grającego z wiatrem piórami, to wiedział, że przyszła flota złota i srebrna z Ukrainy, to wiedział, że nie przystępować do pana porucznika, ale były bale, pohulanki i sztosik i faraonik. — Ale ile razy Symforian Czaykowski, w mantylu, w dołmanie — w kołpaku, przy szabli, przybył na dzielnym rumaku do kwatery swojego dowódzcy, to dowódzca wiedział, że ani grosza nie ma w kieszeni, że oficer gotów do służby.

Po wojaczce wrócił pod rodzinną strzechę i choć pełnoletni, sam pan, znalazł dwóch opiekunów, brata starszego Prota i stryja, Kajetana Czaykowskiego, starostę Bachtyńskiego, podkomorzego Wendeńskiego, bezżennego, bezdzietnego, liczącego swój majątek na miliony.

Prot pożyczał pieniądze w gotówce, w remanentach, w wiktuałach — zapisywał sobie tylko procenta prawne, nabywał długi u innych wierzycieli i tak się urządzał, że nie dopuszczał nigdy ani do zastawu, ani do rozbioru — żeby nie szarzać rodzinnego imienia — nie puszczać na frymarkę rodzinnego majątku, resztki dopłacił. nabył wszystko na swoje imię. Prot dorobił się majątku i krzywił się na złe czasy, dla brata musiałem zrobić, ale to kłopot. Symforian burłakował, i cieszył się, że dobrze skończył interesa, nic nie mam, ale nikomu nic nie winienem.

Starosta Bachtyński, skąpiąc do tego stopnia, że w drodze, nie stając przed karczmami, żeby nic ludziom nie kupić, ale pod stertami, w czystem polu dobywał cichaczem z kieszeni suchy chleb, i obwijał sianem, żeby ludzie myśleli, że je siano, i chleba nie żądali. Lubił u drugich zjadać obiady, i pijać dobre wino, i znał się na nich. Dla tego często nawiedzał Sym-

foriana, żeby nadzierać, jak się prowadzi, i jak prowadzi gospodarstwo. Chwalił kucharza, chwalił wino — a nawet lubił przypatrywać się dziewkom babińca, których było nie mało, i czarnobrewnych i jasnowłosnych, i smukłych i zaradnych. — I wtenczas z uśmiechem mówił: — To Waćpana harem, Waćpan jesteś jak Sultan, prawdziwy Sultan. — Ale nigdy nie zrzędził, ani łajał, ale dla tego też żadnego grosza w podarku nie dawał, chyba kwaśne jabłka, albo orzechy świstaki.

Symforian wiedział, kiedy starosta przyjeżdżał z pieniądzmi w gotówce a kiedy z papierami tylko. Postępowanie jego ze starym sługą Danielem było barometrem. Daniel był wszystkiem, furmanem, lokajem, kucharzem, marszałkiem dworu, a w potrzebie i powiernikiem. — Starosta miał zwyczaj przed pójściem spać wypalać kilka lulek tytoniu mocnego, zwanego bakunem — i wtenczas zamykał się w pokoju ze swoim sługą.— Jeżeli kazał Danielowi przy drzwiach stać mówiąc: — Kabanie tam stój, tam twoje psie prawo — to znak, że nie było nic innego w kufrach tylko papiery.

Ale jeźli starosta kazał mu siadać, mówiąc: — Danielu, siądź, ja nie taki, jak dzisiejsi panowie, co to sługę za psa nie mają — ja mam go za człowieka, takiego samego, jak ja — służba nie krzywdzi, co dziś ciebie, to jutro może spotkać mnie, jesteśmy sobie równi przed Bogiem, jak ludzie przyjdą do rozumu to będziemy równi i przed prawem. — To znak, że miał pieniądze — a jak pozwalał Danielowi fajkę zapalać, a nawet kazał, to pewnie były pieniądze i grube.

Jednego razu, po tej ostatniej wskazówce, Symforian, który już ostatnim groszem gonił, ośmielił się starostę prosić o pożyczkę kilku tysięcy dukatów. Starosta, który postanowił sobie cały dzień bawić, nie odmówił, tylko się uśmiechnął:

— Ależ Waćpan strasznie szumisz, haremy, szampany wszystko poszło i wszystko pójdzie, jak tak dalej potrwa. —

Symforian myśląc, że uchodzi starostę, nie kazał stawiać na stół wina szampańskie, ale zapytał stryjaszka, czy nie będzie pić kasys.

Stryjaszek aż skoczył: — To nie dość z Waćpana szampańskiego, będziesz sprowadzał jakieś kasysy. —

— Ależ Stryjaszku, to najtańsze wino. —

— Rozumiem, rozumiem Waćpana — dajmy pokój kasysowi, a pijmy szampańskie. —

Pili szampańskie, ale starosta odmówił pożyczki, a co gorsza w swojej Agiendzie zapisał: — Symforian nie kontentuje się już szampańskiem, ale sprowadza kasysy. —

Symforian chciał pożyczyć pieniędzy, żeby mógł się oświadczyć o rękę pięknej Julii. Ex-kirasier i ex-huzar wiedział, że na tym świecie, do wszystkiego, tak do wojny, jak i do małżeństwa, trzeba pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

Z początku Julia, chociaż obsłona uludy spadła jej oczów, chciała jechać do Nerczyńska, gdzie zostawał w ciężkich robotach jej narzeczony. Ale stary szambelan, któremu wiek osypał głowę tym śniegiem, który nie stopnieje i z życiem pójdzie na tamten świat, nie chciał rozstać się ze swoją Rusałką i mówił:

— Po co Waćpannie tam jechać? Czy to przez miłość dla jego pięknych oczów człowiek w pięćdziesięciu latach, nie Adonis, można go znosić, ale zakochać się w nim nie podobna. Żeby jeszcze miał pałace, posługaczy — co ma się rozumieć pobrzękacze toby jeszcze można wmówić w siebie, że się kocha,bo tu u kobiet brylantami i tryftykami , karetami i cugami, można zastąpić i młodość i wdzięki, jednem słowem, ze zgrzybiałego Plutusa, zrobić pięknego Andymiona — albo dostać takiego — choć to nie potrzebne, bo Waćpanny buziak stanie za pobrzękacze. — Ale pan pułkownik, wszak teraz tam jakiś numer w Nerczyńsku, nie ma i złamanego fenika przy duszy — głód, chłód, moja Julcia i w rączki i w nóżkiby chuchała i dmuchała, a na cóż to się zdało. Waćpanna chciałaś zrobić z pana pułkownika bohatera, zbawcę Polski, pochwalam zamiar — i Waćpannę za to jeszcze więcej kocham, bo to pięknie po polsku, ale niestety wpadłaś na tych politycznych reformatorów, których słusznie nazwać można niedołęgami, jeźli nie osłami polityki, i którzy nic więcej nie umieją popełniać, jak błędy. Nieboszczyk hrabia Fleming i nieboszczyk hrabia Brühl, mówili, że w polityce, osły i błędy, stokroć razy, milion razy gorsi, jak gałgany i zbrodnie i dalibóg mieli racyę — choć to ckliwa moralność, paskudna sentencya — ale prawdziwa, praktyczna. Porzuć Waćpanna te romansy — nie

udało się z jednym, to się może udać z drugim, znajdziemy bohatera. Kto ma Waćpanny oczki i buziaka, ten bohatera znajdzie, o dalibóg znajdzie. —

Pogładził po liczku, pocałował nawet w szyję — i Julia nie pojechała.

Tymczasem pułkownik Szweykowski nie doczekawszy się narzeczonej w Nerczyńsku, bo ludzie podstarzali choćby jacy, zawsze wmawiają w siebie, że są Lowelasami, i że wszystkie kobiety za niemi gonią, zgryzł się, napisał list, włożył weń pierścień i odesłał narzeczonej. W liście były frazesa Byrona, Getego, Kanta, Juwenala, Woltera — nawet myśli z Satyr ks. biskupa Krasickiego — ale nie było jednego: kocham — młodego serca. Julia czytała, mało spazmów nie dostała, spazmów nudy, nie rozpaczy; list złożyła na stolku, a pierścionek włożyła na palec: błyszczał on pięknie, jaśnie: jak dawniej — błyszczał on oczom i sercu Symforiana Czaykowskiego.

Symforian lat czterdziestu jeszcze nie miał, pięknością swoją więcej był podobnym do Herkulesa, jak do Adonisa. Wszystko miał co trzeba, aby być panem — szlachetnie w sercu, rozum w głowie — ale niestety często pusto w kieszeni. Gdyby nie to, byłby pan całą gębą. Julii się podobał więcej, jak inni — z przypomnień pokazało się, że przed odjazdem Symforiana na wojaczkę, Julia wówczas malutka dziecina, nazywała go swoim mężem. — Prot i Kordula dokończyli interesów Symforiana — chcąc go dla jego własnego dobra widzieć bezżennym — opowiadali o niestateczności i o marnotrastwie ex-huzara — w bardzo przyjaźnych kolorach. W miejscu zrazić panną Julię, te opowiadania zrobiły przeciwny skutek: w myśli sobie powiedziała: Ja go ustatkuję. Kobieta czarodziejka, jak dzielny jeździec — od lubi konie rozhukane, dzikie tabuny nawet, i te mu najmilsze, kiedy je ujeździ — ona lubi popróbować swojego uroku, swoich wdzięków, na ujęcie w więzy namiętności kochanka, i kierowania niemi, jednem skinieniem oka, jednym uśmiechem, jednym słówkiem — i wtenczas najszczęśliwsza, bo potężna wdziękiem. I Symforian mógł mieć nadzieję, że będzie kochanym.

Stary szambelan powtarzał: Dobrze to dobrze, kochajcie się

i Pan Bóg tak przykazał, i bez tego ludzi nie stałoby na świecie, z małżeństwem przyjdą dziatki, a z dziatkami wypadki. Teraz wam się zdaje, że na zielonym ryważu, przy białym letażu — jak śpiewa pan Jaxa Marcinkowski, można opływać w rozkoszach miłosnych — to nie na długo — zielone łąki znudzą, białe mleko się uprzykrzy bez domu i intraty, bieda diga za katy, i w miłość i w kochanków. Biedusia to djabelski gość, jak zawita, to wszystko zwarzy: i piękność dziewczyny i bunczuczność młodzieńca, bo to wszystko nie wieczne, przechodzi — a bieda niestety nie — do grobu zagoni. Dla tego trzeba pomyśleć od stryjaszka dostać trochę grosza, poprawić interesa, ustatkować się przed ożenieniem się, bo po ożenieniu nie będzie czasu — już będzie po harapie, jak w pierwszych dniach żona nic więcej w domu nie zostanie, tylko miłość i kłopoty i biedę. —

Symforian przyznał, że ma prawdę pan szambelan, i dla tego chciał rozczulić stryjaszka — kasysem, ale stryjaszek tak się znarowił, że przestał nawet nawiedzać Symforiana — a przeniósł swoje wycieczki na Halszyniec, na najmłodszego swego synowca Michała, syna najmłodszego swego brata, Stanisława. Tam mu nigdy nie gadano o pożyczce, jadł, pił, panoszył się i dowcipkował. Jednego dnia dziwił się wielkiej ilości psów, chartów gończych i legawych u synowca — nawet się zmarszczył, ale pan Michał wnet powiedział, że każdy pies łapał tylko lisów, wisków, zajęcy i innej zwierzyny — obrachował ceny skórek, mięsa i pokazał czysty zysk — po odtrąceniu wszystkich a wszystkich wydatków.

Starosta się uśmiechnął: Pan Zawisza Czernichowski powiada, że gdyby polowanie było intratną rzeczą, to dawnoby je żydzi wyarendowali, ale on nie widział żyda myśliwego i sam nie myśliwy — ale Waćpan, to już jesteś ekonomik postępowy, zapisałeś psy w pańszczyznę, to wydoskonalenie obywatelskie, szlacheckie, nie demokratyczne, winszuję. — I obracając się do pana Sadowskiego — podsędka Żytomierskiego i do pana Mikulskiego, skarbnika Nurskiego, dwóch swoich największych przyjaciół: — Waszmość panów biorę na świadectwo, że mój synowiec, pan Michał, zapisał psy w pańszczyznę, szarwarki i daremszczyznę — i wszystko to zapisał w pugilaresie pod notę

o Symforianie Czaykowskim. A teraz weźmiemy po kilka tych psów pańszczyznych, niech też i nam odrabiają pańszczyznę. —

Starosta był wesół, rozmowny, z podsędkiem i skarbnikiem rozprawiali o Jadźwingach, czyli Jazygach, Hadzykach i dowiedli, że nazwisko pochodzi od tego, że ten naród napastniczy i konny, zawsze był zbrojny w nahajki czyli kańczugi, i czy przyjaciela witał, czy na nieprzyjaciela napadał, zawsze krzyczał, ha — a potem nahajką dryg, co znaczy uderzył, i od tego zwał się Hadzygą. — Późniejsi pisarze ruscy nie wchodząc w źródło słów prawdziwy, nazwali Jazyk, że miał obcy sławiańskiemu język, że za panowania królowej Jadwigi przyjęli wiarę chrześcijańską, nazwali Jadźwingami na hołd płci pięknej i to koronowanej. Potem egzaminowano pana Karola Różyckiego, ożenionego z synowicą pana starosty, oficera wojsk polskich, ułana, z geografii i kaligrafii. Potem tak sobie podochocili węgrzynem, że byli jak bez duszy. Sprowadzony sławny lekarz Szlemer, na każdego popatrzył i każdemu zaśpiewał: — Jadłeś indyki, barany, a teraz leżysz, jak malowany. Przebudził się starosta: — Mospanie, nie piłem kasysa, wszystko dobrze będzie. Kazał Danielowi przynieść misę kapuśniaku i zjadł, a potem wypił całą szlankę roztopionej słoniny; to było jego lekarstwem, kiedy się trochę przejadł albo przepił; jak się przeziębił, to zjadał na noc garniec krupniku z jaglanych krup, dobrze okraszonego na poty, a jak nie domagał, wypijał pół garnca esencyi piolunowej; świeżo wyciśniętej; innych lekarstw nie używał, od lekarzy stronił, nie dla tego, żeby miał przeczyć nauce, bo nauki wszystkie szacował i sam był uczony, ale żeby nie dawać pieniędzy, jakby któremu z nich przewidziało się go leczyć, i tak przeżył już dziewięćdziesiąt pięć lat i powtarzał: — zrobiłem większy majątek, jak pani Branicka — po długim przestanku dodawał: — w papierach. —

Na takim człowieku spoczywały nadzieje Julii i Symforiana, od niego zależał ich los, ich szczęście, ale starosta ani słuchać nie chciał o pożyczce, wszystkim odpowiadał: — Nic z tego, marnotrawca, ma haremy, spija kasysy, po mojej śmierci dostanie, co mu należy, a teraz nic z tego, nic nie dam. —

Jednego dnia ni ztąd ni zowąd, nieużyty stryjaszek przysłał

pannie Julii w podarunku kosz jabłek, przez Daniela, umyślnie o pięćdziesiąt werstw drogi. I Julia i Symforian myśleli, że w tem jakaś tajemnica, zamknęli się w pokoju, na drobne kawałki pokrajali jabłka, ale ani brylantów, ani złota w nich nie znaleźli, rozczarowani nadzieją dostatków, ale oczarowani kochaniem, przysięgli sobie wierność i wieczną miłość i na tem koniec.

Czekać, kiedy człowiekowi na niczem nie brakuje, to jeszcze można; niecierpliwi się człowiek, nudzi, ale czeka; ale czekać, kiedy wszystko się rwie, to rozpacz prawdziwa. Symforian nie miał tej wytrwałości, żeby półrubelkami albo rubelkami dziennie żyć i tak czekać spadku po staroście, obrachował się z bratem — zaprosił do Radomyśla, bo wtenczas był Chorążym Radomyślskiego powiatu, wszystkich braci obywateli; przez trzy dni hucznie traktował — a po trzech dniach, po opłaceniu zostało mu kocz, cztery konie, kuczer, kuchmistrz, kamerdyner i pół rubelka w kieszeni — z temi puścił się do Halczynia w gościnę, wesół, choć goły i zakochany.

I kilku dni nie bawił w Halczyniu, kiedy dano znać, że Starosta mocno chory umiera. — Kozacy dworscy gońcami się rozlecieli na rozparcie koni, na wszystkie strony — i trzy doby nie upłynęło, a już więcej trzydziestu głów spadkobierców było zgromadzonych w Chodorach, gdzie mieszkał pan Starosta — synowie, córki od braci i sióstr, mężowie córek i potomstwo od potomstwa. Wszystko było obecne.

Starosta miał kilkanaście wsi i kilka miasteczek, gdzie były piękne dwory, a nawet dwa zamki, ale on tam nie mieszkał, żeby nie wydawać wiele — obrał sobie mieszkanie w wioseczce zwanej Chodory, wśród ogromych borów i bagien, w Radomyślkiem — nim dojechać, trzeba było połamać powozy i nogi koniom, kości sobie — i dla tego nie miał gości. Domek składał się z czterech pokojów, żadnego innego mebla, oprócz tapczanów, stołków i stołów, z gruba ociosanych przez tamtejszego młynarza — na ścianach rysunki z historyi syna marnotrawnego, nie w ramach, nie za szkłem, ale klejem pszenicznym na ścianie poprzyklejanych. W całym domie tylko jeden był etatowy sługa, znajomy nam Daniel — do wszystkich służb chodzili kolejką, ze wsi kobiety i mężczyzni, ale ze swoich domów się żywili.

W domie było pełno kuferków i kufrów — z papierami — w lochach i lamusach było pełno cukru, kawy, win, bakalii i innych wiktuałów, które przywozili żydzi porękawicznego i w podarkach, kiedy chcieli pożyczać pieniądze, albo kiedy nie chcieli lub nie mogli uiścić się z zaciągniętych długów — ale tego nikt oprócz pleśni nie tykał.

Starosta był człowiek rozumny, uczony i ludzki; nie uciemiężał chłopów — nie nękał dłużników — tylko lubił przymnażać swoje kapitały na papierze procentami, kondemnatami, procesami, czemby to nie było, byle było więcej milionów — ta milioneria i skąpstwo były jego namiętności. Mawiał swoim synowcom: — Waćpan lubisz kobiety — Waćpan bankiety — Waćpan psy — Waćpan muzykę — a ja miliony, bo tak najlepiej, co kto lubi. —

Starosta był mocno cierpiący, gangrena z nogi już dochodziła do piersi — leżał na tapczanie, na prostym sienniku, pod głową skórzana poduszka, przykryty płaszczem z rekruckiego sukna — cierpiał, ale ani lekarza ani lekarstwa nie chciał. Kiedy się zjechali spadkobiercy, testament już był napisanym, przy świadkach, podsędku Antonim Sadowskim i skarbniku Mikulskim i w aktach zaobłatowany. — Ten zjazd ani zatrwożył, ani go zadziwił, każdego uprzejmie, o ile mu choroba pozwalała, witał — uśmiechem ukrywał boleść. Zawołał Daniela.

— Mopanku, trzeba im co zrobić jeść — teraz gorąco, nie trzeba, żeby się objadali, boby gotowi się pochorować; weź tę czarną kurę, co to pozawczoraj w ogrodzie złapali i zrób juszkę, ale nie gęstą, słyszysz. —

I ten rozkaz rozerwał boleść nawet, zdawało się oko być spokojniejsze po tym akcie skąpstwa.

Ból jednak musiał być ogromnym, bo cała twarz się zmieniła — zacisnął zęby, ale wytrzymać nie mógł i zawołał: — O gdyby mi kto odjął, dałbym mu dał — zatrzymał się, pot zimny wystąpił na czoło i domówił: — dwa karbowane ruble. —

I skąpiec Moliera nic dobitniejszego nie powiedział. — Pozwolił nareszcie wejść lekarzowi Klein, pod warunkiem, że po ego śmierci nie będzie żądał honorarium od spadkobierców. — Dane morfium trochę uśmierzyło bóle, prosił, by czytano testa-

ment. Zaczęto od spisu majątku. — Oczy mu się zaiskrzyły, kiedy wyliczono w kapitałach ośm milionów pięć kroć sto tysięcy złotych, a kiedy zaczęto wyliczać wioski, remanenta, poprawiał, gdzie w czytaniu zrobiono omyłkę jednej sztuki, tak wszystko pamiętał i tak tem był zajętym. — Kiedy przyszło do rozdziału schedy — do artykułu — «Synom brata mojego Michała Czaykowskiego, pułkownika kawaleryi narodowej, Protowi i Symforianowi Czaykowskim, każdemu po połowie schedy — ale ponieważ Symforian marnotrawi majątek, trzyma haremy jak Sułtan turecki, spija nie tylko szampany, ale i kasysy nawet, scheda jego ma zostać pod zarządem i opieką brata jego Prota, a on będzie pobierał prawny procent, dzieci jego także i wnukowie aż do trzeciego pokolenia, póki nie wyplenią się te nałogi sułtańskie i chętka do kasysu.» —

Uśmiechnął się do Symforiana: — Widzisz Waćpan, że nie zapomniałem tych kasysów, nie wierzę w poprawę, a byt i twój i twego potomstwa zapewnić muszę. —

Kiedy czytano artykuł: — «Synowi, brata mojego Stanisława Czaykowskiego, posła Kijowskiego Województwa na sejm trzeciego Maja, Michałowi Czaykowskiemu, za jego szlachetne i rozumne postępowanie — za wydoskonalenie ekonomii, przez zapisanie psów w pańszczyznę, zostawiam trzy części schedy dla niego, a czwartą dla sióstr — i chociaż jest nieletni, w zarząd mu zaraz oddać jego schedę, a pod opieką jego zostawić część jego siόstr, on sobie da radę.» — Przywołał synowca i pocałował go w czoło.

— Ty sobie dasz radę wszędzie — tylko zawsze rób po swojemu. —

Do ostatka wysłuchał testamentu i swoich dwóch przyjaciół i wszystkich spadkobierców pożegnał, pobłogosławił; modlił się nawet, ale spowiadać się nie chciał — mówiąc: — Nikogo nie skrzywdziłem, zbierałem majątek, bo to była moja jedyna namiętność — daj Boże, aby on był dobrze użytym. —

I skonał, nie jęcząc ale cierpiąc. Daniel płakał jak dziecko, i dwaj przyjaciele płakali, choć wszyscy spadkobiercy znaczny majątek brali i mieli się czem pocieszać — wszyscy byli smutni — bo zeszedł z tego świata — skąpiec cnoty.

Stypa, staraniem Symforiana była taka świetna — tak obfita

we wszystko, że po stypie wszyscy a wszyscy spadkobiercy bez wyjątku ofiarowali Symforianowi Czaykowskiemu do czasu ostatecznego rozdziału administracyą wszystkich dóbr pozostałych po staroście z gratyfikacyą należną. — Była to niejako protestacya za kasysem, ale zawsze dowód serc szlachetnych, serc polskich — żeby nikt nie narzekał, ani nie płakał na zmarłego dobrodzieja, takie rzeczy tylko w jednej Polsce napotykać się mogą.

Wkrótce potem nastąpiły zaręczyny panny Julii Wąsowiczówny z Symforianem Czaykowskim, i pierścionek noszony przez księcia Ipsylantego, przez pułkownika Powałę Szweykowskiego znalazł się na ręce Symforiana Czaykowskiego. — Dziewica oddając mu go, nie zadrżała, a on jednak nieszczęście z sobą nosi — ona była tak pełna szczęścia, że ani pomyślała o nieszczęściu.

Ślub miał być w prędce, ale kilka wypadków nieszczęśliwych przeszkodą stanęło.

Naprzód zastrzelił się Józef Wąsowicz, syn szambelana, Symforyana przyjaciel: miał wszystko, dobrą żonę, piękną córkę, ojca szanowanego przez wszystkich, majątek, przyjaciół, dobre imię — znaczenie — zastrzelił się z ciekawości, żeby zobaczyć, co się dzieje na tamtym świecie; czy tam lepiej jak w starym Kijowie, ale nie wrócił, żeby nam o tem powiedzieć.

Właśnie wtenczas, kiedy rewolucya Burbonów znowu z Francyi wygnała, a cesarz Mikołaj gotował ogromne siły do przywrócenia ich na tron, na przekorę rewolucyi i woli narodu, mówiono wszędzie, Polacy powstaną, oni tak zawsze robili i teraz zrobią. — Nie powstali, kiedy Rossya wojowała o Turcyą, boby byli odzyskali byt i stali się potężnym narodem — to dla nich było za rozumne. — Teraz powstaną, bronić Francyi, która ich o to nie prosi, ani im za to będzie wdzięczną — i zginą — to będzie po rycersku, żeby mogli się chlubić: Żeby mogli śpiewać: Francuz — Polak dwa bratanki — albo Węgier, Polak, dwa bratanki — siadaj na koń, wychylać szklanki, bić się za Francyą, za Węgrów — ażeby nie było Polski.

Szambelan już nie mógł wstawać z łóżka, kazał, aby je podsunięto pod okno i tak mu głowę podniesiono, żeby mógł widzieć, jak Pan Stanisław będzie prowadził ułanów polskich,

przez Stawki, do Kijowa. Nie mógł dopatrzyć — wołał: — Julko, pójdź tam na górę, a patrz, czy idą czy nie idą. Julia była mu piastunką i dzień i noc nie odstępowała chorego — i ona nic wypatrzeć nie mogła. Szambelan wypatrując i powtarzając, idą, zeszedł z tego świata za synem Józefem, nie doczekawszy się syna Stanisława.

Jeszcze nie przepłakała Julia śmierci szambelana, swojego opiekuna — którego kochała jak ojca, kiedy jej przyjaciółka Eliza księżna Galicynowa, wezwała ją do siebie w imię przyjaźni. I ona także dotkniętą była srodze losem — brat jej Józef zabitym został w kłótni przez Golejewskiego, drugi brat Stanisław także zeszedł z tego świata, a ojciec był na śmiertelnej pościeli; — szukała u przyjaciółki pociechy, pomocy. — Julia biegła z niemi do siostry swego serca — o kiedy serce żyje jeszcze nadzieją szczęścia, wtenczas ono i smutek dzieli i pociechę niesie, bo czuje i gorąco czuje.

Kamerher Złotnicki inaczej swoje dni kończył, jak szambelan Wąsowicz — do okna siebie przysuwać nie kazał, nie pytał się, czy idą czy nie idą, tylko ciężko wzdychał — spowiadał się i bił się w piersi — moja wina, moja wielka wina. Kazal sobie podać szkatułkę z papierami i jedne po drugich wszystkie popalił, spaleniznę w słabych palcach próbował, czy w proch pójdzie, czy śladu nie zostawi, nie chciał widzieć światła Bożego — reszty synów nie czekał, bo ci byli przy nim, do zmarłych nie było mu spieszno, ale głos jakiś wewnętrzny mu komenderował: — marsz — marsz. Wszystkich wyprawił i jeszcze się sam został ze spowiednikiem; konwulsyje go porwały, noc całą trwały, nadedniem skończył. — Spowiednik mówił smutnie: — wielki to grzesznik, ale miłosierdzie Boże wielkie, módlmy się za niego — i wszyscy się modlili. Tak skończył kamerher cesarski w kilka tygodni po szambelanie królewskim.

Tymczasem Symforian na Wołyniu, w miasteczku Torczynie stroił dwór dla przyszłej żony — pieniądz płynął ryczałtem, pożyczał, sprzedawał, żeby wszystko było wytworne, bo Julia taka była piękna, on ją tak kochał, chciałby jej nieba uchylić — gwiazdy pod nogi posłać — świat cały i siebie na kolana przed nią rzucić, żeby ją czcili, żeby ją wielbili, żeby do niej się mo-

dlili. Ona mu światem, życiem, szczęściem, ona mu wszystkiem.

Ale poezya szczęścia, uwielbienia, nie mogła być zawsze w niebie, musiała zstąpić na ziemię, brakło pieniędzy, ze wszech stron przynoszono rachunki, pożyczył jeszcze jakąś sumę — kazał kończyć roboty, zabrał rachunki: — w drodze je przejrzę. I pojechał do swojej Julii, żeby się odrodzić po tych kłopotach.

W drodze zając przebiegł drogę i jeden i drugi, kilka popów zdybał, i baby z próżnemi wiadrami — złowieszcze znaki — przed karczmą Wygodą powóz się złamał, posłano do wioski po majstrów, w karczmie nuda, deszcz jesienny zaciągnął się na cały dzień, błoto, i za wrota wyjść trudno. Symforian zaczął rachunki, rachuje, rachuje, poci się, mozoli jak Tukaj, kiedy duszę swoją zapisywał djabłowi, zrachował co ma, co mieć może i co winien, i przeklęte zero sprawdza po raz drugi, po raz trzeci, zawsze zero, ćmi mu się w oczach, zdjął pierścionek zaręczyn z palca, przyłożył na zero — jak raz całe zakrył. Wstał, przechadzał się po izbie, machnął ręką — niechże będzie zero. Dobył pistolet — na rachunkach w około pierścienia zakrywającego zero napisał, niech będzie zero. — I zastrzelił się.

Gdy wieść smutną z pierścieniem przyniesiono Julii Wąsowiczównie, zadrżała jak liść osiki, ale o ścianę się nie oparła — łzy nie uroniła — pierścień już nie włożyła na rękę, ale zawiesiła na piersiach przy szkaplerzu i weszła do zakonu Mariawitek w Berdyczowie — :ona już oddawna i sercem i przeczuciem była siostrą miłosierdzia, śmierć po śmierci przepowiadały jej złą dolę i nieszczęście i ona zeszła z tego świata, choć nie zmarła.

W kilka miesięcy później Julia już zakonnica, Marjawitka była w Cudnowie, kiedy po rozbiciu piechoty moskiewskiej i Ahtyńskich huzarów, powstanie Karola Różyckiego weszło do tego miasta. Jechał wódz dzielny na złotogniadym koniu, a za nim raźni mołodce, krwią obryzgani, pyłem osypani, ale dumni zwycięztwem. Widzi ich Julia i każdego poznaje i oni ją poznali — to ich Rusałka Czarodziejka, ich Kijowianka, taka

piękna jak dawniej. Każdy sercem chciał powiedzieć: — kochaj, kochaj mnie — ale nie widząc na ręku pierścienia zaręczyn ustami szemrał: — błogosław nas, módl się za nami. I ona błogosławiła i modliła się. Oni poszli, ona wróciła do zakonu, i zamarła dla świata, jak oni gdzieś pomrą, nie w Polsce.

JULIAN DUSZYNSKI.

JULIAN DUSZYŃSKI.

Żadna ziemia w świecie nie wydała tylu, że tak nazwę, błędnych rycerzy, wędrowników niezmordowanych i myśli i czynu, ile nasza biedna Polska. Przy naszych: Michałku Wojciechowskim, Dulskim, Marchockim, Achmetowiczu Baszy, Julianie Duszyńskim, Skinder Paszy i tylu innych bledliby Cagliostro, Sen Zermen i tylu innych bohaterów awanturniczego istnienia, o których popisano niepoliczone pamiętniki. Przeszli oni do potomności i zostaną na kartach historyi świata; szkoda naszych tak zwanych, w zwyczajnym narzeczu, oryginałów, zostawiać w szrankach doczesnej pogadanki, która mrze z ludźmi i jeźli się czasem po nich przechowa, to zawikłanym podaniem bajki nianek i mamek, z którego niewiele zrozumieć można. Zapewnie że z opisu, czyli ze spisu tych istnień awanturniczych nie wiele można mieć pożytku, mniej nauki, ale można chwilkę się zabawić — a i to już wiele na tym padole walki, cierpień i zgryzot. Dla mojej własnej zabawy, a może też dla zabawy jakiego poczciwego czytelnika zbieram w myśli i rzucam na papier wszystko to, co wiem o Julianie Duszyńskim, którego osobiście i doskonale znałem. Łączę w jedno to wszystko, co wiem od niego; co wiem od drugich, i co sam widziałem; bo inaczej nie byłoby uzupełnionej całości tego dziwacznego, w części przesadzonego, ale w części prawdziwego istnienia.

Julian Duszyński, należący do jednej z lepszych szlacheckich rodzin Ukrainy, urodził się przed ostatnim rozbiorem Polski.

Ojciec jego majętny obywatel, strwonił majątek gorsząc sąsiadów i polując z niemi. Matka z rodu Mielenkiewiczów bogobojna niewiasta, wychowała Juliana i dwie jego siostry, Honoratę i Ewę, we wszystkich cnotach polskich i religijnych. Oddany do szkół w Berdyczowie do kks. Karmelitów Bosych. zyskał u współuczniów wielkie imię przez następne wydarzenie: Ksiądz Przeor Karmelitów Berdyczowskiego zakonu miał synowicę czy siostrzenicę dziwnej krasy, do której przez miłość familijną pisał wiersze pogańskie. Mały Julian wkradł się w łaski tej wychowanki, i jednego dnia ukradłszy Idylę, gdzie panna Marcyanna była porównaną do Wenery, wszedł do refektarza, w którym się znachodził ks. Prowincyał, ks. Przeor, i wszyscy przewielebni Ojcowie Bosi — a że spóźnił się, zapytano:

— Gdzie byłeś smarkaczu? — Malec zbliżył się do ks. Prowincyała:

— Księżę Prowincyale Dobrodzieju, byłem u św. Wenery, którą ks. Przeor złapał i trzyma. —

— Co ten osieł plecie. —

— Prawdę mówię, oto Kantyczka, którą ks. Przeor dla niej napisał. — I oddał Idylę, a nie tracąc miny dodał: — Żeby ks. Prowincyał Dobrodziej kazał św. Wenerę postawić w ołtarzu i ubrać w koronę, tobym chodził modlić się do kościoła, a nie na Jurydykę, gdzie chowa tę piękną świętą ks. Przeor. — Wyprowadzono malca z refekterza a ks. Przeor pogroził mu: — Skórka na buty, nauczę ja cię rozumu. — Tegoż samego dnia jeszcze, w obec współuczniów dostał sześćdziesiąt, odlewanych, jak mówią w szkołach, boćkowskich kańczugów. Wstał, popatrzył: — Tak potrafi i pastuch, co świnie pasie, bić, ale rozumu nauczyć to i ks. Przeor nie potrafi, chyba św. Wenera — dostał drugie tyle, ale współuczniowie okrzyknęli, że chwat, choć kuda kozak — i to mu zostało. Na popisach szkolnych, a raczej na popisie, po rocznych egzaminach, zapytany przez św. pamięci Wielkiego Tadeusza Czackiego, wiele jest Bogów, bez zmięszenia się odpowiedział:

— U kks. Karmelitów trzynaście — w Farze trzech. —

Tyle było ołtarzów w jednym, a tyle w drugim kościele. — Zapytany gdzie jest raj, odpowiedział: — W Krakowie, bo tam są groby królów, którzy pozwalali hulać i wojować. —

— Gdzie jest piekło? —

— W Petersburgu, bo tam się rodzą Carowie, co nas za łeb biorą i w skórę biją, jak ks. Przeor. —

Kks. Karmelici i Bosi zastraszyli się, Tadeusz Czacki zaśmiał się, a Juliusz Duszyński został ogłoszonym pistoletem dowcipu, mieczem patryotyzmu i zaczął rej wodzić między studentami.

Astronom Kisielewski, wydawca Kalendarza Berdyczowskiego, używał go do redakcyi tego wielkopomnego pisma. Jego wymysłowi i pióru należy się ta anekdota: — Gospodarz chcący uczęstować gościa, przybyłego w wielki upał, zawołał, chłopcze, przynieś wody. Chłopiec nalał w szklankę i przyniósł w ręce — a że gospodarz był modnym panem, groźnie ofuknął: Cóż to ośle, w dłoni przynosisz, czemu nie na talerzu — chłopiec wyszedł, kręcąc głową, wylał wodę na talerz i wnosząc, myślał, ciekawy jestem, jak' ten modny pan będzie chleptał, jak pies z talerza. —

I ta druga: — Ojciec zapytał syna, który powrócił z edukacyi z Paryża, wiele jest kościołów w rodzinnym Żytomierzu — odpowiedział po francuzku senk (cinque, pięć), Ojciec pokręcił głową: — to prawda, że sęk, tego waści nie nauczono w Paryżu. —

Publikum, szczególnie starzy byli bardzo kontenci z anekdot, bo to była wyraźna obrona starych obyczajów, narodowego języka. Oprócz rubelków na abonamenta, słano Astronowi Kisielewskiemu prosięta, mąkę i wódeczkę w prezentach, zapomniano nawet o owych trudnych do odgadnięcia astronomicznych wyrachowań — stronami pogoda, stronami deszcz — i kalendarz Berdyczewski rósł w taką sławę, jak gdyby był Iliadą Homera dla Ukrainy, Wołynia i Podola.

Julianowi Duszyńskiemu dobrze się wiodło i ks. Przeor musiał się z nim rachować, jako z Juwenalem kalendarza Berdyczowskiego. Nie widział albo przez szpary patrzał na modły do św. Wenery. — Jednego dnia na wiosnę zniknął Julian Duszyński; astronom Kisielewski w wielkim kłopocie, nie poszedł na obserwatoryum przez teleskop Herzela wypatrywać tego młodego przyjaciela, ale poleciał z raportem do ks. Przeora. Ks. Przeor skoczył na Jurydykę do kościoła św. Wenery, ale niestety nie

zastał ani świętej ani grzesznika. I ona zniknęła, a z nią klejnoty, dary ks. Przeora.

Puszczono się w pogoń na wszystkie strony — i kanafaktarz klasztoru i chłopiec wymiatacz obserwatoryum i żydzi faktory, a nawet dwóch piliponów z komendy Horadniczego; nie można było nigdzie znaleść śladów; utonęli w Berdyczowie — na piaskach — w żydowskiem błocie.

Dopiero w parę tygodni poźniej, hułani, Konnopolce, złapali w Kodni pielgrzymka i pielgrzymkę, udających się na odpust do Poczajowa, bezpaszportnych, to byłaby mniejsza — ale Pielgrzymka młoda i ładna — Pielgrzym miał klejnoty, więc konfiskata. Wieść doleciała natychmiast do Berdyczowa i ks. Przeor, choć bosy, przybiegł natychmiast. Ale, niestety, został już Św. czczoną przez Konnopolców — a Juliana zaopatrzonego w paszport siadającego na perekładną, nie na odpust do Poczajowa, ale na douczenie się do Krzemieńca. Wszyscy byli zadowolnieni oprócz może ks. Przeora, który powrócił do klasztoru pokutować za grzechy.

Tadeusz Czacki poznał ucznia Karmelitów bosych, kazał umieścić w Gimnazyum i oddał pod szczególny dozór profesora Jarkowskiego. Duszyński nie był wcale ładnym chłopcem, zeszpecony ospą, tak, że go chłopi zwali rabym, ale był praworny, wesół; grał na gitarze, tańczył, prędko się nauczył szczebiotać zagranicznemi językami — pisał wiersze rymowe i nierymowe, rezonował o wszystkiem, bez zająknięcia się odpowiadał na każde zapytanie i był człowiekiem wziętym: jednej mu tylko brakowało rzeczy — pieniędzy, by mógł odegrać wielką rolę w świecie krzemienieckim.

Krzemieniec był podówczas Paryżem, nie tylko Rusi ale całej Polski. Swoboda i narodowa edukacya, którą uposażyli Polskę zaboru rossyjskiego, ks. Adam Czartoryski i Tadeusz Czacki, najlepiej się przyjęła w Krzemieńcu. Najbogatsze rodziny zjechały się tam na mieszkanie dla edukacyi swoich dzieci. — I przez wyborne towarzystwo Krzemieniec stał się świetnym. Zgromadzenia, bale, zabawy uprzyjemniały naukę i dodawały otuchy i podniety do niej. Uczęszczanie do takich zebrań pomogło Duszyńskiemu do nabrania barwy człowieka dobrego towarzystwa. Kilka pojedynków szczęśliwie odbytych

i szalona odwaga, którą okazywał w jeżdżeniu na koniu, w drapaniu się na górę zamkową zwróciły na niego uwagę płci pięknej. Piękna hrabina P. żona półkownika rossyjskiego, dowódzcy noworossyjskich dragonów, wzięła go w szczególną swoją opiekę, na żądanie męża wszedł do pułku jako junkier, i zaraz z pułkiem poszedł w r. 1805, w pomoc Austryakom, przeciwko Wielkiemu Napoleonowi. Duszyński chociaż wdział na siebie mundur rossyjski, był doskonałym Polakiem; przywiązanie i wdzięczność dla opiekunki trzymały go pod tym sztandarem, ale ciągle myślał, jakimby sposobem i w tem położeniu mógł oddawać posługi Polsce.

Przed bitwą pod Austerlic, będąc w eskorcie W. Ks. Konstantego, który z generałami Żerebcowem i Uwarowem rozpoznawali posterunki nieprzyjacielskie, będąc niedaleko od posterunku hułanów, których wziął za Polaków w służbie Napoleona, poskoczył koniem ku nim, wołając: — Konstanty Pawłowicz tu, hura bracia na niego! — Posterunek będący w małej liczbie, cofnął się, a Duszyński schwytany przez Dońców eskorty, był stawionym przed W. Księcia: nie zmieszając się powiedział, że go złość porwała widząc posterunek przypatrujący się W. Księciu jakby szydził — nie mógł wytrzymać, skoczył wołając: — Konstanty Pawłowicz tu, hura, poszli woń — i oni uciekli. W. Książe zaśmiał się, poklepał po ramieniu — i awansowano go jeszcze tego wieczora na oficera. W bitwie pod Austerlic pułk jego pierwszy eskortował cofanie się w czwał, W. Księcia Konstantego i generała Żerebcowa — sławne w dziejach wojennych Rossyi. I Duszyński z nim.

W 1809 r. pułk noworossyjski dragoński był w korpusie generała ks. Galicyna, posiłkujący wojsko francuzkie przeciwko Austryi. Polacy służący w tym korpusie dezertowali do pułków polskich ks. Józefa Poniatowskiego; Rossyanie, rozumiejący szczerość swojego gabinetu w tem przymierzu, wstydzili się reklamować dezerterów, którzy w ich sławiańskiem sumieniu pełnili powinność dobrych Polaków, a wojsko polskie zwiększało się dzielnymi i wyrobionymi żołnierzami. — Julian Duszyński z całym swoim zwodem zdezerterował pod rozkazy ks. Józefa Poniatowskiego; zaraz został umieszczonym w swoim oficerskim

stopnia, i jako umiejący języki cudzoziemskie przeznaczony do sztabu generała Zajączka.

Ukrainiec, praworny, zaraz zyskał względy generała wzrosłego na Ukrainie — generałowej na Ukrainie urodzonej: Jeszcze w młodości słyszał, że generał Suwarow we Włoszech odpędził od siebie kilkunastu adjutantów, którzy odpowiadali, nie wiem — na zapytania: czyj dom, czyja ziemia w kraju, w którym pierwszy raz się znajdowali, póki nie znalazł Polaka, Kozłowskiego, który na wszystkie zapytania opowiadał bez zająknienia: imiona, nazwiska — i rzeczy wymyślane, o wszystkiem wiedział. Suwarów powtarzał: — Adjutantem Suwarowa nie znajka (po rusku nie znam, to nie wiem) być nic może, Kozłowski to znajka, prawdziwy Suwarowski Adjutant, będziesz Jenerałem — i był adjutantem i Jenerałem. Duszyński szedł w ślady Kozłowskiego, co mu było nietrudnem, myśląc, że znalazł Suwarowa w Zajączku. — Ale nie został Jenerałem. W roku 1811 przeznaczony do sztabu Marszałka Makdonald, księcia Tarentu, odniósł tylko tyle pożytku, że nie był na przeprawie Berezyny i poznał się z szefem szwadronu Selve, potem sławnym w Egipcie, pod imieniem Solimana Paszy. Po skończonych wojnach przy organizacyi wojska polskiego pod Wks. Konstantym, został porucznikiem w pierwszym pułku strzelców pieszych, pod dowództwem Szembeka. — Wkrótce wziął dymisyą i wrócił na Ukrainę.

Tu dopiero na bujnej Ukrainie rozwinęła się bujna imaginacya Juliana Duszyńskiego. Przywdział na siebie biały mundur z czerwonemi rabatami, jakicheś ułanów, których nikt nie widział, o których nikt nie słyszał, szlify pułkownikowskie, piuropusze jeneralskie, ordery nie tylko wszystkich sprzymierzeńców, ale wszystkich rządów zwyciężonych przez Napoleona zawiesił na piersi. Wołyń pierwszy poklasnął temu bohaterowi swojego własnego utworu. Marszałek Stecki, mecenas Wołynia, prawdziwy pan ukraiński, zaprosił go do swego domu w gościnę do Międzyrzecza.

Duszyński prawił mitologią o wojnach Napoleona, przystępniejszą uchu i pojęciu szlachty, jak opisy Jominiego i Segura. W szkołach kk. Pijarów plótł jak na mękach o astronomii kalendarza Berdyczowskiego Karmelitów Bosych. W Maneżu,

jak bawełnę motał pod sobą koniem — ciskał dżyrytem, ciął szablą. W salonach tańczył kozaka, grał na gitarze hiszpańskiej Bolero, śpiewał po włosku, po hiszpańsku, po cygańsku nawet, a przy kieliszku, jak potrzeba żydowskie aj wej i majufez. Tak obałamucił poczciwego marszałka Steckiego, że ten byłby go wziął za Napoleona Wielkiego, a nawet za Rektora Uniwersytetu Wileńskiego, którego był podkomendnym, jako kurator szkół Międzyrzeckich.

Doskonały to był Polak i wielki pan ten Marszałek Józef Stecki. Prawdziwy mecenas edukacyi, bo na nią łożył krocie i poczciwie. Jak sam mówił: — W rodzie Steckich mamy jedną przywarę, że żaden z nas nie doszedł z proformy do trzeciej klasy, chociaż chodziliśmy do szkół przez nas założonych, w naszem dziedzicznem mieście, Międzyrzeczu Koreckim — jednak dla tego największą mamy namiętność do edukacyi i do polowania — i w rzeczy samej kosztem Marszałka Steckiego, Międzyrzecka szkoła została Gimnazyum, została uposażoną bogatą biblioteką, gabinetem fizycznym, astronomicznym, dostała trzysta tysięcy złotych polskich i wieś Haruczę, której dochody powinny być obracane na edukacyą biednej młodzieży. Kosztem Marszałka corocznie trzydziestu uczniów z Międzyrzecza wyjeżdżało na kończenie edukacyi do Uniwersytetu Wileńskiego i Warszawskiego, a sześciu za granicę. — Stajnia Marszałka dostarczała koni do maneży dla uczniów, jego koniuszy był nauczycielem jazdy konnej, żeby nasposobić, jak powiadał, dzielnych Kozaków Ułanów dla Polski. — Tak mało był obeznanym z gramatyką, że jednego dnia dyktując sam jakiś list uczniowi ze szkoły po godzinnym dyktamencie — uczeń zapisawszy dwie ćwiartki, rzekł: — Panie Marszałku, ale słowa nie ma żadnego, nikt nie zrozumie. Marszałek porwał list i poniósł do żony: — Patrz Teklusiu, co tu słów, a on powiada, że słowa nie ma. — Teklusia bardzo uczona matrona, czytała, czytała i nic nie zrozumiała, słowa nie znalazła. Tak dalece znał jeografią, że kiedy jednego roku kupiono mu w Anglii dwa piękne ogiery za dziesięć tysięcy dukatów i obawiano się, aby w przejeździe przez morze nie pochorowały się, kazał napisać rozkaz do rządzcy dóbr jego Chabenszczyzny w Owruckim powiecie, żeby zaraz wysłał cieślów z drzewem, żeby z Anglii, która

ma być wyspą, tak się wyrażał, postawić most do Francyi, żeby jego ogiery na okrętach nie jechały — i to zaraz.

Dla takiego magnata Duszyński był prawdziwym skarbem, o wszystkiem wiedział, o wszystkiem gadał a Marszałek go woził i do szkoły i na polowanie i między obywateli braci i wszędzie prezentował: — Otóż go masz. — W końcu ożenił go z panią Czachurską, młodą i bogatą wdówką, mającą w wianie cztery porządne Wołyńskie wsie.

Duszyński został panem — na drugi dzień po pojęciu żony i objęciu majątku jechał do powiatowego miasta Równa. W drodze zdybał pułkownika rossyjskiej artyleryi Radowicza. Furmani nie chcieli sobie ustępować z drogi — zaczęła się wojna na batogi. Duszyński się w nią wmieszał, a że przy nim była siła i liczba, powóz pułkownika został w rów wywróconym, a Duszyński zwycięzca pojechał w dalszą drogę. Pułkownik Radowicz nie wiedząc, z kim miał zajście, a dowiedziawszy się o wyjściu za mąż pani Czachurskiej, w wioskach, której stała jego komenda, pojechał oddać wizytę nowemu małżeństwu. Duszyński poznał wchodzącego przeciwnika, a myśląc, że ten przyjechał odwetować za wczorajsze — porwał się do cybucha, i nierozmówiwszy się z gościem, krzyknął na ludzi i obił skórę grzecznemu pułkownikowi i wypędził go z domu. Nazajutrz wrócił pułkownik ale z oddziałem artylerzystów, porwał Duszyńskiego, będącego jeszcze w szlafroku i na sznurku, piechotą poprowadził z sobą do Milatyna, o dwadzieścia werstw drogi, gdzie była jego kwatera. Duszyński powiada, że go uczęstował wodą z octem i po reprimandzie puścił na powrót piechotą do domu. Ale sąsiedzi i żona powiadali, że go gorzej uczył rozumu, jak ks. Przeor Karmelitów Bosych w Berdyczowie — i na wozie został przywiezionym do domu; gorzej uszwankowany, jak gdyby był w obrotach niedźwiedzia, przeszło dwa miesiące leczył go doktór z Międzyrzecza — Niedermayer i pan marszałek Stecki często go nawiedzał, powtarzając: — Choćby cię pieczono i smażono w smole, nie mów tego, co się działo w szkole — tego się nauczył jeszcze w proformie czyli w parwie i Duszyński usłuchał tej rady.

Ale ludzie nie słuchali. Fama gruchnęła po całym Rowieńskim powiecie. Pułkownik Radowicz musiał się podać do dy-

misyi, bo oficerowie', jego koledzy, nie chcieli służyć z bitym. Wyzwano się na pojedynek. W tem Wks. Konstanty, któremu policya o wszystkiem donosiła, kazał obydwóch zabrać żandarmami, zawieść do Dubna i oddał pod śledztwo, na prezydenta którego przeznaczył Jenerał Liejtnanta Gogla.

Zarzucano Duszyńskiemu samozwaństwo stopnia i orderów, przypomniano dawną dezercyą. Marszałek Wylczyński komisarz cywilny, radził nie przyznawać się, zapierać wszystkiego, ale jenerał Gogiel podpoiwszy Duszyńskiego, namówił go do napisania listu do Wks. Konstantego, w którym się przyznał do winy i zdał się na jego łaskę i niełaskę. Odpowiedź przyszła: Odebrać stopień i szlachectwo i zasłać w wieczne sołdaty bez wysługi. Wykonanie wyroku miało miejsce na kilka miesięcy przed śmiercią Cesarza Aleksandra, kiedy już gadano o spiskach, a towarzystwa księgi zielonej i Templaryuszów ogromnie się rozkrzewiały na Wołyniu, Ukrainie i Podolu. — Polacy wówczas, jak wtenczas, we wszystkiem chcą widzieć coś tajemniczego, nadzwyczajnego: krzyknęli, że to męczennik wolności i patryotyzmu — despotyzmu ofiara, ta wieść zaleciała przodem niego do pułku, do którego był przeznaczony na sołdata, i mimo, że czytano wyrok za samozwaństwo, za dezercyą, za pobójkę nawet — żaden z poczciwych burbonów moskiewskich, tak zowią biednych oficerów piechoty, nie chciał temu wierzyć. Przyjęto Duszyńskiego, jak męczennika, wszystkiem z nim się dzielono, on opływał we wszystko i bezczelnie im kłamał. Tak, że jedni mówili, to pierwszy Farmazon — drudzy, to może sam Napoleon, uciekł Anglikom, a W. książe go capnął i w sołdaty. Dobrze się działo Duszyńskiemu, ale nie można było się dowiedzieć prawdy, co robił przez ten przeciąg czasu, bo kiedy w roku 1838 Adam Mickiewicz chciał pisać życie Duszyńskiego i zapytał go właśnie o tę epokę: — Wiesz kto to był w rewolucyi w czarnym fraku, który zabił Miłoradowicza, to ja byłem i ja zabiłem. Ja rewolucyą zrobiłem, ja komenderowałem, w imieniu Wks. Konstantego, bo byłem z nim w zmowie. Z Kostusiem byliśmy, jak to mówią Niemcy, bruder a bruder, ale on Niemców nie cierpiał — znaliśmy się jak cygańskie kobyły, bo to on i ja wszystko robiliśmy — i zobaczyłbyś coby to było, gdyby nie ta flondra — ta Joasia. wielka mi pani księżna Ło-

wicka ze swojemi księżami nie popsuła wszystkiego — z tem swojem przykazaniem: nie zabijaj. — Kostuś był zły, mruczał jak niedźwiedź — brum — i mnie i Trubeckiemu powiedział: gdzie djabeł nie może, tam poszle kobietę — dajmy pokoj, co się przewlecze, to nie uciecze — i teraz to mówi, to on jest, żyje — w Egipcie siedzi, daleko za piramidami za Nilem — widząc że się wszyscy uśmiechają — dodał: To myślicie, że on nie żyje, to ludzie wierzą w pisma i w druki — żebyście tam byli, gdzie ja był, to widzieli co ja widział — to byście inaczej brzdąkali — żyje i żyć będzie i zobaczycie, że nie kto inny postawi na nogi Polskę, tylko Wks. Konstanty, mój kochany Kostuś. — Adam Mickiewicz machnął ręką i powiedział: — daj pokój — i już więcej nie wypytywał Duszyńskiego i zaniechał pisanie jego życia.

Ja myślę, że przez ten czas Julian Duszyński w jakimeś garnizonie Wielkiej Rusi jadł, pił i Burbonom Stupajkom prawił niesłychane cuda — przy końcu 1826 r., ukazał się w Żytomierzu, w jednym z pułków piechotnych ciągnących na wojnę turecką — był przy Jenerale Liejtnancie Konstantym ks. Lubomierskim, którego dworem zarządzał — a raczej Jenerała bawił swojemi opowiadaniami. Tu znalazł się znowu z Ukraińcami, służącymi w wojsku rossyjskiem.

Po wzięciu Sylistryi Jenerał ks. Konstanty Lubomirski z powodu ran i słabego zdrowia odjechał z wojska do domu, a Jenerał Major Kaufman, do którego brygady należał pułk, w którym służył Duszyński, kazał go wziąść do frontu, jak po rossyjsku się wyrażają — pod pałki i pod karabin. Rossyanin by tego nigdy nie zrobił, ale Niemiec to co innego, i było bardzo źle Duszyńskiemu.

W tymże samym korpusie, który obiegał Szumlę, byli oficerami w ułanach dwóch braci Grudzińskich, którzy dawniej znali Duszyńskiego. Jeden z nich widząc jego biedę i prześladowanie, radził, żeby zmykał do Turków. Kiedy Grudziński komenderował forpocztami, dał Duszyńskiemu siwo-pstrokatego konia z osiodłaniem oficerskiem, płaszcz oficerski podbity tumakami z bobrowym kołnierzem, złoty zegarek repetier i kieskę z kilkunastu dukatami, przeprowadził za wedety, przeżegnał na drogę, niech cię Bóg prowadzi.

Cała butność wróciła Duszyńskiemu, puścił wodze koniowi, i imaginacyi wodze puścił — i koń czwałował i imaginacya czwałowała — i tak wjechał między forpoczty tureckie, i witał z przyjaznemi oznakami — na migi — i słowami Lech-Rardasz. Natychmiast go zaprowadzono do Seraskiera, którym podówczas był Mehmed-Reszyd Pasza.

Sławny to mąż, sławny wojownik, Gruzianin rodem, syn popa — ale godny stać obok Ewrenasów, Michalogluch Sokolich i Omer Paszy Latacza. Takiemi to mężami wzrosła w potęgę Wysoka Porta Sułtanów, i groziła światu. Już wtenczas zmuszono Wysoką Portę do przyjęcia pokoju, i słano do Wezyrów i Seraskierów rozkazy, by zaniechano boju. Ile razy taki rozkaz odebrał Mehmed Reszyd, kazał dzielnemu Bośniakowi Izet Paszy Todaliczowi, synowi sławnego Halli Paszy, wsadzić na koń Spahisów, darł przed niemi rozkaz, i z niemi hura na Moskali, i bił — pod Jeni-bazar — pod Kulewczą — nad Kamesykiem i spokojnym i szalonym — i donosił w odpowiedzi Porcie tego a tego dnia rozkaz odebrałem, zrozumiałem, poszedlem i pobiłem Moskali.

Przed takiego męża był przyprowadzonym Julian Duszyński, Zapytany kto jest, odpowiedział: — Polak, Jenerał całej inżynieryi rossyjskiej, przychodzę służyć Wysokiej Porcie i bić wrogów Polski i Turcyi. — Seraskier na sofie posadził, ugościł cybuchem i kawą. — Kazał dać konak, służbę, honory i przez trzy dni, jak dostojnego Paszę traktowano. Biesiadował, spoczywał. Czwartego dnia przyprowadzono przed wschody konaku dzielnego dżameta, przybranego w złocisty rzęd, dosiadł Duszyński, raźno, dzielno, zawiódł w prawo, w lewo, z polska po turecku— aż Turcy ustami klasnęli, na podziwienie — pokręcili głowami — Maszałach. I pojechał z Seraskierem za okopy miasta.

Seraskier wskazał ręką na pole, bujurum (proszę) pokaż co umiesz, gdzie trzeba baterye zrobić — i jak. — Kręcił się Duszyński koniem po polu, jak djabeł się kręci, kiedy go wrzucą w kropielnicę wody święconej — bełkotał jak na mękach, pokazywał rękoma, jak dawnego autoramentu telegraf w kontuzyach, ale nikt go nie rozumiał — i możeby było się udało — ale w świecie Seraskiera był Niemiec, umiejący po polsku, tro-

chę tłumacz. trochę inżynier — ten wytłumaczył i przekonał, że Jenerał nic nie umie, ani wyobrażenia o inżynieryi nie ma,

Seraskier tylko dwa słowa powiedział: bilmes (nie umie) jałandsy (łgacz) — skinął ręką, natychmiast Duszyński był zsadzonym z konia, w mgnieniu oka rozebranym, rozzutym, do kija związany postronkami za obydwie nogi przy wstawach, przewrócony, pięty w górę — dwóch Spahisów bykowcami wyliczyli mu w obydwie pięty po kilkadziesiąt razy. A potem został odesłanym do Stambułu na postronku z poleceniem, aby był sprzedanym na targu niewolników.

Tak się stało; krótka była sprawa i rozprawa. Duszyński, jako posiadający konowalstwo, tak też oświadczył, awansując z inżyniera na konowała, został kupionym przez jakiegoś Persa i zawiezionym do Teheranu.

Czy konowalstwo tak mu poszło, jak inżynierstwo, tego nie wiadomo, bo nie można było się dowiedzieć od nikogo, bo świadka jego pobytu w Persyi nie zdarzyło się nikomu zdybać. — On powiada, że leczył konie cukrem i bursztynem, że takiej nabył sławy, że Szach Perski, wziął go do swojego dworu za wyleczenie kasztanowatego ogiera pochodzącego od sławnej klaczy proroka Al-Borak — dał mu własną córkę w zamęście tylko pod wielką tajemnicą i osadził zaślubioną parę w grocie jednego ze swoich najpiękniejszych ogrodów i karmił ich ananasami i szorbetami, a poił sziraskim winem, a w końcu chciał go zrobić Sadrazanem i hanem Mirzą następcą swojego tronu.

Opowiadanie Duszyńskiego tak brzmi o tym wypadku: — Wy nie wiecie, co to ten wschód, a jeszcze wschód perski. Na niebie gwiazdy, jak brylanty pływającce po błękicie, a u kobiet oczy jak biegające gwiazdy. Moja Peria, to jest moja żona, była piękniejsza od wszystkich gwiazd nieba, od wszystkich kobiet, nazywała się Sasafrasa, tak ją nazwał Szach, czyli jak go zwano w starożytności Zopur — król królów — bo była gładkiego ciała, jak atłas, a taka filgranowa, jak genueńskiej roboty fraszka — i dla tego dostała nazwisko Sasafrasa. Z taką Rusałką było żyć i umierać, i tak też ja robiłem, a jaki ogród — pomarańcze, granady, magnelie, i Bóg wie jakie drzewa i kwiaty czysty raj chrześcijański, siódme niebo muzułmańskie — a owoce same rozpływały się w gębie — a jaka grota — nasze mie

szkanie z marmuru i alabastru — upstrzone w szmaragdy, rubiny i turkusy; oprawne na arabeski złote i srebrne; w niej fontanny, tryskające szerbetami z ananasów, pomarańcz, cytryn i malin, a gdzie niegdzie wino szyraskie bursztynowemi wstęgami sączyło się w puchary złote — w drugich miejscach czerwony nektar Heratu rubinem pienił się w srebrne puhary — a takie zimne jak lód. Otóż w takiej grocie siedzieliśmy z Sasafrasą. Ona chrupała granaty, jak francuzkie gryzetki chrupią orzeszki, z wielkiej miłości — a ja popijałem to szyrackie, to herackie wino, zwyczajnie szlachcic polski z Radomyślskiego powiatu — i zapominaliśmy o świecie. Księżyc w pełni północ znaczył — kiedy weszły do groty dwa ogromne lwy, zawsze one szacha poprzedzały, ale tak późno, co to znaczy — a za niemi wszedł sam Szach i z nim jakiś człowiek barczysty, silnie zbudowany, obrośnięty na twarzy jak niedźwiedź. Sasafrasa zakryła się zasłoną i uciekła w głąb groty między swoje niewiasty; dalibóg śliczne dzierlatki, takich kawiarek i u naszych paniczów nie wiele. — Patrzę, przypatruję się nowo przybyłemu. Stanąłem frontem, wyciągnąłem, ręce chciałem położyć na szwy, ale nie było gdzie położyć, bo byłem w chałacie, jak to mówią, rozebrany jak do rosołu — nie wiem dla czego. Wasze Wysoczestwo, Wasza Cesarzewiczowska Mość, bo był W. Konstanty, Cesarzewicz, naczelny wódz naszego polskiego wojska. On zaśmiał się, poklepał po ramieniu. — I ty tu i ja tu — i tak mnie pokręcił za policzek, z miłości, że aż mi łzy w oczach stanęły, mało com nie oddał heratskie i szyraskie wino. I dopiero w gawędkę, jak ja tu przybyłem, jak się on tu dostał. Ale stary Szach, poczciwe człowieczysko, przerwał gadankę. W drodze się nagadacie, czas nie stoi, trzeba zmykać, bo już Mikołaj przystał i swego posła i swoich żandarmów: aż mnie drzeszcz po za skórę przeszedł na samo wspomnienie żandarmów. Mikołaj, to nic, stanąłbym przeciw niemu i na noże i na armaty, bom nie tchórz — nie zajęcze serce w mem łonie bije, ale żandarmy to co innego — niech ich djabli wezmą, lepiej od nich uciekać. Nie będę wam opisywał, ile to było rozpaczy ze strony mojej Sasafrasy; płakala biedaczka, a łzy się lały zdrojami, jak wino szyraski z fontanny. Stary Szach nas błogosławił i przeżegnał na drogę znakiem krzyża świętego. — Jeden z słuchaczów się

odezwał: — ależ Persowie to Muzułmanie. — Duszyński bez zająknienia się odpowiedział: — Dla dobrych przyjaciół wszystko wolno; zresztą religie dla chłopów, nie dla panów — i dalej prawił: — W półgodziny już byliśmy w tachtarambanach i ja i Kostuś. a wiecie. co to tachtarabany — skrzynki, albo klatki. takie, w jakich woził zwycięzca Tamerlan zwyciężonego Bajazyda Ildiriema. w jakich wożą haremy wschodu, i przestępców wschodu, zgoła to wszystko. co nie chcą, aby było widzianem: dwa drążki, jak hołobce — z przodu jeden muł. z tyłu drugi, i tak haide w drogę; nasze tachtarabany były wykładane materacami i dyftykami — i wszelka w nich była wygoda i jadło i napitek. Żeby oszukać żandarmów. którzy już z Zasiedatelami po całej Persyi nas szukali, skoczyliśmy jak zające. na północ, kiedy perekladne moskiewskie z dzwonkami poleciały na południe i zachód. — Zaskoczyliśmy z parą razy i stanęliśmy w Astrabacie. Kiedyście się uczyli geografii, to wiecie, że Astrabad leży nad Kaspijskiem morzem, i że Kaspijskie morze jest uważanem za wielkie jezioro, nie mające komunikacyi z żadnem innem morzem: to wszystko bajki — Szach nas przekonał o tej nieprawdzie. a to zobaczycie jak.

Zaledwie przybyliśmy do Astrabadu, nie dano nam wyleść z naszych tachtarambanów, bo i tam byli żandarmi moskiewscy. Konsul z Resztu, podobno Polak, przysłał zasiadatela na obserwacyą ,— wprost nas zaniesiono z tachtarabanami na wielki trzech masztowy okręt. Przypomniałem sobie, co mnie uczono u wielebnych Karmelitów Bosych w Berdyczowie o tem Kaspijskiem morzu — i co pisał szanowny pan Kisielewski o tej Kaspii, bez komunikacyi zwierzchniej z innemi wodami, i ciągnącej swoje wody z zaskóry ziemnej z jej wnętrza. — Myślę sobie, gdzie my popłyniemy. chyba do Astrakanu w paszczę Moskalom, albo może Szach. przez zemstę za nasłanych żandarmów, bo to przyznajcie. że zniewaga wielka dla panującego i koronowanego Zopur — chce z mego Kostusia zrobić Dżingiskana albo Tamerlana i szle go do Hiwy. a że Kostuś pod Austerlic pokazał. że dusze tych hanów tatarskich nie przeszły w jego ciało, więc mnie posyła za Namiestnika, za gałgę, bo wie. że w mojem ciele mieszka, jeśli nie dusza Herkulesa, to przynajmniej Jemiołki Pugaczewa. tego marszałka kreacyi Wolterowskiej,

który tęgiego strachu napędził swojemi zalecankami Wielkiej Katarzynie. Może też i mnie się uda zadać tabaczki na kichanie wnuczkowi i pomścić mojego Kostusia. Spojrzał po słuchaczach, dumny ze swojej erudycyi, i jak ks. Praniewicz w myśli sobie brzdąknął — poczejkę mam, historyjkę znam — i dalej mówił: — Nie udało mi się św. Wenery wciągnąć w poczet świętych kalendarza Berdyczowskiego, ale może mi się uda mojego naczelnego wodza zrobić Cesarzem. Imperatorem, wszem tatarskim i wszem sławiańskim — zlać w jedno dwie rasy. szabli i pługa, konia i bawoła. Ale i tu jak zawsze — człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Marzyłem o wielkości, o potędze. o sławie nieśmiertelnej, aż tu słyszę ogromny ruch na pokładzie okrętowym: — wychodzimy co to jest — rzecz dziwna — niesłychana. Sadrazan Szacha perskiego, pierwszy minister, zapomniałem wam powiedzieć, że był dodanym do naszej eskorty — ogromnym kluczem otworzył skałę sterczącą na brzegu, i nasz okręt z masztami sterczącemi. z rozpiętemi żaglami, puścił w kanał podziemny, taki zupełnie jak ten, który z was nie jeden widzieć musiał w własnym ogrodzie Potockich w Zofijówce. z niedostępnego na słodkie morze — tylko w Zofijówce to w miniaturze, na sztukę — a tu na wielką skalę, na prawdę. Nie spodziewałem się takiego figla i dla tego nie wychodziłem na pokład, bo inaczej byłbym wypatrzył brzegi i tę bramę — a tak tajemnica zostanie przy Szachu i jego Sadrazanie, a geografowie nic o tem wiedzieć nie będą. Dowiedziałem się nawet, że kapitan okrętu. czyli Reis i majtkowie byli tak pijani, że nie mogli nic widzieć, tylko był jeden Mikmandar. przewodnik nam dodany, głuchy i niemy, taki, jakich używają we wszystkich radach w muzułmańskich krajach do posługi i ceremonii rady, i temu było przyporęczonem prowadzenie nas, ale dodać muszę, że mu obcięto obydwie ręce po wstawy, żeby nie mógł napisać artykułu do geografii albo gazety jakiejś. Bo i Szach, jak wszyscy Monarchowie świata ogromnie się gazet boją — zresztą kto wie, czy nasz Mikmandar umiał myśleć, ciągle przewracał oczyma — ale ani krzykiem, ani gestem nic nam pokazać nie mógł. Rozumni to ci ludzie na Wschodzie, kiedy na takie sposoby wpadli. W haremach, czyli po naszemu mówiąc w babińcach, na ucztach i biesiadach, zwanych ziafetami i dzumbusami, ani jednego słowa

o polityce — palą fajki, piją kawę, jedzą, upijają się, i tylko pek — ei — bardzo dobrze — inszałach — maszałach i nic więcej. Na radach, zwanych Medżilisami, rozprawiają i stanowią przy sługach niemych i głuchych, dla tego te medżilisy potęgi muzułmańskiej zasadą, bo zachowują tajemnicę. Między Muzułmanami przypuszczonymi do rady, większe milczenie za radą, o tem, co było w radzie, jak w szkole — wedle przepisu większa tajemnica, jak między Frankmasonami i Templaryuszami Majewskiego. A jeśli wam mówię, że taki minister, taki radca stanu, Muzułmanin — takiemu posłowi wydał tajemnicę rady — to temu nie wierzcie, durzą oni i obełgują przerozumiałych Franków i z nich się naśmiewają. I Grecy i Armianie, te szatany Muzułmanów rzadko kiedy co widzą a najczęściej obełgują łatwowiernych posłów a z nich tajemnice wyciągają, by nieść Muzułmanom w dowód swej wierności. Słyszałem, że jeden z potężnych Muzułmanów, urodzony w Benderach, na pograniczu Ukrainy, wychowany w Wenecyi, we Włoszech, kiedy został Wielkim Admiralem, powiedzial jednemu posłowi, swojemu przyjacielowi: — Wszystkie wasze zachody, prezenta, dawane i nam i naszym Grekom lub Armianom do niczego nie prowadzą, bo u nas w radzie tylko polityka prawdy — a w tej wy nie zasiadacie i o niej się nie dowiecie. — Za radą wszystko łgarstwo, łgarstwo kupujecie — i na łgarstwie opierając się, nie możecie trafić do polityki prawdy. Wiedzcie, że polityka muzułmańska względem was ogranicza się na dwóch słowach — bakałem — zobaczemy — kiedy chcemy was łudzić i manewrować z wami politycznie — istenem — nie chcę — kiedy to powiemy, zaraz bierzemy się do szabli. Dla tego Muzułmanizm, rządowie, jest wyższym od wszystkich innych wyznań i póki go zachowamy tak, póty zachowamy Państwo. — I prawdę mówił.

I naczelny wódz i ja przyznaliśmy jak najuroczyściej słuszność Szachowi, że nam tajemnicy otworu nie powierzał. — Geografia będzie na tem cierpiała — ale polityka perska zyska, jak przyjdzie uciekać przed zasiadatelami i żandarmami moskiewskiemi. — Sadrazan widać trzymał czas jakiś bramę otwartą, żeby wiatru dość napuścić do żeglugi — bo nasz okręt jak szalony pędził — jak rumak rozhukany skakał, a woda darła się przerywanym szumem. Po kilku godzinach cwał okrętu

zwolnia. Nie było jasno, ale też nie było i bardzo ciemno, bo od werstwy do werstwy były poprzebijane otwory aż do powierzchni ziemi, któremi i powietrze i światło do nas dochodziło. Po stukaniu wioseł w belki podziemnego kanału, z dźwięków można było poznać pokłady granitowe, metaliczne i piaskowe; nieraz wyraźnie rozróżnialiśmy dźwięk złota, srebra i miedzi a w kilku miejscach brylanty błyszczały z góry jak gwiazdy, z dołu jak oczy wilków. Człowiek, to dziwna istota, do wszystkiego przywyka, choćby do najgorszego — jechaliśmy pod ziemią, jedliśmy, piliśmy i gawędziliśmy. Tu dopiero dowiedziałem się o powstaniu w Polsce w 1830 r., o tej olbrzymiej wojnie w 1831 r. Naczelny wódz opowiadał waleczność wojska, które zorganizował, dzielność dowódców, których wyuczył, o Jenerale Dwernickim, tym liwerancie armat dla wojska polskiego, nie za pieniądze i pieniędzmi, ale łancami Ułanów i Krakusów — o rozkazie dziennym, że Jenerał Dwernicki dobrze się zasłużył Ojczyznie — o drugim pułku Ułanów, a pierwszym pułku Ułanów, o czwartym pułku piechoty, o Ostrołęce, o Stoczku, o Wielkim Dębie. Wszystko to mi Kostuś opowiadał, dodając: — Nie chciał lampasów dać mojemu wojsku za koronę, którą mu dałem, o mało nie stracił koronę, kiedy moje wojsko bez pozwolenia przyszyło sobie lampasy. Za każdą bitwą mówiłem temu Zabałkańskiemu Dybiczowi — to moi Ułani, moje czwartaki, to nie twoje Ułany zadunajskie; uciekniesz gdzie pieprz nie rośnie, w Sybir, i tak było. Żeby połowę było ładu i składu w głowach polskich, ile męztwa w ich sercach i zamiarach, mówiłem, zróbcie mnie królem — ja was jak ten w spódnicy Marysienki, Jan trzeci, albo jak ten dzielny Stefan Batory, na pole bitwy nie zaprowadzę; bo to nie moja rzecz — ale wam zorganizuję, wysztyftuję i wyuczę tyle batalionów, tyle bateryi, tyle szwadronów, że ojca Mikałuszkę zapędzicie do Chin po herbatę — ale nie chcieli mnie słuchać i jak tylko mojej kozy i mojej grozy nie stało — wszystko poszło na veto, na nie pozwalam — i na djabli wiedzą — szkoda. — Uściskałem Kostusia, bo miał racyę, prawdę mówił jak ewangielię i pomyślałem sobie: — Dla Polski trzeba, ażeby jaki Konstanty był królem i samodzierżcą Polski, bo inaczej ze szlachtą i z panami i z chłopami z mieszczanami i żydami, z Wielmożnymi i z uro-

dzonymi, zostawionymi sobie samym. — Wodę warz — woda będzie. —

Czas schodził, zapomniałem o godzinach, o dniach na pogadance, tak jak nie wiedziałem przez dwa lata o tem, co się działo na tym Bożym świecie, w naszej Polsce, bo cały żyłem w Sasafrazie — taki to niepoprawny człowiek — Bóg go tylko poprawia. Okręt się nagle uderzył, tak, że nas wszystkich powyrzucał z łóżek, schwyciliśmy się na nogi, biegniemy ratować się, nie rozbił się okręt. Jesteśmy na czystem, spokojnem morzu — wśród obłoków jasnych, lazurowych i złote słońce świeci nad nami. Naokoło naszego okrętu ćma łódek, wysadzają nas, biorą, wiozą, wysadzają na ląd, jestem w Egipcie — w Aleksandryi — zewsząd mnie wołają: — Julku — Monsieur Duszyński — jestem w objęciach sławnego pułkownika Selve — Solimana Paszy, jeszcze sławniejszych — Mehmed Ali Paszy — Wicekróla Egiptu. —

Takie było opowiadanie Juliana Duszyńskiego — świadkowie zaś tych wypadków, bo niestety byli, powiadają, że Julian Duszyński kurując konie cukrem i bursztynem w Persyi, zyskał reputacyą doskonałego konowała. I jako taki przysłanym został agentowi wice-króla egipskiego, przysłanemu za kupnem niewolników, potrzebnych do reformy Egiptu. Kiedy Egipt wojował, zakupował niewolników na Kaukazie. Kiedy Egipt się reformował, zakupywał niewolników i żołdaków, gdzie mógł. Stawiony przed wice-królem, jak to obyczaj u tych monarchów, samodzierżców i ojców familii, z pocztem sotek innych niewolników, zwrócił na siebie uwagę sprężystą postawą, śmiałym wzrokiem i rabą, od ospy twarzą. Zapytany kto jest, odpowiedział: — Polak, szlachcic Polski. — W tej samej chwili Soliman Pasza, bystrego oka i doskonałej pamięci, wojownik — poznał i zawołał: — Monsieur Duszyński. — Julian Duszyński rozpłakał się przy tem poznaniu, bo w sercach szlachty polskiej, przy męztwie i hulaczności męża jest często tkliwość i czułość niewiasty. Soliman Pasza opowiedział wszystko, co wiedział o Duszyńskim wice-królowi. — Kajdany niewolnika natychmiast z niego spadły, dostał szaty, dom sług, harem, konie, a że już nauczony przeszłością nie chciał udawać inżyniera, bo przekonał się, że i w Turcyi poznają się na farbowanych lisach, został

instruktorem dwóch pułków Ułanów — Pułkownikiem, Bejem, pod nazwą Sulejmana Beja, Muzułmaninem; nie płakał za Sarafrazą, cieszył się z wesolutkiemi Egipcyankami i było mu dobrze w Egipcie. Pobierał żołd, żywność, bardzo często podziękowanie za instrukcyą ułanów; rozumiał dobrze swoje rzemiosło i dwa pułki ułanów były najdzielniejszą jazdą wojska egipskiego. Kurował konie cukrem i bursztynem jak zawsze, wesół. był wszędzie dobrze widzianym i przyjmowanym, a co największa, wierzono jego opowiadaniom.

Opowiadania jego. które nie mogły być stwierdzonemi przez obecnych tam ludzi, noszą na sobie cechę opowiadań sławnego Hetmana Lisowskiego, który w trzydziestoletniej wojnie wsławił swoich Lisowczyków. i tak opowiadał:

— Z wice-królem egipskim z Mehmech Alim tym poczciwym, byliśmy jak bracia. Jednego dnia przychodzę do niego, zostaję smutnym i zamyślonym, pytam co jest — po długich korowodach mówi: — Otóż dziś na wieczór ma przyjechać konsul rosyjski, bardzo wielki Pan, z Niemców — wiezie dla mnie bardzo ważne papiery — chciałbym go przyjąć, tak żeby był zadowolnionym. Wiem, że ci Moskale nad wszystko lubią herbatę — a tu mi mówią, że dobrej herbaty ani w Aleksandryi. ani w Kairze dostać nie można. — Pomyślałem. to prawda, najlepsza herbata w Chinach, w Sakatmusic, ale to daleko, teraz ósma godzina, na czwartą po południu trzeba mieć herbatę. Gdybym miał mojego szłapaka wilczatego. z Międzyrzecza, którego mi darował ten poczciwy Józio, Marszałek Stecki, to jeszcze. ale te arabskie konie, to nogiby sobie połamały — ani myśleć — nie ma rady, wyszedłem smutny, i tak zamyślony wyszedłem z miasta — ani widząc że to pole — aż tu jakiś człowiek woła na mnie: — Panku, czego ty tak dumajesz? — Patrzę aż to Fellach uprawiający ryż. — Słuchacz zawołał: Panie Julianie, czyż w Egipcie po rusku mówią. — O to go widzisz, oto mi żak — czyż ty nic wiesz, że chłopi wszędzie po chłopsku mówią, a panowie po pańsku. — Odparł i dalej ciągnął: — Opowiedziałem mu wszystko. Fellach kręcił głową, skrobał się palcem między włosy, chłop chłopem wszędzie, jedne obyczaje, jedne zwyczaje, głupi jak wrona, na oko, ale chytry jak lis — powiedział: żal mi ciebie panku, bo widać, żeś dobry człowiek — z oczów wi-

działem, że patrzy jak w tęczę w moją czerwoną chustkę; dałem mu ją, weź a, mów co robić — wy nie wszyscy znahory, pokazał mi na pole: — widzisz tę siwą plamkę — no i cóż — to struś śpi, ot masz kijek, i dał mi malutki kijek, idź do śpiącego, siadaj na niego jak na konia, wyjm głowę z pod skrzydła, obudź; jak się podniesie na nogi, uderz kijem, a poleci jak mahara (to rodzaj wielbłądów) i zawiezie cię do drugiego strusia śpiącego; jak się poczuje być zmęczonym, siądziesz do drugiego tamten do trzeciego — i tak jak z poczty na pocztę zalecisz na kraj świata, gdzie ci trzeba, a oto masz groch, i dał mi sporą garść grochu. — Zsiadając z każdego strusia dasz mu jedno ziarnko, on cię będzie czekal na tem samem miejscu do powrotu. — Myślę sobie, co tu szkodzi spróbować, Pan Bóg w nagrodę, że nie dał chłopom rozumu do czytania i pisania — dal im za to naturalny spryt. Michałko Wojciechowski, chłop ze starostwa Bachtyńskiego, leczy senatorów i cesarzów — i sławny doktor więcej umie jak Szmity i Akielszmity. Pilipon z Pilip, Fadiejka leczy na wściekliznę, a fakultety paryzkie i wiedeńskie tego nie potrafią. Sukurycha z Hałczynic latała na łopacie, na księżyc, a nasi uczeni mechanicy czyli tak zwani areostaci i balonami tego nie potrafią, tak sobie myślę i pomalutku się skradam — struś i prawdziwy — siadam, wyjmuję głowę z pod skrzydła, tak się zaspał nieborak, że aż ziewnął parę razy, ale porwał się na nogi — uderzyłem kijkiem — świstnął — ale i kula i wiatr nie prędzej lecą jak on, nawetby prześcignął mego wilczatego szłapaka — z nogi na nogę skakał jak krakowski góral, po górach i skałach, a skrzydełkami podpychał się jak żyd pejsami, kiedy leci na szabas. — A jakie to pustynie, jakie to kraje tak przebiegałem, trudno opisać, a co rzecz dziwna, nigdzie nie zdybałem ani celnika — ani żandarma. Zmieniałem strusie — dawałem po ziarnku grochu, i na drugiego wsiadałem; po słońcu widziałem, że już musi być południe, bo zegarek iść przestał z wielkiego biegu. — Kiedy najechałem na jakieś miasto, pagody, parasole — Chińczyki — przed samym miastem zlazłem z mego strusia pytam po chłopsku chińczyka, bo był chłop — jak się zowie miasto, odpowiedział: Sakatmusa. — Chwała Bogu, lecę do najpierwszego magazynu. — Bogaty Kacap przedaje herbatę — wołam — cwieteecznego, najlepszego czaju — daje mi pudełko —

samej łuczoj. Co kosztuje: cztery karbowańce — szczęściem, że je miałem przy sobie — płacę — nazad wracam do strusia — nawet się nie napiłem ani czaju, ani sznapsu, którym mnie Kacap częstował — poczciwe strusisko czekał. Ucałowałem go, siadam i dalej drała — wszędzie moje strusie czekały, jak na pocztach moskiewskich, trójki na Feldjegra. Kiedy przyjechałem do Aleksandryi do pałacu — do Mehmed Alego, była trzecia godzina po południu i pięćdziesiąt trzy minuty i pół — rzuciłem mu pod nogi pudełko. Oto herbata z samej Sakatmusy. — A w tej samej chwili strzelono z dział na przybycie moskiewskiego konsula do portu. Mehmed Ali mnie uściskał, udarował i byłem na herbacie. Konsul nie mógł się nachwalić herbaty. Mehmed Ali wszystkie a wszystkie swoje interesa zrobił. widzicie, jakie to dziwne rzeczy na tym Bożym świecie; nie filozofy, ale chłop Felah rozwiązał zagadkę prędkich komunikacyi — i pokazał, że strusie, oprócz piór do pstrzenia zalotnic i żołądków do trawienia żelaza, na coś innego jeszcze zdatne. — Żeby Car Mikołaj mógł ich zabrać w poddaństwo, pewnieby na nie żandarmów wsadził, pod dowództwem swoich Klejnmichelów, Benkendorfów i Adlerbergów: piszczeliby Moskale i Jermołów by się prosił, by go przeprowadzono w niemieckie żandarmy na strusiach. Do tego kiedyś przyjdzie.

Tęsknił ciągle, jak powiada Julian Duszyński, po W. Ks. Konstantym, o którym nie wiedział, gdzie się podział po wypłynięciu z podziemnego kanału.

— Jednego dnia, powiada on, Soliman Pasza zabrał mnie z sobą do wice-króla. Jak tylko mnie zobaczył, zerwał się stary na nogi! jak mnie porwał w objęcia i zaczął ściskać, o mało nie zadusił: myślałem, że znowu trzeba będzie na strusiach powędrować do Sakatmusy, nie w smak mi, bo stłukłem się bez siodła i już w myśli układałem projekt siodełka i musztuka na strusia. Już zacząłem marzyć, że zmienię wszystko w kawaleryi, że Lasalle, Murat, a nawet sam Rożniecki będą przy mnie hetki pętelki. Ja innowator kawaleryi, kiedy Mehmed Ali powiedział: — Pójdziesz i zwiedzisz mi wszystkie piramidy, tobie tylko ufam — zdasz mi raport o wszystkiem. Trudna rada, pan każe, sługa musi. Dobrze. — Siadam i jadę. Na dzielnym arabskim rumaku; nie chciałem jechać Nilem, boby mnie gotowe kroko-

dyle schruptać, a te straszne bestye, o takich u nas nie słychać ani na Wiśle, ani na Hnytopiacie pod Berdyczowem. Alboby mnie znowu wożono podziemnemi kanałami na jaką Nową Kaspię, wolę lądem. Ale jaki to był rumak. Skarogniady, gwiazdka na czole, od wsiadania tylna noga, po pęcinę biała — na karku wklęsłość malutka, znak palca Bożego. To znaki, że kto na takim koniu siedzi, to i do nieba i do piekłaby zajechał i przyjechał — a po ziemi to jak nic — szwanku jeździec niezostanie. A wiecie, że u Arabów o białych i siwych koniach mówią, nie puszczaj go pod słońce, bo się jak śnieg topi. Nie czwałuj karym koniem po kamienistym polu, bo mu połupiesz kopyta. Kasztanowaty jak ptak, jak strzała leci — ale jak strzała bryzgnie, kiedy na skałę natrafi. Gniady w przepaść zleci i jeszcze mu nic się nie stanie, ale dla skarogniadych, dla brudnokasztanowatych góry i skały to równina, ich lot, ich siła, to wieczność. Kiedy zobaczy zbójca Beduin, że go na skarogniadym albo na brudnokasztanowatym gonisz, nie ucieka; staje i głowę oddaje pod miecz, bo wie, że nie ucieczе. I mój był skarogniady, ale jaki. Żeby go przyprowadzić na grób Wacława Rzewuskiego, toby zmartwychwstał. Żeby go zaprowadzić ks. Romanowi Sanguszce, toby zapomniał wszystkie męki Sybirskie i Kaukazkie, a skoczyłby na niego, jak młodzieniec ośmnastoletni. Myślałem o Romanie, jakby on na tym koniu liczył pułki Ukrainy i jakby je prowadził do Kijowa do złotej bramy. Kniaźniu Romanie — krwi z krwi naszej — kość z kości naszej — Kołyb jeszcze wojna buła — pobaczyłab tebe uła.

Pędzę, jak Farys Adama Mickiewicza, i wszystko mi z drogi, i jam Emir — Sulejman Bej — taki dobry jak Tasz Ulfera — i pędzę, i przez morze piasku przyleciałem pod Piramidy i na mnie, malutkiego szlachcica polskiego. wielki i Piramidy jak na Napoleona Wielkiego patrzały. On był wielki, jak ten świat, utwór Boży po Bogu pierwszy — a ja szlachcic polski — i to nie mało.

Piramidy to ogrom, ani szerokości, ani wysokości okiem objąć nie można, nie ma im końca i początku. jak obłokom nieba — a każda z jednego całkowitego kamienia. Powiecie mi, to niepodobna — zaraz wam odpowiem, żebyście mnie nie przerywali. Te Faraony i te Sesostrysy egipskie, to mieli se-

kret robienia takiej oliwy, że jak nią polejc kamienie, to wszystkie zaraz się roztopią w jedną massę — a taki proszek, że jak nim posypią, to cała massa zaraz skamienieje w najtwardszy granit. I tym sposobem całe te olbrzymie budowy ujednokamienili. A wiecie, że chcąc dojść do samego wierzchołka, trzeba dwadzieścia pięć dni podróżować; po wschodach są osły na stacyach porozstawiane, jak pocztowe konie na moskiewskich traktach. Co stacya, co pół stacyi karczmy i żydzi — tako nasi — Berdyczowscy — Brodcy; iluż to ja tam znajomych poznałem. Jehel z Berdyczowa, Mejorko z Cudnowa, Srul z Piatki, Icek z Kodni — jak litanią wszystkich świętych, a do każdego trzebaby mówić, módl się za nami, bo dalibóg poczciwe żydzisko— i napoili i nakarmili — a jarmułka w ręku — takie uszanowanie przed panem, szlachcicem, aż się na płacz zbierało — a jakie szczupaki z cebulą, z chrzanem, z pieprzem, bo wiecie, że na piramidach wszędzie stawy i wszędzie je żydzi wyarendowali. Piękną sobie arędę zrobił Mehmed Ali — propinacyi nie zaprowadzał, jak nasi modni panowie, arędę: ryba na stół i pieniądze na stół. Kwartałami z góry, nie na poczekanie, a jakie łokszyny — kugle — makagi to aż strach. To prawda, że jak bieda to do żyda, ale to nie dobrze, że jak po biedzie, to po żydzie, ale i to niestety prawdą.

Ze trzy tygodnie przeszło, tak mi czas schodził, jeżdżąc po piramidzie, że myślałem sobie, że jestem na Ukrainie. Żydóweczki takie piękne, że aż ach wej — i trzepaczki i kozaczka wycinają — i w przysiudy i w holubce. Nie darmo nasz ukraiński poeta, kiedy w pieśni przeprowadzał Zbawiciela świata, z ogrodu Jericho — żydem eskorty kazał ciąć kozaka, w przysiudy i hopcaka, zapewnie to musieli być żydzi z Brodów i Berdyczowa, tak jak teraz siedzą na arędzie, w karczmie piramid.

Nie pamiętam już którego dnia, ale było bardzo wysoko, po wschodach się drapią, skarogniady się rwie, myślę, blizko musi być karczemka, bo te dżamety arabskie tak nawykają do karczemek, jak nasze ukraińskie konie — węchem czuje żyda, a gdzie karczemka, to stój; jaki pan taki kram. Słyszę, muzyka rzempoli, i skrzypka i cymbały — a taki hałas, takie tańce, jak gdyby tam sam pan Twardowski rej prowadził a karczma Rzy-

mem się nazywała. Zsiadłam z konia, najmytowi oddałem konia — wchodzę —

Jedzą, piją, fajki palą.
Tańce, hulanka, swywoli.
Ledwie karczmy nie rozwalą. —

Myślę sobie — ot to i Twardowski — a z ukosa patrzę na bok, czy nie wyskoczy gdzie z kielicha djabeł, sztuczka Rusa. Nie Twardowski to prezydował, ale coś lepszego — wiecie kto — oto mój Kostuś, Jego Cesarzewiczowska Mość, naczelny wódz. We front i melduję się na rozkazy. Zaśmiał się Kostuś serdecznie, aż mu miło się zrobiło, bo myślał, że jest na Saskim Placu — takem się gracko zameldował, aż zawołał — Różnicki, Czarnowski, patrzcie — dobrze; dobrze — a potem mnie poznał i uściskał. Koło niego pełno brodaczów, kacapy takie — jak prawdziwe capy — a żegnają się krzyżem świętym a piją wódkę, wino jak smoki; mówi: — To moje Starowiercy, to dziś moja szkoła podchorążych i na uche mi domówił: — jak wrócimy do siebie, do Warszawy, to pogolę, postrzygę jak buncy i oddam Czarnowskiemu, żeby z nich zrobił ułanów i strzelców polskich, wtedy będą, zobaczysz!

Hulaliśmy kilka dni z sobą i co dnia byliśmy bez pamięci. I Starowiercy także; z wódką modlą się, z winem radzą, ale się nie kłócą i nie biją jak nasi Polacy, demokraci — trzymają się przysłowia: mało mów, a wiele pij. I był porządek między nimi, a jak który co językiem przekroczył, to zaraz Asawuła za kołnierz — z za stołu wyprowadził — i w sieniach porządnie kijami skórę wygarbował i nazad za stół i do szklanki. Myślałem, że Kostuś ten zwyczaj wprowadził, ale on mi odpowiedział, że nie, że to jeszcze przed Narodzeniem Chrystusa Pana było w prawie i we zwyczajach Starowierców. Brawo, niech żyje takie wyznanie, trzebaby je wprowadzić do naszych posiedzeń i kółek i do mityngów angielskich.

Kostuś wysyłał na wszystkie strony, do Azyi i do Europy swoich brodaczów Starowierców — w emisaryuszne jak to mówią po emigracyjnemu — i nic więcej nie kazał mówić tylko: Konstanty Pawłowicz nie umarł, żyje i przyjdzie. — I oni żegnali się krzyżem świętym, popijali winem i wódką wychodźce i szli: nad Dunaj i za Dunaj — nad Kubań i za Kubań — we wszystkie zię-

mie rosyjskie i sławiańskie, do Grecyi nawet, i tam gdzie wyznawano Błachoczest. A nawet do Paryża, Londynu, Wiednia i Carogrodu, gdzie można było spodziewać się zdybać Polaka albo Sławianina, albo Błahoczestywcza. A każdy z tych wysłańców był przekonanym, że o dni kilka tylko poprzedza Konstantyna Pawłowicza — i tak głosił pod największem zaklęciem, na zgubę ciała i duszy, i pewnie mu musiano wierzyć, bo kto wierzy, temu uwierzą.

Kiedy mówiłem Kostusiowi, czemu sam nie idzie, odpowiedział: — Zapomniałeś Austerlic, wiesz, że ja wojować nie lubię — przygotowuję, organizuję i posyłam — niech się kpy biją, a świat poleruje — a ja tu z wysoka na to wszystko będę patrzał, tu mi dobrze. — I prawda że mu było dobrze. Bejwel Skomoroski, bo to on trzymał karczmę, tak mu we wszystkiem wygadzał, jak wrzodowi, ale też za to tęgie pieniądze zbierał i w złocie i w srebrze; gdyby kiedy na Ukrainę powrócił, toby pewnie karczmę w Skomorochach wystawił na tysiąc pijaków — i z całą swoją rodziną, z Siurą — bachurami szynkowałby wódkę i miód. — Broń Boże piwo, bo to niemiecka rzecz — piwo i kartofle — aż pfe o tem pomyśleć.

Nie chciał Kostuś, ażebym z nim został, wyprawił nazad do Mehmed Alego, powiadając: — Ja tu bez ciebie się obejdę, a ty tam jesteś potrzebniejszym, organizuj, musztruj tych Muzułmanów; ja do tego się mieszać nie mogę — a zaśpiewajcie tam Mikołajkowi Allach — Allach, żeby on zawołał Aman.

Wróciłem, a kiedym mu opowiedział wszystko co widziałem, bardzo był kontent, powtarzał: To dobrze — tak trzeba — lud prosty w książki nie wierzy, a wierzy w zmartwychwstanie, w upiorów, w cuda. Samozwańce już nie raz o mało co nie zgubili ogromne państwo tych przeklętych rybaków, tak zowią Turcy Moskali — bałykczy — noże też w końcu zgubią Juszałach. Rozumny to człowiek, ten Mehmed Ali, choć Arnauta, znał historyą i znał ludzi. Więcej wyprowadzili w pole ludu Dymitrowie Samozwańcy, Jemiołka Pugaczew, jak Konstytucye Zielonej Księgi, Pestela, Murawiewa i innych rozumnych sprzysięgłych. Więcej rozumiano Konstantego z jego żoną Konstytucyą, jak prawa konstytucyjne angielskie, francuzkie, a nawet amerykańskie. — Broszury, dzienniki, teorye brzęczą jak mo-

skiewskie kołokoła — a lud nie wie, w jakim kościele dzwonią, na co i po co, i siedzi cicho. A jak Samozwaniec się pokaże, to lud leci, poznaje nieznanego, i za nim idzie na ognie i miecze, bo widzi — i Bożą wolą w cudzie uznaje. Lud zawsze jest i będzie ludem. Dla szlachty, pisma i przekonanie — dla ludu przykaz i rozkaz. — Dla ludu cud i posłuszeństwo. Tak rozumował Mehmed Ali Arnauta i miał prawdę. W nagrodę mojej ostatniej posługi dał mi trzy okręty naładowane bawełną; w kasie pieniędzy nie było, Haremy wszystko wybrały na manele. Bo Turczynki to takie same, jak Francuzki, jak Polki, jak kobiety całego świata. — Przymili się, umizgnie, pocałuje, daj kochanku — na trzewiki — na falbany — na dyftyki — na brylanty, a wszystko daj i daj — a im mąż starszy, tem więcej daje. Ale ja kontent byłem i z bawełny, wziąłem pozwolenie i powędrowałem do Włoch.

Opowiadania Juliana Duszyńskiego o piramidach nikt kontrolować ani myślał, aniby się poważył, ale o bawełnie to była prawda, stwierdzona świadectwem pułkownika Szulca i pułkownika Kuczkowskiego, Achmet Beja, zostających w służbie egipskiej. Przyświadczyli oni, że Julian Duszyński za doskonałe wyuczenie dwóch pułków ułanów dostał w nagrodzie bawełny na trzy statki ładunku — sam o to prosił — mimo namawiań Ibrahim Paszy i Solimana Paszy, którzy go bardzo cenili, jako dzielnego jezdca i dobrego instruktora, dał dymisyą i dostał jako pułkownik — talmdży (instruktor) Suleman Bej. Z całym swoim ładunkiem przybył szczęśliwie do Liworno. i tam w stroju tureckim, otoczony niewolnikami i sługami białemi i czarnemi, zaprezentował się jak drugi Beppo.

W Liwurnie podówczas był karnawał. Julian Duszyński w stroju egipskim, jeszcze nie zreformowanym — w zawoju — w tyftykach, lśniący złotem, srebrem, drogiemi kamieniami; zbrojny w broń kosztowną. zaprezentowoł się władzom miejscowym i konsulom zagranicznym; stanął w pierwszym hotelu — żył hucznie i dwornie. Sulejman Bey, Renegat, mówiący i dość dobrze wszystkiemi prawie językami Wschodu i Europy — układu ze wszystkiemi cechami dobrze wychowanego i dobrego towarzystwa człowieka — a przytem bogaty w złoto, bo zaraz po przyjeździe bardzo korzystnie przedał swoją bawełnę, dość było

uroku i tajemniczości do zrobienia z niego nadzwyczajnego człowieka. W. Książe Toskanii przyjmował go na swoim dworze— wszyscy konsulowie i arystokraci kraju przyjmowali go u siebie i bywali u niego. Piękne Liwurnianki i czarodziejki Florencyi lubiły zalecanki i dary hrabiego Renegata. Jedna z nich hrabina M.., którą nie wiem dla jakich powodów zwano la piccola Kontessina, najwięcej wabiła ku sobie naszego Duszyńskiego.

Kontessina już dochodziła wiekiem lat trzydziestu, wiek, w którym kobiety nie lubią nawet sobie samym zdawać rachunku przeżytych lat od urodzenia, ale była zgrabną, piękną nawet a nadewszystko zalotną — choć nieuboga, lubiła prezenty i zabawy, tak zwane przez Francuzki partier de plaisir — opłacane nie przez siebie — bez żadnego uczucia szlachetnego, bez zasady i wyobrażenia o cnocie — ale jak najregularniej uczęszczająca na msze, na spowiedź i przestrzegająca postów w środę, piątki i soboty, a zatem religijna. — W młodości wyszła za mąż za niedowarzonego artystę, który zgrawszy się i nabroiwszy figlów, drapnął, jedni mówią do Ameryki, drudzy do Tunis — i już o nim od lat ośmiu nie słyszano. Kontessina nie była wdową, nie była mężatką, ale prowadziła wolne życie, nie odmawiając sobie żadnej przyjemności, patronowana przez księży, miała dostateczną obronę w wyborowem towarzystwie — żałowano ją, ceniono, była bohaterką romansu, zawsze w romansach.

Mąż Kontessiny miał być bardzo przystojnym człowiekiem, brunet i oczów i włosów czarnych, wysokiego wzrostu, gładkiego lica. — Nasz Duszyński miał włosy jasne, oczy błękitne — wzrostu miernego i twarzy zeszpeconej ospą.

Kontessina widzac złoto i klejnoty Sulejman Beja, zaczęła pół-zwierzaniem się, pół-podejrzaniami, zgrabnie roznoszonemi przez opiekunów księży, rzucać domysły między towarzystwo, że Sulejman Bey nie jest kim innym tylko jej mężem, hrabią Artystą, jej Karolem — w świecie się śmiano, szczególnie ci, którzy znali Artystę, że włosy pobledniały, oczy zniebieszczały, wzrost zmalał na wschodzie od słońca — ale jak djabeł albo ksiądz weźmie kobietę w swoją opiekę i z nią się sprzymierzy, to wszysko dokaże. — Do Duszyńskiego zaczęli chodzić księża przemawiając do jego sumienia, z początku nie rozumiał, ale

jednego z nich przy kieliszku wyspowiadał — i dowiedział się o całej intrydze — zaśmiał się — powiedział: — młoda, ładna mój księże, po co tu tyle korowodów, przyprowadź, my mamy prawo mieć tyle żon, ile wyżywić możemy. Bóg wie, co się tam dzieje z Sasafrasą — niech jej miejsce zastąpi — sic fata tulerunt — a tobie księże dam porękawiczne, zostanę jej Karolem, czym chce. — Ksiądz niby to się gniewał. niby zżymał, ale w końcu dał się uchodzić i przyprowadził i zainstalował Kontessiny w haremie Sulejmena Beja.

Zaraz księża ogłosili, że całe znaczenie, potęga i bogactwo Sulejman Beja, przywiązane do jego nazwiska. i do jego dzisiejszej religii — że dla możności robienia dobrych uczynków musi zostać przy niej, że Chrześcijanka może być żoną Muzułmanina. na co przytoczyli przykłady z historyi małżeństw Sułtanów z księżniczkami greckiemi i serbskiemi. że Kontessina wraca do swego męża, że kościół nie ma nic przeciw temu, że posługami duchowieństwu, może zbawić duszę męża od piekielnego ognia — a swoją zaprowadzić do raju. Wszystko ułożyło się jak najpiękniej — a Sulejman Bej, jako pierwszy i zuchwały reformator, pozwolił swemu haremowi bez zasłony ukazywać się na balach i zabawach publicznych. Dzienniki, mianowicie francuzkie, oklaskami osypały ten postęp gruntowny, tę reformę radykalną, Muzułmanów Egiptu — i przy tem runęły gromy na fanatyzm Muzulmanów Stambułu.

Dziwne to było życie Duszyńskiego w Liwurnie, harem z żoną umówioną z księżami za rzerzańców — pieniądze leciały i jedne drugich dognać nie mogły; brylanty i tyftyki wychodziły z domu i już nie wracały więcej, a po czterech miesiącach, jednego dnia Kontessina, wpatrując się w twarz Juliana Duszyńskiego — zawołała: — Ach ja nieszczęśliwa, to nie mój mąż, nie mój Karol, ach ja nieszczęśliwa! — I wybiegła z domu — wprost do kolegium ojców Jezuitów. Jezuici w to się wdali, Kontessina została oczyszczoną z winy i grzechu — Julian Duszyński z reszty pieniędzy i z bardzo małą kwotą ruszył do Paryża.

Do Paryża przybył Duszyński w chwili, kiedy wyszła broszura Janusza Woronicza o Dynastyi i Monarchii w Polsce. Znalazłszy przy księciu Adamie Czartoryskim swojego krewnego cnotliwego i zacnego Polaka Hipolita Błotnickiego — i wielu

innych znajomych i przyjaciół Ukraińców stanął przy stronnictwie monarchicznem. — Na jednem z posiedzeń stronników monarchizmu Duszyński był człowiekiem praktycznym, człowiekiem prawdy — i okrzyknięto go za balamuta, za marzyciela i za waryata. Taka go sama spotkała przygoda, jak Wacława Rzewuskiego w czasie powstania, na radzie pod Krasnosiełką.

Wacław Rzewuski, ten dzielny mąż, że tak powiem łaską Bożą przeznaczony na Hetmana Ukrainy, na wodza szlachty polskiej, wymowny, hulaszczy, waleczny, doświadczony i rozumny — między pankami i szlachty Podola i Ukrainy, był orlem i sercem i głową, ale jastrzębie nie chciały na to pozwolić, opierając się na śmiesznej zasadzie sponiewieranego monarchizmu, że każdy szlachcic polski zrodzony do korony, że ma prawo do korony — i oni chcieli być Hetmanami. Wacław Rzewuski mówił obszernie, poetycznie, o obowiązkach wodza i partyzanta — i między innemi rzeczami jak się orientować w stepach, poznawać północ, południe, wschód i zachód, po obrośnięciu drzewa, po schyleniu się trawy — blizkość lub oddalenie zamieszkałych miejsc po ptakach i innych przyznakach — a ludzie prywaty i występku, chodzili między dobroduszną a ciemną szlachtę — i mówili — co on nam prawi o dębach, o mchu, o gołębiach — nam trzeba Moskali i bić Moskali — szlachta piła i krzyczała prawda — precz z Farysami i obrali na Hetmana niedołęgę starca, który zgubił powstanie, a Wacław Rzewuski, który mógł je poprowadzić, jak wodzili Wykowscy i Czarnieccy, zginął jak najezdnik pod Lewuchami.

Kiedy Duszyńskiemu czytano foliały rozpraw i broszur i dzienników, i manifestacyi i protestacyi — on na to wszystko kiwał głową, powtarzając: co tu rzeczy — co tu rzeczy — a prócz króla nic do rzeczy. — Mojem zdaniem — wydrukować kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów kalendarzyka z nagłówkiem: — Adam pierwszy, Król Polski, Wielki Książe Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki i t. d. i t. d. — a potem ministerya — urzędy cywilne i duchowne — Hetmanów pułki — piechoty — jazdy — artyleryi — a wszędzie naprzeciw dygnitarstwo — stopni, próżne — białe miejsca — tak, żeby każdy mógł sobie powiedzieć, i moje nazwisko może tu będzie położonem. — I każdy będzie

stronnikiem monarchy, który będzie mógł dawać urzędy i stopnie. Przy tem wybić monety złotej, srebrnej i miedzianej, pewną ilość z wizerunkiem króla — ale nie na jakicheś tam kompozycyach metalowych, na pamiątkę i do numizmatyki, ale na dobrym, czystym kruszczu, dobrej wagi. Bo u ludu ten królem, kto urzędy, stopnie rodzaje, kto monetę bije, ale prawdziwą, bo jaka moneta, taki król — prawdziwa, prawdziwy — fałszywa fałszywy. A zobaczycie, że więcej skutku zrobi takie prowadzenie sprawy, jak rozprawy i broszury, ze wszystkiemi artykułami choćby i kanonicznemi — bo przekonywać przekonanych nie ma co, — a nieprzekonanych pismem nie przekonasz. — Śmiano się, o to Turek, o to barbarzyniec. — A Duszyński wrócił do fantasmagorycznego istnienia, opuścił Paryż i przyjechał do Bourges udawać Naboba.

Nakładł w kilka skrzynek tłuczonych kamieni z piaskiem, z wierzchu pokrył złotemi i srebrnemi pieniędzmi rozmaitych krajów. Po gazetach ogłosił, kto jest i że wie znaczne skarby do rozdania między swoich dalekich krewnych — i znalazł i krewnych — i porzucone kochanki, i nawet synów nieprawego łoża — skarby to ponęta, a emigracya to mus do spekulowania czy to na polityczne, czy to na prywatne wyprawy.

I tak jedna oficerka, już dawno nie rachująca swoich lat, ale jeszcze fertyczna, zagrała na fortepianie i zaśpiewała dumę ze wspomnień wojny hiszpańskiej. Duszyński się rozpłakał, przypomniał kraj, w którym noga jego nigdy nie była — wyprawę wojenną, o której nigdy mu się nie marzyło tylko z opowiadań, i kochankę, która w Hiszpanii po polsku śpiewała — patrzał — patrzał — oficerka płonęła w rumieńcach, bo była zawsze za nadto rumianą — ukląkł nasz bohater, a bohaterka rzuciła mu się w ramiona — poznali się — tak się niegdyś kochali nad Ebrem i tak nad Ebrem śpiewali. Duszyński brał Ebr za Słucz rodzinną — a ona w duszy sobie mówiła, że to Pilica. Ale szczątki brylantów i tyftyków egipskich rzucone były pod nogi, w darze, poznanej kochanki — i o tym romansie dziwne rzeczy pleciono w mieście. Nawet jeden z emigrantów, kandydat na podsędka z Wolynia — przyznany w kontrolach francuzkich za wielkiego podczaszego korony (grand échanson de la couronne) napisał poemat — wierszem nie rymowanym, trochę przydłu-

gim, dla lepszego zrozumienia rzeczy, o tej wiernej miłości — wystałej ale ognistej, jak węgierski lokaj; publikum wierzyło.— Kochanków miłość, wysnuta z illuzyjnej czyli zmyślonej przeszłości, może była lepsza, jak gdyby przeżuwała rzeczywistą przeszłość, bo nie było zwiędnień i ruin dla tych, którzy nie znali kwiatu w rozwoju i życia swojego w kwiecie.

Razu jednego młody porucznik, krasiwej wody, w rozmowie zoologicznej, oświadczył, że najszlachetniejszym zwierzem między wszystkiemi, nie wyłączając konia i lwa, jest wół — siwy, z wielkiemi rogami, ukraiński, taki, jakich sotkami Ukraina wysyła do Włodawy i do Ołumańca — wszyscy się śmieli i żartowali a Duszyński przypatrywał się młodemu podporucznikowi i łzy mu się kręciły w oczach: Jak się ty nazywasz — zawołał — a kiedy ten mu powiedział imie i nazwisko — rzucił mu się do szyi, mało nie zadusił w objęciach — łkając — Florek — Florek — Florek, to ty moj syn — i bez zająknięcia się zaczął opowiadać swój romans z matką Florka: — Szczęśliwa to była chwila, pamiętam jak dziś, podziwiałem jej wdzięki, na kępie, miedzy oczeretami, ależ bo była piękna; takich piękności i w Hiszpanii i w haremach Wschodu nie masz, podobna była do Florka — ale to kobieta, to co innego — za kępą był staw, a za stawem łąki i na niej zagony wołów. Salusia, bo tak się nazywała, nieprawda Florku — zaczęła się tulić do mnie i przestraszona szeptać — on tam — on tam — kto on — patrzę — aż to mężulo de nomine — objeżdża swoje woły — bo był zawołany wolarz — przytuliłem do siebie Salusię, by jej przestrach odegnać — i widzicie, że wrażenie o wołach zostało w synie. Biedaczka może się bała, może zazdrościła wołom, bo to kobieta zawsze kobietą, choć psoty płatała, choć do mnie się tuliła, chciałaby, żeby i tamten był u jej nóg, a nie przy rogach wołów — oj kobiety, kobiety, one na wspak tych odalisk wschodu, chciałyby mieć haremy z mężczyzn, byle im pozwolono — zobaczylibyście, coby to było. — Ale potem o tem — inną razą — a teraz widzicie, że Florek, jak bałwochwalca Egipcyanin czci woła Apisa — mój Florku — mój ty synie — czysty portret Salusi — chodź, niech cię uściskam. —

Ledwie wstrzymano Florka od obicia potwarcy — ale widząc, że wszyscy się śmieją i on zaczął się śmiać. Duszyński po

kilka razy zapłacił długi karciane i inne za Florka — i jak to mówią, od stóp do głów oporządził znalezionego syna, i karmił wyśmienitemi befsztykami, żeby ugruntować wrażenie o szlachetności siwych i rogatych wołów.

Po tym wypadku zjawiły się dawne kochanki Duszyńskiego — Francuzki, Hiszpanki, Niemki, Włoszki, Polki a nawet Kreolki i Murzynki, bo Julian w bohaterskiej swojej duszy przyznawał się do uczestnictwa w wyprawie St. Domingo — wspierał w Jenerała Małachowskiego Kazimierza i w pułkownika Rusockiego, że z nimi był, a ci ludzie prawdy, rycerza czynu, nie przypominali sobie, ale i nie zaprzeczali. — W takiem był usposobieniu Julian Duszyński, że gotów był się przyznać do ojcostwa Faustyna Suluka i całego jego ministerstwa. A synowie i córeczki, poczęte w onych fantasmagorycznych peregrynacyach, spadały gradem na Duszyńskiego — gradem dziurawiły jego kieszeń już i tak dziurawą. Jak tylko która gryzetka, rzucona na bruku, według naszego wyrażenia się, przez kochanka, nie miała za co zjeść śniadania, jak tylko który gamin, zanadto długo wałęsał się po ulicach w chłodzie i o głodzie, zaraz podawali petycye, dopraszające się o ojcostwo Duszyńskiego — z induktem romanowej awantury — i dostawali mniej więcej brzęczącej monety.

Żaden hebrajczyk dawnych czasów, starego zakonu, żaden Muzułmanin haremów Wschodu, żaden Monarcha zalotny — nie miał tyle potomstwa, ile go miał Duszyński.

Jednego dnia przyniesiono mu z poczty trzydzieści i dwie prośby z Chateslerault — dopominające się o ojcostwo Duszyńskiego. Julian czyli Sulejman Bey był w siódmym niebie radości i pokusy — pokazywał te prośby i opowiadał:

— Wy może nie wiecie, co to było w tem Chateslerault — świat nie podobnego nie słyszał i słyszeć nie będzie, otóż ja wam opowiem: Siódmy pułk Nadwiślański ulanów, w którym podówczas byłem porucznikiem — ale jakim — śliczota — jeszcze większa jak Florek, ciągnął na wojnę do Hiszpanii. Pułkiem dowodził Konopka — dzielny żołnierz — dzielny szlachcic, ale miał na zębie, do Francuzów, za jakąś tam siostrzyczkę — czy kochankę — nie wiem dobrze — której huzary Suberwika figla spłatali, jak opowiadała biedaczka, mimo jej woli — jak oni mówili, z dobrej woli, z patryotyzmu dla Francuzów. Konopka

postanowił się zemścić, wywiedział się, że huzary byli rodem z Chateslerault (Szaterleo) — że w tym mieście były najszykowniejsze kobiety Francyi, bo to jest rzeczą dowiedzioną, że jeśli pięknością, uczuciem, talentami nawet mogą innych narodów kobiety równać się, a nawet przewyższać Francuzki, szykownością nie. — Jak tylko przyszliśmy do tego sławnego miasta, Konopka z oficerami ruszył na wizyty i na zaprosiny na bal — w obozie. Obóz był o ćwierć milki od miasta, pod pięknym gaikiem, oświecenie w ognie bengalskie było cudowne — wszędzie trofea ułańskie — orły i cyfry Napoleona — orły polskie — przysmaków, jadła, napitków, ryczałtem, jak to mówią po uszy, jak u szlachcica polskigo, ale nic piękniejszego nie było, jak te panie, jak te panienki śliczne, figlarne, a takie szykowne, że aż do tej pory jeszcze człowiek młodnieje na wspomnienie o nich; za nic huryski raju a nawet samego nieba. Choć wielkie panie, takie były czarodziejki, jak gryzetki czy loretki, za któremi biegają po bulwarach Paryża najsławniejsi nasi Jenerałowie polscy — zawsze gotowi do awansu, choć wiedzą, że w końcu konieczną się stanie rejterada. — Tańczyliśmy i umizgaliśmy się; po chwili, pułkownik prosił wszystkich mężczyzn, by pić zdrowie Cesarza; stanęli na wezwanie — szampan zaszumiał w kielichach i pili, ale w tej samej chwili ułani pod bronią płotem przegrodzili ich kobiet i frontem idąc, spychali do miasta. Myśmy sami zostali z kobietami; co tam było, wy wiecie — nie trzeba wam mówić — ale dalibóg nie było żadnego krzyku — żadnego płaczu, tylko — mon ami, mon ami — byliśmy przyjaciołmi, i któżby nie był przyjacielem; byliśmy w niebie, i choćby człowiek po śmierci poszedł do piekła, zawsze i tam powie: byłem w niebie. — Mężczyzni, choć protestowali, grozili, zagoniono do miasta, chwała Bogu bez żadnego zabójstwa, nawet bez rany i pobójki. — Nazajutrz dzień dobrze słońce w górę weszło, kiedy się skończyło nasze niebo. — Musieliście widzieć dwa obrazy sławnego Creuza: Jeden przedstawia dziewicę, idącą na spotkanie kochanka, na rendez-vous: wszystko na niej wyprasowane, wychuchane, ani zmięcia ani rozpięcia, jak to mówią u nas w Polsce — w ręku kwiaty swieże barwą, świeże wonią — oczki błyszczą zalotnie, trochę w nich strachu — więcej ciekawości. Takiemi były nasze szaterloranki,

kiedy szły na tany. - Drugi przedstawia tę samą dziewicę wracającą ze spotkania — w szatach luby nieład, pełno zmięć, pełno rozpięć; kwiaty pochyliły czoła w dół, i oczki w dół spuszczone, łzawe rozkoszą, miłośne wspomnieniem i żalem. — Takiemi były nasze szaterloranki wracające z tanów. Trąbki zagrały — na koń — na koń ułani, i poszliśmy spiesznym pochodem.

Ten wypadek tak był niespodziewanym dla miasta Chaterlerault, że kilka dni przeszło, nim mieszkańce się opamiętali i do siebie przyszli — i zdecydowali się na podanie skargi do Cesarza. Już byliśmy w Hiszpanii i właśnie kiedy pod Bilbao rozrobiliśmy w puch cztery bataliony Anglików, tych Dżonbulów, wyspiarzy, czego nigdy nie bywało przed nami — żadna jazda tem się pochwalić nie mogła — takeśmy się gracko spisali, jak w gaiku pod Chaterlerault — kiedy przyszedł rozkaz od Cesarza Napoleona, żeby, pułkownika Konopkę rozstrzelać i ułanów przedziesiątkować — i resztę rozebrać po innych pułkach. Marszałek Suchet już był posłał raport o naszem zwycięztwie — więc wstrzymał się z wykonaniem wyroku, kazał iść dalej i bić Anglików. Szliśmy i biliśmy i żaden nie pomyślał o wymknięciu się wyrokowi — taka to szlachta polska — tacy to ułani polscy. Właśnie w dzień, kiedyśmy Anglikom skropili skórę porządnie pod Kindad-Rodrigo — przyszedł rozkaz Cesarza, odwołujący wyrok, wracający nam cześć i dobre imię — a Marszałek Suchet dodał: — Cesarz uważa tę psotę za fraszkę, za lat ośmnaście będzie miał dzielnych ułanów z Chaterlerault. I od tego czasu pokolenie nowonarodzone zowie się — mali Polacy, ułani. — Widzicie, jacy to my gracze — i rzucił trzydzieści dwie prożby do przeczytania.

Zmieszał się cokolwiek, jak mu przeczytano na każdej prożbie, wybieram się w drogę, by uścisnąć papę, by upaść do nóg papie — od mamy przywieść wspomnienia papie. Ale jeszcze gorzej było, kiedy się drzwi otwarły i weszły trzy koczkodany, trzy czupiradlice już podstarzałe, mieniące się Irmą, Adelaidą i Leonidą z Chaterlerault i rzuciły się w objęcia Duszyńskiego. Jak Twardowski na takie acerbum dictum, ku drzwiom spozierał, ale odważniejszy udawał, witał, przebąkiwał: — była śliczota, a teraz, teraz, widzicie, co się zrobiło — prosił siedzieć — siadły, rozgospodarowały się, wszyscy goście się powynosili.

Przypomnień tych nikt świadkiem nie był, ale na drugi dzień nie stało Juliana Duszyńskiego, zniknął jak kamfora — do mieszkania jego zostały trzy Szaterloranki, nad trzema kuferkami, przewracającemi potłuczone kamienie i piasek, z wykrzyknikami oh le farceur!

W kilka dni później była wydrukowaną wiadomość w gazetach, że Jenerał Chrzanowski pod przybranem nazwiskiem Jenerała King wyjechał do Stambułu i zabrał z sobą, jako radzcę, adjutanta i tłumacza sławnego wędrowca Wschodu Juliana Duszyńskiego, znanego tam zaszczytnie pod nazwą Sulejman Beja.

W Stambule, Duszyński człowiek fantasmagonii, nie mógł się zgodzić z Jenerałem Chrzanowskim, człowiekiem realizmu. Duszyński chciał Czerkiesów pchnąć na Moskwę, za Kubań, Bośniaków na Austryę, angielskiemi pieniędzmi skojarzyć Kiwę z Boharą i odświeżyć Moskiewskie tatarskie jarzmo — wywołać z cieniów W. Ks. Konstantego i posłać go Samozwańcom w goście do Cesarza Mikołaja, odświeżyć w cesarstwie rossyjskiem zieloną księgę nadziei Pestela i Murawiewa a w Polsce Templaryuszów, Majewskiego i Piotra Moszyńskiego — jednem słowem, zamącić świat, jak kolory w Kalejdoskopie. Wszystko widział w różowym kolorze i wszystko uważał za podobne — o swój byt nie dbał, o swej przyszłości nigdy nie myślał. Jenerał Chrzanowski, człowiek doktryny, rozumu i rachunku, robił to, co mu kazał Lord Ponsorby, nigdy więcej, częściej mniej, żeby nie zakompromitować swego osobistego bytu, i za każdym zdarzonym wypadkiem, zabezpieczał swoją osobistą przyszłość — przez duch krytyki, we wszystkiem widział trudność i niepodobieństwo. Takie dwie sprzeczności w charakterach nie mogły iść z sobą w parze w polityce. Są ludzie, którzy utrzymują, ale trudno temu uwierzyć, że sprzeczność w charakterach podsyca i utrzymuje miłość. że trzeba koniecznie, aby para miłosna kłóciła się i biła się nawet, aby potem mogła się godzić i całować. To mniemanie stwierdza ową gadkę o skargach kobiet moskiewskich — mój mąż mnie nie kocha, bo nie bije — może być w miłości, bo kobiety to dziwne, niepojęte istoty — a w polityce, między mężczyznami, to nie — zgoda w charakterach, w dążeniu przynosi tylko skuteczność w działaniu.

Jenerał Chrzanowski siedział zamkniętym w mieszkaniu po-

sla angielskiego, rzadko się kiedy pokazywał w towarzystwach, rzadko w mieście; pracował nad temi projektami organizacyi wojska ottomańskiego, które potem zręcznie zastósowane, czyli wprowadzone w życie przez Seraskiera Rizę Paszę, stworzyły siłę zbrojną, potężną i nieprzebraną, Państwa. Piękna to praca Jenerala Chrzanowskiego, piękna posługa oddana przez księcia Adama Czartoryskiego, w imieniu Polski, najwierniejszemu jej sprzymierzeńcowi, cesarzowi ottomańskiemu.

Duszyński ciągle przebiegał miasto muzułmańskie w turbanie, jako Sulejman Bej, miasto chrześcijańskie w kapeluszu, jak Julian Duszynski, wszystkich nawet Ormian i żydów pobudzal do wojny na Moskwę.

Na kilka czasów przed bitwą Nezibską Lord Ponsorby przedsięwziął postawić na czele wojska ottomanskiego Jenerala Chrzanowskiego. Duszyński ogłosił po całem mieście, że Jenerał Chrzanowski, jak drugi Cezar pójdzie, zobaczy i zwycięży Egipcyanów. Poseł rossyjski zaprotestował przeciw użyciu Jenerała Chrzanowskiego. Lord Ponsorby wyrobił firwan mianujący naczelnym wodzem Jenerała Chrzanowskiego, dał mu go, polecił pośpiech, bo wiedział, że w skutek protestacyi, w kilka dni, musi być odwołanie, spóźnił to odwołanie i myślal, że Jenerał Chrzanowski stanie się Cezarem dla Turcyi. Duszyński naglił do podróży, ale Chrzanowski wiedział o wszystkiem i rachował. Na czele wojska stanąć mogę, ale czy pobiję, czy nie pobiję nieprzyjaciela, to jeszcze niewiadomo — rachował bagnety, szable, harmaty, mechanizm wojsk, pozycye, jakie zajmują, ale nie rachował ani sprawy tureckiej, ani sprawy polskiej — rachował, coby się stać moglo z naczelnym wodzem po przegranej, ale nie kombinował, coby było z Polakiem po wygranej — nie dojechał do Neziba, zatrzymał się kilka dni w drodze i doczekał się odwołania i zaraz pierzchnięciâ wojska ottomańskiego.

Jenerał Chrzanowski wrócił do Paryża z zapewnioną pensyą angielską, z nienadwyrężoną sławą i reputacyą wojenną, z imieniem nawet Wielkiego Wodza do przyszłej wojny, jako nadzieja organizacyi wojennej Polski, jako skarb strategii i taktyki polskiej.

Julian Duszyński wrócił do Paryża do ks. Adama Czartoryskiego. — Mości Książe, czyli raczej Królu i Panie Miłościwy,

pani Chrzanowska świętej pamięci mogła obronić Trębowlę, ale Jenerał Chrzanowski nie podniesie na nogi Polski. Nie takich ludzi trzeba używać do sprawy — tacy jak on niech siedzą, piszą i drukują, ale nie używać ich w polu, gdzie trzeba szlachty de hajde a de jure — do szabli i do pióra, oczajduszów, co nie dbają o to, co jutro będą jedli — gdzie i jak na starość kości złożą, ale dbają, żeby Polska była; nie rachują, ni kombinują, żeby czekać albo cofać się, ale działają, zawsze naprzód, albo król albo kapucyn. Co mi po takich Jenerałach, których zawsze i ciągle trzeba tłumaczyć złem wykonaniem ich rozkazów, deszczem, słońcem, chłodem i głodem, tacy dobrzy nie dla nas. Miłościwy Panie — niech pisze — nie posełaj go na missye i wojny, bo będzie wstyd Tobie, a szwank sprawie. — Powiedziano, że Julian Duszyński bałamut, stary sowizdrzał — i oddalono ze służby królewskiej, podówczas, na faubourg du Roule.

Duszyński bez pieniędzy, bez opieki, bez przyjaciół nawet, bo ci odbiegli z małym wyjątkiem, nie dał się zjeść biedzie. Jakieś dziwne podkowy wymyślił i ofiarował w darze księciu Orleanowi. Za jego pomocą i opieką pojechał do Algieru i został umieszczony w Spahisach arabskich.

Znowu przy szabli, na ognistym rumaku, w burnusie, nasz Sulejman Bej hasał po piaskach Sahary, drapał się po górach Atłasu. Był dzielnym żołnierzem. Legia honorowa ozdobiła jego pierś, każde pole potyczki zlewał krwią swoją. Dowódzcy go cenili a Spahowie Muzułmanie widzieli w nim Szejka Sulejmana błogosławionego z Meki. Spahowie z Paryża, gaminy z ulic czerwonego Krzyża i szkoły medycznej wołali, to dawny bywalec — un ancien — z pod Samosiery, z pod Borodinu. Gdyby byli Polacy, myśleliby, że zmartwychwstał Jenerał Kwaśniewski, i woła na Spahisów — suńcie się, jak kiedyś on wołał na swój dzielny siódmy pułk ułanów — suń się. Jenerał w służbie francuzkiej, Polak, Tadeusz Horain, mąż nadziei dla Polski, który tak marnie zginął pod Dżydżeli, mówił, że Duszyński sprawdzał to, co Wielki Napoleon mówił o Polakach: — W wojnie obiecują to, czemu trudno uwierzyć, aby dotrzymywali, a dotrzymują daleko więcej, jak obiecywali. Najpiękniejsza to była karta wojennego bytu Juliana Duszyńskiego — wojenność pochłonęła czy przyćmiła inne wypadki, ale może to dla tego, że o tej czę-

ści życia Duszyńskiego mówili inni — nie on sam. Ranny musiał się usunąć ze służby czynnej, a wice-admirał Gallois, który bardzo cenił dzielnego żołnierza i wierzył we wszystkie opowiadania tego wędrowca świata, zrobił go pełnomocnym zarządcą wszystkich swoich dóbr w Afryce, które miały być znaczne. Tu Duszyński puścił się na wynalazki i nastósowania dziwnych rodzajów. Buraki szczepił na trzcinach afrykańskich, żeby z nich mieć trzciny do robienia cukru, kozy chciał parować ze świniami, żeby można robić po górach i po błotach, tym przyszłym płodem, dowozy jak w Syberyi odbywają psami po wielkich śniegach. Przez pustynie Sahary chciał postanowić stacye pocztowe, z Dromedarów zwanych Maharami, i opowiadał: — Mahara, to szybsza od pioruna, a wiecznie leci, jak promień słońca — ja tak robiłem — kuryera, najczęściej Armianina, przebierałem za Tatara, bo to Armianin wytrwały na wszystko, i choćby go djabli wzięli, to nie wielka szkoda, mniejsza jak żyda, bo żyd to nasz, polski, szlachecki, a tamten to Bóg wie, czyj. Wsadziwszy na siodło Armianina, kazałem go dobrze przywiązać do kul, a nogi pod brzuch — wiecie, że Mahara ma taką konstrukcyę, że pyskiem powietrze chwyta, ochladza sobie tym wiatrem wnętrzności i wypuszcza tylnym otworem. Kazałem tedy sporządzić pewien rodzaj harmoniki, czy jak zowią teraz melodyna — i przywiązać pod ogon Maharze; to służyło w miejsce dzwonka moskiewskiego, w miejscu trąbki pocztowej, a dziwny był jej głos gromki i melodyjny i straszny i czuły. Lew, tygrys, wilk, każdy tak się poruszył, że aż popruszył i w nogi. — Hyena, Beduin Tuareg nawet, tak się przestraszali, że drżeli, jak w mołdawskiej febrze a płakali, jak krokodyle i mój Armianin upający Tatara nie mógł być przez nikogo napastowanym. Cztery stacye zrobiłem do Sudanu — nie trzeba było więcej. Armianin leciał na Maharze, a melodyna brzmiała i pękała — na stacyi, pisarz pocztowy, podobierałem samych Moskali, żeby było prawowiernie, po siemu byt, i przykażczyk żywo, żeby można go wychłostać, gdyby kradł, — bo z francuzami, to zaraz trzeba do sędziego pokoju — do policyi poprowadzić, do trybunału, a z żydem za pejsy, w ucho, w kark i koniec. Otóż pisarz i przykażczyk słyszeli, kiedy Tatar leciał, i już mieli gotowego bajwoła. Po melodynie rachowali odległość, jak się zbli-

żała — rżnęli bajwoła i płatali mu brzuch. Jak Mahara przed stacyą stanęła, w mgnieniu oka odrzynali Armianina, który jak balon był napęcnięty powietrzem, mało nie pękał — bez przytomności — kładli go w brzuch rozpłatanego bajwoła i zaszywali. Po godzinie wyjmowali go z brzucha i do banii — i Armianin taki był żwawy, smukły, jakby na nowo na świat się narodził, bo w brzuchu pomalutku wiatr i jednym i drugim otworem wyleciał — a ciepło wróciły i siły i sprężystość. I tak z Algieru do Sudanu, z Sudanu do Algieru, w dwóch dniach można było zajechać i wrócić, jak telegraf. Ale to jeszcze nic. Doszedłem, że tym sposobem można odmładzać ludzi i zapewniać wieczność życiu ludzkiemu. Czego to człowiek wynaleść nie może, kiedy Bóg mu da olej w głowie. Na sobie spróbowałem. Jużem tak był schylał od ran i chorób, że uciekałem od Aiszy, ośmnastoletniej Arabki, którą mi gwałtem dano za żonę — aż mi przykro było: chciałem sobie odjąć życie, mówiąc: raz matka rodziła, raz umierać, kiedy mi Ajsza mówi: — przejdź się na Maharze do Sudanu — nie chcę ja ani kości słoniowej, ani złota, ale chce ciebie młodego. Usłuchałem, przejechałem się — i wiecie, że po tej przejażdzce nie tylko wziąłem dwie młode Arabki, do towarzystwa Aiszy, ale trzy Maurytanki, jedną Barbeską i jedną żydówkę, a wszystkie wołały, jaki ty młody i kochały mnie bardzo — wprawdzie czasem, pod sekretem, robiłem wycieczki na Maharze z Melodyna, ale one o tem nie wiedziały. — Coby to na to powiedzieli sławni doktorowie życia ludzkiego — wywynalazłem elixir wieczności, i ten osadziłem na Maharze nasztukowanej melodyną. —

Ma się rozumieć, że przy takich usposobieniach Duszyński nie mógł długo zostawać agronomem. Z doskonałą przyjaźnią, i z oznakami człowieka dobrego towarzystwa opuścił wice-admirała Gallois, i zabrawszy z sobą kilkanaście ogierów barboskich, udał się do Marsylii, gdzie za pomocą rządu francuzkiego, za opieką możnych przyjaciół, pod których rozkazami służył w Algierze, założył ujeżdżalną dla ludzi i dla koni. Polaków nie mających zatrudnienia i sposobu do życia przyjął do służby, wszystko uorganizował na stopie wojskowej: już marzył z tego zrobić szkołę wojskową jazdy dla młodzieży polskiej. Oddał się znowu pod zwierzchnictwo ks. Adama Czartoryskiego, i na ki-

tajkach rozmaitego koloru, podrukował chronologią Jagiellońską domu Czartoryskich. — W ujeżdżalni, nad poduszką haftowaną, na czerwonem polu srebrny orzeł polski i na lazurowem srebrny jeździec Litwy, połączone pod koroną królewską z cyfrą A. I. — Wisiała chronologia wybita srebrnemi literami na amarantowym atlasie i wszystkim swoim znajomym i nieznajomym emigrantom Polakom, w jakim kraju mieszkali, przesyłał te atłasy jako proklamacyą zakładu. Bo Duszyński śnił i marzył o Polsce, i z każdej rzeczy zaraz wyciągał sprawę Polski, chciał służyć tej sprawie, jak mógł, gdzie mógł i jak umiał.

Centralizacya demokratyczna podówczas złożona z Heltmana, Sztolcmana, Bidermana, Alcyaty, Darasa i Worcela — zatrzęsnęła się na swoich posadach w Londynie, usłyszawszy o pojawionym Tytanie monarchizmu w Marsylii. — Z Magazynów Wszechwładztwa ludu żygnęła klątwami bomb drukowanych, na potwarz dwóch imion, Juliana Duszyńskiego i Sulejmana Beja. — J. B. Ostrowski, z jadowitej śmigownicy, zwanej nowa czy młoda Polska, wypalił kartaczami bluźnierstw i łajań, jakich nigdy w żadnej karczmie francuzkiej i moskiewskiej nie słyszano. Bluzgała czarna posoka na białym papierze. Dziennikarscy najezdnicy absentem i porterem weny sobie dodawali. Centralizacya ze sprzymierzeńcami demokratycznemi kombinowała wielką bitwę dziennikarską na kopyt tej, jak Welington wydał pod Waterloo. Ale Duszyński szczęśliwszy od wielkiego Napoleona, bo nie rachował na nikogo, tylko na siebie — nie zrejterował się — na pociski popatrzył, zmiął, rzucił w kąt, cmoknął, świstnął: Nauczę ja tych demokratów. —

Nie długo czekał na sposobność dania tej nauki, dwudziestu kilku emigrantów, wydalonych z Galicyi, należących do najzapaleńszych rycerzy towarzystwa demokratycznego, przypłynęli z Tryestu do Marsylii, jechali w posiłek Centralizacyi, która podówczas zabierała się do wielkiego czynu, zalania i zasypania krwią i ciałem biednej szlachty polskiej, tej wielkiej przerwy, czyli przepaści, która położyła się, jak rozdział wieczny, między ludem, chłopkami, tą esencyą demokracyi — ciemiężonym przez długie wieki, wkopywanym w błoto sromoty, w kał upodlenia — w trzęsawisko nędzy — a szlachtą, tym antydotem demokratycznym, która wprawdzie za Polskę biła się i bić się gotowa,

ale krew ludu zjadła, i jeść chce ciągle — ziemie ludowe zawłaszczone niesprawiedliwością, przemocą trzyma i oddać nie chce — jednem słowem, przedstawia szatana na tem świecie, który Zbawiciel wyraźnie postanowił oddać demokracyi, pod zarząd Centralizacyi z jej członkami i koryfeuszami. Jeszcze wówczas nie wyszli zupełnie na jaw ze szkół, gdzie się douczali z kuźni własnych natchnień, gdzie się wyrabiali ci bohaterowie demokracyi, te miecze demokratyczne, które miały pokazać zdziwionemu światu w Poznańskiem, w Galicyi i po obcych ziemi, że nawet i w boju można się obejść bez szlachty polskiej, a przynajmniej z taką, która się zaparła swych herbów, swych nazwisk, całej swojej wielkiej przeszłości. Już ciągnęli naówczas Heltmany i Sztolcmany z Alcyatami, tę biedną szlachtę polską, tych zaprzańców i niezaprzańców, na ofiarę wiedeńskiemu Filantropie i berlińskiemu Liberaliście, ale jeszcze nie dostroili strony działania, zbierali siły.

W takiej epoce przybyli demokraci, którzy już słyszeli o potworze monarchicznym, osiadłym w skałach marsylskich, jak drugi Kakus, nie Krakus Wirgiliusza — z Pszonki, nowej czy młodej Polski i ogólników Centralizacyi. — Chcieli go zobaczyć na własne oczy, zjedli dobre śniadanie na kanabiera, tęgo łyknęli na dobrą minę, pokręcili wąs i weszli gromadnie do jaskini, ujeżdżalni, mieli w kieszeniach i sztylety i goralskie maczugi i ruskie kańczugi, zbrojni od stóp do głów, a w sercu żądni być Herkulesami, nie dla sławy, mamony światowej, bawidełka szlachty, ale dla gruntu, dla dobra ludzkości, dla demokracyi.

Duszyński zwyczajnie szlachcic, Polak, przywitał, chciał ściskać, częstował chlebem i solą i workiem, tem co było w worku, jednem słowem: tem co miał.

Ale wódz orszaku, na ten wypadek obrany, stanął, wziął się w boki: — Obywatelu, stój, my chłopki, wszechwładztwa ludu, błyskawice i pioruny, wędrujący na bałwanach wolności i równości; żeglarze do wypatrywania ucisków i niesprawiedliwości — Astronomowie do przywołania komety centralizującej w wszechwładztwo ludowe świat cały — Architekci do związania belek wszechwładztwa i postawienia na nich dachu dla wszechmocnej władzy Centralizacyi i jej członków. — Poborce składek i po-

datków dobrowolnych na aparat Centralizacyi i jej członków, dla wszechwładztwa ludu — Encyklopedyści. —

Duszyński nie wytrzymał: — Stój Obywatelu — poczekaj. — Poszedł do drzwi ujeżdżalni, zamknął je podwójnie kluczem i schował klucz do kieszeni, wyniósł z mieszkania swego w jednej ręce kosz z butelkami wina, w drugiej dwa pistolety olstrowe i nahajkę, postawił przed przybyłemi gośćmi.

— Wszystkich waszych andronów nie rozumiem, to nie przy mnie było pisanem, szlachcic polski jestem i wyście szlachta polska, albo się kłóćmy i bijmy, albo się gódźmy i pijmy. Wiecie co, nam trzeba Polski całej i niepodległej, żeby nas nie nazwano Polakami austryackimi, pruskimi, moskiewskimi ale polskimi. — Pszczoły bez matki — stado bez ogiera nie chodzą na tym Bożym świecie — naszą polską matką, naszym ogierem był król od wieków. Trzeba króla, żeby kazał szlachcie na koń i na wroga — i powiedział chłopom: bijcie się za Ojczyznę a jesteście szlachtą; po zwycięztwie, jak będziemy sami u siebie gospodarzami, król każe dać ziemię tym, którzy jej nie mają — a tym którzy jej za nadto mają, weźmie i zapłaci pieniędzmi — da wszystkim równe prawa i przywileje, nikomu nic nie zabierze a wszystkim da, nikogo nie poniży, a wszystkich podwyższy. Precz z cudzoziemskiemi demokracyami, republikami, uszlachceni chłopi z mieszczanami i żydzi i cygani — ze szlachtą będą Polakami — a nad nimi król z prawem. Tak rozumiem, nieinaczej; przybyliście, chwała Bogu, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, Ałłach Kiesim. — Proszę Waszmościów, miłą bracią, oto jest poduszka z orłem polskim, z pogonią litewską, oto krucyfiks, ewangielia i koran, jak trzeba, to i talmudu dostaniemy. — Oto wypisanie całej naszej królewskiej rodziny, krwi Jagielońskiej, i pokazał na znaną kitajkę: — Przysięgnijcie na wierność Adamowi pierwszemu, naszemu Królowi Najaśniejszemu i Miłościwemu Panu, i wtenczas kiedy będzie wola, to się popijemy. Albo nie, to będziemy się bili, na pistolety, na szable, na noże, na harmaty, jak zechcecie, a w końcu i na nahajki. Żadnego ztąd nie wypuszczę, póki nie będzie albo trup, albo najwierniejszy poddany Jego Królewskiej Mości Adama pierwszego. —

Demokracya zawrzała, brała się nie do szabel, ale do języ-

ków. Duszyński z zimną krwią nabijał pistolety, skończył i dał do wyboru wodzowi.

— Albo strzelaj się, albo się wezmę do nahajki, i dam, oj dam ducha. —

Choć demokraci, ale szlachecka krew na widok broni zagrała — mimo wszechwładztwa krzyknęli:

— Na piętnaście kroków. —

Duszyński zimno odpowiedział: — Na pięć — i odmierzył pięć kroków: — Strzelaj Waszmość. — Wódz demokrata strzelił, chybił, Duszyński cmoknął: — Kiepsko strzelasz, popraw się. — Nabił raz drugi pistolet i dał mu do ręki: — Strzelaj. — Demokrata rozżarzony, zmieszany strzelił, i znowu chybił, Duszyński nie strzelał, rzucił pistolet, machnął ręką: — Nie, nie umiesz — wziął do ręki nahajki — a teraz przysięgaj, nie ma rady, albo drała w taniec — i podniósł nahajkę do góry.

Wódz demokrata ukląkł na poduszce — i w głos, dobitnie, wyraźnie, jak dziecko za matką pacierz — powtarzał za Duszyńskim rytuał przysięgi Adamowi pierwszemu, ucałował krzyż Zbawiciela, ewangielią — podpisał imię i nazwisko szlacheckie — na akcie na to już naprzód sporządzonym. Wstał, a Duszyński już nie brał pistoletu do ręki, ale trzymał nahajkę. — Dalej na Waćpana kolej. — I szli, jeden po drugim kolejką i wszyscy przysięgli i — akt podpisali — Duszyński nahajkę na ziemię rzucił.

— Będzie Polska, bośmy jeszcze Polacy — nie dodał ale pomyślał — co wszechwładztwo popsuło, to nahajka poprawiła.— Ściskał jednego po drugim, i pili noc całą, śpiewali, hulali, tańczyli, mało się ujeżdżalnia nie rozwaliła.

Nawróceni z demokracyi na szlachectwo Polacy, z aktem przysięgi, udali się już nie do Londynu, do Centralizacyi, ale do Paryża, do księcia Czartoryskiego.

Duszyński w swoim raporcie napisał do księcia Adama Czartoryskiego: — Tak trzeba propagować, nie mowami, nie artykułami, ale siłą i miłością. — U naszego Sulejman Beja, siła to był nahaj, a miłość, to wino.

Sława o tym wypadku gruchnęła i po emigracyi, a nawet doleciała do kraju. Centralizacya zalękła się na prawdę i już w po-

moc swoim dziennikom, nie przestających drukiem walczyć Duszyńskiego, wysłała kilka fanatyków demokratów, do Marsylii, żeby Duszyńskiego zwalczyć jego bronią, siłą i miłością, ale niestety, i to się nie udało. Duszyński wszystkich przepił i wszystkich przebił — byli to Polacy, dawał sobie z nimi radę, ale wmięszali się do niej najemnicy cudzoziemcy, i Duszyński napadnięty w pewnej uliczce, o mało że życiem nie przypłacił. Dostał nawet parę pchnięć nożem, do których się nigdy nie chciał przyznać, ale się przyznał do porozbijanych nosów, do wybijanych zębów zabójcom — powtarzał: jam i operator i dentysta— i to bezpłatny, proszę każdego, niech przyjdzie, będzie kontent.—

Władze miejscowe Marsylii, począwszy od prefekta aż do ostatniego komisarza, szanowały i lubiły Duszyńskiego. — Nakazano policyi, aby czuwała nad jego bezpieczeństwem, ale dla Duszyńskiego ten byt, ta opieka, to były ciężarem, niewolą nawet, on sam sobą nawykł i lubił się opiekować — brodzić po mieście jak po stepie, być zawsze jak na czatach. — Uprosił u władz, że nie robiono poszukiwań na demokratach, powiadając: — to zabawka, to fraszka — nie w takich ja przepałkach byłem, to dzieci — rózgą skarcić i koniec, bo i batoga nie warto posponować na takie bzdurstwo. —

Znudził się, sprzedał konie, zamknął ujeżdżalnią i chciał jechać na górę Atos, czyli świętą górę, do mnichów, tam rozpamiętywać nad swojem życiem i pisać wspomnienia, gdyby kogo znalazł, coby mu je chciał pisać — i wykrywać roboty moskiewskie przeciwko cesarstwu Ottomańskiemu i Polsce.

Ale człowiek strzela, a los kule nosi. Duszyński zawezwany został do Tulonu. Za usługi oddane w Algierze dostał posadę przy telegrafach, podówczas jeszcze nie elektrycznych i mianowano go jednym z dozorców kręcenia postronków w Arsenale. Sam zaś sobie wyrobił, że mu oddano w opiekę kilkunastu Polaków, wskazanych do ciężkich robót w tem mieście, których mienił być ofiarami tułactwa, którzy nie umieli zastósować się do zagranicy, nie zaklimatyzowali się pracą, ale zaklimatyzowali się życiem. Tak pięknie w tym Paryżu, robić się nie chciało, a może nie umiało, a wydawać się chciało i potrafiło. Wędrowiec filozofował nad nimi, żałował i chciał poprawić.

Duszyński, w szczęśliwym usposobieniu swojej imaginacyi,

znowu był potentatem. Miał w swoim zarządzie telegrafy, komunikacyą ze światem, powrozy, które można było używać do ciągnienia wrogów na szubienicę i do kręcenia batogów, do trzymania w ryzie karności swoich. Miał wskazanych, których zawsze nazywał szanownemi (honorables) — polepszał ich byt materyalny, podnosił ich moralnie i powtarzał: — jak odpokutują swoje, a wyjdą na wolność, będzie to moja gwardya, i co do obyczajów, i co do męztwa. — Pochwalano to postępowanie Duszyńskiego, i admirał Cazes tak go połubił, że był u niego codziennym gościem.

Przez kilka lat miał błogie i spokojne życie Julian Duszyński. Demokraci o nim zapomnieli, Polacy nawet zapomnieli, ale on o Polsce nie zapomniał. Kiedy nadszedł rok 1848 — chciał jechać do Węgier, do Bema, do Dembińskiego, dwóch bohaterów swojego serca, dwóch wielkich Polaków, ale siły już mu nie pozwoliły, ośmdziesiątka się zbliżała — co dzień był na wyjeździe, i co dzień jednego młodego i dziarskiego Polaka swoim kosztem posyłał na swojem miejscu: — Jedź, moje kochanie — jedź i bij się, a powiedz Bemowi polskiemu, powiedz Dembińskiemu, że ja tam wkrótce przybędę. Och, żeby to nie ten papiernik Chrzanowski, ale który z nich był posłany pod Nezib, nie byłyby tak się rzeczy skończyły i ja nie byłbym tu sam — sam jeden — ani psa, ani kota polskiego — ani żadnej rzeczy żyjącej polskiej. —

Często to powtarzał, i płakał starzec, że sam jeden. Ale przyszła cholera, zabrała samotnika z tego świata. Kiedy był w największych boleściach, zawołał doktora i mówił: — Mój Panie, mówią, że to choroba motłochu, ludu, demokracyi — a ja dalibóg jestem dobry szlachcic herbowy, nie demokrata, czegóż ta bestya do mnie się przyczepiła, otóż to wierzyć temu, co gadacie.—

Po tem powtarzał: — Wstyd, wstyd mnie tak umierać, powiedzą, żem nie szlachcic, ale demokrata. —

Przy skonaniu wołał:

— Boże zbaw Polskę od wrogów, Boże zachowaj Polskę od cholery i od wrogów, Boże daj nam króla, Boże odwróć od niego cholerę. —

Tak umarł Julian Duszyński, w bólach marząc o królu, modląc o Polskę.

Przy pogrzebie rzewnie płakali Polacy, wskazani przestępcy, oni teraz zostawali — sami.

Staraniem Hipolita Błotnickiego wzniesionym mu został skromny grób na cmętarzu Tuleńskim.

Przestępcy jego opieki wyryli na kamieniu:

— On teraz nie sam, ale myśmy zostali sami. Modli się za nas, módlmy się, jak on się modlił za Polskę — o Polskę. —

1 Lipca 1862.

Skutari. Harem-Skolesy.

ISKINDER PASZA-ANTONI ILIŃSKI.

ISKINDER PASZA-ANTONI ILIŃSKI.

Chociaż Antoni Iliński, czyli Iskinder Pasza, wzrósł, żył i umarł w naszych czasach — pisząc o jego życiu, trzeba je podzielić jak historyą Polski, na dzieje bajeczne, i na dzieje prawdziwe. — Wiemy wszyscy jego wspólrodacy i towarzysze, że urodził się w 1814 czy w 1815 roku, we wsi Jarmolińcach, powiecie-Staro Konstantynowskim, gubernii Wołyńskiej — z ojca Aleksandra Ilińskiego i z Matki z rodu Budzyńskiej — z rodu, który liczył nieprzeliczony szereg obywateli polaków nieposzlakowanej poczciwości. — Obydwie rodziny Ilińskich i Budzyńskich należały do starej szlachty Polskiej, do rycerskiego Koła — jak można widzieć w herbarzach, Okulskiego, Paprockiego i Niesieckiego. Od najdawniejszych czasów, w służbie Ojczyzny terali i zdrowie i życie — majątków nierobili, bo co Bóg dał, z bracią obywatelami przejedli, przepili, ale spuścizny po praojcach nietracili. — Oni do wiosek a wioski przywiązane były do nich od półtory wieku, od nadań Piastów. — J jedna i druga rodzina mogła powiedzieć jak Stefan Czarniecki: zostałem szlachcicem, zostałem panem, nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli. — Stary lekarz Szlemer, najlepszy Kronikarz Ruskich Ziem, bo całe obywatelstwo Ukraińskie Wołyńskie a nawet i Podolskie leczył — powiadał —»— «Ilińscy i Budyńscy, dobrzy polacy. syn od ojca się nieodtacza, jak się nieodtacza jabłko od jabłoni — poczciwi i uczciwi obywatele, rodem kurki czubate. A tak przywiązani do swoich siedzib

dziedzicznych, jak chłopi, poddani skazkowi przywiązani do ziemi, zwłaszcza teraz, kiedy Carskie Ukazy wzbroniły przedaży i darowizn dusz skazkowych bez gruntów — i przegrywania onych w karty, i mieniania za psy i konie. — Gromady ich wiosek już tak z Ilińszczeli i z Budzyńszczeli, że wyglądają jakby jedno ciało, jedna dusza. —

To było pochodzenie prawdziwe naszego bohatera — ale bajeczne nie według kroniki Szlemerowskiej, ale wedle opowiadań samego Antoniego Ilińskiego czy Iskinder Paszy wcale było inne. —

Ilińscy nie byli Ilińscy, szlachta Polska Piastów i Jagielonów — ale Jłaje, Tatary ze Złotej hordy, czy Kipczackiej. — Trzech braci, Mamaj, Iłaj i Aksaj — jeszcze pod Dżengiskanem rozstrąbili swoje imiona po szerokim świecie sławą wojenną i sławą bogactw. — Mamaj gdzieś zaginął w Tatarszczyznie, a Iłaj i Aksaj, z bogactwami Golkondy i Samarkandy spadły na Polską ziemię — i spłodzili rodziny Ilińskich i Aksaków. J dla tego już za panowania Stanisława Augusta, Iliński ożenił się z wdową po Aksaku — syn z tego małżeństwa, Iliński, został Senatorem, Hrabią, protektorem Katolicyzmu w całej Polsce, Kardynalem bez Kapłaństwa, i wielkim Inkwizytorem, nie w starym Rzymie, ale w Rzymie nowym, Romanowie. — A młody Aksak Terdżymanem w Stambule, najbieglejszym tłumaczem języków wschodnich, i najbieglejszym tłumaczem Koranu. — Zapewnie dla tego został później Antoni Iliński, Iskinder Pasza. —

Przy narodzeniu Antoniego Ilińskiego, zawsze dzieje bajeczne, przez niego samego opowiadane — ukazala się nad Jarmolińcami jasna kometa z czternastu ogonami, co potem wytlumaczonem zostało nazwiskiem: Iskinder Illahi. — Piętnaście owiec okocilo się tej samej nocy i wszystkie porodziły potwory z głowami Moskiewskiemi i Niemieckiemi — znak, że narodzony mial zdeptać te hydry kiedyś. — Nareszcie Charcica ulubiona Pana Alexandra Ilińskiego, nazwiskiem Hiwa, urodziła troje szczeniąt pstrokatych, wszystkie trzy psy — i Pan Alexander nazwał je Lapaj, Capaj, Chapaj, a synek jego potem z tych nazwisk wtkał dzieje bajeczne o Mamaju, Ilaju i Aksaju. —

Antoni urodził się razem ze swoim bratem Ignacym, był tedy bliźniakiem — ale w chwilach natchnienia poszukiwań

przeszłości przeczył temu. — Dostawszy tłumaczenia Iliady Homera przez Jacka Przybylskiego, już czepiał się, żeby wynaleść schodność nazwiska Ilińskich z Iliadą — ale niemogąc dostatecznie udowodnić podobieństwo — poprzestał na wyprowadzeniu podobieństwa swojego urodzenia się z urodzeniem Achillesa Pelidowicza, jak Pelid, Pan Alexander Iliński miał rozkochać jakąś Rusalkę Ukraińską, czy Huryskę Tatarską, i ta mu powiła syna. — J jak piękna Tetys zanurzyła nowonarodzonego w Peonie trzymając za piętę — tak Rusałka czy Huryska zanurzyła Antosia w stawie Jarmolinieckim, trzymając sa gardło — a potem położyła przy Ignacym jako bliźniaka — i dla tego niemógł być śmiertelnie rażonym tylko przez gardło. —

Dziecinne swoje lata przebył bez żadnych szczególnych wypadków — w roku 1831 Ojciec obydwóch bliźniaków wyprawił przez Galicyą do wojska polskiego. — Obydwa weszli do szwadronu Legii Litewsko Ruskiej, który się organizował pod kierunkiem i dowództwem Majora Bohdanowicza, starego Napoleońskiego żołnierza, rodem z Wołynia. — Dzielna to była młodzież w tym szwadronie, Anastazy Podhorski, Leon Lipkowski, Eustachy Jełowicki, Trzech Podhorodyńskich, Mieczysław i dwóch Aleksandrów, Poeta Gosławski, Poeta Olizarowski, Poeta Slowacki — Ilińscy — Wątróbka — Rewera — sama szlachta, dzieci najznamienitszych obywateli i Alexander Pausza z Miłostowa. — Szwadron ten wyszedł na linią bojową już pod koniec wojny, pod dowództwem Generała Szeptyckiego. —

Szwadron ten pierwszy raz był w boju pod Chodczą, blizko Janowca. — Jenerał Samuel Rożycki miał główną komendę i pod swojemi rozkazami Generałów Szembeka i Szeptyckiego — był to dziwnie piękny szwadron, i ludźmi i końmi — sami szlachetni — ani jednego urodzonego we Froncie — urodzeni byli do czyszczenia koni i do ubierania paniczów — i z luźnemi i jucznemi końmi, z Takociami i z napitkami stali daleko za Frontem. — Panicze, jak młode charciaki rwały się ze smyczy, rotmistrz Cybulski ledwie ich mógł powstrzymać. — Jenerał Samuel Różycki widział tę dziarskość — kazał szwadronowi wyjść naprzód.

Jenerał Samuel Rożycki wysłał pułkownika Karola Różyc-

ckiego z jego jazdą kozacką — do Solca a sam został w Chodźcy, z ośmiu batalionami piechoty, bateryą artyleryi i ośmiu szwadronami jazdy. — Wązką a długą groblą przeszedł bagna i uszykował swoje wojsko na niewielkiej płaszczyźnie, przeciwko Janowca. — W Janowcu była osada Moskiewska z dwóch batalionów i bateryi artyleryi, a na moście na Wiśle, który się znachodził wprost naszego prawego skrzydła, było dwa drugie bataliony Moskiewskie z pół bateryą artyleryi i dwoma szwadronami Dragonów; przed naszym Frontem były lasy Temnickie i ztamtąd się spodziewano Jenerała Rüdigiera, dziewięciu batalionami piechoty, z ośmnastu szwadronami Dragonów i konnych strzelców — z pułkiem dońskich Kozaków i z silną artyleryą. —

Trzech bylo Generałów i wszyscy radzili — dobrze mówi przysłowie, gdzie wiele nianek, tam dziecko bez ręki albo nogi, tak i wojskiem, postanowiono czekać i przyjąć bitwę. — Szwadron Jazdy Litewsko-Ruskiej wysunięto naprzód, kazano zakrywać wojsko. — Pokazali się dońce pod lasem, panicze ich w mig spędzili, pokazali się konni strzelcy i Dragoni i tym łupnia dali panicze — stanęli Moskiewskie harmaty na pozycyi, zatrąbiono odwrót i panicze wrócili do Frontu jak stare wojsko, — Wtenczas przyjechał Samuel Rożycki przed Front — popatrzył —« — Tu stać i do ostatniego zginąć — — Stoją, jakby z kamienia, a granaty Moskiewskie pękają i wyrzucają z szeregu i ludzie i konie i pięciu minut nietrwało, a już ośmnastu paniczów niezobaczy ani Mamuni ani siostruni, ale zmykają się w szereg i stoją — harmaty Moskiewskie grzmią — cała ich konnica szykuje się w kolumny do ataku. — Już trąbki zagrały a oni stoją. — Wtenczas, niestety jeden oficer i dzielny i szlachcic — ale śartowniś — przyjechał przed Front.

— »Słyszeliście panowie, co Jenerał mówił —« »Stać i do ostatniego zginąć« » — co trzeba, żeby niezginąć — » — i ćwierć obrotem tylko odwrócił konia do Frontu; konie paniczów jakby zelektryzowane, zwróciły się takoż — Moskiewskie harmaty okropnię huknęły — konnica Moskiewska zakrzyczała hura! i konie z paniczami wleciały między swoją piechotę, a za niemi Dragoni konni strzelcy i Dońce — w jednem mgnieniu oka, z płaszczyzny wszystko zmiecione, bitwa na bagnach i na grobli — Bitwa — nieład — ucieczka, przez groblę przez las,

na płaszczyzny pod Lipsk. — I ten Lipsk Sandomirski, nad jakimeś wyschłym, lichym ruczajem, mógłby być świadkiem klęski polaków — jak Lipsk Saxoński, nad Elsterą był świadkiem klęski Francuzów i Polaków. — I Samuel Różycki mógłby się utopić, gdyby było gdzie, jak się utopił Książę Józef Poniatowski w Elsterze. — Ale od Solca w czwał przyskoczyła Jazda Kozacka i z nią Karól Różycki. — Sława Bohu i już Moskwa w tył pierzchła, gromadzi się za swojemi harmatami — a Polacy poznają się, zbierają się, bezpiecznie, jak pod skrzydłem Anioła. — Darmo Rüdigier każe trąbić do natarcia, sierdzi się, harmatami grozi, klnie w ojca, w matkę — po Moskiewsku, szable w górze błyszczą, krzyczą hura i w miejsca stoją. Ani z miejsca wieruszyć tej massy — wszędzie jeden głos — »Tam bielcy — niepójdziemy. —« —

Bielcami nazywano jazdę kozacką Różyckiego Karola, z powodu białych czapek, i oznak białych na mundurach — przed bitwą Jenerał Rüdigier, który miał doskonałych szpiegów zapowiedział rozkazem diennym, że bielców niemasz w wojsku Samuela Różyckiego — i dla tego szli tak walecznie w taniec wojenny — ale za ukazaniem się bielców zgubili takt. —

Bielce ocalili wojsko trzech Generałów. —

Kiedy przy wieczornych ogniach rozprawiano o tem, co się stało w dzień — Aleksander Pausza zwalał całą winę na nazwisko Rotmistrza Cybulskiego, mówiąc — «Jak że to miało być dobrze, kiedy nami dowodził Cybulus — ze szkół wiecie, co to znaczy Cybulus —» —

Tak raz pierwszy był zaprawionym Antoni Iliński. — Ale szwadron Litewsko-Ruski tego dnia był wcielonym do Kozaków Karola Różyckiego — i choć w amarancie od tego dnie taki był tęgi jak i Bielcy — w pochodzie śpiewał —: Hej Kozacze, w imie Boha — a w boju — Sława Bohu — i pod sławnym Atamanem i on został sławnym. —

Po nieszczęśliwem skończeniu wojny, Antoni Iliński z bratem i z innemi towarzyszami udał się przez Niemcy do Francyi. — Podróż odbywał tak, jak ją odbywali wszyscy obrońcy ojczyzny. — Niebiegli one jak legiony Dąbrowskiego, Kniaziewicza, o chłodzie i o głodzie,wśród mordów i pożogów — z ziemi Włoskiej do ziemi Polskiej — oni jechali w wygodnych powozach,

z ziemi Polskiej do Włoskiej, do Francuzkiej, do Bóg wie jakiej — jedli, pili, w betach się wylegali i na Niemców wymyślali. — A Niemeczki do nich się uśmiechały, Niemcy im się kłaniali i wieźli — niemogli się lepiej zasłużyć Moskiewskiemu Carowi, wywrząc Polaków wstecz od pól Ojczystych, gdzie powinni byli głową nałożyć — Ojczyzny nierzucać — żeby ją tam gdzieś szukać za granicami, za górami i za morzami. — Tak dawniej praojcowie nierobili, konfederowali się, żeby walczyć, zwyciężać i umierać na Polskiej ziemi — za Polskę. Inny świat, inne obyczaje — dziś — stutysięczne wojsko z bronią w ręku, zaprotestowało, broń złożyło Niemcom, a samo, pod wodzą wielkich Jenerałów i Senatorów, Ojców i Narodu — poszło na wędrówkę grozić z za Renu, z za Tamizy — nad Wisłę i nad Dnieper. — W Niebie, w przybytku Bożym, stary Chodkiewicz i dzielny Żółkiewski od wstydu i od hańby oczy zakrywali, żeby niepatrzyć na tych pielgrzymów — ale demokracya Niemiecka na rękach ich nosiła; Izby Francuzkie brzmiały — w każdej Sessyi Narodowość polska niezginęła — ale sami Polacy niemieli prawa zaśpiewać nawet — »Jeszcze Polska niezginęła, kiedy my żyjemy — bo cóż po takich żyjących, którzy niebiegli do Polski, ale uciekali od Polski. — Wnukom i prawnukom najpóźniejszym powinniśmy zakazać naszym przykładem — z Polski niewychodzić — w Polsce walczcie — gińcie a zwyciężycie. —

Niemeczki bawiły się Antosiem Ułanem, jak dzieci bawią się lalką — pieściły — łakociami karmiły — cukrowem winem poiły, Antoś widział, że Niemeczki nie potwory, choć z niemieckiego rodu — białutkie, pulchniutkie — swawolne, rozkoszne — a takie dobre sercem, że usta nigdy niepowiedzą — »nie« — pomału, pomału i on się oswoił — i powiadał, z takiemi potworami chciałbym żyć — żyć, a nigdy nieumierać. — Ale go powieziono do Francyi do Awinionu, a ztamtąd do Algieru, do cudzoziemskiego legionu. —

W Cudzoziemskim legionie źle było, nie tak jak w Niemczech. — W czasie wojny legion tam przysłano, gdzie śmierć jawna, gdzie niebezpieczeństwo pewne — a gdzie sława — gdzie zwycięztwo, tam szli pułki narodowe; w czasie pokoju — roboty z motyką, z rydlem, na cieślów, na mularzy — areszt — a więzienia — straże za najmniejsze przewienienie — Franków w kieszeni nie-

było, choć się służyło królowi Francuzów — a na susy nie tylko Algierskie gryzetki, ale nawet Maurytanki i żydówki patrzeć niechciały — zła dola — raz tylko Antoni się odznaczył ale i to nieposzło mu na dobre. —

Przybył do legionu cudzoziemskiego Kapitan, Polak, znakomity pisarz wojskowy i polityczny — z tych pism wnoszono, że będzie usłużnym Francyi w wojsku, jak byli Sokolnicki, Chłopicki, jak był Tadeusz Horain — kazano mu dać kompanią jako szczebel drabiny do wyniesienia się. — Koło jakiegoś tam miasteczka nad morzem pokazali się Arabowie. Kompania wyszła i kapitan za nią. — Arabowie strzelali, Kapitan uciekł w morze — Kompania odpędziła Arabów, Kapitan zaszedł w morze aż po szyję. — Namokło odzienie i obuwie i strach wielki, o mało co nieutopiły uczonego Kapitana. — Antoni Iliński w obec całej Kompanii, która możeby nieuratowała swego Kapitana zajęczego serca — bo niebardzoby chciała mieć go na drugi raz dowódzcą — wsiadł na konia zabitego Araba i uratował Kapitana. — Kapitan uznany za nieposiadającego sentymentów wojennych, odesłanym został z wojska na powrót, do biura dzienników — a Iliński niezostał nawet podoficerem. — Przysiągł mu kapitan, wprawdzie w wodzie, wieczną wdzięczność — ale raz wyszedłszy na ląd o wszystkiem zapomniał — a co gorsza, nigdy nazwiska Ilińskiego niewspomniał Journal des Debats. — Kiedy później, później, Iliński już Iskinder Bey, zawołany pułkownik — zdybał się w Turcyi z kapitanem, także Pułkownikiem, ale Kopertowym i przypominał o wypadku na dobitniejszy dowód, o koniu pstrokatym, — niewdzięczny wszystkiego się zaparł milczeniem — a na domiar czarnej niewdzięczności od tego czasu Journal des Debats już żadnej wzmianki niezrobił ani o Iskinder Beju, ani Iskinder Paszy. — Z takiemi ludźmi przepędzona wojaczka w Algierze, niemogła zostawić tylko wspomnienia cierpkie, ckliwe, to też o nich niemawiał Antoni Iliński. —

Z Algieru poszedł z legionem do Hiszpanii, na służbę królowej Izabelli — i został podoficerem w Ułanach, w szwadronie Przyłuskiego. — Kariera w Hiszpanii najtreściwiej była opisaną w kilku słowach jego kapitana — »Antoni Iliński dzielny w boju, wściekły nawet, sprytny, ale liderlich, dnie i noce na karteczkach i z dziewczynami — i kieliszka za kołnierz niewyleje; — jeśli

go gdzie diabeł w boju nieweźmie — to niewiele będzie z niego pociechy« —

Po powrocie z Hiszpanii było bardzo krucho koło Pana Antoniego — Florystka Eleonora za kwiatek zabrała wszystkie reale — i realne i nierealne — z Orleanu wygnano, bo kapitan Gwardyi Narodowej, korzennik, oskarżył, że często nawiedza jego żonę w sklepie, nie po kasonadę, ani po reglizę — ale Bóg, a raczej diabeł wie, po co — niesłuchano tłumaczenia się, nie sądzono ale jako Polakowi wyjętemu z pod prawa kazano wyjechać w dwódziestu czterech godzinach — w interesie dobrych obyczajów. W dodatek, korzenniczka kapitanowa przyjechała do Paryża założyć sklep i mieć Antoniego Ilińskiego za buchhaltera — było kuso, jak tu się wymknąć — wziął się do pióra i napisał — O wojnie partyzanckiej zaaplikowanej przezemnie w Hiszpanii. — W książce chodził z Pampeluny do Saragossy — z Bilbao aż do Madrytu — przebywał wąwozy, sierry — przepływał rzeki Ebru, Guadalkwiuru i po każdej epizodzie był sens moralny — jak po każdej bajce Krasickiego albo Niemcewicza — z zastósowaniem do sieci strategicznej w Polsce, że tak w takim miejscu, w takich wypadkach trzebaby zrobić. — I to swoje pismo zaofiarował Polakowi dzielnego serca, dobrej wiary, bez wątpienia najznakomitszemu pisarzowi wojskowemu Polski. — Ten wszystkiemu uwierzył, znalazł w nim dzielność Miny a sąd wojskowy Klauzowicza, i zalecił Ilińskiego Księciu Adamowi Czartoryskiemu. —

Księciu Adamowi podobał się, bo był praworny, motorny, szlachcic postawą — szlachcic w mowie — niezfrancuział a tem bardziej nie zhiszpaniał — zdawało się, że tylko co przybył z Rusi, a to dość było, żeby schwycić za serce tego Wielkiego Kniazia Rusi — potomka Jagielonów, ostatniego męża Polski z Klewańskiej gałęzi, polubił go — Iliński wyczytał gdzieś, że jest w Dońskim Kozaczym kraju Ilińskaja Stanica — i zaraz dodał do swoich pierworodów Iłaja — Iliady — i stanicę, utrzymując, że jego przodkowie ją założyli i że on jest Kozackiego rodu — posłano go do Stambułu, a ztamtąd na agiencyą na Dobrudżę.

Dotąd na Dobrudży agientem był człowiek prozy i prawdy — Wincenty Rawski, który — raz napomniany, żeby się starał przesyłać swoje raporta drogą niełatwą do schwytania Austrya-

kom i Moskalom — przysłał faskę masła przez statek Austryacki, a w tej fasce były arkuszowe raporta, przekładane pokładami masła — a kiedy mu powiedziano, że trzeba było przełożyć łupkami, żeby papier nie przesiękał tłustością — na drugi raz tymże statkiem przysłał kilka ogromnych łupów tarcic, jak na budowanie domu, a między niemi były arkusze papieru — ale na papierze była sumienna prawda. —

Pierwszy raport Ilińskiego był o napadzie bandy rozbójników na niego, zabil pięciu, ranił czterech, ale reszta bandy zabrawszy trupy i rannych, uciekła w lasy Babadachskie — pod nim ubito konia i przybył na pieszo do Tulczy. — Gazety i Stambulskie i zagraniczne rozgłosiły o wypadku i o bohaterstwie, policya ani myślala śledzić prawdy ani szukać rozbójników — I niktby był nieprzeczył, ale kozak sluga, który z nim jechał, bojąc się odpowiedzialności, oświadczył, że i zająca niezdybali w lesie, że rozgniewany Iliński na konia, ciągle utykającego, strzelił, zabił i zapłacil właścicielowi — i na tem koniec, ale w gazetach został czyn do przyszłej historyi — pierwsza warcaba posunięta naprzód. —

Później Iliński podał długi i romansowy raport o jakimeś Kozaku Adabirze, z którym się poznał na spławniach Dunajowych — ten Adabir miał być Kozakiem z nad Kubania Watażką Zaporożców i Azowców, którzy rzuciwszy dla rozmaitych przyczyn służbę rossyjskiego Cara, swoje domy, schronili się na spławnie Kubania — i ztamtąd gospodarzyli po czarnem morzu — dojeżdżając aż na Dunaj, żeby skomunikować się z Kozakami osiadlemi na Dobrudży — że Moskale wstydząc się, że ich policya i ich marynarka nie mogą dać rady tym napadom Kozackim, tają to przed światem i płacą, żeby po Gazetach niedrukowano — że ci korsarze Kozacy mają dzis gotowych do boju dziesieć tysięcy Mołódźców, hulających po morzu na tysiącu czajkach — że mają swoje składy broni — żywności — prochu, które im wystarczyć mogą na lat dziesięć. — Adabira opisał od stóp do głów, jak jakiegoś tajemniczego człowieka, mówiącego o ostatniej wojnie polskiej z wielką dokładnością — o miejscach, gdzie były bitwy — o pułkach — o naszych Jeneralach — o Księciu Adamie — i oświadczającego zupełną gotowość porozumienia się z Polakiem na to przeznaczonym przez Księcia — kończył

zaś raport propozycyą, aby założyć osadę nad Dunajem, blizko wsi Tełycí — gdzie są dwa Monastery, jeden Kozaków Weteranów hulatycki — drugi Kozaczek Weteranek także hulatyki — że to byby była przystań do zgromadzenia zawczasu zasobów broni, i w potrzebie skupienia Kozaków Dobrudży, mogących dać dziesięć tysięcy żołnierza dzielnego, konnicy i piechoty — że dołączeni do tego Kubańcy utworzyliby korpus, którymby mógł dowodzić i Jenerał Chrzanowski. —

Ten raport niebył przyjętym w Stambule, tak jak się spodziewał Iliński, wprost niedano mu wiary — wystylizował, wykaligrafował kopię tego raportu i posłał do Paryża swojemu dawnemu opiekunowi. Tak szczęśliwie trafił, że w Adbirze poznano dawnego Wachmistrza z pułku Krakusów, dzielnego żołnierza i oczajduszę — Iliński został popartym i Książę Adam wysłał do Agiencyi Głównej, do Stambułu Michała Budzyńskiego — nie do kontrolowania, ale do przerobienia nieufności Agienta Głównego. —

Na Dobrudży na ówczas do pomocy Ilińskiemu był dodanym Ahmet Tefik Bey Puławski — urodzony w Krakowie, wychowany w Uniwerstytecie Getyngi, ex-podpułkownik wojska tureckiego — ex-adjutant Seraskiera Huzrew Paszy, ex-agient Kompanii Angielskiej w Indyach — ex-sekretarz poselstwa tureckiego w Paryżu — ex-lekarz Szacha Perskiego w Teheranie — ex-dyrektor Fabryki broni w Stambule — ex-dyrektor Fabryki porcelany i szkła Feti Ahmet Paszy w Bosforze — nakoniec bez miejsca, posłany na agiencyą do Tulczy. — Drugim pomocnikiem Ilińskiego był Stanisław Krajewski, zwany Panaotem, przywieziony z Kaukazu przez sławnego Dawida Uskwarto. który jeden z Polaków na Kaukazie miał przywilej noszenia broni, bicia się z Moskalami — i liczenia się do Worków, szlachty Czerkieskiej. — Ten worek po przybyciu do Stambułu zostawał przy Jenerale Chrzanowskim, jako jego Kawalergarda, w czerkieskim ubiorze; jednego dnia przyszła fantazya Workowi zabrania wszystkich pieniędzy Jenerałowi Chrzanowskiemu, wsadzenia w swoich worek, wsiądzenia na dzielnego dżameta Jenerała i drała w świat, gdzie oczy poniosą. — Ale się prędko opatrzono, Ludwik Znierkowski, znany na Wschodzie pod nazwiskiem Lenoira, Kara-krak-Beja i Czarnego — wsiadł na

Bedowią Jenerała, dognał zbiega, przyprowadził. — Jenerał odebrał wszystko co było jego — Worek dostał co było nie jego i co niechciał mieć swojem, ale został jako remanent przy Agiencyi — i odkomenderowano go na Dobrudżę. —

Michał Budzyński, dzielny oficer z Kozaków Karola Różyckiego — tłumacz Szylera, Getego, Gundulicza i sam poeta — był człowiekiem sumienia, prawdy i cnoty, ale ognistego serca i bujnej imaginacyi. — Agiencya główna wysłała go na Dobrudżę. —

Iliński woził Budzyńskiego po wioskach Starowierców; widział, jak oni żegnali się krzyżem Świętym i pili jak krzyżowi Mnichy Walenroda. — Woził po wsiach burłakich Ukraińców, tam żydzi szynkowali po Karczmach, tam brzmiały cymbały — a mołodźce z dziewkami i mołodycami zawodzili Kozaka to w przysindy, to w trapaka. Nareście go zawiósł do Monastyrów Tełycy. — Tam przy wódce i miodzie jak mu zaszli opowiadać starcowie, o kureniach, o dawnej Siczy — o zdrajcy Hładkim — o Świętej górze — a baby o Lachu czarnowąsym i o ostatnim Arędarzu Siczy Jankielu — tak oszołomił Michała Budzyńskiego, że ten i płakał i ściskał z radości Antosia. — A kiedy w końcu ojciec Paisi, Ihumen Monasteru, zdjął szarafan i w koszuli i szarawach zawołał do trapaka, a Matka Paraska, Ihumenka, jak z procy wyskoczyła w hołubce — a żyd Abramko Arędarz sam porwał za cymbały — a żona Chajka za bałabajkę — — i Antoś niemógł wytrzymać, wyprowadził w taniec córkę Zetkę. — Mnichy dziady, dalej w okracz w przysindy, Mniszki baby w perewerty. — Budzyński myślał, że Kijów nasz, Berdyczów nasz i Brody nasze — że tak hulają już na pohybel Moskwie i Niemcom. — A pełne kufy wódki i wina próżniły się, jakby czarem jakim. Takież biesiady niewidział ani Gete ani Szyler, a takich dumek, takich szumek nienucił nawet sam Sławiański Gundulicz. — Kiedy zasnął, kiedy się obudził sam Budzyński, o tem niewiedział — ale kiedy oczy przetarł, pokotem Mnichy i Mniszki dosypiały reszty — a ojciec Paisi przez sen szemrał — Hospody Boże — Abrahamku dawaj wódki — Gospody wełyki — Chajka wina a szparko — Pomyłuj nas — dalej chłopcy w trapaka — dalej mołodyce w przysindy — Amin

— Amin. — Antoni Iliński z Puławskim i parajotem już wrócili z lasu, budzą Budzyńskiego: —

«Wstawaj Panie Michale — kiedy robić to robić — poznaczyliśmy kupione drzewa na budowę, zobaczysz jakie drzewo, a za bezcen, cieślów mamy dość, grunt już kupiony — Puławski ma papiery jak zowią Turki Temesnik — za miesiąc będziemy mieli sto chat i sześć karczem będzie, Czartoryjka — a potem — Bóg da — wstawaj —» —

Wstał Budzyński, siadł na koń i pojechał z nimi. — Dęby ogromne jak w Smilańskiej puszczy, sosny choć na Maszty, otwiera oczy, Budzyński stuka, próbuje czy dobre, zdrowe drzewo — liczy przewiosła, któremi powiązano drzewa, z których ma być przyszła Czartoryjka — cały w zachwycie. — Antoni mówi: —

«Trzy tysiące jak rybie oko kupiliśmy, za trzy tysiące franków czyli dwanaście tysięcy siedmset pięćdziesiąt sosen dano nam porękawicznego, na chałupy dla mnie, dla Tafika, dla Panajota i dla ciebie na dworek —» —

Pieniądze wyliczył i zdał do Agiencyi Głównej chlubny raport z tak korzystnego kupna. — Na odpowieź niedługo czekał — wykazano mu jak najdobitniej, że z niego zażartowano, gdyż w Turcyi wszystkie lasy należą do Sułtana — i Sułtan drzewa na budowę domów nieprzedaje — ale daremszczyzną daje, każdemu kto chce się osadzać na Sułtańskiej ziemi — — Budzyński gniewa się, żąda zwrotu pieniędzy, a tu pieniędzy ani śladu, żydzi zabrali. — Wyrzuca boleśnie, w patetycznych obrazach sławia przed oczy nieposzlakowaną poczciwość praojców, wiedzie przed ich Sąd Pana Antoniego. — Pan Antoni łzami się zalewa, bije się w piersi, moją wina, moja wielka wina — targa włosy — co ja zrobię; nic mi więcej niezostaje tylko odebrać sobie życie — bądź zdrów Michale, pójdę w Dunaju się utopić. — Budzyński go ściska, a utworzy Getego i Szylera stanęły mu przed oczyma — — «Poznaję cię mój Antosiu, nietop się, ale zastrzel się — oto masz moje pistolety, nabite — to będzie po rycersku» — Uściskali się. —

Iliński zabrał pistolety i poszedł do siebie a Budzyński napisał raport do Agiencyi. —

«Antoni przyznał się do wszystkiego — gorzko rozpacza —

kiedy ten raport dojdzie, już on żyć niebędzie, odbiera sobie życie i nic mu innego niepozostawało — szkoda — list oddaję na statek, i spieszę na jego pogrzeb. —» — List oddal, kazał przygotować trumnę i wszystko co potrzeba do pogrzebu — wchodzi do stancyi Antoniego i — o cuda — zastaje go z ojcem Paisim, pijacych wódeczkę i gawędzących o mołodycach — nie o nieśmiertelności duszy. —

Budzyński stanął jak wryty — «To ty żyjesz —» —

«A jużci widzisz, że nieumarłem; namyśliłem się, że jak się człowiek raz zabije, to już drugi raz zabitym być niemoże — mnie się chce jeszcze z Moskalem poprobować — ot siadaj znami i pijmy, póki żyjemy. —» —

Budzyński wpadal w gniew, kiedy weszli Puławski z Parajotą, mocno przestraszeni, powiadając, że Moskale o wszystkiem się dowiedzieli i już przyjechali z Ismailowa urzędnicy Moskiewscy, dopominać się u Ajana o wydanie Polaków. W tejże samej chwili na ulicy daly się słyszeć tlumne wrzaski — «Wstawaj Ojcze Atamanie, już czas —»

Na ulicy kilkudziesięciu burlaków, na koniach i pieszo — z dragami — wołają — «Wstawaj Ojcze Atamanie, z Moskalikiem pohułamy, jnż czas —»

Co tu robić, kusa rada — czem prędzej Budzyńskiego zaprowadzono do Pana Tomasza Radyszowicza, poczciwego Kroata — ten go przechował pod opieką Austryackiej bandery — a w nocy konsul Austryacki Dubrawczyc, także zacny Sławianin, wywiózl do Galaca. —

Pozbyto się Budzyńskiego — ale sprowadzono czujność Moskali na prawdę; z Izmaiłowa zażądano od Gubernatora Sylistryjskiego Said Mirzy Paszy, Tatara, zaaresztowania tego Watażki, zbierającego Kozaków na Moskwę. — Puławski drapnął do Stambułu, Panajota czmychnął w stepy Tatarskie — a Antoni Iliński dotrwał na miejscu i dał się wziąść do więzienia. —

Kiedy Budzyński, denuncyowany przez Agientów demokratycznych, zatrwożonych pojawieniem się Agienta Monarchicznego między tym dobrym ludem, którego oni podstrzygali, kluczył jak zając po Wołoszy i Multanach, żeby uciec przed pogonią Moskiewskich i Austryackich konsulów — Iliński siedzial w Ruszczuku w ciężkiem więzieniu. — Said Mirza Pasza, dla przy-

podobania się Moskalom, morzył go głodem i cisnął kajdanami.

Po sześciu tygodniach na próźbę Agiencyi Głównej, przywieziono go do Stambułu. —

Stawiono go przed zebranie Ministrów, na które był zaproszonym poseł Rossyjski Pan Tytow — z pierwszym tłumaczem poselstwa Księciem Handżerim. — Mehmed Ali Pasza, podówczas Seraskier, spojrzawszy na dobrą minę Ilińskiego — kazał mu podać krzesło — powiadając — «U nas każdy szlachcic Polski, jest Bejzade, stać niepowinien, ale siedzieć razem z nami —» —

Te słowa, ta uprzejmość tak uzuchwaliły Pana Antoniego, że w miejscu się bronić zaczął oskarżać Moskali — i kiedy recytował, jak z płatka, litanią wszelkich psot Moskalów przeciwko Turcyi — Poseł Rossyjski prosił o zaprzestanie indagacyi — a Antoni Iliński zdrów na ciele i umyśle, niewiem z jakiej przyczyny, został odesłany wolnym do szpitala Armiańskiego, jako gość — z najwyraźniejszem rozkazem, ażeby we wszystkiem mu wygadzano.

W ogromnym szpitalu nie było ani jednego chorego — sam Pan Antoni w nim baszował, dysponował obiady, jak gdyby był u Werego, albo u Wefura — a przynajmniej u Alexandra na Miodowej Ulicy. Najprzepyszniejsze wina — jak gdyby miał pod ręką piwnicę Rauszera Berdyczowskiego — po kilkaset piastrów szło na dzień — Armianie służyli — a wieść między niemi się rozgłosiła, że to jakiś wielki Bejzade, z Lechistanu, bardzo bogaty — zapewnie założy bank albo stanie się Kontrakczym. — Arzymany — Narymany — Bohosy — Mohridycze — wszystko to biegło kłaniać się Bejzademu, może w ich ręce kiedyś odda swoje kapitały — nawet Szurpice, Limonie, Ohydy, z ciekawości ukradkiem zazierały do Bejzadego. — I tak przez dwa miesiące opływał we wszystko, jak w podróży przez Niemcy. Ale i Kapua Anibalowi się znudziła, jak się znudził Panu Antoniemu szpital Armiański. — Wszystko dobrze a, dobrze, jemu trzeba przemiany, trzeba ruchu, trzeba życia. —

Razu jednego ni ztąd, ni zowąd, wsiadł na koń, pojechał do Wysokiej Porty i zdeklarował się, że zostaje Muzałmaninem. — Wziął imie Mohamed Iskinder Illahi, dodano mu tytuł Beja, jako szlachcicowi Polskiemu — a wielki mistrz Artyleryi, Feli

— Ahmed-Pasza, mianował go Kolasem w pierwszym pułku Artyleryi rezerwowej. —

To była druga warcaba posunięta w życiu nowego Muzułmanina — druga warcaba na szachownicy znaczenia i sławy z pożytkiem sprawy Polskiej. — Bo gdzie tylko Polak, pod jakimkolwiek bądź sztandarem, w jakiejkolwiek bądź wierze — szablę do boku przypasuje, to już korzyść dla Polski — bo szabla to Polski kapitał — nią tylko jeden Polak wykupić może swoją Ojczyznę. — Handel zabierą żydzi, przemysł Anglicy, fabryki Niemcy, nauki Francuzi, sztuki Włochy — szabla tylko Polakom zostanie, tej nikt niezabierze, byle ją dobrze trzymali, Bóg tak przeznaczył, biada Narodom, które chcą odbiegać od tego, co im przykazaniem Bożem naznaczono. —

Służba w Artyleryi źle się zaczęła dla Iskinder Beja, mocno zachorował na tyfus — lekarze zadekretowali, że niemasz żadnej nadziei — letarg wzięto za śmierć — i już zabierano się do pogrzebu Iskindera — po obmyciu już mu zatykano bawełną nos i uszy, zwyczajem Muzułmańskim — powiada, że to wszystko słyszał, ale niemógł się obudzić — pasował się rozpaczą a niemocą i to zrobiło wystąpienie zimnego potu — zawołano lekarzy — ci do reszty go ocucili — i potem przesileniu się natury nastąpiło wolne wyzdrowienie. — Na dokończenie kuracyi pojechał na Dobrudżę do Monasterów Teluci. — Tam Mnichy i Mniszki. pomimo że został Muzułmaninem — obwołali go swoim opiekunem, kuratorem. —

Na całym świecie zakony dla młodych, czy to mężczyzn, czy to kobiet, są suchotami życia Społeczeństwa — ale zakony dla starych są domami weteranów i inwalidów życia społecznego. —

W tym rodzaju nic niewidziałem poetyczniejszego i szczytniejszego. jak klasztor Księży Bazylianów w Tryhurach. nad Teterowem. w powiecie Żytomirskim. — Zakon Bazylianów nieprzyjmował w swoje szeregi tylko szlachtę i to dobrą szlachtę — a jego głównym celem było wychowanie młodzieży, w duchu narodowym, czysto polskim, opartym na tradycyi i historyi — była to edukacyja konserwatorska, szczero polska — różniąca się od wychowania rewolucyjnego Księży Pijarów — a zupełnie przeciwna. chwała Bogu. wygnanej z Polski. edukacyi Księży

Jezuitów. Wszyscy Bazylianie wysłużeni na nauczycielstwie mieli schronienie w Tryhurach — w roku 1831 liczba ich była stoośmdziesięciu i kilku — starcowie nauki ale razem szlachta polska. — W celi każdego kroniki i rękopisma, dzieje polskie i poezye polskie — obok półek strojnych w dzieła Kołłątajów, Śniadeckich, wisiały rusznice, kordelasy — a obok każdego łóżka, na wilczej, rysiej albo niedźwiedziej skórze — wyciągał się ogar albo wyżeł. — Po rannych modłach, na których wszyscy a wszyscy Zakonnicy modlili za Polskę i o Polskę — w borach grały trąbki myśliwskie, grały ogary, a starcowie gromili zwierza, szlachecką zabawkę — wieczorem w refektarzu rozprawy, o Gwagninie, o Stryjkowskim, o Bolesławach, o Zygmuntach, o Stefanie — a kiedy nadeszło powstanie, oprócz modłów słali rady, zachęty — i gotowi byli bronić się w Tryhurskim zamku, jak się bronili Bazylianie w Owruczu, bo to był Zakon szlachecki. —

I Tełycia była schronieniem dla starców i bab wysłużonych w społeczeństwie, ale jakiem i czem — Mozajka rozmaitych stanów i rodów, pokutników i próżniaków — obywateli jednego wszechwładztwa. — Aż włosy powstawały słuchać, ile to każdy lekką ręką zarżnął ludzi dla zabawki — ile wódki wypił — ile baby mężów rozmieniały — a jaka nienawiść była do przywileju i porządku. — I gromada Grudziąż i Centralizacye towarzystwa demokratycznego tamby mogły się zbudować i rozkoszować — tylko że nie I. B. O tam był prawdziwym prezydentem i kierownikiem — ale Abramko, albo Herszek jaki — byle Arędarz. — W Karczmie Sanktuarium kwartą wychylali do reszty życie — żeby zejść z tego świata, w pijaństwie bez żalu, bez skruchy, z weselem serca albo z wściekłą odwagą. — To był zakon ludowy. —

Protektorem tych Monasterów, dziadowskiego i babiego, zostawał Iskinder Bey, aż do roku 1848. — Wtenczas zawezwanem został do Stambułu, gdzie się zebrała podówczas cała agiencya Księcia Adama Czartoryskiego będąca pod kierunkiem agienta głównego Michała Czaykowskiego — agiencya była liczna i świetna, złożona: z Ludwika Zwierkowskiego znanego powszechnie pod imieniem Lenoira — Juliusza Korsaka — Mi-

chała i Wincentego Budzyńskich — Stanisława Drozdowskiego — Horwata Jeleńskiego — Iskinder Beja Ilińskiego — Butkiewicza — Achmet Tefik Beja Puławskiego — Franciszka Zacha — Gradowicza — Sefelsa — Groppiera — Józefa Żukowskiego i Terleckiego świeżo przybyłego z Kaukazu. Wszyscy ludzie serca, odwagi i zdolności niepospolitych — Mieszkanie było w Adam-kioj, osadzie' polskiej u podnóża Allem Dahu o trzy mile od Bosforu. — Polowania, pogadanki, kuchnia staropolska, i ćwik i drużbart, przenosiły i myślą i sercem na ziemię ojczystą — tylko niebyło narad polskich — każdy odbierał rozkaz i instrukcyą, i jechał gdzie mu kazano — bez spostrzeżeń, bez uwag, jak Moskale mówią, po siemu byt, w imie króla, którego uznał władzę. — I ten król bez ziemi, ciągle atakowany protestacyami demokratów, różnego zwania i różnego kalibru, podkopywany intrygami klasztorku polskich Jezuitów i przeczeniem wszystkich tych, których nie zawezwano do współdziałania, — był potęgą rzeczywistą w polityce świata; Monarchowie o stósunki się z nim starali i pomoc mu nieśli, a narody darzyli go zaufaniem i od niego pomocy szukali. — Księcia Adama Czartoryskiego imie, tego króla Polski bez ziemi, było szanowane i cenione. — I śmiało było można powiedzieć, że Polska miała wówczas swoją zagraniczną politykę, którą miała tylko za dwóch Bolesławów, a trochę za Batorego. — Wódz Czeczeńców, bohater Kaukazu, Szamil Bej, szukał przyjaźni i sojuszu z Księciem Adamem Czartoryskim. — Książę Serbii, syn Jerzego Czarnego, zasiadł na tronie za pomocą Księcia Adama Czartoryskiego. — Wysoka Porta była rada Jego przyjaźni, a Francya Ludwika Filipa jego pośrednictwem naprawiała usterki swojej polityki na Wschodzie. — Bo polityka tego króla bez ziemi była oparta na prawdzie — na tradycyi, na historyi — że jedynymi, prawdziwymi i prawymi Sprzymierzeńcami Polski byli Sułtani Ottomanów, bo oni jedni z bronią w ręku protestowali przeciwko rozbiorowi Polski — oni jedni niepodpisali żadnego traktatu, żadnej umowy uświęcającej rozbiór Polski. — Bo polityka jego była prowadzoną przez ludzi serca, przez dzielnych Polaków, którzy nieradzili, ale słuchali i wykonywali. — Do tego stopnia było potężnem to imie i urok jego polityki — że Muzułmanie

niemieli Polaków Księcia Adama za różnowierców — a Sławianie błahoczestwi, za Katolików. —

Wtenczas właśnie pojawił się na scenie dramat Cesarstwa Austryackiego, od dawien dawna odgrywany w próbach. — Polacy musieli mieć udział w tym dramacie, i od tej roli zależało rozwiązanie się dramatu, czy dla Austryi, czy dla Polski. — Sławianie pierwsi powstali przeciwko władzy Cesarskiej Austryackiej, którą Madziarowie, w interesie swojego zwierzchnictwa, bronili. — Agiencya główna Stambulska chciała natychmiast związać działanie Polski, z działaniem Wysokiej Porty, z działaniem Sławian. — Ludwik Zwierkowski pojechał do Belgradu, gdzie już był Franciszek Zach. — Serbowie, Garaszanin, Petroniewicz, Wuczycz i Kniczanin, przyjęli Polaków jak braci — żądali Jenerałów i oficerów polskich z emigracyi, zobowiązali się Galicyanów i Polaków z Rossyi i Prus, przybywających do Województwa Serbskiego, tworzyć w osobne polskie pułki — i dać z Księstwa Serbskiego pieniądz na ich organizacyą, na ich utrzymanie — z Kroatami natychmiast weszli w stósunki porozumienia się. — Gubernatorem Otomańskim twierdzy w Serbii był Kibrizli Mehmed Pasza, mąż wielkiego serca, odważny, nieskazitelny i miłujący swojego Pana i swój Rząd. — On natychmiast pojął wielką i praktyczną myśl konfederacyi Sławian południowych, pod berłem Sułtana, potomka Bajazydów, Muradów, którzy mieli za żony Księżniczki Serbskie i w dynastyą Otomańską wprowadzili krew Sławiańską. — Od Arcybiskupa Rajewicza przyjechał prożbą zaopatrzoną w tysiące podpisów, w której Serbowie Województwa żądali być przyłączonemi do Księstwa Serbskiego, pod berło Sułtana, Abdul Medżid Hana. — Agiencya Stambulska posłała mu w pomoc nowych Agientów. — Nad Sawą zrozumiano nas i Sławianie i Turcy — ale Polacy, nie. —

Do Galicyi wysłany Terlecki i od mężów stanu i od młodzieży Uniwersytetu — i od Gwardiaków Narodowych — i od jarmarkowiczów i od hreczkosiejów — został przyjętym jednym i tym samym argumentem. — «Co tam Waćpan nam bajesz o Turkach i o Sławianach, my z Węgrami: oni z Cesarzem i my z nim — oni przeciwko niemu i my z niemi, bo to widzisz Waćpan —

Węgier, Polak dwa bratanki
I do konia i do szklanki,
Oba zuchy, oba żwawi,
Niech im Pan Bog błogosławi —

Kiedy Terlecki im gadał — że rozbiór Polski był zrobionym na korzyść korony Węgierskiej, nie na korzyść Cesarstwa Austryackiego — że Maria Teresa, spłakawszy się przy spowiedzi, z rozgrzeszenia Jezuity, wzięła tę część Polski jako Królowa Węgierska, nie jako Cesarzowa Austryacka — oni zawsze swoje śpiewali:

Węgier, Polak dwa bratanki
I do konia i do szklanki,
Oba zuchy, oba żwawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Brzękali ostrogami, pałaszami, które mogły być drewnianemi, dla takich wojaków, spijali toasty, za Kajzera i za Węgrów, i ani rady było trafić do ich głów — na tem się skończyło, że Heltmany, Sztolcmany, Alcyaty i cała Centralizacya Niemiecka musiała się naśmiać z tego pojawu — turecko - Sławiańskiego. —

Reprezentant Księcia Adama Czartoryskiego w Turynie odpisał, że Książe nie może wchodzić w takie stósunki z barbarzyńskiemi narodami, kiedy teraz w stósunku formacyi legionów w Piemoncie — że to jest kraj Katolicki, a tamte jeden Muzułmański, drugi Schyzma — że pierwej są Polacy Katolikami jak Polakami — a w końcu dodawał, że wysyła do Stambułu Księcia Witolda, syna Księcia Adama, do zwerbowania choćby żydów, do legionu polskiego bo ochotników innych niemasz — a trzeba światu włoskiemu pokazać, że są Polacy, co jak kiedyś za Dąbrowskiego, tak teraz chcą iść z ziemi Włoskiej do Polskiej. — Książę Witold z przybyłemi oficerami, Przyłuskim i Sandeckim, zabrał stu dwudziestu jeden żydów, jak rybie około Arcy-Katolickiego jazdy polskiego legionu. — I na tem się skończył prolog wstąpienia Polaków do dramatu, który się zaczął odgrywać w Cesarstwie Austryackim. —

Sławian odpychanych przez Polaków, pochwyciła natychmiast Austrya, i Kroaci i Serbowie stanęli przy niej, przeciwko Madziarom, których ona sama zraziła od siebie, by mieć siłę za sobą. — Gubernator Belgradu odwołanym został na

żądanie posła Austryackiego w Stambule. — A wtenczas Polacy przyszli w pomoc Madziarom i mogli śpiewać: Węgier, Polak dwa bratanki — i co do rozumu politycznego. — Madziarzy trzy milionowa horda, ciemiężyciele jednastumilionowego Sławiańskiego i Rumańskiego Narodu — podnieśli oręż przeciwko Habsburgom, których korona Cesarsko Królewska była siłą ich przywileju, ich istnienia — i bez których niebyli niczem innem, tylko tłumem wrzaskliwych parlamentarzy. Polacy szli na pomoc temu Narodowi, na którego rzecz ich Ojczyznę rozebrano i który, już w buncie, niechciał Manifestem zaprotestować przeciwko niecnej grabieży Maryi Teresy królowej Węgierskiej. — I Madziarowie bili się przeciwko swojemu Dobrodziejowi — Polacy bili się za Madziarów, swoich zaborców i mogli sobie śmiało powiedzieć — że Węgier, Polak dwa bratanki nietylko do szklanki ale i do głowy. —

W tej to chwili Poseł Sardyński, który bardzo często udawał się do Agiencyi Księcia Czartoryskiego po rady i pomoc, przedstawił jej następny wypadek. — Pułkownik Sardyński wysłany do Węgier, do formowania tam legionu Włoskiego i zespolenia sprawy Włoskiej z Węgierską — niemógł się dostać do Węgier, wrócił z Serbii — prosił poseł, by z nim wysłać kogo, któryby go tam zawiózł, choćby musem. — Najlepszym do tej missyi był Iskinder Bey — jemu polecono, by Włocha, żywego czy umarłego zawiózł na Węgierską ziemię i złożył w ręce Jenerała Dembińskiego, czy Jenerała Bema. — Iskinder Bey dostał listy do obydwóch Jenerałów i pojechał. W Wiedniu wsadził na łódkę Pułkownika Włocha, ale musiał użyć strachu, że go zastrzeli, jak tylko go słuchać nie będzie i ze ślepem posłuszeństwem wykonywać co każe — wytłumaczył, że trupem łatwiej mu to będzie — i kto wie czyby tego niezrobił — bo Iskinder Bey był z rzędu tych ludzi, wiózł go po pod harmatami Orszowy —, przez Dunajowe progi, między straże czajkistów — i udało mu się do złożyć w Pańczowie. — Zapytawszy się, co robią nasi dwaj Jenerałowie, odebrał odpowiedź: że Jenerał Dembiński gotował się do rejterady w Segiedynie — a Jenerał Bem bił Moskali w Siedmiogrodzie — powiedział: —

«Pan jedź do Segiedyna, a ja pojadę do Jenerała Bema. — I każdy pojechał w swoją drogę. — Iskinder Bey został Majorem

Adjutantem Jenerała Bema. Pokochał go waleczny bohater Polak, bo Iskinder Bey waleczny oficer, obydwa kochali i Polską sławę i Polską sprawę — i odtąd byli nieoddzielnemi z sobą do końca wojny. —

Pod Hermansztadem Jenerał Bem Majorowi Madziarowi kazał prowadzić cztery szwadrony huzarów do szarży, na pułk Ułanów Moskiewskich. — Nieoszedłszy do Moskiewskiego frontu, zwinęły się szwadrony huzarskie i w tył uciekły, Jenerał Bem rozgniewany, Majora kazał pod sąd oddać, a na czele szwadronów postawił jakiegoś Pułkownika Węgra, ale i ten niebył szczęśliwszym i także poszedł pod sąd. — Natenczas Bem szwadronom zmniejszonych na dwóch przez ciągłe odrywanie się, dał za dowódcę — Iskinder Beja. Ten poszedł, rozbił Ułanów Moskiewskich i przepędził za lasy i za góry. —

Przez cały czas kampanii dawał ciągłe dowody i przezorności i waleczności — a że najczęściej był między Madziarami, którzy nierozumieli ludzkiego języka — mówiąc tylko swoim i niemieckim — Iskinder Bey do nich mówił po turecku, więc niemogli oceniać, czy prawdę opowiadał, czy zmyślał — a na prawdę bił. —

Pod Temeswarem dowodził szwadronem eskorty Jenerała Bema, kiedy już niestało amunicyi węgierskiemu wojsku a nieprzyjaciel nacierał gorąco — i zaczęło się ogólne pierzchanie. — Bem, który stał przy kolumnach kawaleryi huzarów i Ułanów, znalazł się nagle sam z parą oficerami sztabu i ujrzał jednego z dowódzców Ułanów samego jednego — zapytał:

— «A gdzie pułk pański —» —

— «Uciekł —» —

— «A czemużeś Pan z nim nieuciekał — co mi tu po Panu, Pułkownik powinien być tam, gdzie jego pułk —» —

W tejże samej chwili Iskinder Bey wracał w galop ze swoim szwadronem. —

— «A Pan zkąd?» — zapytał Jenerał. —

— «Szwadron uciekł, a ja za nim — dopędziłem — przepędziłem, zarąbałem kilku huzarów, zawróciłem i nazad przyprowadziłem —» —

Uśmiechnął się Bem, poklepał pajczem kasztanowatą kobyłę, — «To mi oficer — takich mnie dawajcie —» —

I za ten czyn oficerski, za tę przytomność został podpułkownikiem Iskinder Bey. — I aż do samej granicy Wołoskiej był nieodstępnym od Jenerała Bema i z nim razem przyjechał do Widynia, z nim razem mieszkał. — Kiedy Bem, ten wielki Polak, i pięknego serca człowiek, został Muzułmaninem, z nazwiskiem Murad Pasza — kiedy zachody i starania Agiencyi Księcia Czartoryskiego wyrobiły u wspaniałomyślnych Dygnitarzy Wysokiej Porty, postanowienie, raczej wojna, jak wydanie Rossyi i Austryi wychodźców Polskich i Węgierskich — kiedy Szeik Islam, Reszyd Pasza, Feti Ahmed Pasza i Mehmed Ali Pasza, tak szlachetnie bronili od plamy rząd Muzułmański — a Sułtan Muzulmanów Abduł Medżid Han taką chwałą się okrywał kiedy Bem i ci którzy z nim przeszli na Muzułmanizm — taką trwogę rzucili na hardego Lorda Redclifa i na poczciwego Jenerała Aupieka, że ci mimo tchórzostwa swoich rządów, przyrzekli poparcie przeciwko Rossyi i Austryi — żeby już więcej niebyło przechodzeń na Muzułmanizm, żeby niepokazać, że chcąc uniknąć Spilberga i Sybiru, w obec państw Chrześciańskich, niemasz innego sposobu, tylko zaprzeć się Chrześciaństwa, — kiedy Agiencya Księcia Adama i Bem, dokazały tego, ze wysłanemu Księciu Radziwiłłowi od Cara Mikołaja po głowy Polskie — Wysoka Porta odpowiedziala: — «Niedamy, to nasi goście, kiedy Car chce, niech przyjdzie je zabrać, czekamy —» I rzuconą rękawicę czci, Polak wysłaniec Chrześciańskiego Cara odwoził mu na piętno hańby — wtenczas, niestety, w Widyniu, Dygnitarze Polscy i gawiedź polska, jak żaki szkólne szli z kamieniami wybijać okna nowego Murad Paszy i sprawiać mu katolickie szarywary. Coby na to powiedział zwycięzca pod Byczyną, gdyby się znalazł w Widyniu i widział, jak traktowano Wielkiego Polaka — brata w zasługach i w miłości dla Polski. — Zia Pasza podówczas Gubernator Widynia, dzielny mąż i dzielny żołnierz, nienawidzący Moskwy, bo zaczął służbę w kozakach Dobrudzkich, napisał w swoim raporcie do Wysokiej Porty: —

— «Niech Bóg świeci nad ich rozumem, nasi goście i wielcy i mali zrobili sobie dżumbus (słowa polskiego odpowiedniego niemasz, ale słowo Francuzkie polissonade doskonale temu znaczeniu odpowiada) nakrzyczeli, naświstali, muzyka niebardzo przyjemna, wybili kilkanaście szyb dla dodania sobie ochoty, ale

nikogo nieskaleczyli i rozeszli się. Murad Pasza o to się niegniewał, i ja dałem pokój, bo to z nudów i z próżniactwa, zresztą to ich zwyczaj —» —

Iskinder Bey jeden stawił czoło wszystkim, napominał i niepuszczał nikogo do pokoju Murad Paszy — od tego czasu wpadł w wielką niełaskę — u matador emigracyjnych — i kiedy Ahmed Wefik Efendi przyjechał do Szumli dla rozróżnienia emigracyi na rozmaite klassy, w tak czarnych kolorach odmalowano go przed komisarzem, że ten wysłał go do Stambułu jako awanturnika, niemającego prawa ani do wywiezienia do Ameryki, ani do internacyi w Konicy. Rozstał się Iskinder Bey z Murad Paszą — a nim wrócił Ahmet Wefik z Szumli, już Iskinder Bey przez Mehmed Alego Paszę, podówczas Seraskiera, został mianowany podpułkownikiem sztabu i przeznaczony pod dowództwo Omer Paszy. —

W kampanii przedsięwziętej dla prowadzenia Sanzymatu w Bosnii i Hercogowinie — oprócz Iskinder Beja, było jeszcze kilku innych Polaków pod rozkazami Omer Paszy — Major Mehmed Bej Łaski — Adjutant Major Mahmud Bey Freund — Kapitan Jakub Bey Jakubowski — wszyscy dzielni oficerowie i Omer Pasza używał ich z wielką korzyścią dla służby Sultana, okazywał im wielkie zaufanie. — Iskinder Bey odznaczył się pod Tuzlą — Bihaczem, Mostarem i w innych miejscach — dostał w nagrodę szablę damasceńską bogato oprawną, dżamety ze stad Kulen Beja — bogate przybory po Ali Paszy Stolcewiczu, i medale złote i ożenił się w Konnicy z córką ubogiego lega — która w dzień, rano i wieczór chodziła bosemi nogi przed kwaterą Iskindera do krynicy po wodę — nóżki wpadły w oko potomkowi Iłłajów, zaraz stworzył balladę, że to po kądzieli, krew Wuka Brankowicza, który pierwszy z Bośniaków przyjął Muzułmanizm, krew królewska i cesarska, godna łączyć się z krwią Dżengiskana. — I twarzyczka była niczego, a do tego siedmnaście latek tylko co skończonych. Zapytał dziewczyny — «chcesz być moją żoną? — » odpowiedziała — «chcę» — Zawołany ojciec całował poły, kłaniał się — — «Ty wiesz jak każesz“ — — Zawołano Kadego, dwóch świadków — i tego samego dnia był ślub i wesele. Nazajutrz dzień przyszedł rozkaz, Iskinder Bey uściskał żonę, wsiadł na koń i poszedł z baszy-

buzukami gonić po krainie braci Bośniaków już teraz spokrewnionych —

Po wojnie Bośniackiej przyszła wojna Montenegrińska — Wojska Ottomańskie nieprzeszły granic, nieposunęły się dalej, jak do Spużu i do Ostroga. — Jenerał Leiningen, poseł nadzwyczajny Austryacki do Stambułu, zniewolił do zakończenia tej wojny umowami, niemającemi ani siły, ani trwałości. — W Kroacyi i Dalmacyi kursowały karykatury, wyobrażające ślimaka, wypuszczającego i chowającego swoje rogi. — Spuż w języku sławiańskim znaczy ślimak — Iskinder Bey wytłumamaczył, że karykatura była do niego zastósowana, gdyż on miał sobie poruczonem od Omer Paszy, o czem zapewnie on sam tylko widział, zdjęcia, jak najdokładniej plana całej Czarnogóry — że do pomocy użył Księdza Filipa Paszalicza, Franciszkana Bośniackiego doświadczonego pielgrzyma — i dziewicę Czarnogórską, której życie uratował w jakiejś tam walnej bitwie, o miejscu której i jego nazwisku sam niepamiętą, dość, że to było na wierzchołku Czarnej góry. — U Czarnogórców dziewica est paszportem bezpieczeństwa i wolnego przejścia, Ksiądz choćby jakiego wyznania odwracał wszelkie podejrzenie. Z niemi przebiegł Nahie wszystkie a nawet odkrył podziemny przechód z Monasteru Ostrogskiego do Czewskiej Murowanej drogi — i zrobił tak dokładną kartę, że na niej się znajdowały nietylko ścieżki i wszelkie drzewa ale nawet miejscowe ptaki i zwierzęta — i że takową kartę złożył w ręce Naczelnego Wodza a kopią zostawił przy sobie. — Ksiądz Paszalicz przysięgał, że nigdy nogą niestąpił w Czarnogórskie posady. — Dziewicy ani myślal nikt szukać — a karty Iskinder nikomu niepokazywal, bo to tajemnica. Ludzie mówią, że siedział w Spużu jak inni, rakiezkę popijal, lulkę kurzyl — i wśród dymu językiem wojował, nie jego wina, ale dyplomacyi. —

Po kampanii Montegrińskiej, suchej epizody życia Iskinder Beja, narodził mu się syn i został nazwanym Tamerlanem, i po poselstwie Księcia Menszczykowa, została wypowiedzianą wojna Moskwie. — Iskinder Bey dostal dowództwo pułku jazdy nieregularnej, złożonego z samych zaptiów czyli żandarmów Rumelskich Sandżaków. — Dzielni to byli jezdźce i prawdziwi oczajdusze, warci dowódzcy oczajduszy takiego, jakim byl Iskin-

der Bey. — Pułk ze swoim dowódzcą przeznaczonym został do Kalafatu, na przednie straże. Do swojej komendy dobrowolnym sposobem wcielił korespondentów dzienników Angielskich, którzy zlecieli się na nasze obozy po nowiny — Iskinder podejmował ich gościnnie, po staropolsku, czem wład tem rad, ale tak ich umiał obsaczyć, po czerkiesku, że oni od nikogo tylko od niego odbierali buletyny bitew i opisy operacyi wojennych. Byli to jego bardowie: na jaką nótę zagrał, na taką śpiewali. —

Iskinder był bezzawodnie walecznym żołnierzem, w całem znaczeniu tego słowa i przezornym oficerem, póki był na czczo — ale że woził przy sobie perspektywę, którą jego podkomendni nazywali durbinem, nie sławną ze swoich szkieł, bo miał dobre oczy — ale pełną płynu do wychylania strzemiennego, tak zawsze sobie podochocił, że był podobnym do owego dawnego Turka, istniejącego w imaginacyi szlachty polskiej — opitego opium, na spienionym rumaku, z kindżałem w rękach — lecącego na bala, bala — a wieczorem takie rapsody opowiadał korespondentom, także nie wylewającym za kołnierz co Bóg dał, że Homerowe bitwy Ajaksa, Diomedesa a nawet Achilesa przy nich bladły — bladły i Austerlic i Wagram, rzezie Tamerlanowe. Nie forte ale piano były pisane buletyny z Kalafatu, z Czelaty — z Krajowy i publikum Angielskie piano je czytało — bohaterstwo rosło na drożdżach dziennikarstwa w olbrzymi kolos. W Angielskich dziennikach tam nad Dunajem trzebiono Moskali na łój, na masło — jak przed kilku laty trzebiono w Węgrzech Austryaków — ale to nikomu nieszkodziło, bo jak Moskale, tak i Austryacy zostali, niestety, na nasienie. —

Pod Pojatą, na drodze z Krajowy do Kalafatu, Iskinder Bey ze swoim pułkiem, Hadży Mehmed Bey pułkownik, z drugim pułkiem jazdy Rumelskiego Korpusu i Jakub Aga, podówczas Adjutant major, z pułkiem nieregularnej jazdy Arnautów Giegów — rozbili w puch według wysłowienia się wojskowego, pułk Aleksandryjskich huzarów i zabrali mu cztery harmaty. — Tym pułkiem Moskiewskim dowodził Pułkownik Karamzin, syn sławnego historyka. — Chcąc się prędko zbyć rekonesansu, jednej nocy zrobił sześćdziesiąt werstw drogi bez spoczynku — tak że spotkawszy się z Muzułmanami, konie niemogły nietylko iść

galopem, ale nawet kłusem, rozparły się — z ośmiu szwadronów ledwie dwiestu huzarów wróciło do Krajowy, i to połowę na pieszo. Pułkownik Moskiewski zginął — a Iskinder Bey w nagrodę został Pułkownikiem, Mirałajem, i otrzymał oznakę Medżidji czwartej klassy. —

Kiedy Moskiewskie wojsko zaczęło ustępować z Małej Wołoszczyzny, wojska Otomańskie z Kalafatu przyszły pod Ruszczuk, gdzie się przeprawił przez Dunaj Marszałek Kiel Hassan Pasza, z korpusem kilkunasto tysięcznym, w obec sześćdziesięciu tysięcznego Moskiewskiego wojska — niemając tylko lichy statek parowy, który w pierwszym przejeździe został uszkodzonym w machinę i był na nic. Moskale mieli baterye mocno osadzone na wyspie Ramadanu — Turcy przeprawiając się na łódkach — po krwawej bitwie całodniowej zajęli wyspę Giurgewo i Słobodziją, na lewym brzegu Dunaju, już w Wołoszy. — Bezzawodnie był to najszczytniejszy czyn wojenny z całej tej wojny, nauki przeciwko murom. Moskale dobrze powiedzieli, że w całej tej wojnie oprócz Omer Paszy i wojska tureckiego — do całego sprzymierzonego wojska można było zastósować ową łacińską dykcyą: — ex libro doctus, ex capite stultus — gdzie chodziło o sypanie szańców, o kopanie przekopów, o branie redut, rozbijanie blokhauzów, zgoła o to wszystko co jest wymierzonem na centymetry, wyważonem na milogramy, w książkach elementarnych dla sztabu, gdzie ludzie nieznaczyli więcej jak ćwieki machiny — a rozum przywódców równał się regułce książki rozkazowej, tam celowali Wodzowie sprzymierzonych wojsk. Ale gdzie książka nie oznaczyła pewnych, wymierzonych i odważonych prawideł, tylko przypuszczenia, i zostawiała zdrowemu sensowi i sprytowi przywódzców zastósowanie onych, tam ani kroku niezrobili; choć im się chciało, nieszposzli do Bakczyseraju nawet, ani z Bałakławy, ani z Kamisza, ani z Eupatoryi — czekali na książkę reguł, zaaprobowaną przez Cesarza a może na uczniów wyuczonych na tej książce. — Marszałek Kiel Hassan Pasza, jak Massena, nie czytał, nie pisał, ale bił i zawsze naprzód — jak Beglerbeje z rodu Ewronosów i Michaloglich byłby szedł przez Dniester, przez Dnieper aż do Moskwy, gdyby go nie zatrzymano. Nad Dunajem skończył życie ten prawdziwy bohater Otomańskiego wojska, cześć jego imieniowi, cześć

jego pamięci. Sylistrya i Ramadan były dwa wielkie wojenne czyny Otomańskiego wojska, dwa wielkie wojenne klejnoty złożone przez Omer Paszę, Naczelnego Wodza, pod stopy zwycięzkiego Sułtana, Abdul Medżid Hana. —

Po przeprawie Dunaju, z rozkazu Omer Paszy wszystkie nieregularne wojska wróciły na prawy brzeg Dunaju. Iskinder Bey został przeznaczonym do Sztabu Głównego. Przez wzgląd na jego zasługi dozwolono mu zostawić przy sobie czterdziestu wyuczonych jeźdźców z jego pułku żandarmeryi. Poetyczny to był oddział i strojami i postawami; na nich było widać wszystkie barwy jakie tylko istnieją na świecie: pełno błyskotek, stali, srebra, złota i drogich kamieni nawet, na głowie kawaki dawnych Janczarów, Serdenerztych, Derwiszów — czapki krymskie, czerkieskie, zawoje kuluglich, harbusze spahisów, każdy inaczej i każdy inaczej zbrojny — w dzidy, w halabardy, w szturmaki, a każdy miał albo szezdar, albo bęben, albo piszczałkę: dzika muzyka, już nieznana uchu dziesiejszych ludzi. Sam Iskinder w czamarze cielątkowego koloru, jak kozak Granowski za ostatnich polskich czasów, srebem i złotem suto haftowanej, w szarwarach amarantowych, z lampasami złotemi, w fesie na prawym uchu, zbrojny w szablę, atagan, kindżał, rewolwery i dubeltówkę przez plecy, cały Arsenał rozmaitej broni. na białym arabskim ogierze — w tygrysim czapraku i w rzędzie ze śrebrnych łuszczek, które za każdym ruchem pobrzękiwały, jakby leciała cała chorągiew brzeszczotowych kopjiników. — Za nim Mustafa Wojcik Adjutant i Musza Hawryło, z cybuchem i durbinem i dwóch masztalerzy, jeden Arab, drugi Bulgar. A do tego dziewięciu korespondentów Anglików, w kurtkach, we frakach, w bluzach, w kapeluszach, w kaszkietach, z białemi ręcznikami, chustami, dziwnie przystrojonych, jak to jest we zwyczaju Anglików na Wschodzie. — Było to połączenie dziwaków Wschodu, z dziwakami Zachodu, tradycyi dawnej rycerskiej z komfortem ucywilizowanego dżentylmanów pióra. Oddział ten przelewał czarną posokę, żeby przejść do kart dalekiej potomności. —

Iskinder Bey niemając żadnego innego dowództwa, żadneoznaczonej służby, był bardzo użytecznym wojsku obozującej mu na wyspie Ramadanu, które mitrężyły choroby, niedosta-

tek żywności i ogromne upały: on go rozbudzał ciągłemi wieściami Oprócz korespondentów zebrał do siebie wszystkich prawie oficerów cudzoziemskich, angielskich, francuzkich, włoskich — z niemi jeździł na dowolne rozpoznania, zostawił ich w lasku jakim pod cieniem drzew, a sam biegał na wszystkie strony ze swojemi zaptiami. Raz upatrzył ćmy białych Kozaków Moskiewskich, ale palnął z dubeltówki między nich śrótem, pociągnął i wszystko się rozleciało, łapiąc się za uszy i za nosy i choć Mustafa Wojcik utrzymywał, że to byli chłopi Rumuni, za co dostał stusaka — korespondenci zapisali: Kozacy biali, Syberyjscy, z krainy śniegów i niedźwiedzi białych a nawet oficerowie donieśli do sztabu głównego o pojawieniu się tego nowego Kozactwa, które nazwano Baszkirami. —

Drugi raz doniósł, że jak Decebal król Dacki chcąc oszukać Rzymian, przybrał drzewa we zbroje, tak Jenerał Liprandi przybrał kukurudzę w płaszcze i w furażerki żołnierzy Moskiewskich, i on dla przekonania się zrąbał kilka Maniaków — i temu uwierzono, Korespondenci napisali: Moskwa po swojemu rzuciła się do piekielnych fortelów, z kukurudzianych snopków wysztyftowała bataliony piechoty. I w sztabie uwierzono i dla tego ośmielono się podchodzić coraz bliżej pod Frateszti, gdzie były Moskiewskie obozy. Nareszcie jednego dnia Maniaki zabrały się na prawdę i zaczęły się cofać. — —

Kozacy Otomańscy byli w przedniej straży wojska Omer Paszy i odebrali rozkaz zajęcia Bukaresztu. W Bukareszcie już żadnego Moskala niebyło, wszyscy się cofnęli ku Buzeo. — Kiedy Kozacy wchodzili do miasta zajmywać rogatki i stawiać forpoczty, Iskinder Bey, samoczwarty, z Mustafą Wojcikiem, Muszą-Hawrylem i jednym korespondentem Anglikiem, bocznemi drogami wpadli do miasta. Lud Rumański myślał, że to Serdar-Ekrem (Naczelny Wódz) inkognito wleciał, szli mu całować ręce i nogi ale Iskinder Bey zawołał: wina szampana, wtenczas go zostawiono z szampanem: Kilka tygodni później czytaliśmy w gazetach Angielskich, że Kozacy wpadłszy do Bukaresztu za Iskinder Bejem, wycięli trzy bataliony co do nogi i na ulicach krew była obfitszą jak woda w Dumbowicy. —

Po przyjeździe swoim do Bukaresztu, Naczelny Wódz dawał

wielki obiad w Monastyrze Kotruczeni. Iskinder Bey zawsze w towarzystwie korespondentów i oficerów cudzoziemskich, po obiedzie wyprowadził ich do ogrodu i tam ze łzami opowiadał im swoje przypomnienia, jak był kiedyś Biskupem tego Monasteru, jak spowiadał Bojarów i Bojarki, przypominał pokój, gdzie sypiał, ółtarz, przed którym mszą odprawiał, Bojarki, które pannami jeszcze spowiadał, każdą ścieżkę, każde drzewo — a tak był rozczulony, że aż serce go bolało: korespondenci pisali a pisali w swoich pugilaresikach. —

W kilkanaście dni później żona konsula pruskiego, Rumanka z rodu, jedna z najznakomitszych Bojarek miasta i wychowaniem i kiesą — zaprosiła na obiad kilkunastu oficerów Otomańskich i między nimi Iskinder Beja. Kiedy wszyscy się zebrali, przyniosła dziennik Times, którego kolumny zapełnione były życiem Iskinder Beja — że ten nadzwyczajny człowiek, nim został Muzułmaninem, był Biskupem w Kotruczeni i opowiadanie rozmaitych a rozmaitych szczegółów. Konsulowa się śmiała, ale Iskinder nietracił miny — wszystkim odpowiadał: «Byłem Biskupem, tu w Kotruczeni, to prawda —»— a tym co go od dzieciństwa znali, mówił: — «to było wtenczas, kiedy ja zniknąłem, kiedyście wy myśleli, że ja siedzę w więzieniu w Ruszczuku, ja czmychnąłem tu i zostałem Biskupem — mój urząd prokuratora w Tełyci zastosowano tu do urzędu Biskupa —» nawet się niezarumienił. —

Hulał Iskinder Bey w Bukareszcie, pewnie i szumniej i lepiej, jak Anibal w Kapui — nareszcie Kozacy wyszli do Ibraiłowa a ztamtąd nad Seret i nad Prut. Iskinderowi było trochę markotno, tem bardziej, że mu kazano jechać do Kalarasza i w markotności sam siebie ozmyślał. Powyprawiał wszystkich sług z domu, we wszystkie torby, których było pełno, napakował piasku, gnoju, co znalazł pod ręką na dziedzińcu, torby powiązał i popieczętował mnogiemi pieczęciami. Kiedy przyszło kilku gości, towarzyszy biesiad, zafrasowany pokręcał wąsy. —

— «Już ci ten Serdar Ekrem, to Bóg wie co zemną wyrabia, do wszystkiego to mnie, oto widzicie, pełne torby złota, samych dukatów — muszę to wszystko wieść do Ibraiłowa, do Naczelnika naszych Kozaków, ale na co to złoto, tego wam nie powiem, potem się kiedyś dowiecie —»—

Nadeszli Mustafa-Wojcik i Mussa-Hawryło, zaraz kazał im się pakować, torby na konie, siodlać, i za półgodziny w drogę. — Przyjaciele zaczęli prosić na jakiś tam obiad, na którym miała być królowa Pomara i jakieś jeszcze Otaitki tejże samej narodowości. — Iskinder myślał, rozmyślał, kręcił wasy. Nareszcie podyktował jednemu z przybyłych przyjaciól napisanie listu do Naczelnika Kozaków, że mu posyła dwanaście torb samych dukatów a sam przyjedzie z rozkazami Serdar Ekrema. — Mustafie-Wojcikowi zalecił, aby natychmiast wszystko zabierał i ruszal wprost do Ibraiłowa i to nietracąc chwili — że on tam pocztą przyjedzie. —

Z biesiady na biesiadę, przy zalotnej Pomarze, przy szumnym szampanie dnie biegly za dniami — i o mieszkaniu zapomniał i o świecie bożym by zapomniał, gdyby nie Adjutant Serdera Ekrema nalazłszy go piątego dnia, niezawołał do głównego sztabu: tam mu dano rozkazy i kazano natychmiast jechać to Kalaraszu. Wchodzi do mieszkania, woła Mustafy, woła Mussy, echo nawet nieodpowiada ich imion, gołe ściany, stajnia próżna: przypomina sobie, rozśmiał się, «teraz siebie obełgałem, dobrze mi tak —» Tak jak byl pojechał do Kalarasza, o ztamtąd Marszalek Izmaił Pasza wysłał go na Dobrudżę — musiał kupować nowe stroje. —

Dowódzca Kozaków odebrawszy ekspedycyą o złocie, wiedział, że to musi być jakaś bajka. Mustafa i Mussa byli więcej zadziwieni, wyrzucając gnój i kamienie z torb, w które się przemieniło Bukaresztskie złoto. —

W kilkanaście dni później przybył Iskinder Bey, sam w swej osobie do Maksimeni nad Seretem, gdzie stały posterunki kozacze. Niezastał dowódzcę swojego dawnego znajomego, ale pułkownika Franciszka Kirkora, dowódzcę pułku. Temu dopiero zaczął opowiadać niestworzone rzeczy. Dla Dowódzcy przywiózł dwa charty, z jego własnejże psiarni, z Halczyńca, które ukradł jakiś Moskal a on od Moskala odebrał, jeden z tych chartów nazwiskiem Kapłan, nie zębami ale łapami miał zające łapać. —

Pulkownik Kirkor zapytał: «Jakże to może być —» — Iskinder dalej pokazywać, że zając pędzi, a kapłan za nim, i łapą cap i przykrył, nie tylko jednego ale dwa od razu — jednego

jedną, a drugiego drugą łapą. — «Już mnie tak nieraz zrobił, zobaczysz pułkowniku, to taka rasa. —» —

Z pułkownikiem Kirkorem razem pojechał do Nemalosy, gdzie się spotkali z dowódzcą Kozaków. — Kiedy opowiadał, ile to tysięcy Moskali nabił i nasiekł na tej Dobrudży, Kirkor zapytał, a na jakimże koniu dokazywałeś, kiedy konie Beja były tu, bez zająknienia się odpowiedział — «A na tym bułanym Ukraińcu, co to mam od waszego dowódzcy —» — A w tejże samej chwili pojawił się dowódzca na tymże samym bułanym Ukraińcu. —« — Iskinder Bey popatrzył: —» — Wasz dowódzca to zawsze mi takie figle robi, pocztą na perekładnych kazał z Tulczy przywieść konia, żeby pokazać, że ja zmyślam, ale to ten sam widzisz jak zmęczony, ledwie dysze. —» —

W miejscu zaptiów świta Iskinder Beja składała się z małego czerkiesa, z żyda Srula i z kilku Cyganów poprzybieranych w czapki papierowe — z Chodży, Derwisza i nieodstępnych Mustafy i Mussy. —

Po powrocie do Bukaresztu wkrótce pojechał z Serdar Ekremem do Krymu. Serdar-Ekremowi wmówił, że Eupatoria kiedyś do jego rodziny należała, pokazywał groby Iłajów i dom swojego urodzenia, tam znowu spotkał się ze swojemi czterdziestu zaptiami, którzy tam przybyli z pułkami nieregularnemi Szybli Beja i Hana Mirzy i z niemi znowu harcował przeciwko Moskalom. W jednym z tych harców natarłszy na Ułanów Moskiewskich, opuszczonym został przez jazdę regularną i został otoczonym przez Moskali. Dzielnie się bronił Iskinder Bey, jak rycerz dawnych czasów, jak pułkownik Berko pod Kockiem, tylko szczęśliwiej|, położył trupem kilku Moskali — ranił kilkunastu; sam cięty w głowę przez Majora Moskiewskiego, rodem Besaraba, tak że o kość ostrze pałasza się oparło — ranny w rękę z odciętym palcem, na swoim dzielnym Arabczyku białym rozbił koło, co go ścieśniało i dostał się do swoich. — Za ten czyn waleczny został Liwą Paszą, Generałem Brygady. Leczenie ran niedługo trwało. Zasłyszał, że Serdar-Ekrem idzie pod Sebastopol, natychmiast wstał i z nim pojechał. Przy zdobywaniu białej reduty konia mu ubito, pod Bajdarami mało nie wpadł w ręce Moskalom, ale biały Arabczyk i z tego niebezpieczeństwa go uniósł. —

Później w wyprawie Gruzyjskiej, dowodzonej przez Serdar Ekrema, w celu uwolnienia Karsu, Iskinder Bey dowodził jazdą przedniej straży. Dziarsko i walecznie, jak zawsze, gnał Moskala po drodze do Kutais, ale niemógł pociągnąć za sobą dowódzcę całej przedniej straży, Ferhad Paszy, znanego Jenerała Sztein. Ten tchórzliwego serca wojak tchórzliwemi raportami w błąd wprowadzał Serdar Ekrema, czas się zmarnował, choroby dręczyły wojsko a Kars zmuszonym został poddać się Moskalom. Jenerał Williams, Anglik, istotny dowódzca Otomańskiego wojska, jeniec Moskiewski, na przedstawienie Lorda Redciffa przez królową Angielską został mianowany, Baronem Karsu — Jenerał Murawiew, dowódzca wojsk Moskiewskich, zdobywca Karsu, mianowany przez Cesarza Aleksandra Księciem Karsu, nieprzyjął tytułu, powiadając: — «że na tak małe miasteczko jak Kars, dwóch dygnitarzy to za wiele, dość jednego Barona — że na przyszłą wojnę, jak Cesarz każe, wypędzi Barona a sam zostanie Księciem i będzie jednym. —

Po skończonej wojnie Iskinder Pasza wrócił do Stambułu, zawsze dzielny, zawsze pełen imaginacyi, powiadał — «że palec odcięty pod Eupatoryą oprawił w szkło i przez pułkownika Simonsa złożył w hołdzie królowej Angielskiej i że królowa nosi go, między innemi kalofiszetami, przy swoim pasie, że królowa chciała mu posłać w zamian order de Bain — ale że Lord Redcliffe temu się oparł z powodu, że wrócił do religii swoich przodków, rzuciwszy Chrześcianizm. —

W czasie swojego pobytu w Stambule, za Seraskierstwa Rizy Paszy, dopuścił się przestępstwa tak śmiałego, na jakie żaden Pasza, żaden oficer nawet polski, Konstantynowski by się nieodważył. Dary-szura, ten trybunał raczej niż rada wszechwładnący wojskiem, odmawiał Iskinder Paszy uznanie jakicheś zaległości, o które się dopominał. Iskinder z agatanem porozpędzał pisarzów; uciekli z Seraskieratu, sprawa wytoczyła się przed Rizą Paszą. Iskinder pokazał swoje rany i próżne kieszenie, Seraskier sie uśmiechnął — kazał dać pieniądze na leczenie ran. Dostawszy pieniędzy Iskinder udał się do Bosnii po żonę i syna. Cała Bosnia i Hercegowina brzmiały sławą Iskindera Paszy; po Iskinder Beju Kastriocie, po

królewiczu Marku, on był trzecim — bo tak dobrze pił jak i oni — i jak oni tak dobrze bił. Gdyby był chciał Iskinder Pasza, toby był pod Wiedeń poprowadził Bośniackich Begów, i pewnie by niespotkał drugiego Sobieskiego. W przejeździe z Dunaju na czarne morze na statku jednego dnia Iskinder Pasza stracił i żonę i syna. Oboje zostali pochowanemi w Galacu. Rozpacz Iskindera była wielka, bo on miał serce — przez kilka miesięcy był jak w żałobie, ani do durbina się niedowiadował, ani żadnych rapsodów nieopowiadał, ale czas jedynym pocieszycielem na tym świecie. Iskinder Pasza pojechał do Bagdadu z Omer Paszą, mianowanym Gubernatorem prowincyi i Naczelnym Wodzem wojska Iranu. Znowu się zaczęły znoje i boje, życie naszego Iskindera. —

Gonił Moskala po stepach Wołoszy i Krymu, gonił Hercegowinów po lasach i górach, zaczął gonić Araba po pustyniach piasku i skał — i tam imie Iskindera latało po pokoleniach Arabskich, z ust do ust, i tam Polacy krwią swoją poznaczyli swój pobyt. Zginął pułkownik Iskinder Bey Kuczyński, rannym był podpułkownik Mustafa Bey Borzęcki i Iskinder Pasza był rannym, a biały Arabczyk, towarzysz z nad Dunaju i z Krymu, zabitym. Pod Hilą zabrał cały obóz pokolenia Enozów i harem ich szeika, złożony ze studwudziestu Odalisek pomalowanych, pokłutych. — Jednak mu niebyły miłe Arabki z ich wykłutemi lwami, tygrysami, gazellami nawet. W Bagdadzie ożenił się z Bośniaczką, mleczną siostrą swojej pierwszej żony, która go od śmierci siostry mlecznej nieodstępowała i z nią powrócił do Stambułu, pokaleczony, schorowany, schyrlaty jak dziad; ale dusza jeszcze była młoda, ognista, kochająca Polskę i nie oddychająca tylko dla Polski. — Córka mu się narodziła i ona była jego pociechą; dla swojej Eminy wszystko bo był gotów zrobić, nawet niepójść na wojnę. —

Już on był widocznie na schyłku — często zamyślony, czasami tygodnie całe oprócz wody żadnego trunku w usta niebrał, a czasami, jak Mnich dawnych czasów, garnce po garncach wychylał. Czasami milczał godziny całe, a czasami bez przestanku godziny całe gadał, o jakicheś planach, spiskach, wyprawach, pisał do rodziny swojej, rozdając jej miliony po

swojej śmierci; do Polaków, żeby się do niego kupili, że będzie ich formował w pułki, ubierał w zielone mundury, poprowadzi w puszcze Dunajskich wysep, zrzuci Hospodara Wołoscy, na jego miejsce posadzi swojego ulubieńca a pieniędze wiele a wiele nazbiera i będzie rozdawał tym, co będą z nim. — I Polacy do niego biegli i wierzyli mu, pełno oberwańców w jego domie, szum, hałas, nieporządek, jak na Zarwańskiej Ulicy. Oni to lubili, bo to ich żywioł. — Te zobowiązania się dobijały poczciwego Iskindera, bo niewiedział, jak onym dotrzymać, myślał, myślał i nic wymyślić niemógł — trapił się i pił. —

Na dobitek Serdar Ekrem mianowany na Naczelnego Wodza wojsk przeznaczonych do uspokojeniu Herzegowińców a Czarnogórców, niewziął go z sobą. On kochał Serdar Ekrema gorąco, boleśnem mu to było. Śmierć niemogła mu dać rady w boju, wśród trudów i znojów, wśród niebezpieczeństw, życie życiem się odradzało, spoczynek, nieczynność go zabiły — one ciche, nieruchome, poprzedniczki śmierci, śmierć przywołały. —

Nie dla odpoczynku, ale dla zabicia nudów pojechał na wieś do Mustafy Wojcika. Tam najadł się ryby, opił się raki, powrócił i zachorował. Przywołani doktorowie krew puszczali, lekarstwa dawali, ale przyboczni wódki i wódki dodawali — w ciężkich cierpieniach umarł w Czerwcu roku tysiąc ośmset sześćdziesiąt pierwszego. —

Kiedy przyjechało kilku prawdziwych przyjaciół do mieszkania nawiedzonego śmiercią, już tam licznej zgrai niebyło. Wyniosła się ale wyniosła z sobą wszystko to, co miał nieboszczyk — niebyło za co obmyć ciała zmarłego. Ale Seraskier Riza Pasza natychmiast przysłał sześć tysięcy Piastrów na pogrzeb i dla żony i dziecka na pierwsze potrzeby. —

Oficerowie sztabu wysłani przez Seraskiera, Polacy muzułmanie, i dwóch czy trzech Polaków Chrześcian byli na pogrzebie — a jednak to był Polak i sława jego wojenna własnością Polski. —

Żołnierze Turcy tłumami się zbiegli, i nieśli trumnę i każdy przypominał jak z nim był — w Bosnii, pod Kalafatem, w Krymie, nad Rionem, nad Eufratem. To była najszczyt-

niejsza mowa pogrzebowa, jaką mógł się rozradować duch zmarłego na tamtym świecie. —

Pochowano go na wielkim smentarzu za Adryanopolską bramą, na drodze do Balukli. W rok później pochowano niedaleko drugiego Polaka Muzułmanina, człowieka niespokojnego, burzliwego, raczej złośliwego języka jak serca. — Lud prosty dziś wskazuje na grób tego Polaka: — «tu leży Hyena» — i obraca oczy ku grobowi Iskindera i mówi: — «A tu leży Lew nasz, Lew Polski. —

Rząd Sułtański przeznaczył dla małej Eminy, córki Iskinder Paszy, dożywotnej pensyi pięćset Piastrów miesięcznie — Sułtan wynagrodził zasługę wojenną Polaka.

HENRYK SLUZALSKI.

HENRYK SŁUŻALSKI.

Henryk Służalski rodem był z Lubelskiego, z tego Województwa Rusko-Polskiego, które w latach 1830 i 1831, dało tyle dzielnego rycerstwa do posług sprawy Ojczystej, tylu mężów serca i szabli. Nieznanemi mi są rodzina i początkowe lata młodości Henryka Służalskiego, wiem tylko, że służył w wojsku narodowem i z wojskiem narodowem wyszedł za granicę, w niemieckie kraje. —

Pierwszy raz o nim słyszałem od Wincentego Rawskiego Kozaka z rodu i z miny, z piosnki i z czupryny, dziś Sydora Sydorowicza, Adjutant Majora pierwszego pułku Kozaków Otomańskich. — Ten mi mówił o Henryku Służalskim, jako o zawołanym Kozaku, który zaraz mógł iść po Sydoreńku, po Karolu Fryczu, albo Fryczeńku i po Wilhelmie Kiermsonie, czyli Kiermczeńku, trzech Kozaków Hajsyńskiego Kosza, później obywateli demokratów, z państwa Centralizacyi, wpisanych w rejestr Sekcyi Poitiers. —

Rawski mi opowiadał, że Henryk Służalski, schwytany przez czaraparów Austryackich, na jakimeś uczynku patryotycznym, został zapakowany do jakiegoś tam zamku, nad jakąś tam wielką rzeką, czy też jeziorem, nazwisk niewiedział, bo Kozacy Hajsyńskiego Kosza bynajmniej się nie zajmowali Geografią niemiecką. Na niemców i niemieckie rzeczy spluwali jak na diabłów, albo na popów i nic o nich wiedzieć niechcieli. Nawet niewiedział, czy jezioro było rybne czy nie — dość że była woda,

był zamek i Henryk Służalski w nim, i na wodzie był oczeret czyli trzcina po polsku, a sitowie po Litewsku, bo u Kozaków niema wody bez oczeretu. Otoż w tym zamku nudziło się Służalskiemu, a może też i Niemcy mu doszpikali, bo to ci Cesarze Austryaccy czy Niemieccy, z ojca w syna głowy sobie łamią, jakim sposobem dokuczać Chrześciańskim ludziom, kiedy ci się im w ręce dostaną. Lud Boży powiada na Pokuciu, że Kaizerskie rączki stokroć razy gorsze jak Carskie łapy, bo to swoje, Sławiańskie, tatarskie — a tamte cudze, niemieckie, diabelskie. Otoż jednego dnia Służalski ruszył do głowy po rozum, z jakiegoś tam piętra hulknął w wodę i dał nurka — i tak siedział na dnie przez dwie doby, czyli czterdzieści ośm godzin, żeby zbić Niemców, jak to mówią, z pantałyku. Niemcy szukali, szukali, żadnego śladu nieznaleźli i zdali Kajzerowi raport, że przepadł Polak, albo się utopił, albo na łopacie z jaką czarownicą w powietrze uléciał, a Służalski po czterdziestu ośmiu godzinach wyhulknął i jak czmychnął przez góry i lasy, tak bez oddechu czmychał, aż oparł się we Francyi, za Strasburgiem, tam gdzie już po francuzku a nie po niemiecku mówią. —

Na moje zapytanie prostaczka, jakim sposobem oddychał powietrzem w wodzie, Rawski zaraz mi, jak z płatka wytłumaczył, że poucinał wielkie trzciny czyli łodygi oczeretu, i powsadzał w dziury od nosa, od uszów, od gęby i przez te trzciny chwytał powietrze, bo trzciny sterczały nad powierzchnią wody. —

A co jadł, zapytałem — i na to mi odpowiadział Rawski, narobił Sałamachy i tą żył przez dwie doby. Sałamacha Kozaków strawa, niebył tedy głodnym, bo sytna.

A że Rawski w życiu swojem nigdy sobie nie pozwalał kłamać, choćby na żart nawet, więc i uwierzyłem — przyznałem, że taka kapiel, warta i dziegciową czy smolaną kąpiel, w której się nurzyli ochotnicy chrzcąc na Mołodzców Zaporoża, że Służalski wart być Kozackiem Służaleńkiemi że tak ubrał Niemców w szory, jak niegdyś sławny Storc ubierał Moskali. Gracko wyprowadził w pole Niemców, musi być i chwat i szczwany, pragnąłem poznać tego czwartego Kozaka, na rejestrze, z zasług i z wartości, ale niestety niemogło się to stać aż dopiero w roku 1853, w obozie pod Burgas, Achioli. —

Czarne morze już niedrzemało cicho pod naszemi stopami, jak niegdyś w rozpaczy po czajkach Kozaczych, i po mołodźcach Kozakach. Grało po swojemu, jak dawniej za czasów Atamanów Zaporoża; marsz, marsz przypuszczało do brzegów, tabunami białogrzywych rumaków i nazad w niełądzie odskakiwało w przestwór. Oj, to jazda topielców kozaczych rwała się do nas, do nas kozaków Otomańskiego Sułtana stojących na Bożej, na Sułtańskiej ziemi — z końmi rzącemi, z szablami brzęczącemi, z jasnemi grotami u spis, z oczyma wytężonemi na północ, ku Dunajowi, ku Dnieprowi, z sercami skaczącemi ku naszej Ukrainie. Piętnaście sotni Kozaków, jak rybie oko, stało tam obozem. — Mołodźce Ukrainy i stare resztki Zaporoża, bracia Lachy ze wszej polskiej ziemi, Litwini i rycerstwo z nad Bałtyku — staro-kubańce Nekrasy, z nad Wołgi, z nad Donu — wszystko do razem zbratane, stało pod jednym sztandarem, pod jednym wodzem, z jedną myślą, za łaską Bożą, za łaską Sułtańską, pod opieką Sułtańską, przez Kozaczyznę postawić na nogi Polskę Piastów i Jagiełłów taką, jaka była za Stefana Batorego, albo i większą i potężniejszą. —

Starszyzna przyjmowała dwóch wielkich gości, Adama Mickiewicza, wieszcza Polski i Wielkiego męża Polski, i Księcia Władysława Czartoryskiego, syna tego serdecznego Jagiellona, któremu Kozacy gotowi byli swojem żywotem, swojemi ciałami słać drogę do tronu Polskiego, którego wołali: przybywaj do nas, przybywaj do nas Jagielońskie plemie, w góry czapkami rzucimy i po naszemu zakrzyczymy — Żyj nam i panuj nam, Adamie pierwszy, królu i Panie nasz miłościwy! Oj serdecznie i starszyzna i całe wojsko czcili dwóch Adamów, i nieobecnego i obecnego. Z Adamem Mickiewiczem przyjechał Henryk Służalski, i wtenczas dopiero poznałem tego Kozaka, Służaleńka. —

Chłop jak dąb, jak to mówią na Ukrainie, łomaka choć nim mury łamać. wykarmiony na Sałamasze, a taka pierś, że mógł i trzciną napompować powietrza, na zapas, na dób kilka — a serce prawdziwe kozacze, komu brat to brat, komu wróg to wróg, co w myśli, to w mowie, a co w mowie, to i w czynie. —

Adam Mickiewicz odrodził się z rozkoszy, patrząc na nadzieje Polski, już wcielone w mołodźców, na koniach i zbrojnych

i na biesiadzie i na harcach, i na łowach i na pogadance. — Bułany koń, który przed laty przepłynął z Naddunajskim Kozakiem i jego rodziną z Carskiej do Sułtańskiej ziemi, przyjął go za Pana i rżał do niego jak do Kozaka — chart, Kapłan z Ukrainy, przystał do niego na służbę i był nieoddzielnym towarzyszem i w dzień i w nocy. Koń i pies mają dusze, oni poznają lepiej jak ludzie, kto co wart — pieniądzem ich nieprzekupisz, a bankietem, i bankiet zjedzą i do swojego wrócą; dobrze mówi chłopskie przysłowie i publyka zist' i za wozem nepobiezyt'. —

Kiedy tak Mickiewicz kozakował, Książe Władysław Czartoryski nurtował Kozaczyznę, żeby Kozaków przerobić na jurgieltników czyli soldaków królowej Angielskiej i dokazał swojego; sześć sotni stały się sułtańsko-polsko-angielskiemi żołnierzami. Obiecywał im wielkie rzeczy, ale obiecanka cacanka na pstrym koniu jeździ; było z niemi jak z owemi biesiadnikami, jedli, pili, po brodzie im ciekło, ale w gębę nic się niedostało. —

Służalski oburzał się na to postępowanie. — Językiem Jana Zamojskiego wołał: — Trzeba wywieść to Jagieloniątko za morze, zkąd przyjechało; rozburzać prywatą i pieniądzem to, co złączone duchem i służbą dla Polski, dla Jagiellona — to samobójca, precz mi z nim. I wszedł do pierwszego pułku Kozaków Otomańskich, na prostego kozaka, na szeregowego, do sotni dowodzonej przez Rawskiego i wtenczas miałem sposobność słyszenia niektórych opowiadań Służaleńki, przy obozowem ogniu powierzanych Sydoreńce i całej sotni ochrzconej końcówką: eńko. —

Służalski niepróżnował w emigracyi. Jak człowiek młody, z gorącą duszą, z kochającem sercem, należał do wszystkich towarzystw, emisarek i wypraw — nieprzeżute miał życie, wierzył i ufał, chciał Polski; więc ktokolwiek bądź mówił: idę do Polski, miał go towarzyszem. —

Należał do towarzystwa demokratycznego, właśnie w tej chwili, kiedy Adam Gurowski, Krempowiecki i Ksiądz Puławski zamierzyli za pomocą towarzystwa owładnąć dyktaturę, nietylko nad emigracyą ale i nad krajem. Aby to osiągnąć, trzeba było sponiewierać i ludzi czelnych, sprawy polskiej i wszystkie inne towarzystwa choćby najpatryotyczniejsze. I pismem i

słowem wzięto się to tej roboty. Książe Adam Czartoryski, Naczelny Wódz Skrzynecki, Jan Leduchowski i wszyscy ci ojcowie Narodu, trzymający w 1830 i w 1831 latach pióro i szablę sprawy Narodowej, byli zbluzgani potwarzą, zmanifestowani i wskazani na śmierć moralną. Po wszystkich miastach i miasteczkach, gdzie się znachodziła emigracya polska, mówcy demokratyczni szastali się, jak Saltambanki francuzkie, z mowami, z proszkami i z maściami, do potępienia wszystkich a wszystkich towarzystw politycznych, z rozkazem Adama Gurowskiego, zredagowanym przez Ropelewskiego. Wszystko a wszystko w demokracyi, a co nie demokracya, to występek, zbrodnia i zdrada, wieczne potępienie. Na jednem z owych posiedzień znajdował się Henryk Służalski, podówczas zażarty demokrata. Mówca natchniony duchem Ropelewskiego, ciskał pioruny na twarzystwo kosynierów i wołał głosem Stentora; — Kosyniery zbrodniarze, zbójce ludzkości, wrogi wszechwładztwa, podłe naszędzia arystokracyi. Mowa w furyi zapału przerwaną została łkaniem jakiegoś obywatela, wciśniętego gdzieś w szary koniec izby posiedzenia. Zaczęto wołać: — «obywatelu, prosimy na środek, prosimy — » —

Wyszedł a raczej wypchanym został na środek stary wiarus, pokiereszowany i ledwie mógł mówić, zachodząc się od łkania. —

«A dyć to i ja byłem kosynierem, pod Grochowem siekłem Moskali na dobre, a obywatel mówisz, że to źle, podle — może to ten Skrzynecki naumyślnie kazał siec, żeby było źle — a ja tego nic niewiedziałem; o Boże mój, że te kosyniery, to takie zdrajcy, niechże i diabli wezmą —» I płakał i łkał i nogą tupał. —

Obywateli poklaskiwali i śmieli się, a Służalski obywatela pokiereszowanego zaprowadził do kawiarni. Tam przy brulasie obywatel kosynier łzy wysuszył koniakowym płomieniem i jak łyknął kilka razy sznapsa, łkania ustały. Wiarus się rozdobruchał i tak gładko siekł językiem i kirysierów i piechurów, byle Moskali, jak ich płatał kosą pod Grochowem, aż miło było słuchać; a za każdym razem, jak na przegrywkę, psiakrew, psiajucha. Obydwa ze Służalskim zaczęli spijać haustem toasty. —

— Niech żyją Kosyniery —
— Niech żyje Skrzynecki —
Niech żyje Polska. —

I obydwa jeszcze tego samego dnia wykreślili się z kontroli towarzystwa demokratycznego. —

Należał Służalski i do Karbonarów, wierzył jak w ewangielią, że wenta za wentę, poręb za poręb, brat za brata jak za siebie staje — wnioskował, takie stowarzyszenie to dopiero sprawdzi to Ukraińskie twierdzenie: gromada to wielki człowiek, świat przerobimy na lepszy. — Ale kiedy zobaczył, że Pan Barte, został z Karbonara prokuratorem królewskim a potem Ministrem sprawiedliwości, na gnębienie Karbonarizmu, i bynajmniej niezostał przebitym żadnym sztyletem Karbonarskim, ale przeciwnie Karbonarowie, dawni towarzysze, mu się kłaniali i donosili o wszystkiem, za pieniądz królewski Ludwika Filipa — kiedy zobaczył, jak wenta Karbonarów polskich, przeobrażona na na Sekcyą Luksemburską, złożona z mieszczan i z frankistów, wpakowała do więzienia wentę bratnią przeobrażoną na sekcyą Batyniolską, złożoną z butnej i wrzawliwej szlachty — przez braterstwo, za pośrednictwem kochanki, ministra policyi Gisquet, plunął i porzucił węglarstwo, niechciał się czernić, wolał pozostać białym szlachcicem polskim. —

Uczestniczył w wyprawie na Frankfurt nad Menem. Potężny to był zamiar, ale trudny. Jednego dnia kilkunastu polaków eks-demokratów i eks-węglarzy, między którymi był Służalski, niewiedząc co robić, a niemając wiele brzęczących w kieszeni, poszli na rozbif — na piwo i na pończyk do znanego Anglika Katkemba, i znaleźli tam Majora Kormańskiego. —

Tego samego Kormańskiego, czyli Kormana, który na czarnym koniu Wielkiego Księcia Konstantego, jak truteń po ulu, wywijał się po ulicach Warszawy, kiedy już Moskale dawno z niej wyszli. —

Ten sam, który zaganiał z tyłu dzielną jazdę Lubelską, kiedy Mikołaj Kamiński na jej czele szarżował i na gniłe jabłko rozbijał i miażdżył Moskali. —

Ten sam, który przybrany w czarny frak, w paliowe rękawiczki, przyniósł swoj testament na posiedzenie towarzystwa dam, dobroczynnych Polek i tak nim rozczulił szykaną Panią Rauten-

sztrauchową, że mu dano bilecik tysiąc frankowy, ażeby jeszcze pożył jakiś czas na tym Bożym świecie. —

Teraz.dopijał pończ i czytał broszurę Generała Dembińskiego, w której Generał z całą zgrozą serca polskiego powstawał na złożenie broni za granicą przez Generała Rybińskiego i Rumorinę. Generał Dembiński natchniony swoją dzielną duszą i swojem rycerskiem niewątpieniem o niczem, dowodził; że nie mogąc utrzymać się w Polsce, trzeba było iść do Niemiec i burzyć Niemcy, iść do Włoch i burzyć Włochy, iść w świat cały, wywracać królow i rządy, póki Polska niestanie w dawnym swoim bycie. w dawnych granicach i w dawnej sławie. —

Korman wąs pokręcał, pończyk spijał — «Bomby, trąby, tak mi graj —» Czytał w głos broszurę; wszyscy słuchali i popijali pończyk. —

Służalski się odezwał — «co wojsko niezrobiło, to my zróbmy, lepiej później jak nigdy. —»

— «Bomby, trąby —» zawołał Korman — «to mi gracz, a dokąd pójdziemy. —»

Kilku zawołało — «Na Frankfurt, na Frankfurt —» I ułożoną została wyprawa. Jak szastnęli się na wszystkie strony, dostali pieniędzy u Patryotów, Kosmopolitów. Korman wszystko rozporządził, urządził, ale sam nieposzedł, powiadając —«Bomby, trąby, ja będę zaganiał tu z tyłu, żeby do was tam szło więcej a więcej, spuście się na mnie, ja na to majster. —» —

Wyprawa skończyła się bez rozlewu krwi; przybyłych bohaterów, kosmopolitów, poaresztowano po hotelach, karmiono, pojono, fetowano nawet, a potem w dyliżansach odesłano nazad do Francyi; żeby był wiedział Korman, że tak się stanie, pewnie byłby na czele kolumny. —

Potem nastąpiła wyprawa Sabaudzka czy Szwajcarska, w której Inocenty Drogoń był pierwszym grenadierem, a Henryk Służalski Fligielmanem — na to, żeby Drogoń mógł defilować przez Służalskiego, jak defilowały niegdyś okręta przez kolos Rodyjski — jak potem, potem Wiedeńskie karykatury chciały, żeby francuzcy turluru defilowali przez Austryackich Grenadierów. — Dobrze im francuzi przedefilowali pod Solferino

i Madżenta, ale Polakom tak się nieudało, choć mieli naczelnym wodzem Romana Sołtyka. —

Stukali do wrót Sabaudzkich, ale tych im nieotworzono — pływali po jeziorze, potem ich szwajcarowie porozbierali między siebie; żeby jedli, pili, małych ułanków na pamiątkę zostawili — to się zda choć Rzeczypospolitej i neutralnej. —

Polacy z kraju przyszli w pomoc ze znacznemi składkami na ręce Generała Dwernickiego. Ale Generał Dwernicki, ten pogrom Moskali, zdobywca Moskiewskich harmat, słusznie się zżymał na tę romansową wyprawę romansowego Dowódzcy — pieniądze skonfiskował i dobrze zrobił. «Kiedy się mają bić, niechże się biją, a kiedy niebiją, niech wodę, a nie wino piją.» Dwernicki nieżałował nic dla swego drugiego pułku Ułanów, ale bo też oni się bili, pod Ostrołęką, czterech kapitanów, dowódzców czterech szwadronów, na bagnetach Moskiewskich życie zakończyli, ale tu nikt niezginął, nawet się w jeziorze nieutopił i nikt z chłodu i z głodu nieumarł, choć składki i niedoszły. Oni sami, jak się im znudziło w Szwajcarji, przyszli po nie do Francyi. Komitet narodowy musiał zastąpić Generała Dwernickiego, bo ten twardo stał przy swojem, nic niedać, ani złamanego fenika — nauczyć, że wojaczka nie na żarty, ale na prawdę. I prawda wielka ze składkami zostały przy Generale. —

Dziwna to rzecz w tej naszej Polsce i między tymi naszymi Polakami! Na takie wyprawy, lecieli jak na złamanie karku całe zakłady z Besançon, z Awinion i Bóg nie zkąd — i oprócz przesiębiorców żaden ochotnik i złamanego grosza niewiedział; przedawał ostatnie rupiecie, pamiątki domowe, dukaty święcone, Matką Najświętszą, z chrztu jeszcze, byle lecieć — dokąd? gdzie inni lecą jak cielęta, po co? w Frankfurcie nad Menem, albo w Sabaudyi Polski albo rozumu szukać i kraj na takie bohaterki ostatni swój grosz, grosz wdowi dawał. A kiedy Generał Bem zawarł traktat z Don Pedrem i Królową Maryą, żeby zorganizować kadry wojska polskiego w Portugalii jako szkołę wojskową dla Polaków, jako zawiązek wojska z chorągwią, z barwą, ze strojem narodowem, z językiem narodowym, z warunkiem, że na pierwsze potrzeby Polski ten zawiązek kosztem Portugalii ma być przewieziony na zie-

mię Polską, Polacy emigranci zaprotestowali a mało co niezamordowali Generała Bema, a kraj rzucił na niego przekleństwo. —

W tem najłepsza wskazówka, dla czego Polacy nie mogą mieć Polski, bo lekkomyślnością jej wskrzesić nie można a rozumem Polacy niechcą. —

Po wyprawach nastały emisarki, Służalski należał do wszystkich. Powiedziano mu, trzeba w kraju przygotować powstanie, żeby była Polska, on szedł i przygotywał; inni emisaryusze jeździli powozami, on chodził piechotą, inni demokratyzowali kobiety, żeby zgnębić szlachtę, on polszczył chłopów, żeby mogła ich użyć szlachta do służby polskiej, inni wracali do Paryża, do Wefura, do Werego, do Trois frères Provengaux, — na Operę włoską, na balety, na bale mobile — a on do Katkomba, czasami do teatru Pani Saki, a czasami do Szomiery; inni w miejscu zebranych składek przywozili bilans, czyli rachunek: wziąłem — dałem, i jeśli nie żądali dopłaty od Komitetów, to było zero — i to było u najrzetelniejszych. Służalski przynosił wiernie, z zebranych składek, brzęczącą monetę i tę składał Generałowi Dwernickiemu. Za to miał u niego wielkie zachowanie.

Generał nawet chciał go wykierować na znakomitego człowieka, często mu powtarzając:

«Kiedy chcesz między Polakami mieć znaczenie i władzę nawet, udawaj, żeś głupi, żeś głupszy od nich; tak rób jak ja a wszystko ci dadzą, bo każdy sam w sobie będzie mówił: to osioł, będę go wodzić za nos, jak zechcę i pomaleńku, pomaleńku sam siebie da wodzić za nos, — ale pokaż tylko, że masz rozum, że masz sumienie, że niepotrzebujesz cudzej rady, toś przepadł, zaraz zaprotestują, zamanifestują, będą spiskowali, gryźli, póki cię nie zagryzą, taka to natura polska — i my jej niezmienimy, kiedy Pan Bóg nie chce zmienić. -

Generał Józef Dwernicki był w rzeczy samej najsprytniejszy szlachcic w trzech prowincyach, Wołynia, Podola i Ukrainy, wychowany przez dobrą Matkę Polkę, wyedukowany w dobrych szkołach, ze zdolnością znamienitą, wielką pamięcią — lubił czytać i uczyć się i wszystko co nabył na swoją własność, zawłaszczał; pisał doskonale i wielu językami, dzielny żołnierz i

uczony oficer, — w 1809 roku szef szwadronu, w piętnastym pułku Ułanów, będącym pod dowództwem Pułkownika Trzecieskiego. On dowodził istotnie tym dzielnym pułkiem, ale zawsze mówił —» ja nie wiem nic, ja nic nieumiem, to Trzecieski tak każe i jakoś dobrze. Trzecieski, nieuk, udawał pułkownika, puszył się jak indyk, i wszyscy mu zazdrościli, i wszyscy go nielubili, Dwernickiego kochano i cały pułk szedł za nim, gdzie chciał. W roku 1813, 1814, dokazując cudów waleczności i cudów sztuki oficera jazdy, zwalał całą zasługę na siwego konia, i na starego wiarusa niehramotnego, który mu niby szeptał w ucho, co ma zrobić, każdego się radził i każdemu potakiwał a swoje robił, ale po udaniu się każdemu mówił: tak zrobiłem, jak poradziłeś, to mi głowa, żeby ja miał taką — — to mi to olej w głowie, matka mi taki w głowę nie włożyła. Każdy jak najsumienniej przyznawał się do swojej rady, choć mu ona nigdy i przez myśl nieprzeszła i wszyscy byli zadowolnieni. Zostawszy dowódzcą drugiego pułku Ułanów za Wielkiego Księcia Konstantego, napisał regulamin dla Jazdy polskiej, po polsku i po rossyjsku, najlepszy ze wszystkich i który do dziś dnia służy jeździe Rosyjskiej — i powiadał, że on to kazał pisać, co panowie oficerowie przy szampańskim i przy pończyku gadali. Dwernickiego na rękach nosili, żołdów niebrali, swojemi końmi zastępywali brak koni skarbowych i wszystko było jak najlepiej, bo jakże niekochać, jakże niestawać za takim pułkownikiem, którego się za nos wodzi. —

W czasie wojny 1830 i 1831 roku, bił Moskali pod Stoczkiem, pod Ryczywołem, pod Boremlem. Przed bitwą każdemu na ucho powiedział, co do joty, co ma zrobić, a po bitwie wołał — «ja nic niewiem — to Rusian, to Lewicki, to Wierzchlejski, wszystko zrobił — dziękuję wam, i wszyscy byli zadowolnieni. —

Gdyby był niezdybał-w Lublinie, w krasnym Stawie i w Zamościu dawne kochanki i dawnych towarzyszów gry, byłby się jaszczyk kasy niewypróżnił z dukatów, Generał Dwernicki byłby pociągnął przez Kowel i Polesie do Kijowa i dalej, i byłby oswobodził z jarzma Rossyjskiego wszystkie ziemie Ruskie, ale że się ten nieszczęśliwy jaszczyk wypróżnił, bankietował trzy dni w Boremlu; bo na frasunek, dobry trunek — pociągnął do Krzemieńca, na wizytę Liceum a potem do Lulinieć, żeby ten

przeklęty jaszczyk oddać Moskalom, a samemu odpocząć w Austryi. —

W emigracyi wmówił w posła Leduchowskiego, w kasztelana Ostrowskiego, w posla Trzcińskiego a nawet w Księdza Aleksandra Jełowickiego, podówczas posła Hajsyńskiego, że oni nim rządzą; każdemu mówił — «to nie ja, to Nastek Dunin prowadzi całą politykę zagraniczną» — pisał artykuły Słowaczyńskiego, mówiąc «to Plagowski albo Borowy napisal» — obydwa do piśmiennictwa, jak kulawy do tańca, a ślepy do malarstwa — a kiedy były wydrukowane, wolał — «to to Słowaczyński dał hartu I. B. Ostrowskiemu —» i Słowaczyński rumienił się i dziękował i myślał, że on zdoprawdy pisze artykuły, tymczasem Dwernicki kasą szafował i wszystkiem motał po swojemu. Członkowie komitetu za wszystko placili, na wszystko pozwalali, bo gdzieżby znaleźli Prezesa, którego by tak za nos wodzili, jak im się zdało, że go wodzą, a Dwernicki z cicha się śmiał, jak Humański dureń, z cudzego woza brał, a na swój kładł. —

Przy końcu swojego życia Generał Dwernicki udał się do Galicyi — i tak Niemcom przedstawiając się jak się przedstawiał Polakem, głupszym od nich, dostał i pensyą i dowództwo gwardyi Narodowej, i gdyby nie dostatek pieniędzy, zbytek dobrego jadła i napoju, i pięknych Lwowianek, byłby jeszcze dosiadł siwego, i tak ganiał Niemców Austryackich, jak ganiał Moskiewskiego Niemca Gejsmana.

Służalski kochał Generała Dwernickiego, bo któżby niekochał tego dzielnego Ułana, ale wcale niepodzielał jego nauki moralnej, dla tego porzucił emisarkę i zaciągnął się do duchów Towiańskiego. —

Dawniej na narody spadały plagi Boże i bicze Boże w Herodach, Tyberyuszach, Neronach, Atylach i Dżengishanach. — Krew ludzka płynęła strumieniami; z głów trupich murowano wieże, twierdze, koście trupie pokładami bieliły rynki i ulice, pomniki gniewu Bożego, okrucieństwa wybranych katów, na postrach i na poprawę ludzkości. Narody cierpiały, ale się korzyły, i poprawiały. Teraz na emigracyę polską nie Bóg, ale szatan przedrzeźniając Boga, zesłał Towiańskiego, nie plagą na ciała ludzkie, na życia ludzkie, ale chlostą na rozum ludzki. Chłosta ta padła na najczelniejszych sercem, dzielnością i su-

mieniem — i w konkurencyi Wielkiemu Bedlamowi Angielskiemu i Szarantenowi Francuzkiemu, założył dom wyskoków i ruin umysłowych Polski. —

Dziarscy rycerze, w teraźniejszem życiu uśpieni natchnieniem Mistrza, przebudzili się z przypomnieniem, że byli krowami, indykami, baranami, wieprzami a żadnemu nie zamarzyło się, że był kiedyś orłem. — Mołodźce, jeden krzyczał, że był marchewką, drugi pasternakiem, trzeci burakiem. Poeci byli pielgrzymami i namiotami. — Historyk Konfederacyi Barskiej w rękopiśmie był rakiem, dziennikarz sławny nieborakiem. A nasz Służalski, wilkiem, ale wilkiem sirym, takim, jakie się włóczyły po Ukrainie, za czasów Kijowskiego wieszcza Bojana, nie Bohdana. —

Wyprawiano ducha a postanowiono, żeby ciało zostawić w poddaństwie Carowi Moskiewskiemu, Kajzerowi Austryackiemu i królowi Pruskiemu — zgodnie do słów ewangelii — co Bogu to Bogu, a co Cezarowi, to Cezarowi — zgodnie do bulli papieża Grzegorza, który rzucil klątwę na polaków walczących ciałem przeciwko Moskwie w 1830 i 1831 roku — A Seweryn Pilchowski dziś w Towiańszczyźnie Marchiewka, niegdyś zapalony demokrata i karbonar dla przykładu, na znak pokory cielesnej, zapisał się w poddaństwo wieczne i skazkowe Wielkiemu Mistrzowi Towiańskiemu. —

I ktoby poznal w tej Marchiewce tego dziarskiego Seweryna, który na Berdyczowskim jarmarku, wychyliwszy z Papą dobrodziejem, tuzin Reńskiego, tuzin Szampana, przez drzwi przez okna powypędzał huzarów, ułanów i Abrahamowiczów, a tak gracko, że Papa wołał — «brawo Sewerynku —» — i klęcząc wypił ostatni kielich — na czortowu Moskalom i parszywym panom, a na zdorowi na szlachti. W godzinę później, zawsze z Papą Dobrodziejem, w Kikiszowieckiej karczance, wtorował młodej Hajce, przyśpiewującej Ickowi grającemu na bałabajce, a tego samego wieczora jeszcze w Machnówce na redutach, wycinał Mazurka z piękną i hulaszczą Panią Porczyńską, a nad rankiem Panu Porzyńskiemu w pojedynku obciął palce u ręki, i nieprzespał się aż w kozie, z łaski Horodniczego, wielkiego wroga Polaków — piękna mi Marchiewka. Musiał być cudotwórcą ten Towiański, kiedy takie przemiany potworzył. —

Duchy zbierały się na posiedzenia, pod prezydencyą Mistrza, modliły się, gadały, radziły, ale same niewiedziały, co, i inaczej być niemogło w zgromadzeniu, gdzie tańcowała ryba z rakiem a pietruszka z pasternakiem — cybula się dziwowała, że pietruszka tańcowała; indyk bełkotał, krowa ryczała, namiot skrzydłem jak ptak trzepotał, wilk wył a Mistrz poklaskiwał temu chaosowi swojego poddaństwa, tej wieży Babelu rozumu ludzkiego. —

Na jedno z tych posiedzeń, było to w jesieni, w dzień dżdżysty, kiedy niebo Paryża rzewne łzy roni, po wczorajszych dziewicach, które także uległy na balach, teatrach i koncertach, przemianie, nie Owidiusza, nie Towiańskiego — ale Paryzkiej, Marchiewka przyszedł z deszczochronem, nie do siebie on należał tylko do Mistrza, sumiennie tedy chciał mu zachować w całej piękności, niezmoczoną te skazkową jarzynę. Wszczęły się melodyjne ewaporacye duchów, Mistrz harmonijnym głosem Meluzyny wniosł kwestyą duchową między poddaństwo; rak krzyknął Marchiewce — «na kolana, Marchiewka się zżymnął, zagrało w nim po dawnemu, przypomniał sobie czasy Berdyczowa, Machnówki, Terechowy, porwał za deszczochron, i dawaj nim okładać raka, jak gdyby rak był Aksantym, Chwedkim albo Ilią, złapanym na kradzieży owoców w Terechowskim sadzie. Rejwach, popłoch, gdzie kto mógł to zmykał; Mistrz pod kanapę a wilk jak się wymknął za drzwi, tak już więcej niepowrócił się dowiadywać, co się stało z Mistrzem i z jego poddaną Marchiewką, bo raka nieboraka to zdybał, ten zaparł się duchów a wrócił do konfederacyi Barskiej. —

Służalski przyłączył się wtenczas do Ludwika Mierosławskiego, którego gwiazda wówczas zaczęła wschodzić na horyzont emigracyjny. Autor Szuji, Maryny żelaznej i Pugaczowa pokazał, że ma i butną imaginacyą i jędrny język polski. Autor ostatniej wojny Polaków z Moskwą w języku francuzkim zalecał się polotem języka i polotem myśli, profesor rozmaitych nauk i sztuk, odkrywał zasób mnogich i różnobarwnych wiadomości — mówca znakomity i gimnastyk niepospolity, jednem słowem człowiek taki, jakiego trzeba było Polakom. —

I w samej rzeczy Ludwik Mierosławski jest człowiekiem niezwyczajnym; mógłby był być i może jeszcze być dzielnym mężem dla Polski — jeżeli się otrząśnie z tego wszystkiego, co do

dziś dnia robilo jego sławę i dawało mu wziętość między Polakami. — Wszystkie usterki, że tak powiem, śmieszności Ludwika Mierosławskiego pochodzą z jego znajomości dokładnej i głębokiej Polaków. — On i Generał Dwernicki najlepiej ich znali. Dwernickiego wartość i zdolność były ocenione przez władze, Księcia Józefa Poniatowskiego, Wielkiego Napoleona, Wielkiego Księcia Konstantego; doszedł do wysokiego stopnia, i niepotrzebywał tylko tumunić Polaków, żeby się na nim utrzymać, ich zazdrości i opozycyi przeciwko sobie niewzbudzić, i doskazał tego, wmawiając, że on głupszym od wszystkich. Ludwika Mierosławskiego położenie było wcale inne. Uczeń szkoły Kaliskiej, bez stopnia, bez poprzednich zasług, bez władzy, która by potrafiła jego zdolność ocenić, trzeba mu było wynieść się przez Polaków, trzeba było ich zadziwić, czyli jak Francuzi mówią — rzucić im piasku w oczy. —

Wiedział on, że Polacy w życiu politecznem, w życiu praktycznem nie matematycy, ale poeci, nie tacy. jak Adam Mickiewicz w swoim Wallenrodzie, w swoim Tadeuszu, ale tacy jak tysiąc nocy i jedna, jak podróże Abulkazema, jak Mytologia Grecka; uderzył tedy na nich wszystkowiedzą. —

Jeszcze w pierwszych chwilach, kiedy Mierosłowski był biedakiem, stronnictwo Księcia Adama Czartoryskiego przejrzało jego zdolność, a widząc go między motłochem demokratycznym, jeden z jego znajomych, jak zwano, Czartoryjszczuk — proponował mu przedstawić go Księciu Adamowi; odpowiedział — «Ja wiem, że wy więcej warci jesteście, pod każdym względem, od tego motłochu demokratycznego, nazwiejcie go nawet szują, to mi jedno, ale cóż bym ja u was robił, zrobilibyście ze mnie najwięcej pisarczuka, jak z Pozniaka, albo z Petrykowskiego, a ja nie w to gram — z moją szują, jak jej powiem, że z armatami będę latał po powietrzu, że z jazdą bez okrętów przepłynę z Gdańska do Kronsztatu, jak do niej przemówię po chińsku, byle nierozumiała, to mnie okrzyknie Naczelnym Wodzem, większym od Napoleona Wielkiego, Królem Polskim, jak będzie można i będzie czas —» —

I miał prawdę za sobą: znał swoich. —

Niebyłem przytomnym, ale słyszałem, że ogłosił szkołę wojskową, dla kobiet, przy ulicy Tarane i że w kursach wykła-

dał czarnookiej i czarnobrewej Adelaidzie, jakim by brylantem jej oko błyskało z pod kirysierskiego hełmu — smukłej Irmie, jakby w ułańskiej kurtce, w czapce na bakier, na jasnych splotach, po boju zsiadłszy z konia, tańczyła kemkana w Szomierze — figlarnej Nini, jak wróciwszy z nad Renu, w huzarskim dołmanie spijałaby, w kawiarni Paryzkiej, szampana, zjadała ostrzygi, homary, cynadry i jajecznicę dętą cukrem i rumem — Olbrzymiej Matyłdzie, jakby wiodła bataliony piechoty do szturmu — świegotliwej Leonidzie, że głosikiem dźwiecznym głuszyłaby trąbki, dowodząc strzelcom, w rozsypkę — a grzesznej Magdalenie, że jako artylerzysta, z harmaty by kartaczowała wszystkich tych, którzy ją do grzechu przyprowadzili. — A wszystkim obiecywał kryże, wstęgi na te piersi, które i bez nich pociągają ku sobie oczy wielbicieli a cóżby to było z niemi. Dziewice się radowały, na kurs uczęszczały a Polacy głosili i drukowali: Ludwik Mierosławski i z kobiet potrafił zrobić wojsko, a cóż by on niezrobił, gdyby miał pod swoim kierunkiem Polaków. —

I przez Polaków w Paryżu został obwołany Generałem i jako Generał pojechał do Poznańskiego. —

Wojna w Poznańskiem należy do historyi; są o niej mnogie pamiętniki, świadków naocznych i nienaoczych, są zarzuty, odpowiedzie; przechowa się do potomności, choćby teraz o niej niedano ostatecznego sądu. — Nic tedy o niej niebędę mówił, tylko powiem — że w konkursie o Naczelne Wodzostwo, na radzie najznamienitszych i najdoświadczeńszych obywateli Poznania Ludwik Mierosławski ubiegł Generała Chrzanowskiego i Generała Kruszewskiego i okrzykniętym został jednogłośnie Generałem i Naczelnym Wodzem. Powodem do tego było, że Generał Chrzanowski był najrozumniejszym i najpraktyczniejszym teoryetykiem, nietylko w wojskowości polskiej, ale w wojskowości świata; był potężnym na ministra wojny, na organizatora, ale wszystko, co mówił, co pisał, co robił, było bardzo matematyczne, praktyczne, ziemskie, nie mitologiczne; — że Generał Kruszewski dzielnie bił Moskali w Polsce, ale po ziemsku, tak jak nasi praojcowie szlachta, bili i Niemców i Moskali i kto się nawinął, że został piątego pułku Ułanów Pułkownikiem a więc musiał być dobrym wojownikiem, bo Ułani Zamojskich mieli swoją piękną kartę w wojnie Polski. — Ale Generał Mierosław-

ski odczytał długą dysertacyą o działaniach massami po sieci strategicznej Polski, tak żeby massy z nad Warty polały się powodzią do mass nad Wisłą a ztamtąd zabrawszy massy Pilicy Bugu, Nuru polać się ku Dnieprowi i Dniestrowi, aż do Morza Czarnego w jedną stronę — ku massom Dźwiny, i z massami Dźwiny, aż ku Baltykowi w drugą stronę i powodzią mass zalać, zatopić i Cara Moskiewskiego i Austryackiego Kajzera. Massy oszałomiły radzców, wyborców, nowy systemat wojny, przez nich niepojęty a więc trzeba popróbować. To postęp; Niech żyje Generał Mierosławski, Naczelny Wódz! I żołnierze Wielkiego Napoleona, Wielkiego Księcia Konstantego: Potworowski, Kirkor, Brzeżański, Lange, Czarnomski, Moraczewski, Berwiński — kwiat wojska polskiego i na placu musztry i na placu boju, kwiat młodzieży polskiej, szli pod rozkazy wybranego Naczelnego Wodza i słuchali i służyli. —

Czy pobił czy niepobił Prusaków Generał Mierosławski, to inna kwestya, i dla czego, ale pokazał, że znał doskonale Polaków, i dopiął swego; został Generalem i Naczelnym Wodzem. —

Służalski nielubił mowić o wojnie w Poznańskiem, bo trzeba było mówić o polakach, ale za to rad mówił o wojnie w Badeńskiem. —

Badeńskie się zbuntowało, czy powstało. Badeńczyków giec napadł, jak cielęta w Sierpniu, ogony do góry i dalej latać i beczeć po kraju; wojsko się złączyło z ludem i była siła; zaproszono na Naczelnego Wodza Generała Mierosławskiego; ten zaraz przybył ze Służalskim — a za nimi Generał Sznajde, Pułkownik Roman Czarnomski i inni oficerowie wojska polskiego. Mierosławski Niemcom wykładał o filozofii wojny; Niemki szalały za Naczelnym Wodzem; festyny po festynach, nie krew, ale reńskie wino, bawarskie piwo, potokami się sączyło. Gdzieś, podobno pod Rasztatem Służalski na swoją rękę wojnę Prusakom wydał. Był wielki festyn, w sławnym hotelu, pod złotem słońcem, czy też pod czarnym Niedźwiedziem. Ze wszech okolic pozjeżdzały się pulchne Niemki, i Niemcy zbrojni i niezbrojni; cały sztab, siła zbrojna, wszystko to bankietowało. Na dole w nieprzeliczonych szeregach kuflów pieniło się piwo, na górze w zielonych kielichach złociło się reńskie wino: rozbratle,

sznycle, strudle i mejrynasy. wszystkiego było na przesyt, — mowy po mowach, idyle, ody, hymny, muzyka i walczyk niemiecki raz, dwa, trzy — a wszystkich głowy strojne w wianki z chmielu. Bachusa czczono, nim nadejdzie Mars. —

W tem Służalski ujrzał Pruskie wojsko ciągnące drogą ku mostowi, zaraportował — nikt nie rozumiał raportu, biegnie do Artyleryi — artyleryści tak poślepli, że ledwie widzą kufle pod nosem, a harmatami dopatrzyć mogą — woła na Jnżynierów, do mostu — wysadzić most a ci trafili na przeszkody, na progi i ani rady przez nie przejść; niema rady, samemu trzeba działać, zebrał kilkanaście czy kilkadziesiąt pulchnych Niemeczek, bo te nienapadła kurza ślepota — w takt walczykowy przeszły przeszkody i były gotowe; powybijał dna z beczek już wypróżnionych z piwa, powsadzał na wozy, wyrychtował na Prusaków, pozabierał pistolety od śpiących i omeroczych obrońców Ojczyzny i dla siebie wziął część i rozdzał między Niemeczki, i na komendę kazał palić w beczki ogień, jak na mustrze szedł bez przerwy, huk wielki. — Niemeczki ochocze — kolumny Pruskie się zatrzymały a nawet w tył cofnęły. Miano czas pozaprzęgać konie do einwagenów, cwajwagenów, drajwagenów — i cofnięto się w tył dla obrania nowej strategicznej i taktycznej pozycyi, na której można było manewrować massami. Służalski ostatni, ze swojemi artylerzystami cofnął się na tryumfalnym wozie. Reiterada było wesoła, bo nikt niegonił; Służalski został mianowanym Majorem harmaty, ale już więcej niechciał wojować massami i pojedyńczo udał się do Włoch. —

Naczelny Wódz, niechcąc fatygować nieproszonych gości Prusaków, obrachowawszy się i pokwitowawszy rewolucyą niemiecką, udał się do Sycylii po nowe laury — tam będzie mógł praktykować nietylko system massy, ale nawet lawy wulkanicznej; nowe źródło do zaskarbienia ufności Polaków. —

Od czasu, jak zaczęto grać i śpiewać — Marsz, Marsz Dąbrowski, z ziemi Włoskiej do ziemi Polskiej, Włochy stały się w imaginacyi Polaków punktem zboru, z którego chcieli oswobadzać Ojczyznę jęczącą w niewoli. Byle tam się nadarzyła jakaś rewolucyjka, zaraz biegną i myślą, że już mają Polskę — niepomni, że te sławne legiony Dąbrowskiego i Kniaziewicza niebyły stworzone przez Włochów i Włochy, ale przez Rzecz-

pospolitą Francuzką przeciwko Austryi do trzymania w ryzie posłuszeństwa Włoch, niepomni, że od czasów królowej Bony, która zapaskudziła Polskę i wywiezła z niej skarby do Włoch, niebyło żadnego powinowacta, żadnego przymierza między Polakami i Włochami — że Włochy osobiście służą Carowi Moskiewskiemu i mają sobie za zaszczyt być w poczece jego najlepszych Generałów, że ta krew nawet Krasińskich w rodzie Sabaudzkim strasznie rozrobioną. Jednak biegną, bo i niańki śpiewają i na pozytywkach wertepowych grają: Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi Włoskiej do ziemi Polskiej. —

Byli tam Polacy rozmaitych stronnictw; Generał Chrzanowski z hrabią Władysławem Zamojskim, Księciem Witołdem Czartoryskim i Generałem Breańskim, organizowali w Turynie legion monarchiczny. Mikołaj Kamiński w Mediolanie dowodził legionem półduchów, skrzydełkowych i Adam Mickiewicz był tam; kapitan Fiałkowski dowodził legionem demokratycznym w Rzymie, Generał Rybiński, jako ostatni naczelny wódz wojska Polskiego, przybył traktować z papieżem albo z Rzeczpospolitą Toskańską. kto więcej obieca. Polacy brali w przesiębiorstwo Włochy; czego tam chcieli Polacy, niewiadomo — gdyby niebyło przegranej pod Nowarą a była wygrana, pewnieby Karól Albert więcej niezrobił dla Polski, jak to zrobił Wiktor Emanuel po zwycięztwach Francuzów pod Solferino i Madżentą. Byłby zawarł traktat z Moskwą, jak go zawarł Wiktor Emanuel. Byłby dał jałmużnę Polakom i wyprawił, albo pozwolił zostać w wojsku, przenaturalizawszy Polaków na Włochów, tak ja to zrobił dzisiejszy król Włoski i inaczej być niemogło — i inaczej być niemoże, bo tradycye polityczne i prawdy historyczne niezmieniają się dla fantazyi i widzimisia ludzi, choćby nawet Polaków. —

Ale u nas Polaków inaczej. —

Włochy sprzymierzeńcami, bo jest Marsz, Marsz Dąbrowski, z ziemi Włoskiej do Polskiej. —

Węgry sprzymierzeńcami, choć Galicya i Lodomerya zabrana na rzecz korony Węgierskiej, nie Austryackiej, choć Koszut i rząd powstania Węgierskiego niechciał Manifestem zaprotestować przeciw temu rozbiorowi, w nagrodę wdzięczności krwi polskiej, przelanej za sprawę Węgierską na zawdzięczenie

zasług Bema, Dembińskiego i Wysockiego. Ale jest piosnka: —

Węgier, Polak, dwa bratanki —
I do konia i do szklanki —
Oba zuchy, oba żwawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi. —

I Ameryka powinna zostać sprzymierzeńcem Polski także: tam był Kościuszko, tam służył Kazimierz Puławski i koście jego złożone w Sawanie w Ameryce, a przy widowiskach wertepowych nasi guślarze śpiewają: —

Jedzie Pan Puławski na białym koniu. —

Z taką polityką nic dziwnego, że Polacy grali, grają i grać będą ze swoją narodowością, ze swoim przyszłym bytem, jak w ciuciubabkę, czyli ślepą babkę. —

Służalski walczył w skrzydełkowym legionie, był pod Nowarą, był przy rozstrzelaniu Generała Rumorina, którego trzeba było lepiej rozstrzelać pod Opolem, jeżeli to on wyprowadzał najdzielniejsze nasze wojsko do Galicyi, kiedy jeszcze było tam się bić. Wrócił do Paryża z Adamem Mickiewiczem i już ztamtąd niewyjechał, aż w czasie wojny na Wschodzie. —

Skończoną była wojna nad Dunajem; Austrya przymierząc się z Turcyą, Francyą i Anglią oswobodzała Rossyą od niechybnej zguby, i pozwalała Rossyi rzucić wszystkie swoje siły do Krymu, gdzie zlokalizowano wojnę, w skutek memoaru wypracowanego w Berlinie a zgrabnie podsuniętego Cesarzowi Napoleonowi. Austryacy swojem wojskiem zajęli ziemie Multan i Wołoszy, wojska Otomańskie przeszły na prawy brzeg Dunaju, a pułk Kozaczy i sotnie starokubańskie i Dobrudzkie wróciły z czat nad Prutem a połączone z drugim pułkiem kozackim, stały obozem pod Burgas-Achioli, jakeśmy to wyżej widzieli, kiedy przybyli w goście Adam Mickiewicz ze Służalskim i Książę Władysław Czartoryski. Pierwszy żeby sercem uściskać, słowem błogosławić tę garstkę Polaków tak świetnie stojących przy Chorągwi Narodowej, że ją sam Serdar Ekrem, Omer Pasza, nazwał okiem, uchem i ramieniem wojska Otomańskiego, drugi żeby rozbić ten hufiec, i drugi pułk kozaków przeprowadzić na jurgielt Angielski. —

Kilku miesiącami przedtem, kiedy po wzięciu Kierczu, korpus

tak zwany Kontyngiensem Anglo-tureckim posłanym tam został — z zamiarem działania na Anapę i na Czerkieskie kraje — drugi pułk organizujący się pod kierunkiem Generała Władysława Zamojskiego w Szumli, niebył gotów wsiąść na koń. Dowódzca Naczelny Kozaków Otomańskich, któremu już polecono ściągać posterunki z nad Prutu, zrobił przedstawienie, prosząc, aby go posłano z jego sotniami do Anapy. Przedstawienie to było dobrze przyjęte przez Wysoką Portę i wniesione na radę posłów sprzymierzonych. Poseł francuzki oświadczył się gorąco za nim, ale poseł Angielski poparty przez posła Austryackiego, sprzeciwił się temu — że to niebyło podaniem ręki Czerkiesom. którzy podówczas niechcieli ręki ani Angielskiej ani Tureckiej, a woleli ruble rossyjskie, ale poburzenie Czarnomorza, Ukrainy i Polski. — Tak rozumieli posłowie Angielski i Austryacki, ale tak nierozumieli Polacy. Dla nich krótsza była droga z Włoch przez Niemcy, jak z Czarnomorza prawie polskiego przez Ukrainę, nie Moskiewską, do Polski. Dla tejże samej przyczyny niedozwolono Serder Ekremowi wziąść na swoją przednią straż Kozaków, tak jak sobie życzył, na wyprawę Azyjską, na odsiecz Karsowi. A byli Polacy, którzy krzyczeli, po co my mamy naszą polską krew przelewać w Azyi, kiedy tam w tej Azyi były siły polskie, w polakach służących z musu w wojsku Carskiem, kiedy tam byli naturalni sprzymierzeńcy Polski, w kozakach, Gruzianach i innych narodach ujarzmionych jak Polacy. —

Obóz pod Burgas, po oderwaniu się połowy, po tych wszystkich nieudaniach się jeszcze był i świetny i hulaszczy. Jeszcze pokój niebył zawarty. Garstka Polaków, dopełniona zbiegami z wojska Rossyjskiego, Kozakami i Bulgarami, czekała ochoczo na rozkazy Sułtańskie. Wieszcz Polski był między niemi, ale i wieszcz ich opuścił, a nadzieja i wytrwałość z niemi zostawały, bo to były dzielne, kozacze sotnie, podobne do tych, jakie wodził Bohdanko, kniaź Różyński, pod Psków i Wielkie Łuki. Deszcze, śniegi, szarugi, mróz, a oni jeszcze stali obozem pod namiotami i wyglądali to w czarne morze, to krawędzią Bałkanów w rodzinne stepy.

W temże samym czasie w Stambule był zgiełk i wrzawa, Polaków pełno i na ulicach i po kawiarniach. Jedzą, piją, grają w karty, jak w baladzie Twardowskiego, ledwie Pery nierozwalą

Perotki i Peroci ten naród polygliotów, już szczebiocą, jak Mazury, jak Krakowianki a na końcówkę śpiewki wciąż powtarzają: dawaj pieniądze. —

Generał Władysław Zamojski, w Skutarach, jak z za rękawa sypie nową organizacyą, co dnia to jeden pułk piechoty, albo jedna baterya artyleryi przyrasta do tego Turecko-polsko-angielskiego wojska, jak na drożdżach. Anglicy pieniądze dają a dają, dzienniki brzmią wyliczaniem szwadronów, batalionów, pułków, sekcyi, dowódzców, mundurów, chorągwi, koni i broni. Tylko jeden ślepy Homer w swojej Iliadzie tak wyliczał zastępy Greków i Trojan. Choć niemiał Generał Homera, ale miał Kalinkę w Stambule, Klaczkę w Paryżu, a historyografa Duchyńskiego sławnego z zaprzeczania Moskalom sławiańskiego rodu, o sotniom kozackim eksystencyi w swoim dziełku: Polacy na wschodzie. — General Monarchista Konstytucyjny, wierny dawnemu podaniu, odnawiał stutysięczne wojsko, zadecydowane sejmem na papierze. Bo kraju słał wieć: «niepowstawajcie, nieprzychodźcie tu, cicho siedźcie i czekajcie —» Krajowi tylko tego było trzeba, choć z Generalem Zamojskim nie sympatyzował, ale tą razą chciał światu pokazać, że przyszedł do porządku, do dyscypliny; słuchał, siedział i czekał. Urągali się Kozakom, że ci się wyrwali jak Filip z Konopi, nad Prut.. A Cesarz Napoleon, który dał Polakom broń i rynsztunek, w nadzieji, że obudzą powstanie w kraju, widząc co się dzieje, zadekretował — Polacy radzi ze swojego położenia, trzeba ich zostawić jak są, uszanować wolę Narodu — i uszanowano. Nielepiejże to było wówczas poświęcić to, co było zanadto dziarskie, jak zostawiać na dzisiejsze manifestacye. —

Książe Władysław Czartoryski szafował swój pieniądz, na zapomogę osady Polskiej, Adamkioj, aby zachęcić zbiegów z rosyjskiego wojska, żeby tam osiadali, a nieszli do Kozaków. —

Pani Rostkowska z krzyżem polskim na piersiach zbierała składki, na łakocie dla swoich chorych, którzy opuścili chorągiew kozaczą. —

Zebrało się towarzystwo sztab-oficerów Polaków, do ogrywania w karty jadących do kozaków, trzymając się tego rozumowania, odebrać im nerw wojny, żeby nie szli na wojnę

Iskinder Pasza, jednego dnia, swoim obyczajem, na żart, powiedział, jadę do Kozaków, zabrano się do niego — i w przeciągu dwóch dni zgrano go jak włoskie skrzypce, całoroczny żołd i całoroczne taimy naprzód sprzedane Arabowi, zostawił w szanownym gronie, niemiał za co pojechać, nie do Kozaków ale do Krymu, żałowano, ale już było po harapie, pieniądze były rozebrane; jak konfiskaty Moskiewskie przeszły w dziesiąte ręce. —

Był i klub patryotyczny, demokratyczny, który wybrał Ministeryum a że to było w tureckim kraju, więc po turecku: Sadrazam, Seraskier — Bejs — i tak dalej, a kiedy Ministeryum w całem gronie i w całej pompie, poszło z wizytą do Seraskiera Tureckiego, Rizy Paszy, ten zapytał, a któryż z was Seraskier? Mój towarzysz wyskoczył, jak Twardowskiemu, z kielicha diabeł kusy, sztab oficer, przybrany w mundur drugiego pułku Strzelców konnych, jeszcze Wielkiego Księcia Konstantego, pstrokaty, opięty, trzępiący się jak sroka — Riza Pasza, popatrzył, pokręcił głową «pek — ei — bardzo dobrze — skinął ręką, hajde — git — idźcie precz i na tem się skończyło ministeryum demokratyczne. —

Przeobraziło się ono w kółko do napisania zjadliwego Manifestu, przeciwko Kozakom i nahajce pułkownika Kirkora. —

Szkalowano Kozaków, a kraj wierzył, bo szkalowano.

Do takiego stopnia doszła nienawiść przeciwko tym biednym Kozakom, że jeden dygnitarz wojskowy, Polak, niehramotny, ale chodzący zawsze przy szabli, dowiedziawszy się o manifeście wydrukowanym na Kozaków, na Kirkuta, jak go nazywał, z mnogiemi podpisami braci kółkowych, myślał, że to się znachodzi we wszystkich gazetach, wszedł do kawiarni i kazał sobie dać gazetę. Garson niemając innej pod ręką, dał mu Armiańską. Dygnitarz i armiańską jeszcze przewrócił do góry nogami i utopił w nią wzrok, przychodzącym znajomym powtarzał — «czytam o tym Kirkucie, a toż mu dali łapcia, dobrze mu tak, i pobrzękiwał ostrogą —» Przyszedł francuz dawny znajomy i zajrzał w gazetę — — «A cóż to, Pułkownik umiesz po Armiańsku—» «Jak to —» — «Bo to Armiańska Gazeta —» — i francuz pokazał innym gazetę. Dygnitarz zaczerwienił się jak burak od gniewu na garsona i chciał go złajać po turecku, a że i po turecku nieumiał i z zaimkami żadnej gramatyki niewdawał się

w znajomość, więc wrzeszczał — «Ben eszek —» — ja jestem osioł — a chłopiec nizko się kłaniał i odpowiadał — «Bilirim —» ja to wiem, a wszyscy w śmiech. —

Adam Mickiewicz wróciwszy z pod Burgas do Stambułu, ocknął się jak ze snu, śnił i marzył o niebie polskiem i widział — a teraz na jawie widział piekło polskie a przynajmniej czyściec. Dla Polaka kochającego Polskę, jak ją kochał Adam Mickiewicz, po tylu nieszczęściach Ojczyzny, po tak długiem tułactwie, widzieć Kozaków, takich, jakimi oni byli, prawdziwe wojsko, to bezzawodnie był sen, miły sen, ale sen, bo po wielkich nieszczęściach trudno od razu uwierzyć w szczęście. I Mickiewicz, kiedy obaczył, co się działo w Stambule, gorzko pomyślał: śniłem, marzyłem i obudziłem się. Czy ze zgryzoty, czy z cholery, skończył to piękne, polskie życie.

Na tę wieść smutku zapłakały sotnie kozackie, zapłakała Polska i Litwa i Ruś cała. A Henryk Służalski, w kozackim przyborze, ze zwłokami zmarłego pojechał do Paryża. Jak niegdyś przed wiekiem, wieźli Kozacy z Ukrainy do Lanckorony zwłoki Lacha serdecznego, tak teraz kozak wiózł ze Wschodu na zachód zwłoki wielkiego Wieszcza Wszej Polski. —

Na tym Bożym świecie Mocarze, Namiestnicy Boga na ziemi, kłócą się i godzą, a ludzie cierpią i znosić muszą. Sebastopol wzięty, Kars wzięty, równowaga w wojennej sławie, krocie ludzi w trupach, miliony złota w rozchodzie, ale flota rossyjska zniszczona i Anglia zadowolniona, Moskwa upokorzona ale nietknięta i Austrya rada. Francya mogła zatytułować swego Generała Księciem Małakowa. Turcya dobrze że cała; obronną ręką wyszła, pozbywa się gości, więc pokój został zawarty a raczej wszystkim przez Austryą wydarty. —

Pułki Generała Zamojskiego zostały rozwiązane, oficerowie niewojenni z łaski posła Angielskiego, zostali ozdobieni dekoracyami za bitwy, o których im się ani śniło, ani marzyło; podostawali stopnie: Majorów, Podpułkowników i Generałów do przyszłej Armii Polskiej, a sotnie Kozackie, od kozaka aż do Dowódzcy, wszyscy a wszyscy, dostali od Sułtana swojego Pana, znak dostojeństwa za wojnę i zostali zbrojni i na koniach, wojskiem.

Kiedy kozak Służaleńko grzebał zwłoki Wielkiego Wieszcza

i wielkiego męża Polski obok grobowców Juliana Niemcewicza, generała Kniaziewicza, obok tych relikwii sprawy Polskiej złożonej na ziemi tulactwa, wtenczas sotnie kozakie, z medalami na piersiach, znakiem wojennej sławy, znakiem tej uczciwości rycerskiej, która odrzuciło i złoto i obietnice i dobry byt a wolała znosić chłód, głód i niedostatek, byle zachować cześć imieniowi polskiemu, cześć, którą wszyscy zrozumieli sprzymierzeńce i wrogowie a niezrozumieli tylko Polacy w kraju a nieuszanowali tylko Polacy w emigracyi, jedni przez obałamucenie, drudzy przez zawiść, wtenczas Kozackie sotnie, spanoszone sławą, ale ponure, smutne, zawiedzione nadzieją żegnali, braci Starokubańców i Dobrudzkich wracających do rodzin, do domów, by zawiesić szable i spisy a wziąść się do pługa, póki nieprzyjdzie znowu czas — na koń, na koń — za szable, za spisy. I obliczała się z braku w szeregach, w starszyźnie. —

Niestawało Antoniego Garczyńskiego, dowódzcę piątej sotni, dzielny ten rotmistrz kozaczy, — z jednym zwodem, pod Tulczą, przez dwie godziny, bronił przejścia mostu kilkutysięcznej Moskwie, ocalił wojsko, ale sam przestrzelony dwoma kulami, konający prawie, został złożonym przez Kozaków w Tulczy i tam wzięty przez Moskalów jako jeniec. Rogata dusza w szlachcicu polskim. I kazematy Kijowskie przetrzymał i Sybir go niezamroził po wielu a wielu latach; wrogowie go szanowali i w więzieniu i na zsyłce, Turcya go uszanowała jako swego żołnierza. Bogdaj i Polacy tak postąpili; wszak to cząstka ich czci wojennej, ich dobrego imienia Polskiego. —

Polak to był jeszcze z rycerstwa 1831 roku, z tych Polaków, jakich tylko znaleść można w podaniach o Panie Kochanku, Radziwile, albo w pamiętnikach Paska i w fantazyach Henryka Rzewuskiego — I do szabli i do kochanki, ale nie do szklanki. —

Przypominano, jak stojąc na czatach, w Nemolosie nad Prutem, pokochał piękną Greczynkę, Maryą z imienia. W tymże samym czasie przysłano mu do sotni barona Niemczyka na ochotnika. Rotmistrz po całych godzinach wolnych od służby, siedział na przeciw Maryi, w oczy jej patrzył i wąs pokręcał i chciał, żeby Greczynka zrozumiała, co to ma znaczyć. Niemczyk chciał tłumaczyć afekta Rotmistrza, ale tym językiem obwiesiów, co to zawsze w końcu mówią — niemogłem dla ciebie, ledwie

dla siebie. A że rotmistrz bywalec, znał ten towar i we Francyi i w Anglii, pismo nosem zwąchał, a że Niemczyk do tego był szuja, kawał dobry łotra, kazał mu skórę obić, po kozacku, jak gdyby był Watereńko, i w kji związać. Jak się Niemczyk wyrwał z lochu, tak drapnął, nie już do Panny Maryi, ale do pułkownika Austryackiego, stojącego w Fokszanach, także Niemczyka i Barona. Rotmistrz bez miłosierdzia, tam gdzie szło o służbę, złapał krewniaka Panny Maryi, należącego do przemyski zbiega, i sam przywiózł go do kwatery Głównej, jako korpus delicti — ale i ten korpus mu zemknął z bryczki, nim raport złożył. Odebrał surowe napomnienie i rozkaz szukania zbiega albo satysfakcyi za zbiega. Wprost jak w dym rotmistrz, sam jeden bez eskorty, pojechał do Pułkownika Niemca, na dziedzińcu zobaczył parę pięknych ogarów: bez ogródki powiedział — albo zbiega, albo ogary, albo nie, to przyjdę z sotnią i ciebie i całe twe niemieckie wojsko na spisach rozniosę. Niemiec z chęcią przystał, a że regielmaister, jak to mówią językiem niemieckim, żądał kwitancyi, rotmistrz natychmiast napisał: — Pour un Autrichien, j'ai pris deux autres chiens, et je suis satisfait, i podpisał i pieczęć przyłożył po turecku. Pułkownik Austryacki nieumiejący po francuzku, bo dobry Niemiec — w raporcie swoim do Generała Koroniniego, załączył kwitancyą, że sprawa skończona. — Z tego urosła sprawa o obelgę imienia Austryackiego, która się ciągnęła długo aż do dostania się w niewolę dzielnego rotmistrza — i odesłaną została ad Akta Austryackie, z wolnością procesowania w Sybirze. —

W kilka dni, po zamianie Niemczyka, na parę gończych, Duclasa i Dyszkanta, Dowódzca Sotni piątej, przy raporcie podał ogromny memoar, wojskowo-patryotyczny i polityczny, dowodzący koniecznej potrzeby sotni piątej do Krymu i jego z nią — łamano sobie głowę, z kąd mogło wyjść podobne przedstawienie i dowiedziano się, że po pozbyciu się Niemczyka Rotmistrz oświadczył Ojcu Panny Maryi gorące życzenie posiadania osoby córeczki. Grek filut, pronoza jak wszyscy Grecy, obliczył natychmimst, że Rotmistrz oprócz wąsów niemiał innego kapitału — ale strach odmówić, bo sotnia stała w Niemolosie, a Rotmistrz fukał, na Niemczyka, że prędko się obrachowywał i płacił — więc zaczął się uskarzać na cieżkie czasy, na straty

handlowc, że ma kilka okrętów naładowanych przenicą w Taganroku, a te wyjść nie mogą na morze z powodu wojny, że dla tejże samej przyczyny gnije jego kukurudza w magazynach Galacu. Rotmistrz pomyślał, wąs pokręcił — «No to ja tę wojnę skończę, ale Waćpan dasz mi córką. —» Grek zaklął się na obraz Panacyi, Matki Najświętszej, że tak będzie — i Rotmistrz wystrzelił ze swojem przedstawieniem. Niewątpił o niczem — chcieć to módz, dowiódł tego w pięknym żołnierskim czynie, broniąc most po Tulczą. Gdyby go posłano pod Sebastopol, możeby ze swoją sotnią nieprzyspieszył wzięcia Małakowa, ale pewnieby pokazał drogę do Bakczyseraju, do którego ani francuzi ani Anglicy trafić niemogli. —

Wspominano o Powelskim, dzielnym poruczniku z rakietników Rosyjskich; był on z pocztu tych niemnogich oficerów Polaków, którzy rzucili szeregi wroga, żeby służyć sprawie Ojczyzny, zabitym był w pojedynku przez towarzysza kozaka, na bankiecie nie chciał bankietować, a niestety u Polaków, kiedy kto niechce pić, trzeba go zabić. Ktoby on niebył, choćby najmilszy towarzysz; o ileż to razy bankiety Polaków zgubiły marnie i najlepsze sprawy, zgubiły marnie i najdzielniejszych ludzi. Pod Solmanem nad Kamczykiem złożono tego Polaka, zabitego ręką Polaka. —

Wspomniano o Usakowskim, tym dziarskim i przezornym oficerze lekkiej jazdy i posterunków; raporta na mnogich arkuszach papieru pisał, ale gorąco i krótko działał. Wielki Napoleon zapytany, który z jego Generałów jazdy i przedniej straży dowódzca jest najlepszy, odpowiedział: ten, który najlepiej patrzy, najlepiej słucha i najwięcej pisze, «bo przednia straż jest okiem, uchem i rozumem wojska» — Raporta: przyszedłem, zobaczyłem i zwyciężyłem, wolno tylko pisać Cesarzowi i Naczelnemu Wodzowi, ale nie podkomendnemu —» Usakowski może nigdy i nie słyszał o zdaniu Wielkiego Napoleona, ale tak robił; gdyby Bóg był go nie zabrał z tego świata, w Stambule, w szpitalu Siòstr Miłosierdzia, byłby to może kiedyś Lasac Poltki. —

Niestało takož Kozakom Rotmistrza Bzedelachego. Tajemniczy so był człowiek: Gruzianiu czy Kabardyniec, Kurlandczyk, Polak czy Moskal, wszystkiemi językami wschodniemi i zachodniemi, jak swoim własnym ojczystym mówił, bo niewia-

domo, który był jego ojczysty. Miał dymissyą z pułku Leib-Gwardyi Huzarów Rossyjskich, jako porucznik Książę Bzedelachy. — Przysłanym został do kozaków przez będącego wówczas Seraskierem, Mehmed Alego Paszą, szwagra Sultana. — Dzielny oficer, subordynowany żołnierz, ale konduity bankietowej. —

W Deli-Orman, szalonym lesie, pod Sylistryą, kiedy Kozacy byli posłani tam, aby niedać Moskalom, jak w roku 1828, przeciąc komunikacyi twierdzy Sylistryjskiej z Szumlą, gdzie była główna kwatera Armii Tureckiej, i zagrażania Moskalom wpadnięcia na ich tył, gdyby chcieli szturmować Sylistryą, tak jak szturmowali i wzięli w roku 1828 od strony drogi z Szumli, obowiązek, który święcie Kozacy dopełnili, ani dnia jednego kommunikacya nie była przeciętą, przez czterdzieści ośm' dni, chociaż Armia Rossyjska była ośmdziesięciotysięczna, i w niej jazdy, z Dońskiemi kozakami, do dwudziestu tysięcy a kozaków Otomańskich dziewięc Sotni, a przy niej w rezerwie do trzech tysięcy innej jazdy Otomańskiej regularnej i nieregularnej, w drugiej linii, w Rahman, Aczyklar — Kozacy sami byli w pierwszej linii, z kilkaset baszybuzukami Kurdystanu, którzy zkozaczeli także — Kozacy Otomańscy na swoich spisach trzymali całą tę silną Moskwę, sam nieustraszony generał Chrylew w swoich raportach, drukowanych po gazetach, donosił, że niemoże żadne stanowisko zająć, w żadnem się utrzymać, dalej od obozu o dwie godziny pójść, tak się znachodzi wszędzie zagrożony i matowany, czterdziestotysięczną armią Otomańską, w której jest dziewięć pułków, złożonych z samych Polakow dawnych wiarusów i zbiegów. Powodem mniemania o dziewięciu pułkach była rozmaitość barw w mundurach wszystkich dziewięciu Sotni. Pierwsza Sotnia organizowana w Stambule, miała granat wyplowiały na zielony, druga organizowana w Szumli, miała tabaczkową habę z ponsem; trzecia, świeżo przyszła ze Stambulu miała jeszcze nowy granat; czwarta zdarłszy pod Kalafatem ponsowe rękawy miała granatowe; piąta przy tabaczkowej habie miała jasno szafirowe rękawy z ponsowemi wypustkami; szósta takie same mundury bez wypustek. Starokubańce mieli rogate czerwone czapki, jak dawni Hetmańscy Kozacy; Sotnia Dobrudzka, z Swykioi miała czapki baranie z wierzchami czerwonemi, Sotnia Dobrudzka z Żuryłówki miała baranie czapki z wierzchami białemi. Stąd

przez perspektywy Chrutara, dziewięć Sotni na dziewięć pułków urosło. Powodem niewiedzy Moskiewskiej była wierność Bulgarów dla wojska Sułtańskiego, bo Bulgarowie składali dwie trzecie części sotni kozackich. Dopełnili Kozacy powinności, i Sylistrya niebyła atakowaną tylko od strony rzeki, od reduty wężowej: Arab Tabia i Han Tabia. Dzień i noc na koniach, jak widma straszyli czaty Moskiewskie — i może dawali im do myślenia, że z Kozaków Otomańskich dla Armii Moskiewskiej mogą być tacy najezdnicy, jakiemi byli Dońce dla armii francuzkiej. Oj Kozakom chciało się zrobić z Dunaju Berezynę. Ale Serdar Ekrem, w swoim rozumie, w swojem doświadczeniu wolał postawić, czy zostawić, most złoty Moskalom, żeby wyszli precz z kraju i tak się stało. Kozakom rozkazem Sułtańskim czytano zadowolnienie i podziękowanie Cezarskie i w nagrodę ich zasług, bo wiedzieli, że tem najlepiej nagrodzić Polakom, kazano organizować drugi pułk Kozaków, z wyrażeniem, aby był taki jak pierwszy. —

Otóż w tych dobrych Deli Ormańskich czasach Bzedelachy z szóstą sotnią i kilkuset wozami, był odkomenderowanym do zabrania zboża zgromadzonego przez Moskali w Akadenar. A z nim był Ałaj-Emini, czyli Major Administracyi pułku: umiejący czytać i pisać po turecku, dla formalności i rachunku zdobyczy. Ałaj-Emini choć Muzułmanin z rodu, był szlachcicem jak Węgier do szklanki, a więcej do tego co w szklance, byle nie woda, bo był hydrofob i nielubił nawet patrzeć na wodę. Między zdobyczami znalazła się wódka i to jeszcze okowita, trzeciej próby. Tak się nią ukosztował Ałaj-Emini, że koniecznie chciał się Moskalów doczekać do obrachunku, a tu już Dońce nie jeden ani dwóch ale gromadki pokazywały się na górach. Bzedelachy był żołnierzem moskiewskim, poczytającym czyn czyna, a czuł, że trzeba było gwałtem wyrwać Ałaj-Eminiego z placu pobojowiska; zaczął Ałaj-Eminiego całować, ściskać, a że był silny, wzadził go na wóz, przez wierzch drabin oplótł wóz sznurami, tak gęsto, że Major jak z klatki wyleść niemógł; rzucał się gniewem, a Bzedelachy, z całem uszanowaniem należnem starszemu, odpowiadał — «zaraz — zaraz» — a wojsku dał rozkaz «marsz, bo się Major niecierpliwi —» Major usnął i tak dostawił go do Rahman-Aczyklar. Za ten czyn Major Administracyi

został Majorem bojowym, Bimbaszą — a Bzedelachy przybywszy do Szumli, zwerbował sobie cztery Turczynki z haremów, przebrał je za Kozaków, ordynansów i trzymał w swojej kwaterze do służby. Dowiedziano się o tem, wielka to była sprawa; za takie przestępstwa w Turcyi i ścinają i kamienują — Stawiono przed Medżlis, radę wojenną, wojskową i korpusy delikta i Rotmistrza szóstej sotni; stawił się chwacko, mundur w pasie na perechwat, rękawy na wyloty, kołpak na lewem uchu — a piękny mołodziec. Paszowie i Efendowie opatrzyli go na wszystkie strony i jednogłośnie zadekretowali — że on nic niewinien, bo każdy powiedział — «gdybym był kobietą, tobym się do niego zawerbował» — Jednakże odkomenderowano Bzedelachego do Angielskiego sztabu, do Bałakławy, niech lepiej tam Angielki bałamuci, a da pokój Turczynkom. Jak pojechał, tak nieprzyjechał. —

Wrócił do pułku, z odkomenderówki do Krymu, do sztabu Angielskiego, Mehmed Hilmi Bey Luboradzki, i został umieszczony jako Major Administracyi. Przybyli zaś do Kozaków dwaj kapitanowie z wojska Rossyjskiego, Hrabia Jarosław Römer i Robert Chodasiewicz. Trzej ci dzielni oficerowie wysoko podnieśli pułk i tak już dziarski, i dzielny; odświeżyli niejako zapał i otuchę w starych i zasłużonych Kozakach. — Każdemu hufcowi wychodźców potrzebnem jest od czasu do czasu to odświeżenie i dla tego, żeby mu dać przekonanie, że kraj o nim niezapomina, i żeby usłyszał głos kraju przez usta, a nie przez pisma same; dla serca człowieka głos ten jest pieczęcią wiarogodności. Wszyscy stykali się z krajem, bo komunią myśli i słów z kraju świężo przyniesionych, wszystkim było drogo mieć przekonanie na jawie, że pod mundurami rossyjskiemi biją serca polskie, że tam trzeba szukać nadziei, siły zbrojnej dla Polski, a nie w massach żyganych z rozczepionej paszczy Naczelnego Wodza bez wojska, biesiadującego składkami i podatkami obywateli, którzy wolą dać pieniądz odczyznego, jak być gotowemi do prawdziwego boju, wolą z tumanem tumanić i siebie i świat cały, blichtrować patryotyzmem, jak przyjść do prawdy, i na prawdę być ludźmi czynu, gotowemi na wszystko dla Ojczyzny, nawet do spisy i do szabli, do karabina i do harmaty. —

Inny wiatr, niestety, wieje teraz na biedną Polskę, a inny

wiał trzydzieści lat przedtem; ciż sami ludzie innymi byli w 1831 roku a innymi w 1861. —

Znałem jednego, którego imienia niewymienię, ale którego zna cała Ukraina i Panowie szlachta, i panowie mołodźce i mieszczanie i starozakonni od Berdyczowa do Kijowa, od Humania do Sawrania.

Kiedy w onym błogiem roku 1831, przyniesiono mu kursoryą rządową, żeby dał przeznaczoną ilość wołów i owsa dla wojska Carskiego Rossyjskiego — porwał za pióro i napisał:

Woły, owies, mam
Carowi niedam —

Po tych wierszach dokończył poematu czynem i poemat był wielki Homeryczny. Wsadził dworskich i wiejskich Kozaków na koń, po bratersku, połowę pieniędzy zakopał, połowę zabrał z sobą a miał nielada zasób grosza, nie na setki, nie na tysiące złotych, ale na krocie, na miliony rachował i ruszył do powstania, pod Krasiłówkę, pod Daszowem, pod Obodnem, pod Majdankiem, wszędzie rąbał wroga na kapustę, a potem w Krakowskiem, w Sandomirskiem choć czasami na mogile zapłakał na Ukrainę, i zanucił nierymową elegią w mało-ruskim narzeczu: «O Patrio, o Patrio, żeby ty maleńka nieurosła, miałem woły i krowy i dziewice i mołodyce i spiżarnie i piwnice i sokoły i rusznice — i dwornią i przyjaciół i szkatułę pełną i kieszenie napchane złotem, a teraz — dereszowaty koń daj kulbaka a trzecie bogdaj by ją diabli wzięli, ani słoniny, ani lininy, jak Niemiec, z głodu zjadam kartofle, a buty podarte, jak pantofle — wszystko to dla Patryi — O Patrio, żeby ty maleńka była przepadła, żebym ja cię był nieznał —»

A jednak szedł i bił się — i coraz dalej a dalej, póki Wodzowie z patryi niewyprowadzili, i w Kordowie Cesarskim niekazali złożyć broni. Wtenczas wrócił na Ukrainę — znalazł pieniądze zakopane nietknięte, ludzie dobrze ich nieruszyli — a diabeł je pilnował — na pokusę — niemi dobrze, jak to mówią posmarował łapki Pani Pisarowej, i łapy Pana Pisarowa, a przez nich Generał Gubernatora Bibikowa, tego nieskazitelnego Katona Wszech-Rosyi, i został, jak mówią po Moskiewsku — oprawdan, wolny, wrócony do praw, przywilejów i majątku. A kiedy w kilka czasów później na wielkim balu u Marszałka Kijowskie-

go, Generał Gubernator zbliżyć się do naszego raczył Ukraińca — i z uśmiechem przemówił:

— «Pan podobno jesteś poeta —» —

Nizko się ukłonił Ukrainiec —

— «Poeta, Poeta — ale za tę sławę drogo zapłaciłem, że i wnukom zakażę, żeby od poezyi uciekali —» —

— «Masz Pan prawdę, szczególnie na kursoryach niepisać rymów, — dać i podpisać się, to można cicho siedzieć —» —

Generał Gubernator, to wielka figura, nasz szlachcić zapisał sobie w pamięci jego słowa, jak słowa ewangelii:

— Przyszła kursorya rządowa, dał i podpisał się — Przyjechał Pan Filanowicz z kursoryą towarzystwa demokratycznego, dał i podpisał się —

Przyjechała Pani G. z kursoryą dam dobroczynnych Polskich, dał i podpisał się. —

Przyszła kursorya na składki, na internacyonalne obiady, dał i podpisał się; wszystkich a wszystkich zaspokajał i cicho siedział — w domu, u siebie — jak u Pana Boga za wrotami. —

Nareszcie przybył młody Pan Nik.... syn oficera z 1831 r z kursoryą od Naczelnego Wodza Mass, żeby dawać składki, na szkołę wojskową we Włoszech, na przeniesienie gorącej młodzieży z Polski do Włoch, żeby z nich, za sześć miesięcy porobić Generałów, zdolnych do komenderowania — — massami. —

Było to w 1861 — szlachcić kursoryi niepodpisał, ale gruby dał pieniądz. —

— «Weź Waćpan, i wieź — zabieraj młodzież — niech się uczy, niech harcuje z massami po Włoszech, choćby i z Rzymskim Papą, byle tu nie było powstania —» —

Kazał konie rozkuć, puścić na paszę, a kozakom pozwolił się pożenić. —

Już Patrya brykać niebędzie — a za granicami niech tam sobie bańki mydlane puszczają.

Ale u Kozaków Otomańskich to nie tak:

Niema rady duszy kozaczej,
A nas inaczej — u nas inaczej.

Mołodźce w 1831 a stare dziady w 1861 jeszcze krzepko siedzą w siodłach, jeszcze się deszczem myją, wiatrem suszą, śniegiem grzeją, z szablą w szlubie, póki żywota stanie, jak w ruchu,

na koniu, to z wichrem w przegony, jak w spoczynku, to błoto mu pieluchą, pierzyną — i młodzi co do nich przyszli, stali się takimi jak oni, kostka w kostkę, mostka w mostkę, prawdziwy hufiec oczajduszów — to nie massa na papierze, ale hufiec strojny, zbrojny — w ciele, w czynie. Taki, jakiego trzeba Polsce, Sułtanowi — nie Włochom, nie Papieżowi. —

Do tego Kozaczego pułku przybyło trzy szwadrony Dragonów, takich, jakiemi niegdyś byli Dragoni z regimentu królowej Jadwigi. Byli to dawni bracia, dawni towarzysze z drugiego pułku kozaczego, oderwani od chorągwi kozaczej przez Generała Władysława Zamojskiego, wróceni do niej łaską Sułtana. Z sześciu Sotni trzy szwadrony, tak krawiec kraje, jak materyi staje, więcej wyszło, mniej przyszło, ale to co przyszło, i dzielne i doświadczone. Kwiat Polski, takoż hufiec Oczajduszów. —

Tak się miały rzeczy, kiedy wrócił do pułku Henryk Służalski — z Paryża. Przywiózł on list Adama Mickiewicza, o obozie pod Burgas i o kozakach, który Pan Klaczka nieraczył wydrukować w swojem wydaniu pism Wielkiego Wieszcza, ale który był wydrukowanym przez Ludwika Zwierkowskiego, znanego pod imieniem Lenoira, w Stambule, Czernego w Serbii, Kazakrak Beja na Kaukazie, męża serca i prawdy; trochę ziemi z cmentarza Montmoransy, gdzie spoczywają zwłoki: Kniaziewicza, Niemcewicza i Mickiewicza, trzech Wielkich Litwinów Polski albo trzech Wielkich Polaków Litwy, i słowa Karóla Sienkiewicza, że Kozacy Otomańscy są jedynem wojskiem Ojczyzny, i z prawa i z historyi i z czynu.

Kozacy i Dragoni gościli wówczas w krainie dawnych Bogów, u stóp Olympu, nad Peonem rzeką, wciąż patrząc na góry Osę i Pelion. Ale i tu w tej Tessalii wszystko inaczej jak było przed najściem na świat proroków, przed objawieniem się Chrystusa, przed objawieniem się Mahomeda. Henryk Służalski darmo szukał Diany, Tetydy, Nimf, Najad między Gzeczynkami i Kucowłoszkami, obrzydłe poczwary, jeszcze obrzydliwsze od kołtuniastych Poloszuczek, albo od, od starą słoniną pomadowanych Hapek i Małaszek Ukrainy. Ledwie tam znalazł jakąś Wenerę, na Kanar-Mahale w Laryssie, i to Muzułmańskiego wyznania i ta, jak się rozpatrzył, była karykatura Wenery; splunął — Wszystkie Nimfy i Najady i Diany i Ledy przeniosły się

do Paryża na Bulwary. Ma za sobą prawdę i wielką prawdę. nasz sławny Ksenofont Polski, że niechce się cofać z Bulwarów, lepiej ginąć w raju, jak żyć, wałęsając się po ziemi. —

O Jowiszu. o piorunach. o Marsie, o Herkulesie, to ani gadaj; tysiące Tessalczyków drżą przed sotką Arnautów a sotki Arnautów drżą przed jednym Kozakiem, przed jednym Dragonem. Dawna dzielność, dawne męztwo Boga i półbogów, zatonęło w Peonie i rozrobione w męty i muł, sprawiają febrę strachu dziesiejszej ludności a nieulękłych przybyszów niemogąc do drzeszczki strachu zmusić, zabijają jak obuchem. Takiemi pociskami śmierć dziesiejsza tępi ród ludzki. O nie tak stary Saturn ścinał głowy, bożą kosą — to był kosynier, jak Krakusy, jak Mazury. —

Niema ani śladu Bogów i Bogiń na tej Tessalskiej ziemi; Henryk Służalski zabrał się do śledzenia podań swojego przyjaciela Ludwika Zwierkowskiego, który po przeczytaniu Zendy Westy czyli Świętej obwiesty — sławiańszczył wszystkie ludy i wszystkie ziemie. I tak: Mirmidony byli Sławianie, co znaczyło — mir mi donieś, z orężem ma się rozumieć. według praw dziesiejszej rozumnej dyplomacyi: Kto chce mieć pokój, powinien być gotów do wojny: — tylko dobrą wojną ustala się trwały pokój. —

Achilles był Sławianinem, bo znaczył: Ach ileż — w domniemaniu — on Matkom łez wylać zmusił za pomordowanych synów w boju przez niego.

Patrokl, także Sławianin — bo to znaczy: patrz okiem, kiedy chcesz, żebyś nieodpowiadał skórą. —

Tetys niemusiała być Sławianka, tylko Francuzka, bo dawała ssać pierś-teter — swojemu Achilessowi i dla tego ten bohater Homera był tak sławny, bo był pół Polak. pół francuz. —

Służalski przebiegł kraj od Kałabaki, znanej światu Chrześciańskiemu dwudziestu czterema Monasterami Mnichów i Mniszek. zwanych Meteorą — odpowiedniej takiejże samej osadzie religijnej, na górze Athos, czyli górze Świętej, dziś w dodatku posiadającego Biskupa, umyślnie przysłanego przez Patryarchę Carogrodzkiego, aby się upijał, błaznował i tym sposobem odwracał baczność Turków od tego, co się dzieje w Monasterach Meteory, które sterczą na niebotycznych skałach, i na które

trzeba się windować sznurami jak do Nieba, ale nie do siódmego, gdzie są huryski i szorbety, ale do Chrześciańskiego, gdzie śpiewają, a nic jeść i pić nie dają. Muzułmanie na to nie łasi, wolą patrzeć na Cherografią pijanego Biskupa, z urzędu, z obowiązku. —

Aż do Baby sławnej tytoniem i wąwozem Tempe, Od Armiro, zkąd Jazon prowadził do Jolk dzisiejszej Lichonyi ochoników na wyprawę do Taarychy po złote runo, i gdzie konsul Angielski, zacny i uczony Major Stuart, znalazł sto dwadzieścia i pięć posadowisk, starożytnich Teb — a to w sposób następny; Konsul ze swoję żoną mieli namiętność poszukiwania starożytności, a że byli oboje czystej rasy Angielskiej, zaspecyalizowali tę namiętność do miasta Teb. Wyjechali w okolice Armiro, biorąc z sobą za przewodników Arnautów, z którymi trzeba było się rozmawiać po Arnaucku, albo po turecku. Małżeństwo nie odstępywało od rodzinnego języka. W języku tureckim każdy wzgórek nazywa się tepe; Arnauci przez uprzejmość, chcąc pokazać obrazy okolicy, wprowadzali ich na wzgórki, mówiąc — tepe — Mąż zapisywał w pugilaresie numerycznie te Teby a żona brała po kilka kamieni, na pamiątkę ruin. On zapisał sto dwadzieścia i pięć Tebów, a ona naladowała kamieniami cztery muły i ośm osłów. Kwartely Review zapewnie kiedyś ogłosi to odkrycie a w Muzeum królowej wymurują świątynię z kamieni z ruin Tebańskich. —

Aż do Liwadyi, dawnej osady legionów Rzymskich, Pompejusza czy Cesara, tego niewiadomo, ale musi być pierwszego, bo przestrach po bitwie Farsalskiej, tak przechodził z ojców w dzieci, że w tej osadzie pięciuset domów, mogących postawić tysiąc wojowników zbrojnych od stóp do głowy, dziesięciu zbójów Arnauckich wśród białego dnia, nakłada kontrybucye, bezcześci kobiety, Rzymianki, zabiera dzieci w zaklad i następcy Rzymian niebronią, wszystko dają, tylko proszą Boga, żeby się to skończyło i prędzej Arnauci wyszli. —

Służalski do wszystkich przemawiał, wszystkiemi narzeczami Sławiańskiemi, i nieodbierał innej odpowiedzi tylko, echi, denechi albo szti, i naszti. Machnął ręką po kozacku — I Mitologia bajka i Święta obwiesta naszego Pana Ludwika bajka, wierzże teraz czemu. —

Już chciał Służalski po kozaczemu i po szlachecku załajać w ojca, w matkę i w diabła ten przeklęty Tessalski kraj z jego febrami i z jego robactwem, kiedy zasłyszał o istnieniu dwóch Bachusów, a musieli być takimi, kiedy Kozacy im tę własność przyznawali. —

Jeden Chrześcianin w Mitrze siedział na biskupim stolcu, w Farsalii. Grek rodem, w miejscu płakać nad poległymi Rzymianami i nad klęską jazdy Tessalskiej rozbitej przez Numidyską jazdę — łzami winnej latorośli zalewał w sobie ogień żalu, jak Bożek Bachus ogień miłości. —

Drugi, Muzułmanin, nie potomek Ewronosów, ani Turhan Beja — z nizkiego rodu, derwisz Beklasza, muzułmański demokrata, zwolennik Tanzymatu, żeby czynem dowieść prawdy Haty Szeryfu Gathane i tolerancyi zastrzeżonej traktatem Paryzkim, pił wódkę i wino, poncz, i bratał się z Biskupem Chrześciańskim. —

Opowiadano Służalskiemu, że przed jednym obiadem każdy na siebie wypił po trzydzieści i sześć kieliszków wódki, przy obiedzie po sześć butelek wina starego i po dwanaście młodego, w miejscu wody, po obiedzie przez noc po czterdzieści ośm szklanek ognistego pończu z rumu i z wina, i niekładąc się o wschodzie słońca wsiedli na konie i pojechali na górę zwaną zamkiem Achillesa, jeść spieczonego barana po Arnaucku, i dobrze go zrosić wódką i winem, bo tego dnia niebieska rosa niespadła. —

Służalski pomyślił sobie, ich dwóch a ja jeden, spojrzał po Kozakach, ruszył ramionami. «Wiele krzyczą, wiele ryczą, a jak do roboty, to dwa, trzy razy, łyknie i już posowiał, trzeba wynosić ze wstydem. Oh czemuż to niema Kucza albo Gryszy, pokazalibyśmy sztukę Władysława czwartego Wazy. —

Kucza już w Kozakach niebyło, zawezwanym został przez Generała mass na professora Hydrauliki, do szkoły wojennej we Włoszech, żeby się niepowstydzić Generałami na biesiadach internacyonalnych —

I Gryszy niebyło; rzucił kozactwo, ożenił się z Niemką, żeby Niemcom przepić i kartofle i pantofle. Wyskoczył Dragon na środek. —

—«Ja się próbowałem z Kuczem i z Hryszą —»—

— «A jakże się udała próba —» —

— «Zostałem na placu boju —» —

Zaczęto opowiadać, że przed kilku laty dziesiejszy smok, czyli Dragon, wówczas ochotnik do Kozaków, przybywszy do Warny, zastał tam dwóch oficerów kozackich Kucza i Gryszę, przedstawił im się jako Polak z prowincyi ufilozofowanej Trentowskiego Chowanną; skrzywili się kozacy, jak się zwyczajnie krzywią, kiedy wywołany z karczemki żyd powie: niema ani wódki, ani wina, wszystko wypili. Spostrzegł to ochotnik a że niebył bity w ciemię i miał wszystkie klepki w głowie i był Don Żuanem nietylko w piśmie ale i w czynie, zaraz pochwycił — «Ale mam reputacyą zasłużoną, że za kołnierz niewyleje dar Boży, kiedy trzeba, to Księdza Proboszcza choćby jakiego trupem położę, możemy się popróbować, kiedy łaska i wola. Rozjaśniło się oblicze Kozaków, tak że każda dewotka wzięła by ich za Świętych Pańskich opromieniowych — «Zgoda —» Chodźmy, i poszli do jakiejś kawiarni, utrzymywanej przez francuza. Ochotnik krzyknął — «Szampana —» Przyniesiono Szampana i długie maleńkie kieliszki. Ofuknął Kucz «A cóż to my Niemcy, czy francuzi, żeby takiemi naparstkami pić —» Ochotnik odezwał się — «to pijmy butelkami —» — Grysza przerwał — «albo to my bociany, patrzeć i niewidzieć, co się pije, to diabła warto —» — Dawaj szukać, znaleźli ceber, którym francuzi konie poili — «Cebrem będziemy pili —» — zgoda — leją szampana, ośm butelek wlazło. — Kucz, nietylko professorem hydrauliki ale mógłby być professorem wymowy — zaczął tedy dowodzić, że król Władysław czwarty, choć syn Zygmunta, był wielkim przyjacielem Kozaków, że on powiedział kozakom: macie szable a przychodzicie się skarżyć na szlachtę, a Chmielnicki to dotłomaczył: więc szablą sprawiedliwości trzeba szukać i poszukał. Otóż kiedy temu królowi, przyjacielowi kozaków, miasto Warszawa chciała zrobić dar godny jego Majestatu i stósowny do Jego gustu, ofiarować kielich śrebrny, we środku złocony, na napełnienie którego trzeba było tuzin butelek węgrzyna, szukano człowieka, ma się rozumieć nie w innym tylko w duchownym stanie, któryby do króla duszkiem przepił z ofiarowanego kielicha. — Konkurs był ogłoszonym, plac Zygmuntowski był tak napełniony stanem duchownym i świeckim i

mnichami, że gdyby szpilka spadła z Nieba, to jeszczeby niedostała ziemi, a oparła się na kapturze, albo na habicie. Radzie miejskiej najlepiej się spodobał jakiś Gwardyan Bernadynów, o którym to pewnie było napisano: że jakiejś pięknej Warszawiance w tańcu, bo w Polsce i księża tańczą, zarymował: —

Mościa Panno chcesz ze mnie zrobić gapo —

Mażę kreskę, od ucha tnę da Kapo. —

I Gwardyan został obranym. Król już czekał w zamku, na prezent, niecierpliwy, oblizując się i połykając ślinę. Reverendissime pater powiedział — «muszę spróbować —» — nalano, wypił duszkiem, pomału, ale nieodrywając ust, obtarł się o rękawek, uśmiechnął się, aż miło było patrzeć na niego — «potrafimy —» — przepił do króla gładko — i król do niego także gładko odpił i mnich z Gwardyana został Infułatem. Kucz to kwieciście i historycznie opowiedział, i kończył: — «Dla uczczenia króla przyjaciela Kozaków i ja chcę pójść tym przykładem —» — Nalano, Szampan pienił się, Kucz ciągnął, ciągnął i wypił i nic nie zostawił. Grysza zawołał: — «I ja Kozak i ja także chcę jak Bernadyn popróbować —» I spróbował jak Kucz, «A teraz pijmy —» — wypili po drugim a ochotnik pierwszy, Stół był zastawiony jadłem i butelki nietykane jeszcze stały rzędami. Ochotnikowi tak się zakręciło w głowie, jak Trentowskiemu, kiedy pisał Chowannę, a że niemógł polecieć do Nieba, więc padł na ziemię pod stół i tam filozofował snem Hegla i Szlegla, a kiedy się ocudził, nieznalazł już ani Kozaków, ani jadła, ani napoju, wszystko było zjedzono i wypito do czysta, tylko na stole, jak wydrukowana Chowanna — leżała karta francuza z sumką u dołu, pięćdziesiąt ośm Napoleondorów, dwanaście Franków i pięć Centymów. Szczęściem, że miał w kieszeni sześdziesiąt Napoleondorów, zapłacił, wziął resztę i poszedł szukać Kozaków, ale ci miejsca niezagrzali, wypili, zjedli, wskoczyli na koń i ruszyli pod Burgas. —

Służalski zmierzył od stóp do głów Dragona —: «Oj ty smoku, i tobie się porywać na Bachusów, daj pokój, kiedy już niemożesz grać w Don Żuana albo strugaj wrzeciona, a zostaw kielich Kuczowi, Gryszy i innym, którzy niezawstydzą ani Księdza Gwardyana, ani króla Władysława czwartego —» —

Pomyślał sobie Służalski, wiele złego, dwóch na jednego, ale też lepiej odpowiadać za siebie jak za drugiego. I pojechał na Farsalskie pola. —

Nieszukał rzymskich kości, ani greckich starożytności, ale wprost zajechał na Metropolią, jak w dym. We trójkę się zamknęli i siedzieli tak dwa dni i dwie noce, dwie doby pełne. Czterdzieści ośm godzin to czas niemały; — co tam między nimi było, niewiadomo. —

Służalski wróciwszy mówił — «Oj nie Bachusy, ani nawet Bachusiewicze, ale Bachusiątka —» —

Biskup ciągle powtarzał — «Monsieur Henri — mon ami —» — i cmokał. —

A Bej Bektasza pogładzał wąs — «Maszałach (Chwała Bogu) Miłasym (Porucznik) Maszałach —» —

Henryk Służalski był człowiekiem wielkiego serca, nieskazitelnego sumienia i przykładnego prowadzenia się, ale wszystko przesadzał, żeby pokazać, co to Polacy, żeby sprawdzić te słowa Wielkiego Napoleona: że Polacy więcej obiecują, niż zdaje się podobieństwem, aby zrobić mogli, a więcej robią, niż obiecywali. Zdrowiem, życiem szafował, żeby tego dowieść. —

W Demoko, nad granicą Grecką, gdzie najzdradniejszy klimat, bo po gorących dniach jak pod tropikami nocy zimne jak na Kamczatce, gdzie po zachodzie słońca żaden mieszkaniec nie śmie wyjrzeć, nie odziawszy się w futro, on bosy, w jednej koszuli, po ośm i dziewięć godzin stał na dworze, żeby pokazać, że Polak może, kiedy chce i przesiąknięty rosą zmarzłą na jego włosiastych piersiach, wracał, wiadro zimnej wody wypijał i kładł się spać na gołej podłodze; bez przykrycia spał i nazajutrz dzień wesół, hulaszczy hasał na koniu albo opowiadał towarzyszom o górach Tessalskich, że jednej strony zawierucha, śnieg, metel, oczów otworzyć niemożna, słowa wyrzucone z ust ze ślnią marzną i zlodowaciałemi wyrazami na ziemię padają, z drugiej strony wiosna, a raczej lato, upały takie, że można jaja zgotować na twardo na słońcu. —

Eskortując pieniądze dla pułku z Kożan do Jenischir, most się zawalił i jeden muł z workami pieniędzy wpadł w rzekę — a było to w najsilniejsze zimna. — Służalski dwadzieścia cztery godzin w wodzie szukał rozsypanych pieniędzy, jak korali, nagi,

tylko przykryty roguszką z sitowia. Żelazne zdrowie wytrzymywało te wszystkie zbytki, to marnotrawstwo daru Bożego, dobra Polski, póki, jak to mówią Mazury, nie przyszła kreska na Matyska. —

Na tej ziemi mitologicznej zaczęły klęski niemitologiczne spadać gradem na tę biedną kozaczyznę, i oledwie że Kozacy niezawołali jak ów kosynier towarzystwa demokratycznego — «a my myśleli, że bić Moskali, stać zbrojno i konno do służby Polski, to służyć Polsce, a tu widzimy, że inaczej rzeczy się mają — » —

Księża Zmartwychwstańce, Polacy, z ambon wyklinali i na piekielne ognie w przyszłem życiu słali tych, którzy przyjęli Islamizm, żeby mogli zostać Polakami i służyć Polsce; czyścem grozili tym, którzy służą Monarsze Muzułmaninowi, i jak Papież Grzegórz posłał bullę nagany tym, którzy w 1830 i w 1831 walczyli o Ojczyznę, tak oni słali bullę wyklęcia tym, którzy stoją w gotowości do walki o Ojczyznę. —

Klaczki i Kalinki tą razą złączeni z demokracyą rozmaitych odcieni i barw, nakazali pismom polskim milczenie o kozakach, jak gdyby ich nigdy na tym Bożym świecie niebyło, żeby zatrzeć na przyszłość dla historyi imie i byt Kozaków a porobić z nich wołkołażów bajki. —

I Duchyński niewdzięcznik, podniesiony z ziemi ręką kozaka, utworzony na dyplomatę wolą kozaczą, sporządzony na historyka wiedzą kozaczą, w swoim pisemku na Wschodzie zamilczał o kozakach, którzy harcowali nad Dunajem i nad Prutem, jak gdyby to niebyli Polacy — a śpiewał o legionach Hrabiego Władysława Zamojskiego i tak ryczałtem lał na nich sławą i zasługami, jak poseł Angielski, Lord Redcliffe, stopniami i orderami. Duchyński twórca smerdów i merdów, gnębiciel Moskali, kistoryk zawołany, ale niewdzięcznik, zaprzaniec.

Darmo Ryszard Berwiński, Poznańczyk, Polak, dobrze zasłużony pod chorągwią kozaczą, pisał listy po listach i słał je do dawnych druhów i towarzyszy. On się znał z Heglem i ze Szleglem, z Trentowskim i z Cieszkowskim, i z całą filozofią i ekonomią polityczną Niemiecką, pióro miał wyprawne, bo dziennikarz i język wyrobiony, bo poseł z sejmu. —

Jak w polskim świecie, na Nowy rok, chłopi Panem, sieją

żytem, pszenicą i wszelką pasznicą, żeby w nich wzbudzić miłość ku sobie i rólnictwu, tak on siał traktatami, konfederacyą, Zaporożem, pobratymstwem podboju, pobratymstwem zwyczajów i obyczajów, pobratymstwem języka i współczucia, wspólnością wrogów, istnieniem hufca i chorągwi, nie w projekcie, nie na papierze, ale na jawie, w ciele, na ziemi — a oni najuczeńsi, najokrzyczańsi patryoci, odpowiadali mu, jak owa przekorna żona mężowi — nastrzyżono, golono i zatopiona w wodzie, jeszcze mruczała: golono — i oni tak zatopieni w opętaniu myśli i serca. —

Nic nieprzybywało do kozaczyzny, mowa nie o składkach, bo tych Kozacy ani żądali, ani brali, ale ludzi, co zagrażało wypolszczeniem hufca Polskiego. —

Ale za to słano z emigracyi i z kraju listy i okólniki na Kozaczyznę, jak gdyby ona była Moskiewskim Carem, albo hufcem Niemieckiego lennika albo katolika wdzięcznego za dawną obronę — rzucano podejrzenia, nieufność, niechęć i cały arsenał demokratycznych sposobików, i zaczęło się wkradać rozprzężenie. —

Ale nieczekano, nim się zgangrenuje hufiec. Operacya była prędka i skuteczna; gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą — padli ofiarą i niewinni, ale hufiec został cały i zdrów. Żal było dwóch: Podpułkownika Edwarda Langiego, bo dzielny był oficer i dzielny Polak, miał swoje grzechy; szkoda; i porucznika Świętuchowskiego, na którym spoczywały wielkie nadzieje; padł on ofiarą zawiści, nie winy. Inni że poszli, Bóg ich prowadź a nie wracaj. —

Na domiar złego śmierć wkradła się w szeregi kozaczyzny i zaczęła odliczać na tamten świat, co lepsze, co dzielniejsze. —

Jak do szturmu idzie naprzód najdzielniejszy, tak pierwszy poszedł zatknąć sztandar kozaczy na tamtym świecie Major kozackiego pułku, Mehmed Bey Luboradzki. Młody, pięknej postawy, ale piękniejszego jeszcze serca i sumienia, zasłużony walecznością we Włoszech, nad Dunajem i w Krymie, ozdobiony orderami, włoskiemi, angielskiemi i tureckiemi, rodem z Warszawy, z rodu, który już nie jednego dał rycerza Polsce, febra go zmiotła w Trykala i tam został złożony w grobie. Gorzka to była strata dla Kozaczyzny.

Za nim Lekarz Dragonów, Narkiewicz, mąż prawdy i nauki — i tego zwłoki złożyli w Arcie, w Epirze, i zapłakali po nim Dragoni, jak po Ojcu. —

Zmarł porucznik kozaków Brzeziński i pochowanym został w Trykala, tam złożono drugie serce Polskie. —

Zmarł Ałaj Czausz Kozaków, Gieorgie Chrysto, i pochowanym został na Farsalskich polach. I to był dziwny człowiek, Bulgar rodem z nad granic Serbii. Za młodu hajdut, czyli rozbojnik w serbskich ziemiach i tureckiego i niemieckiego władztwa, później kiesedży, poborca kies, pieniądze w Turcyi rachują się na kiesy, ale nie swoich; pod imieniem Kiuczuk (mały) Mustafy, znanym był w całym Arnautłyku, w Tessalii i w Epirze; drżały przed nim wsie i miasta, kiedy go ujrzano w kozackim stroju, jak zmartwychwstańca z tamtego świata. Kozakował dzielnie, za wojnę dostał Medżidie i medal zaszczytu, a tak kochał kozaków i ich konie, jak własne dzieci: Ten człowiek, który bez zmrużenia okiem ćwiartował i smalił żywcem ludzi, za dawnych hejduckich czasów, płakał jak bóbr, kiedy widział niedobry jęczmień, albo zgniłą słomę dawaną koniom kozackim. Miał gdzieś w Stambule kiesy złota i śrebra złożone; stanął przed Dowódzcą pułku kozaków, pułkownikiem Kirkorem. — «Słuchaj, stary nasz Ojcze, moja chata, moja rodzina, to kozaczyzna, ja z wami już będę żył i umrę u was, mam zloto i śrebro, pojadę po nie, żeby zabrać i kupić kozakom takie konie, na jakich tylko może Seraskier jeździć —» Podał się do urlopu, kiedy go śmierć zaskoczyła. Śmierć ta, prawdziwa zuzula Księdza Baki, tak się rozhulała, jak gdyby była w służbie Cara, Niemców albo Kozakom niechętnych demokratów, zmartwychwstańców i filozofów, dżgała zakaty w Kozaków. Śrebro i złoto zostało w Stambule, dżamety hasają po piaskach Arabistanu, nie u Kozaków, a kośćie Ałaj Czausza pruchnieć będą z kośćiami jeźdców Tessalskich i Numidyjskich, Pompejusza i Cezara. —

Nie na tem koniec, boleśniejsza strata jeszcze dotknęła Kozactwo. Umarł Major kozacki, Hrabia Jarosław Römer i pogrzebionym został w Laryssie. Potomek to był rycerzy mieczowych, dwa razy wskazany do służby wojskowej na Kaukazie, za miłość dla Polski więziony, potem ozdobiony krzyżem Świętego Jerzego, za waleczność i znowu zdegradowany na prostego

żołnierza. Pod Sabastoplem przeszedł do sprzymierzonych, zatrzymany w sztabie francuzkim do służby czynnej, wynagrodzony naturalizacyą i stopniem oficerskim w wojsku francuzkim, rzucił wszystko, żeby służyć w kozakach. I takiego to Polaka traciła kozaczyzna. Niebyło jednego serca w tym tysiącznym hufcu, któreby gorszkiem żalem nie zadrgało po tej stracie, ani jednego oka, któreby łzy nieuroniło. —

Często mi się zdarzało słyszeć o Polakach mających zapewnione posady w służbach zagranicznych. — Ten by się zdał do służby Ojczyzny, zdolny, poczciwy, ma dobre imie, ale ma zapewniony byt materyalny, karyerę. Jeden jest konduktorem w dyrekcyi dróg i mostów, z pensyą sześciu tysięcy franków rocznie, dojdzie na więcej; drugi jest porucznikiem w Legii zagranicznej, przed śmiercią może zostać majorem i mieć retret, w wojsku porządnem, w państwie nienarażonem na przeistoczenia polityczne; trzeci jest commis voyageur, czyli podróżnikiem za handlem, a po Berdyczowsku mówiąc, faktorem; ma po pięć od sta od sprzedaży, koszta podróży i życia i jeszcze jakiego, w pierwszych hotelach obiady, bilety na teatr, wejście do Grizetek i do Loretek; inni pleśnieją po biórach rządowych, bankowych, spekulacyjnych towarzystw, i kontenci, bo to nie polskie i nie dla Polski. — Nieprzyjdą do służby Polskiej a zapraszającym odpowiadają — «my się tam znajdziemy, jak przyjdzie czas. — Drogą żelazną zajedziemy, za paszportami, jak będzie po co — wprzód zapewniwszy się, że nie potracimy nasze posady. — Wśród takiego sponiewierania świętej miłości Ojczyzny, wśród takiego cynizmu materyalnego, kto rzucał posadę i karyerę i biegł służyć, w biedzie i niedostatku, pod sztandarem, w którym widział barwę, język i służbę Polski, ten był wielkim Polakiem i takiego zawołali Kozacy i Dragoni. —

Marli Kozacy i Dragoni, w Laryssie, w Wolo, w Armiro, w Farsalii, w Demoko, w Karlicy, w Trikala, w Arcie, w Prewezie, w Janinie, wznosiły się coraz nowe groby synów Polski. — Pomarli zdaleka od Ojczyzny, ale w służbie Ojcyzny; ani łza rodzinna, ani kwiat rodzinny niepadły na ich grób, tylko strzelono im z karabinków na wieczny odpoczynek; ten huk zastąpił Księżowskie requiem aeternum i Amen. —

Duchy ich poszły do Nieba zdać sprawę Michałowi Archa-

niołowi, patronowi kozaczyzny, z ich życia wojennego na tej tu ziemi. Ucieszy się nimi duch bohatera Cecory i Konaszewicza Sahajdacznego, i duchy Kamieńskiego, Kickiego i szlachcica Dwernickiego będą się u nich wypytywać o Kozakach i o Dragonach i haustem z puharów wychylą ambrozyą na zdrowie i na sławę tym Polakom, którzy się szabli niezaparli i z szablą i ze spisą czekają na taniec: Slawa Bohu — i za Polskę. —

Polki, po wszej Polsce, Litwie i Rusi, zmarłym Kozakom i Dragonom poświęcą łzę i modlitwę, nie jedną i dla żyjących mają wspomnienie i westchnienie, i oko wciąż wyglądające, kiedy przybędą. —

Ale wrogowie cudzy i właśni, swoi myślą i słowem, poklaskiwali śmierci; kozaczyzna wymrze, przepadnie, cudzym nie będzie grozić strachem, swoim niebędzie stała solą w oku. —

Tak się działo w Kozaczyźnie, na czatach, na granicy Greckiej, ani nadzieji, nad Dunaj, nad Czarne morze, w Dobrudzkie rozdroża, na Budziackie stepy. Przy urwistych skałach Agrafy, po nad przepaściami bez dna, trzeba było rozbójników gonić po borach i po chaszczach. Tęskno było duszy kozaczej, osieroconej z tylu braci, więdniejącej bez nadzieji. — Henryk Służalski i tęsknił i cierpiał. Dusza zabolała i do ciała wpuszczała boleść, po raz pierwszy dostał febry, i to wtenczas, kiedy niedał żadnej przyczyny. Dziwna to rzecz było widzieć tego mocarza zdrowia i siły złożonego na łożu choroby. Jest to w naturze ludzkiej, że kiedy widzą chyrlaka cierpiącego i jęczącego, pożałują go, bo i to człowiek, ale w myśli powiedzą sobie, nic dziwnego, nawet często się uśmiechną, nie złem uczuciem, ale mniemaniem, przywyka do choroby; żeby niechorował, to by nie miał co robić; zajęcie chorobą i to zajęcie dla próżniaka. Ale kiedy się zwali na łoże człowiek siły i jak ten zajęczy cierpieniem, wtenczas wszystkich żal i trwoga przejmuje, bo widzą, życie w walce ze śmiercią. Mało kto zważa na trzciny położone wichrem na ziemię, wszyscy w podziwieniu stają przed dębem wywróconym burzą.

Bolał Służalski i narzekał: bo ludzie siły cierpieć w chorobie nieumieją, chyrlaki nawykli; towarzysze otoczyli chorego, Doktor niewiele nadzieji dawał, kiedy przybiegł kozak z Laryssy do Trykala, z rozkazem, aby porucznik Służalski przybywał jak

najprędzej do kwatery głównej — tam niewiedziano jeszcze o jego chorobie. —

Kozak wszedł do izby, gdzie był chory i o rozkazie przy łożu mówiono. Podniósł się chory. Po swojemu, po dawnemu, krzyknął na kozaka służby: «Hej mały, siodłaj konia ryżego dla mnie, a dla siebie wronego a żwawo, w trzy migi, może nad Dunaj. —» — Wstał z łóżka, zaczął się żywo ubierać, jakby ręką odjął chorobę. Już ubrany, przy pałaszu w ostrogi brzęczy. — Woła, «wódki, wina, strzemiennego trzeba wypić, coś mi szepce, że po dobrą nowinę jadę i dobrą nowinę wam przywiozę. —» —

I strzemienne pili i z radości wołali: «Oj to Kozak, jak nas w pole wyprowadził, my myśleli, że za lada chwilę ducha wyzionie, a on jeszcze gotów nas trupem położyć. —» —

Doktor Matuszewski, człowiek wielkiej nauki; jeszcze z polskich Uniwersitetów, nieomylny w swojej diagnostyce, oniemiał; jak w tęczę patrzy w Służalskiego siejącego zdrowiem z oczów i twarzy, gładko pijącego i pokłaskującego brodę, nawet szklanica ze strzemiennem w usta nielazły Doktorowi, głową kiwał — spluwał:

— «Tak udawać, niechże diabli wezmą całą naukę, kiedy niemożna było się poznać; powienienbył umrzeć za dziesięć minut, a on przed nami stoi i na koń siada. —

Doktor lubił, jak wszyscy lubili Służalskiego, ale mało niezapłakał z tego szwanku medycznej nauki.

Służalski już na koniu i bieży szlakiem. Ryży tnie kłusem, jak struna się wyciągnął, wrony za nim sadzi w skokach, czerwone kołpaki ze słońcem się draźnią. — Służalskiemu na sercu lekko, ochoczo; Trykala w dala od siebie zostawił, ani już widać starej twierdzy Peleja, ani Minaretów, Tuchem Beja i Ewrenosa i góra Olbrzym już się odsuwa od oka. Poloskotał konia ostrogą i w czwał sadzą, po nad szuwarami Kolokotos. —

Półtory godziny niewyszło — kiedy stanęli przed Hanem Zarka. —

Z konia zeskoczył Służalski, parsknął, brum, całemi piersiami, aż Arnauta karczmarz ledwie nie wpadł na ziemię ze strachu. —

— «Hej Arnauta, kopę jaj na twardo, dla mnie, pięć dla małego, oko raki, dwa oka wina, a dobrego a niechrzconego, a żywo. —» —

Popas niedługi, zjadł wszystko, wypił wszystko i nic niezostawił, siadł na koń i dalej w drogę. —

Czy ryżemu chandra przyszla do głowy, bo i on z kozackiego rodu, z nad Dunaju. Zwyczajnie jak Astronom, łeb parł do góry i gwiazdy liczył oczyma, z miejsca nogami zbierał jak do tańca, a ogonem kozaka w plecy popędzał a teraz wnurzył głowę w ziemię, i co kilka kroków, jak kredencerz talerze zbierał, ogon mu plącze się po kolanach, wlecze się jak obżarte wilczysko. I kozak zadrzemał; mały podbiegł koniem, spojrzał w oczy porucznikowi, drzemie; ocknął się w Salambryi, koń przepławił rzekę, ale na drugiej stronie znowu stępą i stępą kroczy. —

Kruki po nad głowami kozaków kołują i złowieszczą pieśń kraczą, wśród białego dnia zając drogę przebiegł i za drogą zakołkował, dwa popy brodate także drogę przekrzyżowali i baba z próżnemi dzbankami szła po wodę do Salambryi. Mały Kozak i żegnał się krzyżem Świętym i spluwał i śpilki w pole rzucał, a Służalski drzemał, drzemał i nic niewidział. — Zajechał nareszcie do Laryssy, kiedy wszedł do Pułkownika i zameldował się tak piskliwym głosem, że przytomni myśleli, że znowu im jakiego nowego figla myśli wystroić. Ale on zachwiał się i padł na ziemię, już zawieziono go na wozie do szpitala.

Słabym głosem zanucił sobie, jak to mówią, pod nosem:

My nelubvm dolho żyty
U nas sabli syny was neznew,
Nam najlipsze tak kinczyty
Jakby czort duszy schwataw —

I skonał. —

I to serce polskie, prawdziwe serce Kozaczyzny, złożone zostało na cmentarzu Laryskim, obok mnogich towarzyszy', już tam zaległych na śmiertelny kosz. —

Smutno, chmurno w Kozakach i w Dragonach; szeregi rzadzieją, ale coraz bardziej się ściskają miłością Ojczyzny, czcią wojenną; stoją silnie i uparcie, i dostoją, póki Polacy oczów nieotworzą albo póki oni nieotworzą oczu Polsce i z grobu ją niepodniosą. —

ADAM BARANOWSKI,

SANDŻAKTOR PUŁKU KOZAKOW OTTOMANSKICH.

ADAM BARANOWSKI.

Była kiedyś na Ukrainie szlachecczyzna. W ucho tłukła chama, za pejsy targała żyda, z żydówką wycinała trapaka, z Mołodycą szła w prysiudy, w hołubce. Przybrana w kurtki kawaleryi narodowej, amarantem obłożone, lisami podbite, takiego łupnia sprawiała chamskim kurom, że ją przezwano kurojadami; wrzeszczała i hulała, między sobą i procesowała się i rąbała się. Ale kiedy Pan Hetman rozesłał wicie; trąbiono wszędzie na koń, do korda; kurojady ruszali w pole; trzymać na wodzy hordę Tatarską i dzicz Moskiewską, być przedmurzem Chrześciańskiemu światu, a Niemcom pluchom błyskać szabelkami w oczy, tak żeby im siedm świec zaświeciło, i żeby pludry szwaby tam zmykali, gdzie piwa nie warzą, gdzie kartofel nie sadzą. —

Była kiedyś na Ukrainie i koliszczyzna; mołodzce markotni, że król i Rzeczpospolita zapomnieli o ich zasługach wojskowych, pod sławnemi Hetmanami, Bohdanem Różyńskim, Piotrem Konaczewiczem Sahajdacznym i Janem Wyhowskim, na sławnych polach, pod Wielkiemi Łukami, pod Pskowem, pod Chocimem, pod Konotopami. Zapomnieli, że jak przyszła wić od króla Jegomości i od szlacheckiej Rzeczypospolitej, a Pan Ataman wszej Ukrainy świsnął, już kozacy na siodlach, wędzidła dzwonią, a konie na wtór zbierają kopytami, z wiatrami w przegony, na Tatarzyna, na Moskwicina, i w ten czas panowie szlachta miód i wino spijali, kury zjadali, jak gdyby byli pod skrzydłem Archanioła; bo kozak nadziawszy nowy kożuch, z ogniem, z mieczem po swojemu bił wrogów na łój, na masło, niszczył wraże sioła na węgiel, na popiół. Zapomnieli o tem

wszystkiem panowie szlachta, i za diablą sprawą, zwąchawszy się z Wyzuwitami, chrześciańskiemu, sławiańskiemu rycerstwu kazali śpiewać łapświńskie: Dominus vobiscum, oremus, w miejscu ludzkiego i Bożego, sławiańskiego: Hospody pomyłuj, światy Boże, światy Wełyki, światy bezsmertny. —

Wyzuwicy z opętanemi pankami powynajmywali żydom w arędę cerkwie prawosławne jakby karczmy jakie, i lud Boży, lud bratni, lud swój rodzimy powynajmywali na sromotę, na niewolę.

Jak wyzuwici szlachtę polską otumanili, tak Caryca, Katarzyna otumania Mołodzców Kozaczych; dała im święcone noże w podarunku i ci wzięli się do nożów i dalej rznąć szlachtę i żydów, nie sławą kozaczą, ale krwią i pożogami, wieczną hańbą, wiecznym wstydem zaleli Ukrainę. Gdzie diabeł wizuwita zaczął, tam baba Caryca piekielne dzieło dokończyła i sprawdziło się chłopskie przysłowie, że gdzie diabeł sam już nieumie, tam babę posyła.

I szlacheczczyzna i kozaczyzna hulały, wrzeszczały, licho broiły jak niegdyś za dawnych, błogich czasów Pan Twardowski, w karczmie zwanej Rzym, póki her fon Fryc pruski, niemczyk kusy, dawny lennik polski, niewyskoczył z tego nowego kielicha pohulanek i nieklasnął — basa, wziąwszy pod jedną raczkę rozczuchraną Katarzynę, pod drugą zapłakaną Maryą Teresą, jak uciął z niemi drabanta, ejn, cwaj, draj, tak diabla muzyka zawyła, łapświńskie requiem aeternam — i szlacheczczyźnie i kozaczyźnie.

Niestało ani króla w Polsce, ani Siczy na kozaczyźnie, rycerska szlachta poszła na jurgielt niemców Pruskich, Austryackich i Moskiewskich; a kozaków zasłano nad Kubań rzekę, gonić czerkiesa jak zająca po krzakach — na Ukrainie porosły chwastem wysokim smutek i żal, zakopały się głęboko dawna sława i sławne imie. Wszystko to było, ta sława to sławne imie, póki szlachcie i kozak tworzyli jedno rycerstwo Polski. Wszystko to znikło, szczezło, kiedy szlachcica przezwano Lachem, a kozaka chłopem chamem. Oj, żeby się był ten nienarodził, kto tego licha narobił, ale już się złe stało i złe w Polsce i złe na Ukrainie.

Tak rozpamiętywali nad temi mamościami politycznemi

Adam Baranowski. Sandżaktor pułku Kozaków Otomańskich. Kozak z rodu, kozak z miny, prawdziwy syn Ukrainy, urodzony między Berdyczowem, sławnym Jarmarkami i żydami, a Murowaną Machnówką, sławną Protem Potockim i zamożnemi rodami Mazurakich i Abramowiczów. — Mahmud Mucha, Major tegoż pułku, Tatarzyn z Litwy, z rodu tych Zatarynów, których sam osiedlił Witold Olgierdowicz, na usługi Polski, na zaprowadzenie owych sławnych Ułanów, którzy tak szeroko rozgłosili dziarskość polskiej jazdy — od Saragosy aż do Borodiny — i Ryszard Berwiński, porucznik z Dragonii Jego Cesarsko Sułtańskiej Mości — Wielkopolanin, człowiek pióra i szabli, niegdyś deputowany na Sejm, niegdyś autor Don Juana, a podobno i sam Don Juan, a teraz żołnierz serca.

Było to w Kożanach, na pograniczu Tesalii z Macedonią, w Kożanach znanych doskonałem winem, którym musieli rozgrzewać krew i król Filip, kiedy dyplomatyzował z Grekami i król Aleksander Wielki, kiedy ujeżdżał Bucefała i odzwyczajał go od obawy cienia słońca — i ujeżdżał podbojem świat Europy i Azyi, żeby go wielbiono jak słońce Boże. I nasi trzej mężowie spijali winko i grzeli się przy kominku. Dziwna to była ta trójka: kozak z Ukrainy, Tatarzyn z Litwy — i Lach z Wielkopolski — Przybylce do sławiańskiego rodu polanów, a najognistsi rycerze polski — bo kiedy kmiecie, ten czysty ród polanów, ta krew sławiańska obojętnie patrzyli na walkę olbrzymich usiłowań i olbrzymich poświęceń się młodzieży i mieszczańskiego stanu, księży i rabinów i mówili: niech temu Pan Bóg dobrze daje, kto naszego chce dobra — i dawali i spełniali, co im było nakazanem — powstańcom za pieniądze — Moskalom, za batogi, za srebrnego rubla pokazywali, gdzie się przechowają Moskale, albo Moskal — za zagrożenie batogiem i Moskiewskie zaklęcie w matkę i w ojca, wydawali powstańców, wiązali ich i napadali na domy szlachty Polskiej, razem z Sołdatami białego Cara — wtenczas kiedy ci Tubylce, ukochani przez Kazimierza Wielkiego, który był ich królem, swojem dzisiejszem postępowaniem, w wątpliwość podawali owe legiendy Kościuszkowskie o Racławicach, o Głowackim i o siermiędze Krakowskiej w ręku chłopka — przybylce, rycerskiem kołem, szlachectwem, związani do Polski, spolszczeni, zasłani do krainy dawnych Bogów, na kraj

świata od Polski — w służbie wysokiej Porty i wyższego od wszystkich Monarchów, rodem, Cesarza Otomańskiego państwa, biedzili się, jak przeskoczyć góry, przepłynąć wody — a najbardziej przeprzeć przeklęte traktaty i dostać się na Polską ziemię — i ponieść w ofiarze swoje głowy, tej Polsce, której oni są szlachtą — Oj niedarmo to w dawnych czasach psubraty Niemce ujrzawszy rycerstwo polskie, wrzeszczeli — szlagien, szlagien, bo też dobrze bili to psie plemie, i dla tego zostali szlachtą — szlachcie bo dobrze bił — Lach nim był u Sławian, kozak na Ukrainie — a królowie Polscy, Wielcy Książęta Litwy, uszlachcili Tatarów, posiedleńców na Litewskiej ziemi za to, że się dobrze bili. —

Kozak Unita, Tatarzyn Muzułmanin, Lach Katolik zheglowany i zeszleglowany — gotowi byli przelewać krew za Polskę katolicką, bo im powiedziano, że Księża katoliccy wyhodowali to wielkie dzieło powstania narodowego — gotowi byli bratać się z pokoleniem Izraela, bo im powiedziano, że Rabini do siły ducha rozniecconego przez Księży dodali siłę materyi, brzęczącej monety, tej potężnej dźwigni dzieł ludzkich na tej Bożej ziemi — szlachta gotowa na wszystko, byle dla Polski — I nim przyjdzie chwila czynu, popijali Kożańskie wino. —

Niech żyje duchowieństwo Katolickie, Rzymskie — Biskupi, Kanonicy, Mnichy, Proboszcze a nawet prości braciszkowie. Niech żyją Rabiny, Kahały, Bankiery, odkupczyki, a nawet faktory, byle żydzi. Niech żyją — o mało co się z ust niewymknęło. Niech żyje Ojciec święty, głowa jednego kościoła — Niech żyją Rotszyld, głowa jedynej szkatuły, na prawdę pełnej, w epoce zbrojnego dzisiejszego pokoju, bo czegoż szlachcic niegotów dla Polski, nawet bluźnierstwa mową, nie czynem. U szlachcica język jak na kołowrocie; jak się rozpuści, to i bluźni i bezcześci, ale sercem i czynem, to wara, i jedno i drugie musi iść na wtór cnocie, dobrej czci i miłości Ojczyzny. —

Otóż sobie winko popijali i radzili, co tu zrobić. Tatarzyn utrzymywał, że trzeba się podkraść cichaczem, pokraść Moskalom konie, broń, a potem czambałem uderzyć na nich przeraźliwym krzykiem; co się będzie broniło, to wyrąbać, wykłuć, wystrzelać nawet — a co się zda na łaskę, to zabrać w Jasyr, zapędzić na bazary Stambulskie i sprzedać na wyrobników, albo

Janczarów, jeśli zechcą uznać światło Islamu — I już się cieszył zdobyczami, ile to będzie miał koników na facyendę i starych rzemyków na handel — zawołał Greka. i już mu chciał płacić wino wojlokami i pośliskami z Moskiewskich osiodłań, ale Grek nie Sławianin, wiele się naklaniał, wiele napotakiwał a w końcu powiedział, że on woli paryczki Sułtańskie, bo to legalne, jak rzemiona Moskiewskie, choćby nawet skóry wyprawne z samych Moskali, bo to nieprzyjacielskie — jeszcze mógłby wpaść w podejrzenie i być wsadzonym do kozy, jako agient Moskiewski — gotowi by się bać, żeby pod postacią rzemion i skór niebyło jakiej propagandy — bo to z Turkami nieżartować. Tatarzyn popatrzył: Głupi Grek, solony, niema to jak nasi żydzi, z niemi wszystko można przehandlować, i co jest i co niema na świecie, nas samych nawet, byle była facyenda — Niech żyją żydzi, lud ukochany przez Bogu, przez niego wybrany i dla tego tak srodze karany. Oj, w tem to oni do nas, do szlachty Polskiej podobni, bo i nas Bóg kocha, a dopuszcza karać i Moskalom i Niemcom znęcać się nad nami, i dla tego żydzi tak się nas szlachty trzymają. I kiedyś będzie koniec i ich i naszej niewoli — O Boże zmiłuj się nad niemi i nad nami. Po ciężkiej niewoli daj nam choć chwilę swobody, nim nas zabierzesz na tamten świat, na życie wieczne, i na wieki wieków, Amen; dość tych psalmów Saturzynie, jeszcze skóra na wilku a Waćpan już ją chcesz przepić w szynku; łyknął winka i musnął wąsa Sandżaktor. Co tam prawić o rabinach, o Księżach, o klechach, o żydach, jeremiady, to do niczego nieprowadzi, chyba do drapania się w głowę naszego kulasa Sydora; niech on sobie tam żali się i płacze, jak kaprawy kozak z Hajżyna; my ludzie, my mężowie, nie baby — ot powiedz Waćpan, Panie Lachu, co o tem wszystkiem myślisz; główka u Asana nielada, mówią, że byłeś posłem na Sejmie, niewiem jakim i gdzie, że nawet pisałeś gazetę, to musisz wiedzieć, co to jest i co z tego będzie.

Don Żuan czyli autor Don Żuana Poznańskiego już zaczął obserbować i trunek i myśli na alembik filozoficzny:

«Długo nad tem rozważam i rozbierając rzeczy a priori i a posteriori, coraz bardziej się przekonywam, że od czasu wielkich wynalazków dla ludzkości, jak drogi żelazne, telegrafy, siły pary dla narodu naszego, dla narodu Polskiego, nie-

było jeszcze większego i pożyteczniejszego wynalazku, jak ten rząd niewidomy, który tak tajemnie i tak potężnie działa. Mniejszać o to, że swoją tajemniczością zasłania się od pocisków wroga, ale jest nie do wywrócenia dla samychże polaków: sejmikowa szlachta, zawistne stronnictwa, obrzydłe a jednak tak naturalne przywaty, niewiedzą przeciwko komu wystąpić, kogo zwalać, i słuchają, bo niewiedzą kogo; spełniają rozkazy, bo niewiedzą czyje; o za prawdę powiadam, że dla Polaków nic zbawienniejszego wynaleść niemożna było: o gdyby można było wynaleść naczelników wojskowych, administracyi, dyplomacyi, finansów niewidomych, ta siła polska, szłaby porządnie, sprężyście, pchana i prowadzona siłą niewidzialną, — nic by bardziej niebyło zastosowanem do narowów i przywar narodowych; w końcu nic tak się niezbliża do Bóstwa, jak niewiadomość i niewidomość rządu; wszędzie jest i nigdzie go niemasz, wszystko widzi a nikt go niewidzi. i Demokraci i Towiańczycy i Arystokraci, zgoła wszyscy a wszyscy wierzący słuchać go mogą — bez ujmy miłości własnej stronnictw, tej zapory dotąd wszelkich usiłowań, wszelkich poświęceń polaków, bo każde stronnictwo myśleć może i bezzawodnie myśli: moi i nie inni tym rządem kierują. Demokraci wołają: rząd niewidomy czerwony, Arystokracy przeczą: jeśli już niezbielał, to wyraźnie bieleje, Towiańszczycy wołają: on nas zrozumiał i rozumie, siła ducha podniesienie ducha i miłość ducha — wyzucie się cielesnej, materyalnej oprawy — i wszyscy słuchają i ciągną wóz Ojczystej sprawy i idą naprzód. Ja mam przekonanie i wierzę, że dojdziemy do celu naszych wiekowych usiłowań i dążeń i dla tego, ktokolwiek jest twórcą tego nierównanego wynalazku, czy hrabia Andrzej Zamojski czy Wankowski czy Baron Epstejn czy Mistrz Genewski, niech żyje, cześć mu w wieczne czasy.

Sandżaktor pociągnął haust — «Niech żyje, kiedy tak chcecie, niech żyje, ale niech mnie diabli wezmą, że ja tego nie nierozumiem. Głowę zdrapałem jak rodlankę, wąsy powyrywałem, jak gdybym peł len, a jeszcze nierozumiem, co to ten niewidomy, niewidomy, nie nierozumiem»

I nic dziwnego, że nierozumiał.

Pan Adam Baranowski, urodzony jeszcze w siedmnastym wieku, za błogich czasów, kiedy jeszcze był w Polsce król

Jegomość widomy i rząd widomy i Polacy byli Polskimi Polakami, nie Moskiewskimi, nie Pruskimi, nie Austryackimi, pół Lach, pół Kozak, a szlachcic, bo był z tej szlachty strażniczej, czernobylskiej dzielnicy, do której należeli: Wyhowscy, Kniaziowie Możajscy, Kniaziowie Trzeciacy, Bechowie, Czopowscy i cały poczet mnogoliczny Owruckiej drużyny, Radomyńskiej i Żytomirskiej, która dostarczała kozaczyźnie najdzielniejszą starszyznę, a szlacheczyźnie dziarskie rycerstwo. Tak urodzony Adam Baranowski rósł jak dębczak samorodny w pustyni; nikt go niekrzesał, chodowano, odziano i puszczono na samowolę jak kozacką dziecinę, grał w chrabąszcza jak chrabąszcz. kukał jak kukułka, hukał jak puhacz i jak psiak poszczekiwał, a nawet umiał wyśpiewywać kukuriku, wlazłszy jak kogut na śmiecisko, na ślizgawce, cymes, czy to na piętach, czy przysiadłszy, jak sankami po lodzie suwał. Umiał gęsi zapędzić do chlewa, kurę zdusić w kojcu, na baranie oklep jeździć, wziąwszy świnie za ogon walczyka kręcić, nie Strausa, ale wilczego. A jak trochę podrósł. wydzierać wróble na dachu, gołębie z gołębnika, harcować na źrebakach, chłopcom szczutki w nos wycinać, dziewczątkom ślimaki pod nos smarować, a abecadła ani weź.

Do Jezuitów niechciał, bo tam Dominus vobiscuum, a on szlachcic z czernobylskiej dzielnicy, miałby się korzyć przed Jezuitami i dawać się im targać za uszy, kiedy ich Jaśnie Wielmożny Hetman i Wojewoda, Jan Wyhowski targał na sznurach i wieszał dla dobra Kozaczyzny, dla dobra Polski, a on dobry i Kozak i szlachcic Polski. U Kss. Bazylianów, choć ludzi Bożych i modlących do Boga mową ludzką, ćwiczono boćkowskiemi kańczugami i powtarzano: za jednego bitego dają dwóch niebitych i jeszcze niebiorą; on wiedział, że ani Matka, ani Ojciec niemają go na facyendę i wolał bić, jak być bitym.

Jak miał się uczyć A B C i sylabizowania, i brać w skórę kańczugiem, albo dyscypliną, wolał chłopców stusakami zachęcać do drapania się na drzewa; wygodniej było być nauczycielem jak uczniem.

U Kss. Pijarów, demokratów, republikanów nawet, choć Alwara nieuczono, ale dyscypliną o siedmiu paskach, jak siedm grzechów śmiertelnych, z zapieczonemi kończykami w słoninie, nie na skwarki, ale na drzazgi siekano. Śmigali te farmazony,

bo tak wówczas zwano zakon świętego Józefa Kalasantego, i Mama mówiła i Tato mówił, że to farmazony, więc dać im pokój, bo jeszcze gotowi duszyczkę posłać na męki czyszczowe.

W szkołach świeckich profesorowie w mundurach Moskiewskich, zapiętych jak sołdackie, gotowi na Moskale przerobić. Pan Adam niechciał ani duszy zagubić u Farmazonów, ani się zmoskalić u uczonych czynowników; wolał nic nieumieć i pójść do raju, i pozostać Polakiem. Mama i Tato na to przyzwalali i był nieukiem, ale pod wąsem.

Po okładkach umiał poznać kalendarz Berdyczowski KKs. Karmelitów bosych, ale oko tak mu się zapraszało piaskiem, że niemógł patrzeć na drukowany papier, a żyły tak się nadwyrężyły na ręku od trzymania konia i machania szablą, albo kijem, że ani myśleć wziąść pióra do ręki; były wymówki i prawne i prawdziwe do pokrycia nieukostwa. Z resztę w świecie, gdzie wódeczka, lułeczka i Annuleczka, były zajęcia się i umienia żyć na świecie, czyli przeżycia na nim. Nie eksaminowali z arytmetyki, ani z geografii. Jak tylko kielich haustem wychylił, prawdę na dnie zobaczył, po guzikach szkłem brząknął i na paznokciu pokazał, że i kropelki nektaru niema. Jak w Mazurku dziewczyną dziarsko wykręcił, że aż i się jej zrobiło lubo, jak zaciągnął się z cybucha, i z nosa wypuścił dym, jak komin parowy, to i magister utriusque jure, i do wódeczki i do lułeczki i do dzieweczki; szlachcic całą gębą i takim był Pan Adam Baranowski. Nic dziwnego, że w cudotwórczość niewierzył; słyszał o złym duchu, ale myślał, to był skutek objedzenia się grochu albo kapusty. Upiorów się niebał, bo ciągle się włócząc z weczernicy na weczernicę, wszyscy, kogo zdybył, to przed nim uciekali, bo nosił kij w ręku i miał ramię żelazne, a na weczernicy, to wszystkie i czarnobrewe i złotowłose, to czarownice; do czarownic przywykł, z takiemi czarownicami gotówby życie przeżyć i na łopacie lecieć na Księżyc i po sznurze się w piekło spuścić, byle z niemi, ale to wszystko było widome, widziane, nazywane: Pazarka, Marijka, Tetiana, Odana, w koszulach mereżowych, w spodnicach Kołomyjkowych, z życzką przeplataną we włosach, z białem liczkiem, z kraśnyn rumieńcem, z kibicią wiotkę, z nóżkę tupającą, z rączką cisnącą, z uśmiechem jak

dzień wiosenny; to wszystko było widome i bardzo widome, niewidomego nierozumiał, niepojmował.

A jak wyszedł z dorostka na młodzieńca, wujaszek rodzoniuteńki, Jaśnie wielmożny Floryan Barszczewski, dziedzic Raczek, ćwiczył go w jarmarkowej sztuce: Jak z kasztana zrobić derecza, z białego, karego, z karego szpaka a z gniadego pstrokacza; został malarzem końskim, po szerści, w naturze, nie na płótnie, albo na papierze sztucznie, a Jaśnie wielmożny Maurycy Turkał, bogaty panicz, mecenas tego rodzaja malarstwa, płacił'a płacil te arcy-dzieła, które ciągle przemalowywano a zawsze na jednej a tejże samej skórze, tak że w ciągu jednego roku Pan Maurycy kupił od Pana Floryana i przedał Panu Floryanowi dwanaście cugów, kasztanków, dereszów, z czarnemi grzywami, z koropiatemi grzywami, czarnych, szpaków, jabłkowitych, różawosiwych, bułanych, podpalałych, pstrokatych, tarantowatych i białych. Kupował po cześćset dukatów holenderskich, a przedawał po cześćdziesiąt, i w końcu pokazało się, że to były jedne i te same kasztanki, pęzla Pana Adama, utworu Pana Floryana i niechże świat gada, że szlachta polska nie artystowska, że niepoświęca się sztukom pięknym, że je niepraktykuje. Malarze Włoch i Niemiec mażą bohomaty na martwych płótnach albo na martwych metalach, tylko kobiety całego świata i szlachta polska na żywych skórach maluje i ich dzieła i żyją i ruszają się i chodzą i jedzą i piją, i intraty przynoszą; to mi wydoskonalenie sztuki!

Wujaszek i Siostrzenice zostali zawołanemi artystami, nie tylko na wielkich jarmarkach w Berdyczowie, ale na mniejszych w Kulczynach, w Felsztynie, w Chwastowie a nawet i w Pawołocz.

I psy malowano, bo obadwa lubili polowanie: to zabawa szlachecka, zdrowie niepsuje, jak czytanie i pisanie, daje apetyt i lekkość, jak się człowiek wyhasa; ale nielubili ani hodawać ani kupować psów, bo to już byłby grzech szlachecki, żeby psie plemię płacić monetą brzęczącą, jak końskie; zawsze powtarzali, żeby się tak pokoniaczyć jak posobaczyć, ale chować nielubili, bo to pisk, wycie, młodym psiakom zęby świerzbią, duszą kury, barany, to szkoda, ale jak przychodził czas polowania, wtenczas złapawszy suczkę zalotnicę na wabika, nocem jeździli koło dworów, gdzie sąsiedzie na psy i konie przepuszczali grosz uzbierany w cięż-

kim pocie czoła przez rodziców, charty, gończe i legawe biegły na wabca, i z weselem wracano do Raczek albo do Brodecka i tam zaczynało się malarstwo: płowe charty na sobole, podzire gończe na jaskrawo rude, pstrokate wyżły na czarne albo kasztanowate; psiarnia w kilka dni sformowana i polowano z sąsiadami, a jak który poznał zajadanie swojego zagraja, albo doławianie się mrówki, strychowanie wachli, skoki doloty, chwytanie Lotki i powiedział: to tak jak mój, albo moja, zaraz wujaszek albo siostrzeniec zapytał: a jaki był twój albo twoja? podżacz, a to widzisz rudy; biała, a to widzisz siwa, a kiedy czasami, bo i to się zdarzało, rosa albo woda spłukały koloryt i prawda wyszła na wierzch, i poznano swojego lub swoję, naśmiano się, nażartowano się, jak na polowaniu, to dębniakiem, albo kalmósówkę, jak w domu, starym węgrzynem z oszmanych butelek, a jak w mieście, pończykiem zapito sprawę, rozprawą nawychwalano pędzel, koloryt, pomysł i rzecz poszła w niepamięć aż do drugiego podobnego wypadku. Była to artystowska zabawka, żeby się szlachta nienudziła, i Pan Floryan i Pan Adam byli kochani i noszeni prawie na ręku, zapraszani z domu do domu, podejmowani i cenieni więcej, niż jakiś chudy poeta albo nudny prozaik, szczególnie moralista. I na prawdę lepiej się tak było bawić, jak śpiewać kantyczki i koronki, a drzeć i łyko i skórę nahajami z chłopów, bo to schyzmatycy, samemu cichaczem się objadać, a ludzi postem głodzić, albo z żydem arędarzem ślęczyć nad sposobami rozwodnienia wodą wódki dla zdrowia chłopków, i wydzierania im ostatniego grosza, żeby niemieli za co pić, ostatniej chudoby, ostatnego drobiu, żeby niemieli czem się objadać i byli leksi do pracy, albo spory i bójki małżeńskie, dla przerwania jednostajności nudów domowego życia, albo obmowy, przybysze z miast, z romansami i całą cywilizacyą zagraniczną. Nad to wszystko lepsze było malarstwo Pana Adama, tak powtarzał Pan Floryan, chowając grosze do szkatuły, za to malarstwo lepsze, bo to nieszkodzi ani zdrowiu, ani reputacyi; zabawka i niepusta, bo złotko brzęczy.

Pan Adam oprócz malarstwa lubił i muzykę, cymbały, bębenki a nawet i skrzypeczki; kiedy skrzypek wycinał od ucha, a dziewczątka i mołodyce kręciły się i drygały, lubił to bardzo, a najbardziej muzykę Pana Godlewskiego, dziedzica Słobodyszcz

w sąsiedztwie Ŕaczek. Było tam przynajmniej z kopa grających zegarów, tabakierek, pudełek na stolikach, w meblach, na suficie, po ścianach i tyleż przykrywek w szafach. Pan Godlewski, już przejrzały kawaler, stracił nosa, mówią, dziwnym przypadkiem. Raz na Berdyczowskim jarmarku w koczu odkrytem, z piękną panną, czy panią, aktorką z teatru, do której pałał afektem ognistej miłości. przejeżdżał machnowiecką ulicą. Już był na równi sklepa Szafnagla, kiedy posłyszał tentent czwałujących koni i wrzeszczącego tabańczyka. Tabańczyk prowadził na arkanie dzikiego konia; jedną stroną ulicy czwałował koń, drugą tabańczyk na koniu. Kocz Pana Godlewskiego był we środku; piękna para chcąc uniknąć sznura, rzuciła się na wznak, na obręcz spuszczonej budy. sznur arkanu zastrychował i obydwa nosy zabrał z sobą. i piękna para została bez nosów. Dziwnie ludzie gadali o tym wypadku, ale koniec końców, że oboje zostali bez nosów. Co się stało z aktorką, niewiadomo, ale Pan Godlewski został bogatym Panem i przezwano go beznoskiem: Po nieszczęśliwej miłości z całą namiętnością oddał się muzyce. A że wstydził się być widomym beznoskiem, więc za przyjazdem gości chował się w szafę i tam kręcił kobzą i rzempolił na pozytywie: Jedzie Pan Puławski na białym koniu, albo Marsz, Marsz Dąbrowski, z ziemi Włoskiej do Polskiej, i był niewidomym muzykantem.

Goście byli jak w zaczarowanym zamku, meble przepyszne, jadło wykwintne, wina zamorskie, przy starym tokaju i szumiącym szampanie, siostra beznoska, ale z nosem i kozak baba, z trzema córeczkami, jak młodemi koteczkami i przytulnemi, i muzyka czarodziejska.

Pan Adam rozpływał się w tym raju ziemskim, w tym pałacu hesperyjskim pokochał szczerym afektem Panną Julią, afektem nie na swawolę, ale na małżeństwo, bo panna była i ładna i posażna i gospodarna. Zalecanki szły szybko, bo Pan Adam marudzić nielubił, i panna Julia nielubiła się targować, szlachcianka, chrześcianka, nie żydówka; on jej powiedział: kocham Waćpannę, chcę ją pojąć za żonę i ona mu odpowiedziała: i ja Waćpana nie niekocham, i zgodziłabym się wziąść go za męża, jak mama pozwoli a wujaszek niezabroni, i w upominku dała Kapszuk wyszyty napisem: Julia Adamowi roku 1810. Kapszuk ten jak relikwią świętą przechował Adam Baranowski, i teraz w roku 1814

miał go przy sobie, na sercu, jak szkaplerz, a w sercu przechował i wspomnienie i miłość ku Julii, choć w tym sercu gościły często i Niemki i Francuzki i Greczynki i Turczynki i Cyganki i Arabki, czarne i białe, ale gościły przelotnie. U niego w sercu, jak u Sułtana w Seraju; damy różnego kraju i Greczynki i Mongolki, ale wszystkie jak przychodziły, tak wychodziły i zostawiały wspomnienie Polki, choć Panna Julia niezostała Panią Adamową, a to z następnego wypadku.

W Moskiewskiem Carskiem wojsku było cztery pułki Ułanów, werbowanych z samych ochotników i to samych Polaków, i najwięcej szlachty: to samo było i w Austryackiem wojsku: obaj Cesarze zaborce chcieli bawić szlachtę ułańską czapką i ułańską kurtką i jakoś im się to udawało. Cztery pułki były tych ułanów: Konnopolski, Tatarski, Litewski i Wołyński. Zgrabniejsi byli Moskale od Niemców, którzy swoje polskie pułki pochrzcili na regiment arcy Księcia Karola, arcy Księcia Wilhelma i jakiegoś szpicbuba szwabskiego; do Moskiewskich ułanów leciała szlachta herbowa, do Austryackich lokaje i masztalerze, ale zawsze polacy.

Werbowano po miastach i po miasteczkach. Oficerowie wyborowi zaleceni sprytem i hulaszczością, Ułani postawą i oczajduszostwem, byli używani do tej służby. Muzyka huczna, czapki na bakier, ostrogi rzęsiste, w szynku wino i wódka, na stole kury pieczone a za stołem dzieweczki czarnobrewe i mrugały i pocałunki słały. Ułani po ulicach łapali szlachtę, w uściski, w powitania: Prystań, prystań do werbunku, budesz isty z masłom kurzen, budesz isty, wyno byty — i dziwcynońku lubyty, a jak wciągnęli do izby, szklankę w rękę, czapkę na ucho, szlachcicowi, i już Ułan: drala z dziewczyną w obertasy, a wina dolewali, a muzyka grała; tańce, hulanka, swawola, usnął szlachcic Ułan, jak gdyby był królem polskim, a jak się przebudził, ujrzał się sołdatem Moskiewskim; na krupy, które trzeba było łapać po misce, jak żydów na Rajgrodeckim rynku, na czarny chleb, do stajen gnój wymiatać, a jak niewola, pod pałki. Tak werbowano szlachtę, a szlachta jednak lazła a lazła i niebyło u niej mądry polak po szkodzie. Kurtka z amarantem a czapka czworograniasta. Hej, ułan to malowane dziecko, i panieńki i mężatki za niemi lecą i wdowe lecieć gotowe i jakże tuzinkowa

szlachta lecieć niema, kiedy Książę Eustachy Sanguszko, Pan wielki, Regimentarz, Generał, jak tylko sobie podochocił, zaraz przyśpiewywał —

> Oj kolyb jeszcze wojna buła,
> Pobaczylub mene Ula —

Ula to Ułańszczyzna, choć ją Tatarzy do nas wnieśli, lepiej się przyjęła na tej polskiej ziemi, jak husarstwo, jak kopijnictwo i jak Czarnieckiego Dragonia.

Otóż w Berdyczowie, sławnem mieście, gdzie żydów liczą na tysięcy dwieście, na Jarmarku, na święty Onufry, znajdował się Major Łada, Konnopolec, najzawolańszy werbownik w Ułańszczyźnie. Szlachcic Litewski gdzieś tam od Grodna, ale z dawnego rodu, bo nosił nazwę pogańskiego kadzidła i pogańskiego bóztwa. Po rodzicach, oprócz klejnota szlacheckiego nieodziedziczył złamanego fenika, ale praworny, zawerbował się do Ułańszczyzny i wyszedł na człowieka. Rocznie płaci za posadę werbunku dwadzieścia tysięcy rubli asygnacyjnych dowódzcy pułku, dziesięć Generałowi brygady, pięć Generałowi dywizyi i przehula co rok ze trzydzieści tysięcy z sztabsoficerami, szampanem bankiem i poniterką i przy tem wszystkiem, już był posiadaczem tysięca dusz poddanych, z gruntami, z lasami i z dostatnim dworem, w którym, jak pączki w maśle, upływały w rozkoszy Pani Ładzina i dwoje małych Ładziątek. Z Majorem Ładą był Rotmistrz Talkowski z Litewskiego, porucznik Mirza Kryczyński z Tatarskiego, i kornet czyli chorąży Leśniowski z Wołyńskiego Ułańskiego pułku.

Otóż jednego dnia Pan Adam tak udobruchał Beznoska, słuchając jego muzyki, że ten przypomniał sobie dawne czasy, kiedy miał jeszcze nos; kazał założyć do Landary cug tarantów ze Szlemerowskiego stada, wówczas maść wielce ceniona, w modzie. Pan Adam tak mu przyrządził czarny bandaż na twarzy, że raczej wyglądał jak rycerz plejzerowany pod Maciejowicami, niźli ofiara arkuna tabańczyka niewiary, bo to był żyd przebrany za tatara, czy kałmuka i piękna towarzyszka była żydówka Rifka, przerobiona na Gruziankę porwaną w jakimeś tam Aule przez Moskali i umyślnie przywiezioną na Jarmark Berdyczowski dla Pana Chorążyca Godlewskiego. Konsyliarz Szlemer, który leczył Chorążyca, utrzymywał, że i tabańczyk kałmuki

Gruzinka byli rodem z Berdyczowa, mieszkali na piaskach żydowskich, w których grzęzły konie szlacheckie po brzuchu w błocie i gnoju rozmaitego rodzaju; że się z sobą znali, nawet kochali i że to była okropna zemsta żydowskiego plemienia, na szlachcica, z której można było zrobić jeśli nie tragiedyę, to przynajmniej dramat. Pan Chorążyc poprzestał na koncertach, i teraz jechał do Berdyczowa, w rocznicę nieszczęsnego wypadku, wydać finalny koncert.

Ledwie wysiedli w zajezdnym domie Mejorka Cudnowskiego, natychmiast zaczęli się pojawiać mnodzy goście, bo Pan Chorążyc, jak kometa długo niewidziana zjawił się na Berdyczowskiem firmamencie, a widać, że była oczekiwaną przez jarmarkowego Astronoma, Majora Ladę, bo on jak Astronom w tłumie jarmarkowym wypatrywał gwiazdy przyjazne i nieprzyjazne, i choć gołem okiem a nie teleskopem Herszla, zawsze niechybił i upatrzył przyjaciela, jakiego mu było trzeba. Jeden z pierwszych na czele swojego rzęsistego Ułaństwa zjawił się do Pana Chorążyca, przypomniał się z jakicheś dawnych czasów, na jarmarku, czy na kontraktach w Kijowie, czy na wyborach szlacheckich w Żytomierzu; dość że się przypomniał, opowiedział swoje pokrewieństwa z Grabowskiemi, z Cichockiemi, jednem słowem, że w przeciągu pół godziny został dawnym przyjacielem i bliskim krewnym pana Chorążyca. Tak miły wypadek, takie drogie przypomnienia trzeba uświęcić biesiadką, inaczej niebyłoby ani po szlachecku, ani po polsku a tem bardziej po Ułańsku. Pan Lada zaprosił na obiadek familijny, nie do Troskalawskiego w ratuszu, bo tam tłum rozmaitej szuji, jak na rynku, ale do Boreckiego, na Białopolską ulicę, tam obiaduje kwiat szlachty: Pan Seweryn Zaleski, Panowie Giżyccy, Głęboccy, Rzewuscy, Potoccy, a nawet czasami i Hrabia Kraczewski; tam obiadki wykwintne, aż palce oblizać po każdym zjedzonym daniu a do każdego podanego znowu śliwka płynie i winko i wszystko, co potrzeba do rozkoszy ciała i duszy.

Pojechano na obiadek i Pan Adam był w gronie; już w drodze zbratał się z Ułanami, oczów odciągnąć nieumie od amarantowych wyłogów, uszów, ani oderwać od brzęku szabel i podzwaniania ostróg. Szlachecka dusza się rozbudziła, obiadek był Ułański; Litewska boćwina, Tatarskie Kołduny. Wołyńska

pieczeń z grzybami i konnopolskie wino, węgrzyn a przytem manele i ceregiele kuchmistrzowskie, których nieszczędził Pan Borzecki. Kiedy przyszło do szampana, Pan Łada ofuknął!

Pfe z szampanem, limonadka dla Moskali bękartów, huzarów, nam polakom, ułanom, miodu Kapucyńskiego — «I miodem dopijali do pół do dwunastej, nie na basta. Kiedy weszli muzykanci a raczej muzykantki, z bębenkami, z cymbałami — wszystkie w ułańskich czapkach, na czarnych i na jasnych warkoczach a takie śliczniutkie, że aż serca do nich skakały, a jak zaczęły pluskać w ostrogi, ciężko było wytrzymać, wszyscy porwali się z miejsc i dalej w obertasy z Ułankami. I Pan Chorążyc i Pan Adam na miejscach niezostali: jeden obejmuje czarnobrewę, drugi jasnowłosę, a temczasem śliczne rączki wsadziły im na głowę czapki Ułańskie i dalej werbunka:

Prystań, prystan do werbunka,
Budesz isty z masłom Kunka.

Weszli i prawdziwi Ułani, tańce, hulanka, swawola, ledwo domu nierozwalą.

Kiedy tak koło werbownicze kręci się rajem, Pan Major Łada łyknął kielich ratafji, podparł się na łokciu, posiedział trochę zadumany i ocknął się jakby ze snu, świeży, przytomny i krzyknął na Wachmistrza:

— Dawaj spiski, pióro, kalamarz:

I zaraz, w przytomności świadków, posesionatów, hramotnych ludzi, zapytał dwóch zawerbowanych ochotników, dobrowolnie, bez przymusu, do służby Jego Cesarskiej Moskiewskiej Mości, do pułku konnopolskich ułanów: Chorążyca Godlewskiego i Adama Baranowskiego; pianych, niby na żart, postawiono pod miarę. Ułanki wyciągały i mierzyły; opisano wzrost, oczy, włosy, zgoła jak remenent Carski, dodano — Godlewski do frontu niemożebny, bo bez nosa, ale na trębacza doskonały, wolniejszy będzie miał dech do dęcia w trąbkę, a przytem muzykant z natury. Odczytano formularny spisek, czyli opis; świadkowie podpisali. Major Łada kazał raporta popisać, a werbowników odprowadzić na Piaski.

Jakież to było obudzenie się — w nieschludnej żydowskiej izbie, bez podłogi, na słomie, w Moskiewskich szynelach, leżeli

obydwa, spojrzeli na siebie. Z początku pusty śmiech, to to z nas zażartował Pan Lada, jakaż to maskarada.

Ale kiedy przyszedł wąsaty wachmistrz i gromkim głosem zawołał:

— Rebiata na nogi, i po Moskiewsku załajał w Ojca, w Matkę i po polsku w diabła, jakiś nieznany strach przejął obydwóch, schwycili się na nogi, patrzą po sobie, na wachmistrza i nic powiedzieć niemogą; usta zawarły się czy podziwem, czy strachem.

Wachmistrz uśmiechnął się i pomruczał — Rifka, podaj Bakańczyk, niech się trochę rozczumają, pijaki, hultaje, trzysta diabłów by ich wzięło» i pokręcił wąs.

Ryfka, obrzydla żydowica, jak mówią, flondra rozszlapana, bez nosa takoż, przyniosla dwie szklanki z wódką. Jak spojrzała na Chorążyca, zaraz poznali się z sobą. Ona mu szepnęła —

No w jednę i też samą rocznicę i nosa stracić i głowę stracić, piękny mi Ulan —»

Nietykali wódki, oba milczeli, jak dwa słupy stali: Wachmistrz tupnął nogą.

— Srul, hajde pobodź Ułanów śpiących pod strychem, milion diabłów, dość tego wyciągania się.

Pojawił się srul, był to nie kto inny tylko tabańczyk kalmuk, ale takoż z twarzą pokameryzowaną, widać, że arkan i jemu był nie na rękę. Przechodząc koło Chorążyca, szepnął: trzeba teraz dobrze posmarować łapę i Panu Ladzie i staremu Wachmistrzowi i mnie dobremu słudze, kiedy chcesz, żeby z głową niezrobiło się to, co z nosem.

Wachmistrz oddał zawerbowanych Unteroficerowi, żeby ich pogolono, postrzyżono, pomyto, po ułańsku i zaraz wzięto się do roboty — a oni nic niemówili.

O tym wypadku, choć one często się zdarzały, wieść rozeszla się po jarmarku, od Machnowieckiej do Bradzkiej rogatki, od Białopolskiej do Żytomirskiej, o niczem niemówiono tylko o trębaczu beznosym. Rodzina, obywatelstwo zaraz o tem się dowiedzieli. W próżby, w perechowory do Pana Lady, ale to urzędnik Carski niezłomny, za lada proszę, za lada uśmiech i ukłon, chóćby najpiękniejszy, wiary carowi niezłamie, przepisów, choćby jeszcze nie ukazów nieprzekroczy; on wie, że z ukłonu szalig zrobić niemożna, choćby jakiego sprowadzić kusznierza. Dobrze

się trzymał i musiano mu wyliczyć brzęczącą monetą trzydzieści tysięcy rubli karbowanych, żeby zreformował Chorążyca, jako bez nosa a oprócz tego musiano dać doktorowi, wachmistrzowi, ułanom a nawet Srulowi i Ryfce, tak że pan Chorążyc na dopełnienie tego deficytu musiał sprzedać wieś Sosnówkę, nad Hryłopiatem, z donośnemi młynami, przynoszącą czterdzieści tysięcy złotych polskich rocznej intraty. I przytem musiał sposobem wynajmu nakłonić ośmiu tęgich chłopaków z Gwozdawki, szlachty, żeby nadzieli i kurtki Ułańskie i Ułańskie czapki, i służyli białemu Carowi, za zdrowie i za pieniądze Pana Chorążyca. Pan Adam, kręć, wierć musiał zostać Ułanem, Pan Floryan za wykupno niechciał dać i cugu malowanych koni, powiedział: co Pan Bóg zrobił, tego ludziom nieodrobić, wyszykuje się w Ułańszczyźnie i wyjdzie na ludzi, świata zobaczy i nie z jednego pieca będzie jadł chleba, nabiera smaku w gębie i w głowie. Wojsko to najlepsza szkoła dla młodego człowieka i to herbowego szlachcica. Pan Floryan poganin, to co zrobił pogański Lada, składał na Chrześciańskiego Boga, który pewnie się niemieszał do Ułańszczyzny, szczególniej do werbunków Majora Lady.

Tym sposobem Lada werbował Ułanów Carowi, a sobie kobzę Carskim groszem napychał i tym sposobem Pan Adam został Ułanem, Konnopolcem a Panna Julia została w panieństwie, bo Matka ani słuchać niechciała, aby kiedykolwiek mogła wydać kochaną córeczkę za Konnopolca, golca, i z całej tej miłości został przy Panu Adamie kapszuk, nie na tytoń, ale na łzy i na westchnienie miłośne.

Wyszykował się w prawdzie na człowieka w Ułańszczyźnie, zapomniał i pacierza i sylabizować i malować — i jak po dwóch latach, czy po półtora roku, przechodził z Wołosza, z Admirałem Czeczagowem, pod Napoleona, czy na Francuzów i zajechał do Słobodyszcz, z niemiecka Pan Chorążyc schował się w szafę i niekręcił korby pozytywy, ale taka go drzączka napadła ze strachu, żeby znowu go niezrobiono Ułanem, że dzwonił zębami, jak gdyby chciał wykomponować nowy jakiś dźwięk muzyczny, dla ludzkości, instrumentami natury a nie sztucznemi, a panna Julia choć jeszcze niezamężna zobaczywszy zbisurmanionego Pana Adama, uciekła i już więcej o nim słyszec niechciała i, jak

mówią ludzie, że gdzieś na dewocie w panieńskim stanie życia dokonała.

Bo też w prawdzie Pan Adam ogromnie zbisurmanił, prześmierdł tytoniem, że był jak bikcza chodząca. Wypasł się na mamałydze jak Wołoch, zczerniał od słońca, czy od pocałunków cyganek jak cygan, a do Moskiewskich komplementów w Ojca, w Matkę, do polskich, w diabła, dodał jeszcze i Wołoskie i Tureckie połajanki, tak że mówił językiem, którego nikt zrozumieć niemógł jak Hotentota, a Panna Juliana leżała już do owego pokolenia płci pięknej, wyszlypłowanego na wzór angielsko-francuzki, któraby nigdy niepozwoliła sobie powiedzieć, kobyła albo klacz, ale rumaczka, a przynajmniej źrebcowa żona, albo siostra albo kochanka, która zaraz, zapłoniona, wychodziła z pokoju, jak zaczęto mowić, choćby z powodu krawców o szarawarkach albo o spodnicach, która nigdy, jak Angielki, nienazwała udo albo udko kurze, tylko tylna łapka kury. Zawsze wyszukane wyrażenia, gotowość do rozprawy: o wysokich naukach, o poezyi romantycznej, a nawet filozofii religijnej, choćby z Księdzem kanonikiem, byle kanonik był bo temu i postawą i wartością, bo płeć piękna, naciągnąwszy zmysły i umysły na tak wysoką stronę, to wielka znawczyni i ludzi i księży. Nic dziwnego, że takiej pannie niespodobał się zbisurmaniony Ulan; jak miała z nim żyć nie po chrześciańsku, wolala umierać przy Księdzu kanoniku i po Chrześciańsku i z pewnością wyśpiewywania symfonii na tamtym świecie.

Pana Adamowi zrobiło się markotno, załajał w myśli różnemi językami, nie Pannę Julią, ale Księdza kanonika, bo go tam zastał grającego z panną w warcaby, nim zaczną w tryktraka. Od tego czasu powziął wstręt do stanu duchownego a szczególniej do kanoników; pomruczał: przeklęte wilczysko, tylko czyha na cudze owieczki i jak porwie, to już mu ani wyrwać, by żebyś to ty mi się popadł do werbunku, dał bym ci feferu pod rewerendę, popa bizunami bym przerobił na grenadiera. I w Ułańszczyźnie zrobiono powiastkę, że Baranowskiemu Wilk porwał kochankę, i z całej tej strzelistej i ognistej miłości został mu tylko kapszuk na pamiątkę —

I Pan Florian niekoniecznie dobrze przyjął Siostrzeńca;

zapytał o dżamety Arabskie, o bursztyny paszowskie, o szable damasceńskie, o janczarki i o cały poczet tych bogatych a przepysznych rzeczy, któremi Moskiewscy wojacy darzą swój kraj po powrocie z wojny ze wschodu. Pan Adam przyznał się, że o tem i niesłyszał: wprawdzie był dostał pod Jergiowem, czyli Giurgiewem, w jazur, piękną cygankę, młodą i tanecznicę, ale i tę oddał na własność pułkowi, pro bono publico.

Pokazał medal za waleczność, na Świętego Jerzego wstążcie i opowiedział, jak raz ciemnej nocy, jadąc ze swoim rotmistrzem Janem Kantym Głębockim z rozkazami Jenerała Ururga, do Pułkownika Ilgiestroma, zatknęli się na oddział Spahizów tureckich, którzy zaczęli krzyczeć, hała, bała — a potem ze strachu, jakby się pochrzcili na Chrześcian Amen, Amen. I pan Rotmistrz był zbitym z pantałyka, zwrócił konia nazad i my za nim, w kłus, a ciągle i on i my wołaliśmy po turecku; hajde, hajde, co na Muzułmanów, Bisurmanów miało wywrzeć wrażenie, jak kiedy dobry katolik kuszony od diabła, woła! Vade satanum, ale Bisurmanie za nami, my w galop i oni w galop, my w czwał i oni czwałem a Rotmistrz jak opętany wrzeszczał: hajde, hajde i my wtorawaliśmy hajde — i takieśmy wlecieli aż do obozu Generała Ururga. Alarm, strzały, krzyki, ale chwała Bogu że nikogo niezabito, bo to w bójkach nocnych tak najczęściej bywa. Kilka Ułanów potłukło się między sobą a kiedy rozpalono ognie, ujrzano Bisurmanów, ale już na ziemi, zsiedli z koni, broń rzucali i krzyczeli Amen. O mało na kolana niepopadali; było ich sześćdziesiąt jak rybie oko. Jak się wszystko zrobiło, o tem z nas nikt dobrze się dowiedzieć niemógł, ale Rotmistrz raport napisał, i w kilkanaście dni potem ukazem czy przykazem Carskim Rotmistrz został przeniesiony do starej gwardyi, obdarzony krzyżem Świętej Anny.

Z bancikiem, szablą z napisem: Za waleczność — mnie dano medal i prawo przeniesienia się na junkra, do Achtyrskiego Huzarskiego pułku, bo w Ułanach wszyscy szlachta, więc junkrów niema; dwóm szeregowym dano po pięć rubli srebrnych; to podwójny żołd roczny, a syna Pułkownika Ilgiestroma, Aleksandra, kwiczącego wówczas w pieluchach, w Berdyczowie, przy Matce, awansowano na korneta do Wołyńskiego Ułańskiego pułku, bo

Pan Rotmistrz Jan Kanty Głębocki, wielki przyjaciel rodziców, o nim myślał, kiedy krzyczał hajde i parł do obozu.

Pan Barszczewski wysłuchał i powiedział: Przechodź Waćpan do huzarów, tam grają w karty, może sobie wygrasz fortunkę, żebyś miał z czego żyć na starość, bo w tej Ułańszczyźnie zapomniałeś nawet to, co odemnie się nauczyłeś, a to, co się nauczyłeś, to diabla warte, na nic. Jedź Waćpan z Bogiem! Dał mu, jak to mówią, krzyżyk na drogę, ale do kieszeni ani jednego szeląga.

Został huzarem i to Ahtyrskim, i tam niebyło lepiej; oficerowie same Niemcy, bez czci, bez serca ludzie, za najmniejszą rzecz, do lochu. na chleb i wodę, kiedy sami spijali szampana i zjadali pieczone indyki. Junkrów, jak tylko polacy, Moskali Sławianie, sadzali na wszystkie dachy, na krokwie, jak na konie, w całej paradzie na dobę całą — i prześmiewali się jeszcze. Her von junkier, pożałuj Mundur obrzydły, tabaczkowy z żółtemi sznurami, kapucyński kolor, z oznaką tchórzostwa, i na prawdę ten pułk wszędzie a wszędzie uciekał. To wszystko tak zmierzło Carską wojenną służbę Panu Adamowi, że niechciał iść z wojskiem Carskiem do Paryża, pewny, że i w Paryżu niezrobią z owsa ryżu; dał dymisyą i wrócił do wujaszka do Brodecka.

Wujaszek, człowiek miłosierdny, nauczył już innych malarstwa, ale zrobił go leśnyczym i stawniczym i wręcz powiedział: szanuj się, żebyś niezostał kpem i niczem, według przysłowia naszych Ojców.

Pan Adam znalazł się w swoim żywiole i wziął się na prawdę do swojego obowiązku. W całej okolicy, od Murowanej Machnówki aż po rzekę Teterów, nikt tak nieumiał doprowadzić po ponowie, na hece zająca, z żyrów, dwojek, trojek i zaskokin, lepiej te umiał czytać jak w abecadle. Nikt tak z kluczek lisich niedoszedł do kubła, jak pan Adam i wilka osadzić, koniem sforsować, z gończemi podłożyć w knieji, poprawić zgubionego zwierza, nawołać, zatrąbić pojezdne a nawet i wybić pognobowe. Sława jego rozeszła się po okolicy; panicze Pilchowscy, Grudzińscy u niego terminowali łowieckiej sztuki a Pan Światłowski co jesień zapraszał go do Żelechowa, na polowanie na lisy, w trzcinach nadchryłopiatowych. To go wprowadziło w świat. i na jednem z tych polowań o mało co nieodsadził od Ninony Polskiej,

Pani Światłowskiej z domu Zaderówny, wdowy po Generale Kościelskim, zgrabnego Kapitana szaserów polskich, Tadeusza Grabskiego. Skoczną Ninonę znudziły kadryle, walce a nawet mazurki, chciała pobróbować tańca myśliwskiego, ale Pan Adam tak się wziął niezgrabnie, że w krzakach zaczepił się z owej ozdobnej Ninony i razem zerwał poneczkę; żeby nie punkt honoru, byłby uciekł Pan Adam od łysej piękności jeszcze prędzej jak od Bisurmana, ale szlachcie dotrzymał, przeprowadził przez zarośle i oddał kapitanowie szaserów dodając: zabieraj, ja wolę cyganki. Ninona nieodważyła się więcej chodzić na myśliwskie tany, w chaszcze, ale żeby jej ta nowość niemiała się podobać, tego niemożna było powiedzieć, tylko one, Pan Adam i Pan Tadeusz mieli o tem wiedzieć. Pan Światłowski nie, bo o tłukł lisy i solenizował zwycięztwo nad lisami.

Pan Floryan był rad z wziętości i ze sławy siostrzeńca, bo pod jego skrzydłem mógł przeprowadzić swoje faciendy, na koniki, na pieski, na strzelbeczki.

A jeszcze większą miał pociechę z rybołostwa. Pan Adam tak pourządzał sieci, spusty, łówkę z pełnego stawu, czy to po wodzie, czy to po lodzie, że Brodeckie szczupaki, karpie, osunie, karasie a nawet płoć nietylko sprzedawano w Murowanej Machnówce, ale nawet przywożono na targ do Berdyczowa —

Przy tem Pan Adam lubił pasiekę, bo to szlacheckie zatrudnienie, pracą pszczołek miód przysposobić, żeby go potem spijać. Tak szło błogo życie Pana Adamowi, aż do roku tysiąc ośmset trzydziestego pierwszego. I w Murowanej Machnówce zawołano: w Warszawie powstanie, wielki Książe Konstanty z Moskalami uciekł, Książe Adam Czartoryski, Jagielon, królem polskim został, Panowie szlachta do broni, panowie kozacy na koń, a pan Adam i szlachcic i kozak, osiodłał szpaczka i ruszył szukać kosza; tą razą Pan Floryan wyprawił go serdecznie; w trzcs włożył złota i srebra i wyprawił w tę samą drogę swojego zięcia, dawnego oficera wojsk polskich, Tadeusza Przyborowskiego, z pocztem sowitym kozaków dworskich. Przyborowski dzielny był oficer i prawy mąż, a Pan Floryan niepokalany polak, i sam by poszedł, żeby nie podagra, rozpoczęte a nieskończone faciendy i nakaz, aby pozostał w domu, niby Wojski

Berdyczowskiej dzielnicy, z innymi wojskiemi, którzy zostawali dobrowolnie, nie z nakazu.

Pan Floryan posłał swój poczet do kozaczego kosza Karola Różyckiego i Pan Adam od razu został Wachmistrzem pierwszej sotni. Niepoślednia cześć być Wachmistrzem w sotni, gdzie byli Pilchowscy, Omieciński. Raszkiewicz, Raczyński, Wielobywcy, Czajkowski, Budzyński i cały ten poczet szlachectwa kozackiego, który był zarodem kozaczej starszyzny na przyszłość; to więcej jak generalstwo w jurgieltowej piechocie, i Pan Adam był pyszny z swej posady i z swej władzy. Tak że żyd Arędarz z Mołoczek widząc go przejeżdżającego na szpaku koło swojej karczmy, po odniesionem zwycięztwie, cmokał: Nu, jak on się czwani, więcej jak nieboszczyk Generał Bartłomiej Giżycki, i ma z czego, bo Pan Giżycki był Generałem Moskiewskim, a on Wachmistrzem kozaczym, taki prawdziwego polskiego kozactwa, więcej wart, niech się czwani, na zdrowie mu i na długie lata.

Jak hulało to kozactwo Karola Różyckiego, jaką się sławą okryło, jakiego pieprza napędziło Moskalom, to o tem wie świat cały, jak długi, jak szeroki. Tyle o tem napisano, że jeszcze pisząc człowiek by się przepisał, i niepowiedziałby tego co było, bo to się nie da ani opowiedzieć, ani opisać, a kto to widział, to mu z podziwu i myśl szaleje i język szaleje i niewydobędzie z ust tylko krzyk podziwu, jak Pielgrzym Mickiewicza Adama na Czatyrdachu — a! a!

Żyj, żyj Karolu Różycki, nasz serdeczny Watażko, porzuć duchy a siądź na konia prawdziwego i weź w dłoń prawdziwą szablę. Może Bóg w swej łasce pozwoli ci spełnić jeszcze to, coś spełnił już. Pomniej, że i stary Palij, choć ślepy, siadł na konia i stanął przed kozactwo, kiedy było trzeba. Nie w formułki się bawić, nie z duchami rozprawiać, ale na konia z szablą trzeba być przed kozactwem, bo Polska biedna, bardzo biedna. Niech Władysław Zamojski w broszurach i w manifestach kleci katolicką Polskę a Karol Różycki powinien wieść kozactwo przeciw Moskwie, na zbawienie Polski, Litwy i Rusi pod berłem króla Polskiego. idącego ze swojem wojskiem Kozackim do swego Kijowa, do swego Wilna, do swojej Warszawy i do swego Krakowa. Każdemu Jego rzemiosło, Bóg tak chce i biedna Polska o to woła.

Wojowali, wojowali i weszli do Galicyi, do Polski Austryackiej, złożyć broń Niemcom, jak złożyli wszystkie inne wojska polskie tego nieszczęsnego tysiąc ośmset trzydziestego pierwszego roku, a było ich wiele; ciągnęły pułki za pułkami i jazdy i piechoty i harmaty, ale niebyło króla, niebyło wodza; poszło to wszystko na Czużynę, jak pokolenie Izraela po zniszczenie Jerozolimy. Smutek z nimi, żal i rozpacz za nimi, ale nadzieja w sercach, bo ta nigdy nieodbiega, choćby najbiedniejszych, pod szubienicą Carską nawet.

Wachmistrz Baranowski, ozdobiony krzyżem srebrnym cnoty wojskowej, za waleczność, w każdej bitwie, a były mnogie, szedł także na Czużynę, niechciał zostać oficerem, i zawsze odpowiadał Karolowi Różyckiemu chcącemu mu dać ten stopień dobrze zasłużony: Oficerowie, to wszystko panicze, parler français, o historyi, o poezyi, o Bóg wie czem, a ja ani pisać ani czytać nieumien, tylko ot bazgrzę i sylabizuję, jak klucznica; jakbym został oficerem, musieliby powiedzieć: gbur, nieuk, wstyd robi naszemu mundurowi, nigdzie go pokazać niemożna, i mieliby prawdę za sobą, a Wachmistrzowi tego niepotrzeba. Stary Baran, chodź z nami na kalteczan, na pończyk, na obiadek i bratamy się z sobą, aż miło ; wolę zostać starym Baranem, Wachmistrzem wąsatym, którego kochają i cenią, choć się czasem naśmieją, jak awansawać na podporucznika, gbura, nieuka, szuję, któregoby odpędzano i którymby pogardzano słusznie.

Miał prawdę za sobą, przekonał Karola Różyckiego i został Wachmistrzem, towarzyszem ukochanym wszystkich oficerów. Na Czużynie przewróciło się w głowie Pana Adamowi, jak i wszystkim innym poprzewracało. Został kosynierem i bratem żołnierzem, na wytępienie demokratów, karbonarów i wszystkich tych, którzyby niechcieli uznawać i słuchać Królewskiej władzy. Potem przeszedł do demokracyi i chciał wszystkich bizunami walić w skórę, żeby ich porobić demokratami; mówił, chłopi są demokraci, temu zaprzeczyć nikt niemoże, a ich ćwiczą bizunami i zapewnie dla tego są dobrymi demokratami, więć trzeba wszystkich ćwiczyć, żeby nimi byli; wszedł nawet do Karbonarów dla tego, że ich nazywano węglarzami, ale że nie nierozumiał went, które mu tłumaczono że są porębami, splunął i rzucił węglarstwo i demokracyą; obszedł z daleka katolicyzm klasztorko-

wy, zmartwychwstańców. bo mu kanonik zawsze był w myśli i w sercu a rzucił się do duchów Towiańskiego; zaciągnął go tam Seweryn Pilchowski, Marchiewka.

Niezostał jednak pasternakiem, dla koleżeństwa, ale dziwną przygodą został wyprowadzony na pole czynu z tego chaosu, targania się zbezwładnionej myśli doktryną Mistrza, który, jakby naszyszem, albo dondesą Ukraińską rozpoił kwiat wychodztwa polskiego, najdzielniejszych mężów czynem i sercem, i cieszył się w Genewie, że tak wysoko, na szubienicę niepraktyczności, ducha podniósł, że tych ludzi życia zbezwładził, jak prawdziwych wisielców.

Pan Adam Baranowski i w Paryżu niezostał hramotnym człowiekiem, piórkiem niemógł nic zarobić, a trzeba było żyć. Wziął się tedy do terminowania Kapelusznictwa. Kapelusznik był niemiec, jakiś Szmit, pulchny, rumiany, zwyczajnie opasły słoniną i piwem, ale kapuluszniczka, francuzka, Paryżanka, z łacińskiej części miasta, nasłuchała się prawa i medycyny, nim dostała się kapelusznikowi. słynęła niegdyś na balach Mabilu i Szomiczy, umiała i kaszunę i kankuna. a nawet najnowszy taniec, noga co drga, umiała tak w drganiu podnosić nogę od ziemi aż do wysokości twarzy, a zawsze wyciągniętą naprzód, że we wszystkich oczach drgało, w takt drganiu nogi; choć już miała wiek pełny piękności Balzaka, jednak była jeszcze fertyczna, oko czarne i figlarne, włosy połyskujące jak pióra krucze, nie blada chorowicie, nie rumiane jak praczka, w samą miarę miała wszystkiego i wzrosła, i jak to mówią szamiru; niepłoniła się za lada słowem. niespuszczała oczów w ziemię. jak kto na nią patrzał. Hrabia Henryk Krasiński, pisarz bitwy pod Kirholmem i wielu innych romansów i dram niemiałby potrzeby do niej pisać — „Ja nie jestem chłopaczek, waćpanna niejesteś dziewczynką. więc wiedzieć powinniśmy, czem się kończy każda miłość: po co zaczynać od początku, zacznijmy od końca. Nazywała się Eglantina, i Pan Adam nieraz w zmieszaniu się, nazywał ją Galantiną, dobrze że nie z drobiu, bo i to dobra.

Eglantina czy Galantina była zbiorem a nawet pod pewnym względem doskonałością grzyzetki i loretki: choć została kapeluszniczką, obżenioną ze wszelkiemi przepisami, i w urzędzie i w kościele.

Pan Adam niespisał się jak Niemiecki żołnierz, który po roku stania na kwaterze, u jednej mieszczanki, wychodząc, żałośnie szwargotał, żeby jeszcze jeden dzień, tobyśmy się z sobą pokochali. Pan Adam tejże samej godziny jak go przyprowadził opasły Szmit i powiedział żonie: znalazłem czeladnika i to go masz, i wyszedł szukać dla niego roboty — zaczął od końca terminowanie i pokochali się z sobą. Tak na dobre, że Eglatina doświadczona, powiadała swoim dawnym towarzyczkom: niema jak niehramotny kochanek.

Dobrze się działo Baranowskiemu, szyć kapeluszów ani się uczył, ani nauczył, ale od kapeluszniczki nauczył się wszystkich tańców, tak że sam sobie nieraz mówił: gdyby Bóg dał dostać się do jakiego wojska, zaraz bym poszedł na oficera i to bez strachu, bo jużby niepowstydził choćby jakie oficerstwo, i parler français jest, i umie się kankanika a nawet nogę co drga.

Jednego razu, kiedy wszedł ale do duchów, zaprosił do siebie na śniadanko, to jest do kapeluszniczki, dawnego towarzysza Pana Seweryna i kistoryka konfederackich czasów Pana Ludwika, bo do konfederacyi miał wielki pociąg: niepozwalam i do korda, niepozwalam i na koń; to dawne czasy przypominało, obydwa byli duchami jak i Pan Adam, ale śniadaniu niepuścili płazem. Zjedli i cynadry wysadzane na winie, przysmak Gryzetki, i sałatę z Omara, bo trzeba była zjeść tego potępieńca, który spalił bibliotekę Aleksandryską i był przyczyną, że Pan Adam się nic nienauczył. I jajecznicę dętą na rumie czy araku, przysmak Loretki — i bez kapelusznika spijali wino, które chował na chrzciny, za zdrowie kapeluszniczki, i brulas, żeby było zupełnie po francuzku.

Było wesoło: skakali, tańcowali, bo i Pan Seweryn to był tancerz nielada. i tak jeszcze niewychmielony; przypomnieli sobie, że Mistrz zwołał na wielkie posiedzenie wszystkie a wszystkie duchy. Więc za kapelusze, i dalej w drogę. Kapeluszniczka na głowę Pana Adama włożyła nowiuteńki kapelusz męża, żeby był piękny między duchami.

Na tem to pamiętnem posiedzeniu Mistrz kazał o poddaństwie, że poddaństwo jest najwyższy szczebel wyzucia się siebie, zapomnienie swojego ja, podniesienie ducha na takę skorę, że jej po tem niezostaje tylko osiągnięcie doskonałej błogości i naj-

wyższego szczęścia, że zapisanie się Polaków w poddaństwo Cara Mikołaja niebyło by czem innem, tylko odpokutowaniem zarozumiałości butnej, która ich zgubiła, i przejściem z ozobistości czyli prywaty, do ogółu, któryby doprowadził do osiągnięcia wielkiego celu. Słuchali — a Pan Seweryn zawrzasnął: Ja się zapisuję w poddaństwo Mistrza, jestem twoim poddanym, bij mnie, karbuj skórę, jak ja karbowałem Jacentemu, Chwedkowi i wszystkim moim poddanym.

Pan Ludwik zatrząsł się na takie słowa; konfederacka butność zagrała do duszy: Niepozwalam, precz z poddaństwem, szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie, każdy szlachcic ma prawo do korony.

A Pan Seweryn na takie bluźnierstwa, niemając kańczuga, parasolem w łeb urznął Pana Ludwika.

Zostań poddanym, chrzcę cię na poddanego — i porządnie okładał, gdzie popadł, jakby już prawdziwego chłopa, zapisanego w skazki poddaństwa Mistrza. Zgiełk, wrzawa, bójka się zaczęła na prawdę. Pan Adam chcąc rozbronić tłukących się towarzyszy, dostał nie w łeb, ale w kapelusz kapelusznika, takie uderzenie już połamanego parasola, że dwa odrywki fiżbinowego rogu zostały w kapelusza, i tak się wyniósł z bójki, z posiedzenia i dostał się do domu.

Był wieczor, szaro w domu, gazu jeszcze niezapalono. Kapelusznikowi było spieszno do kawiarni, na piwko i domino, kapelusz ledwie zsadzony z głowy Pana Adama został wsadzonym na głowę Pana Szmita, ale tu zaledwie wszedł do kawiarni już oświeconej gazem, wszyscy go otoczyli, winszują, ścikają, śmieją się, a on niewie z czego, aż nareście jednak rodak niemiec zaprowadził go przed lustro. Widzisz, z czego się śmieją, bo ci rogi wyrosły na głowie tak wielkie, że przebiły kapelusz i przypatrz się jak sterczą —»

Kapelusznik człowiek spokojny i tak wierzył Eglantynie, więcej jak sobie samemu, byłby rogi wyjął z kapelusza i rzucił na ogień w kominek, ale ludzie co jak to mówią, w oku sąsiada słómkę widzą a w swojem to i wielbłąda niezobaczą, żonaci, rogate, i to na dobre, bo o to w Paryżu nietrudno, szczególnie Niemcomi kiedy się zachciało mieć za żony francuzki, Paryżanki, — tak sobie zaczęli żartować z biednego Szmita, że on zaprosił

wszystkich, aby szli z nim do domu i przekonali się o nieprawdzie, że on niema rogów, że to potwarz, bajka, i poszli wszyscy gromadą, bo u ludzi na to, jak to mówią, jak na lato.

W domu zaś było takie zdarzenie. Eglantyna, wyprawiwszy męża, pożałowała biednego Adama, czy nie ranny; serce kobiety takie litościwe; męższyźni tak lubią ukrywać rany przez fałszywy wstyd. Jak zaczęła prosić, przymilać się, dokazała swego. Rozebrali się oboje, jak do mówią, jak do rosołu, niewiem dla czego, bo niewidziałem rozbierających się do rosołu, i tak ich niestety została gromada ciekawych, a na jej czele mąż.

Pan Adam ani głowy, ani serca niestracił, porwał za kij, jak machnął w lewo, w prawo, tak gromada w nogi, a wszyscy byli Niemcy. Spadali ze schodów, tłukli sobie łby po ciemnych korytarzach.

Ale wrzask na ulicy; policya dom otoczyła; chwała Bogu, że Pan Adam, ubrawszy się, mógł się wymknąć na ulicę, bo z policyą, choćby jaką, nawet francuzką, niechciał mieć do czynienia. Napajży miał wstręt; co tu robić, myślał, słyszał, że się wybierają czy też wysyłają na wschód do Stambułu, na jakąś wojnę Polaków. Znał on dobrze stambułki lulki, przedawane w Berdyczowie w sklepie Greka, Mikołaja Kaczawna; wiedział, że Bisurmanin nigdy się niepojedna z Moskalem, słyszał nawet, że sprzymierzeniec Polski; więc jak w dym udał się do Pana Hipolita Błotnickiego, Namiestnika i skarbnika Księcia Adama Czartoryski. Znał go jeszcze z wojny w Sandomirskiem, pod Iłżą, pod Lipskiem; wiedział, że odważny w boju a poczciwy w pokoju, to mu było dość, opowiedział bez ogródki od A aż do Z całą swoją przygodę. Niefrasowali się, niepłakali, ale przy pończyku, polskim szlacheckim, naśmieli się i z duchów, i z rogów, i z Niemców, a nawet trochę i z Eglantiny. Pan Hipolyt dał forszus na drogę, paszport, a co więcej, przedstawił Księciu Adamowi, który lubił także się pośmiać, i radził, żeby wziął fez turecki, albo czapkę kozacką, a zarzucił kapelusze. Pan Adam dodał; kapelusze, zgoda. bo to niemieckie, ale kapeluszniczki nie, bo to francuzkie i pojechał. Przez całą drogę, często, gęsto zdarzało mu się myśleć o Eglantynie, ale częściej jeszcze zjadać Galantynę.

W Stambule niegościł długo, przyjechał do Szumli i wszedł do kozaków Otomańskich na kapitana i niewzdrygał się od przy-

jęcia tego stopnia, choć znowu znalazł się z dawnymi towarzyszami jazdy Wołyńskiej, ale już umiał parler français — i Eglantyna tak tańców wyuczyła, że był nietylko dziwotą dla Cyganek, dla Bulgarek ale nawet dla Rumanek i dla żydowki Chajki; całą gębą był oficer i Kapitan. Jak huknął na kozaków: Hej do bałabajki, a sam się wziął do Chajki, to aż strach; sotnia piszczy a tańczą — Choć dziad, a do końca był taki, na końcu paliwoda siwego umywał pianą, o rozgrzewał ostrogami. dzień i noc na nogach, za wszystkich robił służbę, często z zapomnieniem siebie, nieraz mu się zdarzało, wynaleść podwody, lub kwatery dla wszystkich innych sotni, tylko o swojej zapomniał. Sotnię swoją, jak mu bzik przyszedł do głowy, w ciemną noc uczył po krzakach manewrować i maszerować, mówiąc: kozakowi to trzeba, omackiem tak wszędzie powinien dojść w nocy, jak inny dojść nie umie w jasny dzień Kozak w nocy powinien być sową, kotem, wilkiem, a w dzień jasny sokołem, orlem, krukiem, wtenczas, gdzie go powróć to kozak. Baranowski był dzielnym, na czele swojej sotni pierwszej w liczbie, jak dawny Watażka kozaczy, grasował po Wołoszy i po Multanach, zjadał Mamałygę i popijał wino belubeskie. Czcił Bojarów, w ryzie i w respekcie trzymał Czokajów, a nieprzebierając między Bojarkami, Czokajkami i Cygankami, do wszystkich cholewki smalił i koperczaki palił — jak tylko się trafiło. Tak przeszedł Kalugiereni i Dumbowicę sławny Bukareszt i Ibraiłę, pomną moskiewskich klęsk, i niewycemkości Romanów Niemieckich, przeszedł Seret i oparł aż nad Prutem.

Niemcy szwaby, przeklęte plemie, krzyknęli: hola Pan Polak, Pan Kozak, i wrócili z nad Pruta na naddunajskie Dobrudżę — tam choć tęskno, bo wrócił nazad, ze szlaku do Ukrainy, do Berdyczowa, do Murowanej Machnówki, ale zawsze kozakował, demokratyzował nahajem, bo w inną zasadę demokratyczną, jak nahaj, niewierzył, a był demokrata i konfederata, niepozwalam — na wszystko i wszędzie, ale tylko w słowach: w czynie, słucham i wnet co kazano, to było przez niego wykonano, jak z płatka — w mig. O nim mówiło kozactwo: Jak gębę otworzy, to plecie koszałki opałki i nikt go nierozumie i sam siebie nierozumie, jak ogrzęźnie w pozorze, to targa się targa, i ani weź, splunie, tupnie nogą, machnie ręką i zagryzie język, żeby milczał. Ale kiedy koniem posunie, szablą machnie, to aż serce

rośnie. Na żołnierza się zrodził, nie na mówcę, na kozaka, nie na demokratę ani na ducha.

Pognano kozaków z nad Dunaju aż za Olympu górą na Heleńskie granicy na strach Solonych Greków. I wtenczas kozactwo wybrało Baranowskiego Sandżaktorem. Jemu powierzono do noszenia Chorągiew kozaczą, dar Sułtanów, znamię dawnego Zaporoża. Ten kto kozakował pod Karolem Różyckim i kto kozakował jeszcze po przeliczeniu omnia krzyżyków z dobrą górą, kto do sociny dochodził i kto to długie obrzny wiekanoc przekozakował. w męztwie, w cnocie, w uczciwości wojskowej i w sławie, ten był godnym być Sandżaktorem kozaczego pułku, pod pułkowodzcą Kirkorem, między takimi kozakami, jak są ci dzielni Otomańscy kozacy.

I Farsalskie pola, gdzie się tłukli Rzymianie z Rzymianami, Numidy z Tesalczykami, i Kosowe pola, ten Majdan bojowy rozmaitych narodów, te szranki Bisurmańskiej sławy, grobowisko Sławian, ta sień wejścia do Sułtańskich posiadłości, ożywiały się dawnemi wspomnieniami, patrząc na tego Sandżaktora, hasającego siwym koniem i puszczającego na wiatr chorągiew, ze srebrnym Księżycem w krwawem polu i ze złotym krzyżem w srebrnem polu i jak za nim sunął trop w trop pułk kozaczy. Z grobów wstawały cienie Jagowiczów, Obilicza i samego Cara Lazara, radowali się Sławianami, i Sułtan Amurat cieszył się niemi: to moi wojnicy, wojnicy moich następców, to Sławianie i w moich prawnukach płynie krew Sławiańska, krew Srbska. Sułtan Abdul Medżid ożenił moje wojnictwo z kozactwem Mustafy, piękne to wojsko. Niech będzie mu sława. Tak mówili cienie bohaterów kosowego pola i lasy gór szumiały ich słowa i wody Łapu i Siamicy mruczały temi słowami, a pole kosowe tętniało pod kopytami Kozackich koni.

Takim był ów Sandżaktór, który po raz drugi rzucał Tesalską krainę, a spieszył na północ, ku Bałkanów, ku Dunajowi, za Dunaj. Już on w myśli nad Hryłopiatem, nad Zlajwą, nad Teterowem; co mu tam po rządzie niewidomym i po Ksieżach i po Rabinach. On chce Polski, chce Ukrainy, o łupy mniejsza, z chęcią je oddawał Tatarzynowi; weź sobie Tatarzynie to wszystko co, zostanie po Moskalach, nawet skóry pozabieraj, i powykręcaj na jucht, żebyś miał z czego robić uzdeczki i nahajki, ale

co mi po tem niewidomem, ja chcę widomego; powołać kozaków i bić Moskali, a jak wsiądą kozacy na koń i postawią kogo na swoim czele, choćby najwidomszego, to zobaczymy, czy go zrzucą, choćby tam jaka szlachta, choćby Zmartwywstańce konfederacyi Barskiej i Targowickiej, choćby nawet wstali z grobu wszyscy Jezuici, których kazał powieszać pan Hetman Wyhowski na hakach klasztoru Bazabińskiego w Owruczu, które sam widziałem na własne oczy; niech zrzucą a będą mądrzy, kiedy my będziemy na koniach a przy szablach, a z nahajami.»

Uśmiechnął się Lach — «Dla tego też kozaków niechcą, dla tego to od początku aż do końca tak nurtowali i tę naszą biedną kozaczyznę, żeby jej niedać wzrość, żeby ją rozbić. Dla tego to u naszego Watażkę jak na białego kruka czarne kraczą:

«Ale on na to niezważa, swoje robi — i zobaczysz, że z nich zadrwimy i swoje zrobimy —» —

«Daj Boże — ale trudno i to siła Jezuici i Rabini, a jak Moskal z Austryakiem na Polskę, tak oni z sobą się łączą w święte przymierze przeciwko kozakom. Pamiętam jeszcze, zaraz po skończeniu wojny, chciałem pogodzić stronnictwa, rozdwojenie, żeby się wzięli do rzeczy razem; nasz Watażka skłonnym był do zgody, i mimo że już był sparzony, do jedności działana; przystał na to, żeby do kozaczyzny dorzucić Dragonię, której pierwszym stwórcą jest niezaprzeczenie Stefan Czarniecki. polak, katolik, nie kozak; ciągnąłem do tej zgody rzeczywistego naczelnika Katolików Polski, filar Jezuitów, na wszystko mi odpowiadal: A jak on zechce być drugim Bohdanem Chmielnickim, niemamy rękojmi, niemożemy działać na jednej drodze. Pomyślałem: biedni ludzie, co za wygórowana przezorność, jeszcze niemają Polski, jeszcze Moskale, Austryacy i Prusacy gospodarują w Polsce jak u siebie — a oni się lękają nowego Chmielnickiego, lękają się, żeby sto tysięcy Kozactwa niesunęło na Moskwę, choćby za siebie, a nie za Polskę, to jeszcze by lżej było Polsce, bo by miała ze dwieście tysięcy Moskali mniej do bicia. Aż mi w głowie się przewracało, skąd im ta obawa tak śmieszna mogła przyjść do głowy, kiedy mi wytłumaczył całą rzecz Chochlik będący u dworu tego wielkiego Mistrza katolików, tego mundurowego Generała fraczkowych i niefraczkowych Jezuitów. Chochlik ten, malutki wzrostem, ale niemalutki spirytem, jak dziś mówią

o ludziach medium, był pierwszym Sekretarzem, pierwszym Ministrem, pierwszym publicystą a nawet poetą i dworakiem, przy Hesperydzie, Wielkiej Kśieni. Hesperyda także była w medium katolickim nie obracania się stołów, ale natchnień dziwołążnych.

Otoż Chochlik, który się do mnie łasił wszelkiemi sposobami, opowiadał, że jednego wieczora, kiedy Mistrz po nieudaniach się w Stambule, pojechał do naszego Watażki, godzić się może i na prawdę, Hesperyda przechodzała się z nim, Chochlikiem, nad Bosforem. „Księżyć świecił jasno na niebiosach i odblaskiem kąpał się w czarnych wodach Bosforu — prądy szumiały i rozbijały się z hukiem o brzegi, on Chochlik opowiadał Hesperydzie, że poeci a nawet Marmut niepoeta mniemają', że to wody Dniepra, Bohu i Dniestra, połączone razem, przerzynają się morzem czarnem, niemieszając swoich wód z wodami morza i pędzą rozbijać się u stóp Pałacu Sułtanów, w Stambule; że tą drogą rzek Ukraińskich, dzicz kozacza, schyzmatycka spuszczała się aż pod mury tego prawdziwego Carogrodu. Hesperyda słuchała i zamyślała, wyraźnie katolickie medium zaczynało owładywać jej myślą, jej duszą. Patrzyła to w niebo, to w wody Bosforu i głosem natchnienie wyszemrała — «A jak on zechce być drugim Bohdanem Chmielnickim - Chochlik skoczył; kto on? Watażka kozaczy, biada Katolicyzmowi, biada kongregacyi Jezuickiej. Zaraz z Hesperydą Chochlik wyjechali do Mistrza i tak mu dodali strachu, że od tego czasa zaczęła się z jego strony ta cała zagmachtwana intryga przeciwko kozaczyznie —»

Baranowski kręcił głową — «Nic tego nierozumien, to nie przy mnie, jak to mówią, pisano, piąte przez dziesiąte się domyślam, ale to wiem, że jak mąż stary a sterany, a żona młoda, to wszystko dokaże co zechce i w duchy męża zapina, i to waszego tam jak mówisz, medium zaprowadzi, a co najpewniej, na dudka wykieruje; więc oni kozaczyzny niechcą —

Niechcą i niezechcą —

To ich diabli wezmą —

— I nas także —

— A cóż na to robić —

— Czekać i korzystać —

— To niemoja rzecz, konia, ja jadę wprost na Ukrainę. Bądź-

cie mi zdrowi, oddajcie chorągiew komu innemu, niech idzie wolno z wami — ja pojadę przodem, bo mi pilno —» krzyknął na kozaka, konia — i już Siwy stał przed progiem domu. Baranowskiemu oko błyskało jak brylant, nadzwyczajnie, ale z resztą był tak jak zawsze. Jeszcze powlewał wina w szklanki —

— Postrzemienne — Tatarzynie i Lachu, bądźcie dobrej myśli, pójdą gorą nasi, przy nas prawda, nasze naprzód, bądźcie dobrej myśli, w krótce się zobaczemy, może prędzej niż myślicie!

Kozakowi kazał zostać, siadł na koń i pojechał, ale nie swoim obyczajem: konia ostrogami niepołoskota, cugle puścił wolno. Koń wyciągnął szyję, spuścił głowę ku ziemi i tak wyszedł z Kożan i jeździec zadumany i koń zadumany.

W kilka godzin później wyszedł z Kożan pułk kozaczy. Kirkor Bej wiódł swoje wojsko, biały ogier pod nim się czwani, trębacze grają, chorągiew zwiniętą wiezie Ałaj Czausz a sotnie za sotniami idę raźno i ochoczo, wędzidła dzwonią, brzęczą szablą a piosenkami, dumkami, z sotniami sotnie rozmawiają. Tak uszli ze dwie godziny, kiedy nagle kozak powodyr zwrócił konia w tył i przyskoczył do Pułkowódzcy. Pułkowodzca w czwał naprzód posunął i za nim Sotnicy, a tam na polu o kilkaset kroków z drogi leży Sandżaktor na ziemi, jak bez duszy, a siwy kon nad nim, nozdrzami do życia go cuci. Zleźli z koni, trzeźwią, otworzył oczy, przebąknął: — Kozacy na koń, nie wasza — a będzie nasza Polska —

I usta zawarł i oczy zamknął — i już trup —

Tak skończył Sandżaktor Kozaczy, tak owdowiała Ckorągiew kozacza, ale kozacza nadzieja nieumarła, żyje i żyć będzie. Czy nas niewidomy powoła czy niepowoła, czy nas widomi niedadzą powołać, my sami siebie powałamy, w imie kozaczyzny, w imie Polski, jak přzyjdzie czas — a przyjdzie ten czas; Bóg wielki, my z nim a on z nami. Zaśpiewamy mu na chwałę, w naszej kozaczyźnie, jak iść będziemy walczyć za Polskę:

Boże daj wieczny odpoczynek Sandżaktorowi, a nam pracy a pracy wojennej, póki nie staniemy w Polsce wielkiej, od Baltyku do czarnego morza; w Polsce Piastów i Jagielonów — Boże daj —

Dnia 1 Marca, 1864.

Dołma bakcze — w Stambule.

DUMA POLSKA
ŻOŁNIERZA WOJSK TURECKICH,
NAPISANA NA BABUNIE MACEDOŃSKIEJ, W LUTYM ROKU 1864.

O bracia moi — i ty moja ziemio,
Pod którą prochy wielkich ojców drzemią;
Dziś nieodrodna ich krew, z ran tysiąca
Wsiąka znów w ciebie serdeczna, gorąca,
A ty po stokroć już krwią tą z win zmyta,
Powiedz: czyś dotąd jeszcze jej nie syta?
I ileż jeszcze wylać jej potrzeba,
By woń męczeństwa doszła z niej do nieba,
I tam świadectwo dała tym przed Bogiem,
Którzy polegli, walcząc z jego wrogiem!

Oni polegli! — A ja? — Głos potomny
Bodaj nie wyrzekł, żem był wiarołomny!
Bom ja przysięgał, że pospołu z nimi
Wolność, krew, życie oddam dla tej ziemi;
A dziś, gdy oni w czarnej skonu chwili
Krwawy dług przysiąg Ojczyźnie spłacili;
Ja tu bezpieczny i od nich daleki,
Śmiem ledwie pytać: czy skon mieli lekki.
A szczęk się ze mnie, przy każdym mym kroku,
Urąga szabli, którą mam przy boku.

Tak jest — ja broń mam! A koń mój przy żłobie
Rży niecierpliwy — nogą ziemię grzebie,
I dziwnem okiem pyta mnie: «co tobie,
«Jeźdzcu mój, powiedz, — nie poznaję ciebie,
«Tyś na wojenne sposobił mnie harce,
«Kiedy był pokój; a dziś kiedy w wojnie

«Dzieci u ciebie mordują i starce,
«Ty na to patrzysz z dala i spokojnie.
«Czyż krew się w tobie na tę myśl nie ścina,
«Że kiedy matka woła cię jak syna,
«I chce pomocy, — ty, niepomny sromu,
«Mnie trzymasz w stajni a sam siedzisz w domu.
«I czego siedzisz, — czemu wyjazd zwlekasz?
«I za czem czekasz, — powiedz, za czem czekasz?
«Czyż ci już nie żal dla mnie choć obroku,
«I czy ci nie wstyd tej szabli przy boku?»

Wyrzut to straszny i straszne pytanie!
Lękam się prawie odpowiedzieć na nie.
Odpowiem jednak: — Wszyscy bądźcie pewni,
Najprzód wy bracia. w nadziejach pokrewni,
Że przysiąg moich dotrzymam wam święcie;
Potem ty szablo, że ciebie na cięcie
Chowam stanowcze; tylko bądź gotowa
I wierna ręce, co cię na nie chowa;
I ty bądź pewna. święta moja ziemio.
W której się nowi mściciele już plemią;
Bądź pewna, że krew i moja użyźni
Łan nasz ojczysty — spółbratni — spółbliźni;
I że dla ciebie z krwi mej i z mych kości
Wstanie obrońca, lub mściciel w przyszłości!

A ty mój koniu — turecki dżanecie,
Koniu mój dzielny, dla którego w świecie
Nie ma przeszkody, zawady, zapory,
I ty doczekasz się wróżb Wernyhory.
Bądź pewien, byleś doniósł mnie bez szkody,
Że się wiślannej napijemy wody!

RYSZARD BERWIŃSKI

Porucznik Dragonow Otomańskich.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

PG 7158 C75 1872 t.9

Czajkowski, Michal
Pisma

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY